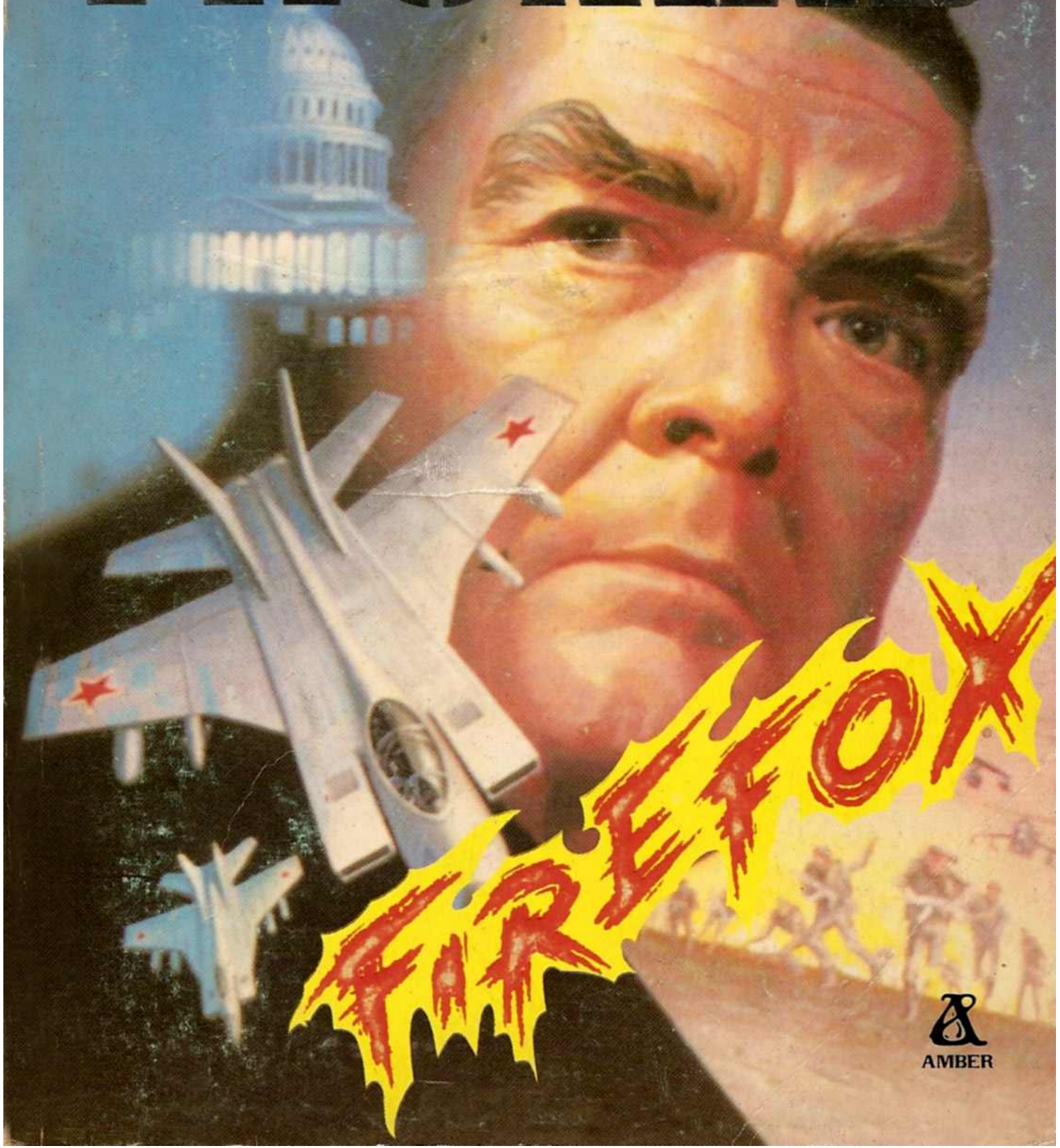


CRAIG THOMAS




AMBER

CRAIG THOMAS

FIREFOX

Przełożył:
PIOTR W. CHOLEWA




AMBER

*Terry'emu,
który zbudował Firefoxa
i sprawił, że poleciał*

Podziękowania

Pragnąłbym podziękować w tym miejscu za bezcenną pomoc, jakiej udzielił mi T. R. Jones, służąc mi swym czasem i wiadomościami w kwestiach technicznych związanych z eksperymentalnym samolotem, który tak wspaniale spisuje się na kartach tej książki.

Wdzięczny jestem również za cenne uwagi, związane ze szczegółami geograficznymi, pani Audrey Simmonds i panu Grahamowi Simmsowi. Dziękuję też panu Peterowi Payne, którego entuzjastyczny sceptycyzm pozwalał mi zachować czujność, ale i nadzieję, podczas pisania tej powieści.

Wreszcie, wiele zawdzięczam różnym publikacjom, w szczególności wielce pouczającej i wartościowej książce Johna Barrona „KGB” i znakomitej serii wydawnictw Jane, zwłaszcza ostatnim edycjom „Samolotów całego świata”, „Okrętów wojennych” i „Systemów uzbrojenia”. Każda z nich dostarczyła mi wielu cennych wiadomości.

Craig Thomas

Lichfield

*Nie obowiązek wzywał mnie do bitew,
Patos orędzia czy poklask tłumu,
Własne pragnienia porwały mnie skryte
W nieba wrzawę i obłoków tumult.
Wszystko zważyłem i przywiodłem na myśl,
Wielka otchłań przyszłość moją wchłania.
I przyszłość w wielkiej się waży otchłani
Na szalach życia i umierania.*

W. B. Yeats
przeł. Artur Międzyrzecki

Mężczyzna leżał na łóżku hotelowego pokoju. Unosił zakrzywione jak szpony palce, jak gdyby chciał sięgnąć sobie do oczu. Ciało było wyciągnięte sztywno, wyprężone. Pot zraszał czoło i znaczył koszulę pod pachami. Mężczyzna miał otwarte oczy i śnił.

Koszmar nie nawiedzał go już tak często; przypominał coraz rzadsze ataki malarii. On sam to osiągnął — on, a nie Buckholz ani psychiatrzy w Langley. Nienawidził ich. Sam z tego wyszedł. A jednak, gdy koszmar powracał, atakował z dawną siłą, pełnym impetem skamieniałych wspomnień i poczucia winy. To wszystko, co pozostało mu z Wietnamu. Lecz nawet gdy cierpiał, zlany potem w żelaznym uścisku pamięci, chłodna część umysłu obserwowała obrazy i efekty, tworzyła mapy choroby.

W swoim śnie był Wietnamczykiem, chłopem czy partyzantem, wszystko jedno, i palił się wolno, straszliwie, pochłaniany przez napalm, zrzucony z patrolowego Phantoma. Ryk płomieni zagłuszał cichnący huk silników, a on czerniał, płonął, topniał...

W płomieniach inne czasy i inne obrazy migotały jak iskry. Gdy jego mięśnie kurczyły się i skwierczały w potwornym żarze, widział siebie, jakby z punktu ukrytego gdzieś w oddalonej części umysłu, jak pilotuje starego Miga-21... i widział zatrzymany w ruchu moment, gdy chwyta w celownik amerykańskiego Phantoma... a potem narkotyki w Sajgonie, dawka, która cofnęła go do chwili, kiedy to on znalazł się w celowniku Miga... i załamanie, miesiące w Szpitalu Weteranów i te poranione, krzyczące dusze wokół niego, aż sam znalazł się na krawędzi szaleństwa i pragnął tylko pogrześć się w mroku, gdzie nie słyszałby już cudzych wrzasków ani wycia własnego umysłu.

Potem praca w szpitalu, klasyczna kuracja, po której pozostał tylko nieprzyjemny smak w ustach, i znowu Mig, i ćwiczenia, by latać jak Rosjanin, myśleć jak Rosjanin, być Rosjaninem... przyprowadzili mu Lebediewa, uciekiniera z gruzińskim akcentem, by pilnował jego nauki, gdyż musiał mówić płynnie.

I trening na amerykańskiej kopii Miga-25, i studiowanie zeznań Bielenki, tego samego, który wiele lat temu uciekł takim Foxbatem do Japonii... i dni, i tygodnie spędzone w symulatorze, za sterami samolotu, którego nigdy nie widział, który nie istniał.

I napalm, i płomienie, i Sajgon...

Czuł gryzący zapach palącego się ciała, widział niebieskawe od topniejącego tłuszczu płomienie... Mitchell Gant spalał się wśród cierpień w swoim hotelowym pokoju.



LUNCH z SAMMY?

- CZW. 12. 45

Tel. H.S. 2136 new 74

OCENA 76/77,

Sprawdzić u Geoffreya

ZNANE FAKTY 22 SIERPNIA 75

- ① Samolot o 10-15 lat wypadka M.R.C.A. i amerykański Y16.
- ② Pierwszy lot około 1980 r. na wyposażeniu w roku?
- ③ Osiągi - planowana prędkość powyżej 5 Macha itp.
- ④ Napęd - silniki nowej generacji. Posiada System Uzbrojenia Sterowanego Myśla - NATO go nie ma - I RAZIEJ NIE BĘDZIE MIAŁO!
- ⑤ Określenie kodowe NATO -
"FIREFOX"
Ten "OGNISTY LIS" to nie przesada!
- ⑥ Nie posiadamy - a) środków b) techniki.
..... zatem - musimy mieć Firefoxa!

ROZWIĄZANIE?

← Hrać nie proste

porozmawiać o tym z Plesseyem
Ferrantim
i resztą

UKRAŚĆ GO

Szanowny Panie Premierze.

Prosił Pan o pełniejsze informacje na temat prac biura Mikojana realizowanych w Biljarsku. W załączeniu przesyłam raport, który otrzymałem jesienią od Aubreya, kierującego działalnością wywiadowczą w tym rejonie. Sam się Pan przekona, jak radykalne są jego sugestie. Pańskie uwagi z pewnością okażą się pouczające.

Z poważaniem
Richard Cunningham

☆☆☆

ŚCIŚLE TAJNE — DO SZEFA SIFS

18.09.1975

Szanowny Panie Cunningham.

Otrzymał Pan z pewnością zwykle wyciągi z moich raportów na temat działań wywiadowczych skierowanych przeciwko tajnemu Projektowi Mikojana w Biljarsku, który w NATO określany jest kodem „Firefox”. Nie jestem pewien, czy prosząc o moje sugestie jest Pan wystarczająco dobrze przygotowany do tego, co chciałbym zaproponować.

Jestem przekonany, że nie muszę się rozwodzić nad nadziejami, jakie Rosjanie wiążą z tym nowym samolotem. Naszym zdaniem zarezerwowano coś w rodzaju awaryjnego funduszu obrony w celu sfinansowania jego ewentualnej produkcji masowej. Ponieważ wstrzymano prace nad następcami będącego aktualnie na wyposażeniu Miga-25 Foxbata, model ten pozostanie głównym samolotem bojowym radzieckiego lotnictwa, aż do pełnego wprowadzenia Miga-31, czyli Firefoxa. W europejskiej części Rosji trwa lub jest planowana budowa co najmniej trzech kompleksów produkcyjnych, jak można przypuszczać, do wytwarzania Migów-31.

Co do samolotu, to nie muszę chyba podkreślać jego potencjalnych możliwości. Jeśli spełni nadzieje Rosjan, to nie będziemy mieli niczego podobnego przed końcem lat osiemdziesiątych, a może nigdy. Związek Radziecki uzyska absolutną przewagę powietrzną. Obaj znamy powody przystąpienia do rokowań SALT i cięć budżetu obrony, a teraz nie można już tego cofnąć. Wystarczy więc, jeśli stwierdzę, że układ sił, jaki powstanie w efekcie wprowadzenia przez Rosjan myśliwskiej i szturmowej wersji nowego samolotu, będzie absolutnie nie do przyjęcia.

Jeśli chodzi o nasze działania wywiadowcze, udało nam się pozyskać Piotra Baranowicza, pracującego przy projektowaniu i konstrukcji samych systemów uzbrojenia. Zwerbował on, o czym Pan z pewnością wie, dwóch innych wysoko kwalifikowanych techników. David Edgecliffe udostępnił nam moskiewską część siatki, w tym Pawła Upieńskiego, swojego najlepszego agenta. Wprawdzie wygląda to imponująco i obaj wiemy, że jest imponujące, lecz nie wystarczy! To, czego się dowiedzieliśmy lub dowiemy, nie pozwoli na odtworzenie Miga-31 ani jego neutralizację. Baranowicz i jego grupa nie dysponują informacjami o samolocie, wykraczającymi poza wąski zakres własnej specjalizacji, co dowodzi, jak utajnione są badania.

Musimy zatem przeprowadzić lub przygotować się do przeprowadzenia w ciągu najbliższych pięciu lat operacji skierowanej przeciwko projektowi w Biljarsku. Proponuję, ni mniej, ni więcej, tylko porwanie jednego z samolotów, jeśli to możliwe w pełni wyposażonego prototypu produkcyjnego, najlepiej tuż przed końcowymi próbami.

Wyobrażam sobie Pańskie zaskoczenie. Niemniej jednak uważam rzecz za możliwą pod warunkiem, że znajdziemy odpowiedniego pilota. Moim zdaniem konieczne będzie wykorzystanie Amerykanina, jako że piloci RAF-u nie ćwiczą walki powietrznej (rozważam wszystkie możliwości). Amerykanin z doświadczeniem bojowym z Wietnamu byłby tu prawdopodobnie najlepszy. Dysponujemy w Moskwie i w Biljarsku siatką agentów, zdolną doprowadzić pilota do samolotu.

Niecierpliwie oczekuję Pańskiej opinii w tej sprawie.

Z wyrazami szacunku
Kenneth Aubrey

☆☆☆

ŚCIŚLE TAJNE — PREMIER DO „C”

11.02.1976

Drogi Sir Richardzie!

Wdzięczny jestem za szybką odpowiedź na moje pytanie. Doprawdy, chciałbym wiedzieć więcej o samym samolocie — czy zechciałby Pan przekazać mi wyciąg z raportów Aubreya za ostatnie trzy lata? Co do jego propozycji — przypuszczam, że nie traktuje jej poważnie. Sam Pan rozumie, że to śmieszne planować akt piractwa przeciwko Związkowi Radzieckiemu!

Proszę przekazać małżonce wyrazy szacunku.

Z poważaniem
Andrew Gresham

Kenneth!

Załączam kopię wczorajszego listu premiera. Sam przeczytaj, co sądzi o Twoich przestępczych skłonnościach. Jego opinia pokrywa się z moją — oficjalnie. Prywatnie muszę przyznać, że nogi mi się trzęsą, kiedy pomyślę o tym cudzie z Biljarska. Zaczynij szukać pilota i myśleć nad scenariuszem tej akcji — tak na wszelki wypadek. Możesz skontaktować się z Buckholzem z CIA, który dopiero co awansował na szefa tajnych operacji. A może tam u nich nazywa się to Dyrektor? W każdym razie Amerykanie mają tu tyle samo do stracenia, co Europa i też z pewnością interesują się Biljarskiem.

Powodzenia w łowach. Nie kontaktuj się ze mną w tej sprawie. Sam Cię zawiadomię — czy i kiedy.

Pozdrawiam
Richard



ŚCIŚLE TAJNE — DO PREMIERA

29.06.1976

Szanowny Panie Premierze!

Prosił Pan sir Richarda Cunninghama o wyjaśnienie pewnych spraw technicznych związanych z samolotem o kryptonimie „Firefox” (Mikojan Mig-31). Ten list jest dla mnie okazją, by jeszcze raz spróbować przekonać Pana do mojej propozycji. Sądzę też, że jest sprawą niezwykle ważną, by zrozumiał Pan skalę rosyjskich osiągnięć w pewnych dziedzinach lotnictwa bojowego. Wszystkie te osiągnięcia zogniskują się w tym właśnie samolocie.

Nasze wiadomości pochodzą przede wszystkim od człowieka nazwiskiem Baranowicz, odpowiedzialnego za elektronikę, będącą rezultatem prac teoretycznych i eksperymentalnych związanych z uzbrojeniem sterowanym myślą. Baranowicz nie jest w stanie udzielić nam wszystkich niezbędnych informacji nawet w tej dziedzinie, a wywiezienie go z Rosji jest nierealne wobec wzmożonej ochrony Biljarska. Stąd też moja propozycja, by porwać jeden z ostatnich prototypów produkcyjnych, zawierający wszystko, co Rosjanie zamierzają umieścić w wersjach bojowych.

Powinienem może wspomnieć w tym miejscu o interesującym cywilnym zastosowaniu idei sterowania myślą: najnowszym typie wózka inwalidzkiego, projektowanym obecnie w Stanach Zjednoczonych. Powinien on umożliwić

osobie całkowicie sparaliżowanej i/lub unieruchomionej kierowanie ruchem wózka za pomocą myśli. Wózek byłby elektronicznie połączony z mózgiem (poprzez „hełm” czy coś w tym rodzaju). Specjalne układy transmitowałyby impulsy elektryczne z mózgu bezpośrednio do systemów mechanicznych. Myślowne polecenie jazdy naprzód, obrotu, skrętu w lewo czy w prawo, na przykład, pochodziłoby wprost z mózgu i zamiast przekazania do niesprawnych lub uszkodzonych mięśni, biegłoby wprost do sztucznych „kończyn” wózka. Nie planuje się wojskowych zastosowań tego systemu. Tymczasem Rosjanie, jak można sądzić, bliscy są takiego właśnie celu. (Zachód jak dotąd nie stworzył nawet wózka dla inwalidów.)

Układ, nad którym — według naszych informacji — pracuje Baranowicz, ma uzupełniać radar i podczerwień, dwa typowe systemy wykrywania i sterowania, stosowane we współczesnych samolotach. Radar, jak się pan z pewnością orientuje, opiera się na odbiciu sygnału od obiektu. Ekran wskazuje wówczas jego pozycję. Podczerwień wyświetla na ekranie położenie źródła ciepła w pobliżu czujnika. Do celowania i kierowania pociskami można używać jednej lub obu metod. Same pociski także mają układy jednego lub obu tych systemów. Zasadniczą przewagą systemu sterowania myślą jest fakt zachowania przez pilota kontroli nad lotem pocisków po odpaleniu, a także znacznie szybsze ich wystrzeliwanie, jako że rozkaz myślowy zostaje przetransponowany bezpośrednio do układu odpalającego, bez fizycznego udziału człowieka.

Trzeba zaznaczyć, że nie mamy ani my, ani — o ile nam wiadomo — Rosjanie, żadnej broni typu działa czy rakiety, wykorzystującej tak skomplikowane systemy. Mimo to, jeśli nie postaramy się możliwie szybko zniwelować radzieckiej przewagi czasowej, wkrótce pozostaniemy zbyt daleko z tyłu — zarówno w technikach artyleryjskich, jak raketowych — by kiedykolwiek możliwe było osiągnięcie równowagi.

Musimy zatem zdobyć ten system. Musimy, prędzej czy później, porwać Miga-31.

Z głębokim poważaniem
Kenneth Aubrey

☆☆☆

PREMIER DO K.A.

24.09.1976

Drogi Panie Aubrey!

Dziękuję za Pańską notatkę. Podziwiam Pańskie zaangażowanie, aczkolwiek rozwiązanie, jakie Pan proponuje, jest nie do przyjęcia. Ponadto, wobec

niedawnego „prezentu”, który zrobił Zachodowi por. Bielenko, mianowicie Miga-25 Foxbata — czy nie martwi się Pan niepotrzebnie? Z pewnością Rosjanom trzeba będzie lat, zanim zdołają odrobić straty poniesione wskutek ujawnienia tajemnic uprowadzonej maszyny.

Z poważaniem
Andrew Gresham

☆☆☆

K.A. DO PREMIERA

30.09.1976

Szanowny Panie Premierze!

Odpowiadając na Pańskie pytanie wyjaśniam, że w moim przekonaniu Mig-25 to tylko zabawka w porównaniu z konstruowanym samolotem określanym w NATO jako Firefox. Niedawna ucieczka do Japonii nie powinna wzbudzać w nas fałszywego poczucia bezpieczeństwa. To był szczęśliwy traf, z pewnością niezasłużony i w dodatku mogący w rezultacie obrócić się przeciwko nam.

Powinienem także dodać, że według danych, jakie otrzymali z Japonii nasi eksperci, Mig-25 nie jest tym, czym mógłby być. W dużej części zbudowany jest ze stali zamiast z tytanu, ma kłopoty z osiągnięciem i utrzymywaniem maksymalnej szybkości, a użyta w nim elektronika nie jest w żadnym razie tak skomplikowana, jak uważaliśmy.

Baranowicz w Biljarsku twierdzi jednak, że projektowany Mig-31 spełni wszelkie, nawet najbardziej niezwykle oczekiwania. Baranowicz zdaje sobie sprawę z pewnych niedociągnięć Miga-25, o których liczne plotki krążyły w naukowym świecie. Ale o samolocie Firefox nic takiego nie słyhać.

Z wyrazami szacunku
Kenneth Aubrey



16 08 43 wtorek

Richardzie,

Czytając raporty Dowództwa Lotnictwa Strategicznego próbnych lotów „FIREFOX”?

Amerykani wystali w powietrze wszystko co mieli, nawet bufet z hamburgerami, dla obserwowania lotów próbnych. Mieli informacje Baranowicza o trasach, trasach przelotu, itp. „FIREFOX” wystartował — i NIC!

(2) Jeśli to jest to, o czym myślę, to Rosjanie opracowali anty-recezar „FIREFOX”.
A więc Sieć Wewnętrznego Ostrzegania można spokojnie odłożyć do lamusa razem z Tukiem i wstąpić.

(3) Padekomaż premiera — ZARAZ!

Czekam

Kenneth

3.07.1979

Szanowny Panie Premierze!

Nie wiem, czym jest antyradar ani jak działa w przypadku systemu radzieckiego. Nasze źródła w Biljarsku, nie dopuszczane do tego typu sekretów, donoszą, że nie jest to system elektroniczny ani mechaniczny, a tym samym niemożliwe jest przeciwdziałanie mu jakimikolwiek środkami. To zupełnie coś innego niż nasze tradycyjne „metalowe konfetti” czy amerykańskie systemy służące elektronicznemu zakłócaniu pracy radaru. Ani USAF, ani RAF nie mają pojęcia o niczym podobnym do systemu rosyjskiego.

Tym samym staje się oczywiste, że Firefox stanowi najpoważniejsze zagrożenie bezpieczeństwa Zachodu od czasu wyprodukowania przez Związek Radziecki i Chiny broni jądrowej.

Z poważaniem
Kenneth Aubrey

☆☆☆

„C” DO K.A.

30.07.1979

Kenneth!

Masz zgodę premiera i Waszyngtonu. Będziesz działał wspólnie z Buckholzem. Twój scenariusz, łącznie z wyborem pilota (dziwaczny ptaszek, nie sądzisz?), punktu tankowania i sposobu przerzucenia pilota do Biljarska, zyskał aprobatę. Należy dostarczyć pilotowi jakiegoś urządzenia naprowadzającego, aby mógł trafić do punktu tankowania — czegoś, o czym Rosjanie by nie wiedzieli i tym samym nie mogli wysledzić. Premier rozumie konieczność pośpiechu i w Farnborough zaczęli już nad tym pracować. Masz się tam skontaktować z facetem nazwiskiem Davies.

Powodzenia. Piłka jest teraz po twojej stronie siatki.

Richard

.
Pułkownik KGB Michaił Jurijewicz Kontarski, szef Wydziału „M” odpowiedzialnego za bezpieczeństwo Projektu Mikojana w Biljarsku, został sam w gabinecie, gdzie wciąż jeszcze unosił się wyraźny zapach świeżej farby. Znowu opadły go wątpliwości. Jego pewność siebie, podbudowana pracą wykonaną tego popołudnia, rozplynęła się z wyjściem jego adiutanta, Dmitrija Priabina. Kontarski siedział za dużym, nowym biurkiem i z wysiłkiem starał się zachować spokój.

Zbyt długo trwało to wszystko, pomyślał, zbyt długo praca była dla niego środkiem uspokajającym. Utracił poczucie perspektywy, zwłaszcza teraz, kiedy tak niewiele czasu pozostało do końcowych prób systemów uzbrojenia Miga-31. Zdawało się, że to tylko drobiazg, tylko fala lęku napływająca w ostatniej chwili, kiedy zbierał wyniki swej pracy jak rozrzucony bagaż. I cały czas bał się, że o czymś zapomniał.

Nie chciał wychodzić z gabinetu. Wiedział, że jego ciało nie potrafi jeszcze przybrać zwykłej, aroganckiej pozy. W korytarzach Centrali wszyscy zauważą ten niepokój, a to może się okazać niewybaczalnym błędem z jego strony.

Od lat wiedział o przeciekach informacji w Biljarsku, o Baranowiczu, Kreszynie i Siemielowskim. Znał też ich kuriera, sprzedawcę Dżerkowa. W ciągu długich lat projektowania i budowy Miga musiał się o tym dowiedzieć.

Ale ani on, ani jego wydział nie zrobili niczego w tej sprawie. Ograniczyli jedynie strumyczek informacji wzmacniając nadzór, zapobiegając spotkaniom, rozmowom. A to dlatego — nagle spuścił głowę i przycisnął palcami zaciśnięte powieki — dlatego, że postanowił zaryzykować. Ze strachu. Bał się odsunąć od prac ich ważne, ludzkie elementy, a także tego, że gdyby to zrobił, Brytyjczycy i CIA zwerbują innych, o których istnieniu nie będzie wiedział, albo wprowadzą nowych agentów, których on nie będzie znał. Lepszy znany diabeł, powiedział Priabinowi, kiedy podejmował decyzję. Próbował się wtedy uśmiechnąć. Młody człowiek zgodził się z nim, lecz teraz ta uwaga wydawała się wyjątkowo głupia.

Od samego początku wiedział, że za porażkę będzie musiał zapłacić najwyższą cenę, że czeka go niełaska, może egzekucja. Próbował się pocieszać myślą, że cokolwiek wiedzą Anglicy i Amerykanie, jest tego o wiele mniej, niż mogliby wiedzieć...

Jego wąska, smagła twarz była blada i zmęczona, a w szarych oczach błyszczał lęk. Musiał przecież pozwolić im pracować, mimo że byli szpiegami. Słowa brzmiały pusto, jak gdyby, wygłaszał je przed niechętną, wrogą publicznością, może nawet przed samym Andropowem...

CZĘŚĆ PIERWSZA

PORWANIE

1.

Mord

Przejsście z samolotu British Airways przez płytę lotniska Szeremietiewo zdawało się nie mieć końca. Wiatr zrywał kapelusz z głowy szczupłego mężczyzny idącego na końcu grupy pasażerów. Ten jedną ręką przytrzymywał nakrycie głowy, w drugiej niósł torbę lotniczą. Niczym szczególnym się nie wyróżniał — nosił okulary w grubej oprawie, a jego górną wargę ozdabiał rzadki wąsik. Ubrany był w ciemny płaszcz, ciemne spodnie i zwyczajne buty. Miał zaczerwieniony od chłodu nos i blade policzki. Tylko ucisk w żołądku i tamująca oddech kula lęku w krtani różniły go od innych.

Fotografowanie wszystkich zagranicznych pasażerów było stałą praktyką KGB. On także został sfotografowany aparatem wyposażonym w teleobiektyw. Domyślał się tego, choć nie potrafił określić, w którym momencie to nastąpiło. Szedł przez płytę z pochyloną głową, by osłonić oczy i twarz przed kurzem niesionym porywami wiatru.

Nagłe uderzenie ciepła hali przylotów sprawiło, że opuścił kołnierz płaszcza, zdjął kapelusz i przejechał palcami po kasztanowych włosach. Wyraźny przedziałek świadczył o tym, że nie dba o obowiązującą modę. Wtedy właśnie zrobiono mu drugie zdjęcie. Można by pomyśleć, że pozował do takiego portretu. Rozejrzał się, po czym podszedł do stanowiska kontroli celnej. Wokół przelewała się ludzka fala, normalna dla każdego międzynarodowego lotniska. Dostrzegł papuzie barwy afrykańskiego stroju narodowego, widział przybyszów z Bliskiego Wschodu i z Europy. Stał się elementem tego kosmopolitycznego zbiorowiska, a znajoma atmosfera portu lotniczego pomogła uspokoić żołądek. Mężczyzna sprawiał teraz wrażenie zupełnie spokojnego, może tylko bardziej niż inni cierpiącego od choroby lokomocyjnej.

Wiedział, że ludzie stojący za plecami celników są agentami służby bezpieczeństwa, zapewne KGB. Spokojnie wstawił lotniczą torbę pomiędzy ekrany detektora. Jego dwie walizki podjeżdżały właśnie pasem taśmociągu. Mężczyzna nie drgnął nawet. Wiedział, co zaraz nastąpi. Jeden z dwóch ludzi, stojących z pozorną obojętnością za ladą, postąpił krok do przodu i zdjął z podajnika jego bagaż.

Mężczyzna patrzył teraz spokojnie na celnika, pozornie ignorując agenta bezpieczeństwa, który otworzył obie walizki i bezceremonialnie przerzucał ich zawartość. Celnik obejrzał dokumenty i przekazał je kontrolerowi na końcu długiej lady. Agent przewracał części ubrania z coraz większym zdenerwowaniem. Uśmiech znikł z jego twarzy, zastąpiony zdumieniem, z jakim wpatrywał się w otwarte walizki.

— Pan Alexander Thomas Orton? — odezwał się urzędnik. — Co sprowadza pana do Moskwy?

Mężczyzna odchrząknął.

— Jak pan może się przekonać z moich dokumentów — odpowiedział — jestem agentem handlowym firmy Excelsior Plastic Company z Welwyn Garden City.

— Istotnie. — Urzędnik co chwila spoglądał ukradkiem na zaskoczonego agenta KGB. — W ciągu ostatnich dwóch lat odwiedzał pan kilkakrotnie Związek Radziecki?

— Owszem. I nigdy nie spotkało mnie nic podobnego. — Mężczyzna nie wyglądał na poirytowanego, raczej na zdziwionego. Starał się robić wrażenie uprzejmego, doświadczonego, rozumiejącego miejscowe zwyczaje gościa, który nie zwraca uwagi na nieeleganckie traktowanie własnego bagażu.

— Proszę wybaczyć — odparł urzędnik. Agent KGB rozmawiał szeptem z jednym z celników. Pozostali pasażerowie samolotu wyszli już przez bramkę i rozproszyli się po hali przylotów. Zniknęli, i Alexander Thomas Orton czuł się dość samotnie.

— Mam wszystkie dokumenty — zapewnił. — Podpisane przez attache handlowego waszej ambasady w Londynie. — W jego głosie brzmiała nuta zdenerwowania, jak gdyby podejrzewał, że ktoś próbuje zabawić się jego kosztem, a on nie rozumie żartu. — Jak pan zauważył, byłem tutaj już kilka razy i nigdy nie miałem żadnych problemów. Czy on naprawdę musi tak rozrzucać moje rzeczy? Czego tam szuka?

Człowiek z KGB zbliżył się do nich. Alexander Thomas Orton przejechał dłonią po wybrylantynowanych włosach i spróbował się uśmiechnąć. Rosjanin był dobrze zbudowany, miał płaską, mongolską twarz i roztaczał wokół aurę frustracji i władzy. Wyjął z rąk urzędnika paszport i zajął się sprawdzaniem wiz. Kiedy skończył, spojrzał w twarz Ortona.

— Dlaczego przyleciał pan do Moskwy, panie... Orton?

— Tak, Orton. Jestem biznesmenem, a dokładniej — handlowcem.

— A czym to zamierza pan handlować ze Związkiem Radzieckim? — W głosie Rosjanina zabrzmiała pogarda, podkreślona jeszcze skrzywieniem ust. Cała scena miała w sobie coś nierealnego. Mężczyzna przygładził włosy. Wydawał się bardziej zdenerwowany niż przed chwilą, jak gdyby został przyłapany na jakimś oszustwie.

— Wyroby z plastiku: zabawki, gry i tego typu rzeczy.

— A gdzie są pańskie próbki? Te śmiecie, które pan sprzedaje, panie Orton?

— Śmiecie? Wypraszam sobie!

— Jest pan Anglikiem, panie Orton? Pańska wymowa... nie mówi pan jak Anglik.

— Urodziłem się w Kanadzie.

— Nie wygląda pan na Kanadyjczyka, panie Orton.

— Staram się uchodzić za Anglika, na ile to możliwe. To pomaga w handlu zagranicznym, rozumie pan? — przypomniał sobie ćwiczenia wymowy. Poczul ukłucie gniewu, niby uderzenie mokrym ręcznikiem. Te zajęcia wydawały się wtedy absurdalnie niepotrzebne. Teraz je docenił.

— Nie rozumiem.

— Dlaczego przeszukaliście mój bagaż?

Agent KGB przez chwilę milczał zaskoczony.

— Nie muszę się panu tłumaczyć! Jest pan gościem w Związku Radzieckim, panie Orton. Proszę o tym nie zapominać!

Jakby dla podkreślenia swej irytacji, agent wziął do ręki małe radio tranzystorowe, spojrzał Ortonowi w oczy, po czym zdjął tylną płytkę obudowy. Orton, nie wyjmując rąk z kieszeni, zacisnął palce i czekał.

Rosjanin, wyraźnie rozczarowany, zatrzaskał obudowę.

— Po co pan to przywiózł? — zapytał. — W Moskwie nie da się odbierać tych waszych durnych audycji.

Orton wzruszył ramionami. Starając się opanować drżenie rąk wziął paszport i radioodbiornik. Podniósł torbę i zaczął czekać, aż agent zamknie jego walizki i przerzuci je na drugą stronę lady. Od uderzenia o podłogę zaniki jednej z nich odskoczyły, a koszule i skarpety wysypały się. Człowiek z KGB roześmiał się widząc, jak Orton na kolanach próbuje złapać zrolowaną parę szarych skarpet. Kiedy wreszcie zatrzaskał wieko, kosmyk włosów zsunął mu się do oczu. Odgarnął go, poprawił okulary, chwycił

obie walizki i możliwie dobitnie demonstrując swą urażoną godność, odszedł w stronę szerokich, szklanych drzwi, prowadzących na zewnątrz, ku bezpieczeństwu. Nie musiał się oglądać, by wiedzieć, że agent rozmawia już ze swoim wyraźnie starszym stopniem kolegą, który cały czas stał oparty o ścianę za ladą kontroli celnej. Ani na chwilę nie spuszczał Ortona z oczu, gdy ten przechodził przez kolejne kontrole: paszportową, celną i KGB.

Gant wiedział, że obaj agenci pracowali dla Zarządu Drugiego, prawdopodobnie w Sekcji Pierwszej Wydziału Siódmego odpowiedzialnego za nadzór nad turystami amerykańskimi, brytyjskimi i kanadyjskimi. Uznał, że w pewien sposób należy do wszystkich trzech kategorii, a zatem bardzo słusznie się nim interesują. Ucisk w żołądku zelżał, po raz pierwszy od opuszczenia samolotu.

Skinął na taksówkę z rzędu czekających przed głównym wyjściem, postawił na chodniku walizki i wcisnął na głowę kapelusz. Zimny wiatr zaatakował go z nową siłą. Budynek nie dawał przed nim osłony.

— Do hotelu „Moskwa” — powiedział głosem tak uprzejmym i spokojnym, na jaki tylko potrafił się zdobyć. Kierowca otworzył mu drzwi, włożył walizki do bagażnika, wskoczył za kierownicę i czekał z włączonym silnikiem. Gant wiedział, że czeka na wóz KGB, który ma ich śledzić — dostrzegł znak przekazany przez agenta bezpieczeństwa, który go kontrolował. Zdjął kapelusz i pochylił się w bok. W lusterku wstecznym zauważył podjeżdżającą z tyłu długą, opływową, lśniąca chromami limuzynę. Dopiero wtedy taksówkarz wrzucił bieg i wyjechali na szeroką trasę, biegnącą na południowy wschód, do centrum Moskwy — na Prospekt Leningradzki. Gant usiadł wygodnie uważając, by nie oglądać się przez przydymioną tylną szybę. I bez tego wiedział, że czarna limuzyna jedzie za nimi.

A więc, pomyślał, czując jak spływa z niego napięcie, Alexander Thomas Orton pomyślnie przeszedł pierwszą kontrolę. Nie był spocony, ogrzewanie w taksówce bowiem nie działało i temperatura wewnątrz była dość niska.

Teraz mógł się już przyznać, że był zdenerwowany. Musiał przejść przez tę próbę. Musiał odegrać rolę doskonale znaną jego publiczności, tak doskonale, że zauważyliby każdą fałszywą nutę. By ją zagrać, musiał całkowicie zapomnieć o własnej osobowości, nie tylko ukryć ją za maską wybrylantynowanych włosów Ortona, jego okularów i miękkiej linii podbródka, ale usunąć całkowicie z ruchów, intonacji, głosu. Równocześnie musiał nieść ze sobą, jak zapach płynu po goleniu, aurę podejrzliwości,

zniechęcenia. Po trzecie — i to było chyba najtrudniejsze — musiał demonstrować obce mu angielskie maniery i akcent.

Rozpamiętując swój sukces, wdzięczny agentowi KGB za brak wyobraźni i intuicji, w pełni docenił błyskotliwy umysł Aubreya. Ten niewysoki, pulchny Anglik dopracował w szczegółach legendę Ganta jako Ortona, legendę służącą tylko temu, by niepostrzeżenie przedostać się do Rosji. Od dwóch lat człowiek, wyglądający tak jak w tej chwili Gant, przechodził przez posterunki kontroli na Szeremietiewie jako handlowiec eksportujący do Związku Radzieckiego zestawy plastikowych zabawek. Podobno całkiem dobrze się sprzedawały w wielkim GUM-ie na placu Czerwonym, co — jak się zdawało — szczerze bawiło Aubreya.

Naturalnie, to nie wszystko. Alexander Thomas Orton był przemytnikiem. Ponad rok temu podjęto akcję, zmierzającą do wzbudzenia podejrzeń KGB wobec Ortona jako prawdopodobnego handlarza narkotyków. Od tego czasu pilnowano Anglika dokładnie, choć nigdy nie nęcano tak otwarcie jak dzisiaj. Gant zastanawiał się, czy Aubrey nie przesadził. Wielki i głupi facet z KGB wyraźnie się spodziewał, że znajdzie coś w jego bagażu. A teraz, gdy jego podejrzliwość została najpierw pobudzona, a potem doznała rozczarowania, kazał go śledzić.

Taksówka minęła Zbiornik Chimkiński — szarą, rozległą taflę wody, zimną i posępną pod zachmurzonym niebem. Wkrótce potem wjechali do miasta. Za oknem po lewej stronie przesunął się stadion Dynama.

Gant wiedział, że nie wywarł na Aubreyu dobrego wrażenia. Nie dbał o to. Choć zaangażował się w tę aferę, nie obchodziło go, jakie robi wrażenie. Znalazł się teraz na początku drogi i jeśli cokolwiek odczuwał, to tylko niecierpliwość. Od dnia, gdy Buckholz znalazł go w Los Angeles, w tym włoskim barze, dokąd wyszedł na lunch z warsztatu samochodowego, gdzie pracował jako mechanik; od czasu, gdy opuścił grupę „Apacz” — stworzoną przez lotnictwo amerykańskie eskadrę Migów — tylko jedna rzecz się dla niego liczyła: miał polecieć najwspanialszym samolotem w historii lotnictwa. Gdyby Gant miał jeszcze duszę, w co wątpił, włożyłby ją całą w tę akcję. To Buckholz go namówił, by znów zaczął latać, najpierw na Migu-21, potem na Migu-25 Foxbacie. Wtedy odszedł, próbował uciec. A Buckholz odszukał go i przedstawił swoją ideę: Firefox.

Zabawa w Ortona, która tak śmieszyła Aubreya, była konieczna. Gant jednak, absolutnie i całkowicie oddany planowi, traktował ją jedynie jako preludium. Coś, co zbliży go do Firefoxa.

Gant zawsze prezentował chorobliwą niemal wiarę we własne możliwości. Nigdy tej wiary nie utracił — ani w koszmarach, ani w narkotycznych snach, w szpitalu, w czasie psychicznego załamania i próby pokuty. Zawsze myślał o sobie wyłącznie jako o pilocie — i to najlepszym. Pojął nagle, że ten sukinsyn Buckholz wiedział o tym i wykorzystał tę jego cechę, jako jedyny skuteczny punkt zaczepienia... Nie mógł mu już uciec. Praca w Los Angeles była tylko grą, równie nieprawdziwą jak kostium, który teraz nosił. A przedtem szpital i biały fartuch, który przywdział na pewien czas — to też były kostiumy. Próbował ukryć się w nich przed prawdą, że nawet najlepszy może się bać, może przecenić swoje siły, może przegrać...

To był prawdziwy koszmar. Niepewny świat Ganta i sama jego osobowość zostały zagrożone przez wyczerpane nerwy, przez zbyt wiele lotów, zbyt częste ryzyko i napięcie.

Gant otarł dłonią czoło i spojrzał na wilgotne palce. Jego twarz wyrażała niesmak, niemalże niechęć. Zaczął się pocić. To nie była reakcja na tę grę, jaką rozgrywał z KGB na ich własnym boisku... raczej na wspomnienia swych prób ucieczki.

Gant pochodził z rodziny, która niczym się nie wyróżniała. Jako nastolatek gardził swoimi rodzicami i bratem nieudacznikiem, z zawodu agentem ubezpieczeniowym. Kochał, lecz i pogardzał swoją starszą siostrą, zaniedbaną kobietą z mężem pijakiem i czwórką dzieci.

Urodził się w małym miasteczku wybudowanym na szerokich pustkowiach środkowego zachodu USA. „Clarkville, 2763 mieszkańców”, głosił napis na tablicy przy drodze. I jeszcze dopisek: „Wielkie Małe Miasteczko”. Gant nienawidził Clarkville. W każdej chwili, jaką spędzał w jego granicach albo wśród otaczających miasto falujących, równych pól kukurydzy, był nikim i czuł się nikim. Dawno temu pozostawił za sobą Clarkville i nigdy tam nie wrócił, nawet na pogrzeb matki, ani by odwiedzić starzejącego się ojca. Raz tylko dostał list od siostry, pełen wymówek i prośb. Nie odpowiedział. List dotarł do niego w Sajgonie. Gant nigdy nie uciekł z Clarkville. Nosił je w sobie. Ono go kształtowało.

Otarł mokrą od potu dłoń o nogawkę spodni. Przymknął oczy i starał się nie myśleć o przeszłości. To tylko sen, pomyślał. Cholerny sen, od którego to wszystko się zaczęło. I jeszcze od jego dumy podrażnionej przez Aubreya, który spoglądał na niego z góry. Gant zacisnął pięści i wbił je w siedzenie. Jak dziecko... chciał teraz tylko pokazać im wszystkim, tak jak w Clarkville, martwym mieście martwych ludzi. A przed Aubreyem mógł się wykazać tylko w jeden sposób. Musiał przyprowadzić mu ten samolot — Firefoxa.

* * *

Kontarski siedział przy telefonie bezpośredniej linii, łączącej go z jego przełożonym z Sektora Ochrony Przemysłu Zarządu Drugiego, którego Wydział „M” był niewielką, lecz ważną częścią. Dmitrij Priabin obserwował przełożonego z uwagą, niemal jak sufler przyglądający się aktorowi i trzymający na kolanach otwarty tekst. Kontarski wydawał się spokojniejszy niż podczas wczorajszej rozmowy, jak gdyby działania ostatnich dwudziestu czterech godzin wywarły kojący efekt.

W tym czasie Kontarski otrzymał aktualny raport z jednostki KGB w Biljarsku. Wzmocniono nadzór nad nielegalną komórką. W ciągu czterdziestu ośmiu godzin w miasteczku nie zjawił się nikt podejrzany, a wyjechał jedynie kurier Dżerkow. Gdy wracał z Moskwy, dokładnie zrewidowano jego furgonetkę. Kontarski zlecił przeszukiwanie wszystkich wjeżdżających do miasta samochodów i ciągłą obserwację personelu mającego dostęp do fabryki. Rozkazał też, by wartownicy z psami patrolowali teren wokół zakładów. Potrojono liczbę uzbrojonych strażników w hangarach.

Po tym wszystkim Kontarski i Priabin zaczęli się uspokajać. Priabin jeszcze tej nocy miał odlecieć do Biljarska śmigłowcem KGB, by przejąć od tamtejszego oficera komendę nad siłami bezpieczeństwa. Praktycznie w ciągu kilku godzin może skutecznie odciąć miasteczko od świata. Kontarski postanowił nie lecieć z sekretarzem generalnym i jego grupą, ale raczej zrobić dobre wrażenie przybywając na miejsce dwadzieścia cztery godziny przed próbnym lotem. Zaaresztują obcych agentów na kilka godzin przed startem, a kiedy zjawią się dostojnicy, przesłuchania będą już w toku. Miał nadzieję, że wywrze to należyty efekt i na sekretarzu generalnym, i na Andropowie, który miał mu towarzyszyć. Priabin i Kontarski

zamierzali wyciągnąć z przesłuchań maksimum satysfakcji. Baranowicz, Kreszyn, Siemielowski, Dżerkow i jego żona zostaną wyrwani z fałszywego poczucia bezpieczeństwa. Cała akcja powinna być przykładem bezlitosnej skuteczności działań KGB.

Kontarski odłożył słuchawkę i uśmiechnął się szeroko do swego zastępcy i trzeciej osoby obecnej w biurze, Wiktora Łaniewa, adiutanta dowódcy sił KGB w Biljarsku. Łaniew przyleciał do Moskwy, by osobiście zdać raport. Po pisemnym meldunku Czernika, szefa ochrony zakładów, Kontarski uspokoił się do reszty. Słuchając, jak Łaniew opowiada szczegółowo o wszelkich ruchach i kontaktach obserwowanej trójki, Kontarski czuł ulgę i przyływ optymizmu. Już sobie wyobrażał pomyślne zakończenie akcji.

System bezpieczeństwa w Biljarsku pomyślany był klasycznie, całkowicie ortodoksyjnie, bez wyobraźni, zgodnie z polityką nadmiaru środków. Działała tam stała grupa oficerów KGB z doborowym oddziałem ludzi Zarządu Drugiego, a jako wsparcie przysłano żołnierzy z GRU, radzieckiego wywiadu wojskowego, którzy patrolowali lotnisko i miasteczko. Byli tam także „nieoficjalni” pracownicy KGB, informatorzy i cywilni agenci, pracujący najbliżej zespołów badawczych i konstrukcyjnych. Te trzy grupy ludzi koncentrowały swoją uwagę na trzech mężczyznach i kobiecie, obserwowały wszystko, wszystko widziały i wiedziały.

Rozparty wygodnie w fotelu Kontarski widział już oczyma wyobraźni gratulujących mu zwierzchników.

— Musimy mieć absolutną pewność, moi drodzy — powiedział po chwili, bębniąc palcami po blacie. — Nie wolno nam podejmować najmniejszego ryzyka, zwłaszcza teraz, tak blisko końca. Proponuję więc sprowadzenie specjalnej grupy z Zarządu Piątego, jednego z ich Pomocniczych Oddziałów Zabezpieczenia. Zgadzacie się?

Łaniew, stale przebywający w Biljarsku, wydawał się urażony.

— Nie ma potrzeby, towarzyszu pułkowniku.

— Moim zdaniem jest. Nawet konieczność — Kontarski obrzucił go gniewnym spojrzeniem. — Muszę mieć całkowitą pewność, że wszystko się uda, że musi się udać. Czy możecie zagwarantować, absolutnie i bez żadnych wątpliwości, że nie ma żadnego ryzyka?

Uśmiechał się. Łaniew, mężczyzna w średnim wieku, który w KGB osiągnął już szczyt swoich możliwości, pokręcił głową.

— Nie, towarzyszu pułkowniku, wolałbym nie udzielać takich gwarancji — powiedział cicho.

— Naturalnie. I nie żądamy ich od was, Wiktorze Aleksiejewiczu.

Uśmiechnął się promiennie do obu podwładnych. Priabin wyczuł zmianę jego nastroju. Chwilami dowódca wydawał mu się klinicznym przykładem depresji maniakalnej. Teraz wszelkie wątpliwości minionego dnia zostały zapomniane. Kontarski pewnie nie rozpoznałby siebie w tym zaleknionym mężczyźnie, którym był jeszcze wczoraj.

— Ilu ludzi, towarzyszu pułkowniku? — zapytał Priabin.

— Może setkę. Dyskretnie, oczywiście, ale setkę. Istnieje pewne ryzyko, że ich przestraszymy, ale lepsze to, niż gdybyśmy mieli nie przyłapać ich na tym, co planują.

— Towarzysz Czernik nie wierzy, by cokolwiek planowali, towarzyszu pułkowniku — wtrącił Łaniew.

— Taak. Może i nie. Ale musimy działać tak, jakby zamierzali dokonać sabotażu podczas lotu próbnego. Jakaś awaria raket albo działka... eksplozja w powietrzu... Nie muszę wam chyba tłumaczyć, że produkcja Miga-31 opóźniłaby się, może nawet zostałaby zaniechana. A nas wszystkich... surowo by ukarano — Kontarski wciąż się uśmiechał. Na moment zmarszczył niespokojnie brwi, lecz zaraz odrzucił wątpliwości. Nie miał się czego obawiać. Nie potrafił sobie wyobrazić, w jaki sposób mógłby przegrać. Mnożenie ludzi dodawało mu pewności. Ponad dwustu agentów, nie licząc informatorów...

— Muszę sprawdzić w Służbie Bezpieczeństwa, którzy z wypożyczonych nam agentów są najbardziej godni zaufania — powiedział po chwili. — Nie sądzę, byśmy ich potrzebowali, ale znajdują się przecież wewnątrz zakładów, a zatem najbliższej trójki dysydentów. Będą uzbrojeni i przejdą pod wasze rozkazy, Wiktorze Aleksiejewiczu. Trzeba im wydać radiotelefony. Gdzie będą nasi zdrajcy w ostatnich godzinach przed startem, podczas uzbrajania samolotu?

Łaniew zajrzał do notatek.

— Wszyscy trzej mają przebywać w hangarze, towarzyszu pułkowniku. Niestety.

— Istotnie. Trzykrotnie bardziej niebezpieczni niż w każdym innym miejscu. Proszę o szczegóły.

— Jak zapewne wiecie, towarzyszu pułkowniku, Baranowicz pracuje nad systemem uzbrojenia.

— I ma pracować przy samolocie przez całą noc aż do startu?

— Tak, towarzyszu pułkowniku.

— Nie da się go zastąpić?

— Raczej nie.

— Trudno. Co z innymi?

— Kreszyn i Siemielowski to tylko wysoko wykwalifikowani mechanicy, towarzyszu pułkowniku. Mają się zajmować tankowaniem, ładowaniem rakiet i amunicji. Także bloku tylnej osłony. Niestety, najlepiej znają te systemy i niełatwo będzie ich wymienić.

— Można ich pilnować?

— Bardzo dokładnie. Nasi informatorzy będą pracować razem z nimi przez całą noc.

— Byle tylko potrafili rozpoznać próbę sabotażu.

— Potrafią, towarzyszu pułkowniku.

— Dobrze. Wierzę wam na słowo. Dżerkow, naturalnie, będzie we własnym domu, w łóżku z tą swoją tłustą żoną — Kontarski uśmiechnął się znowu. To, co usłyszał, poprawiło mu jeszcze humor. Podobnie jak własne zdecydowane działanie, pewne brzmienie głosu... — Tak. Podsumujmy, towarzysze. Koledzy z GRU otoczą Biljarsk szczelnym pierścieniem; wypożyczony Pomocniczy Oddział Zabezpieczenia przybędzie jutro i wzmocni warty wokół ogrodzenia, hangarów, fabryki i na granicach miasta. Nasi dysydenci znajdą się pod ścisłym nadzorem, szczególnie Baranowicz. Niczego nie pominąłem, Dmitrij?

— Zanotowałem wszystko — odparł Priabin.

Kontarski przeciągnął się unosząc ramiona nad głową. Jego przyklejony do wąskiej, smagłej twarzy uśmiech zaczynał denerwować Priabina. Rozpięty kołnierzyk munduru odsłaniał wystającą grdykę, cienką, ptasią szyję i naciągniętą, lecz luźną jak u indyka skórę... Priabin stłumił irytację.

— Sądzę, że w formie dodatkowego zabezpieczenia zdejmujemy moskiewską część siatki. Nie, nie dzisiaj. Gdyby znikli czterdzieści osiem godzin przed czasem, Lansing mógłby to wykryć i ostrzec naszych przyjaciół w Biljarsku. Nie! Wystarczy jutro. W ten sposób będziemy mieli całą dobę, żeby z nich wyciągnąć wszystko, co wiedzą. Zajmiesz się tym, Dmitrij?

— Tak jest, towarzyszu pułkowniku. Każę jeszcze dziś wieczorem założyć obserwację na ten magazyn, w którym się spotykają. Na wasz rozkaz wejdziemy do środka.

— Doskonale. Chciałbym ich zobaczyć, zanim... zanim jutro odleczę do Biljarska. Tak. Poproś w Zarządzie Siódmym, żeby przypilnowali tego magazynu. Nie musimy przecież marnować własnych ludzi, a właśnie oni są od tego, żeby śledzić innych. Na mój rozkaz zastąpi ich nasz zespół.

— Bardzo dobrze, towarzyszu pułkowniku.

— Bardzo dobrze? Tak, Dmitrij, nabieram przeświadczenia, że naprawdę wszystko pójdzie bardzo dobrze — Kontarski roześmiał się. Priabin obserwował jego grdykę podskakującą na indyckim gardle i czuł, że nienawidzi pewności siebie zwierzchnika jeszcze bardziej niż jego wybuchów gniewu.

Czarna limuzyna KGB zaparkowała naprzeciw głównego wejścia hotelu „Moskwa”. Gant wszedł do foyer i poklepał się po kieszeni, jakby chciał sprawdzić, czy nadal ma dokumenty. Równocześnie dostrzegł, że żaden z dwóch ludzi siedzących w samochodzie nie ruszył za nim. Jeden czytał już gazetę, drugi, kierowca, palił spokojnie papierosa. Ostrzeżony ich beczynnością Gant, ze swego miejsca przy recepcji, zbadał wzrokiem hol. Niemal natychmiast rozpoznał człowieka, który miał go pilnować. Z pewnością przekazali jego zdjęcie przez telefoto z Szeremietiewa na Dzierżyńskiego.

Gdyby Aubrey nie uprzedzał, czego powinien oczekiwać, Gant byłby przerażony ich efektywnością i upartą, natrętną inwigilacją. Mimo to zakres środków bezpieczeństwa, podjętych wobec zwykłego podejrzanego o „przestępstwa gospodarcze”, wzbudził słaby, ale wyraźny ucisk w okolicach żołądka.

Ukryty za egzemplarzem „Prawdy”, jego „opiekun” nie okazywał najmniejszego zainteresowania. Z pozorną obojętnością siedział na jednym z wielu foteli, przerzuciwszy płaszcz przez oparcie sąsiedniego. Kiedy — i jeżeli — Gant opuści hotel, ten człowiek pójdzie za nim. Prawdopodobnie samochód przed hotelem został już zmieniony przez inny, działający z polecenia tego samego zarządu KGB, co ten schowany za gazetą mężczyzna.

W pokoju Gant zdjął okulary ze zwykłymi szklami, rozwichrzył włosy i ściągnął krawat. Czuł się tak, jakby właśnie zdjął kaftan bezpieczeństwa. Otworzył obie walizki, potem zdjął buty. Pokój był niewielki, z wysokimi oknami wychodzącymi na omiataną wiatrem płaszczyznę placu Czerwonego. Ganta nie interesował widok za oknami. Nalał sobie scotcha z małego barku stojącego pod ścianą, usiadł na kanapie, oparł nogi o poręcz i próbował się odprężyć. Zaczynał rozumieć, że próba zachowania obojętności nie powiedzie się nawet tutaj, w luksusie pozornego bezpieczeństwa hotelowego pokoju. Przed wyjazdem Aubrey poinstruował go, by nie szukał ukrytych mikrofonów, gdyż nigdy nie ma pewności, czy ktoś nie obserwuje go przez półprzepuszczalne lustro.

Rzucił okiem w stronę wielkiego zwierciadła na ścianie i z trudem odwrócił wzrok. Zaczynał odczuwać hipnotyczny efekt nadzoru KGB. Łatwo było, chociaż z wysiłkiem tego unikał, wyobrazić siebie przyszpilonego jak motyla do białego papieru, nagiego, bezbronnego, zalanego jaskrawym światłem. Drgnął mimowolnie i przełknął whisky. Alkohol, do którego przywykł w ramach uczenia się roli Ortona, rozgrzewał gardło i żołądek, przyćmiewał obraz obserwujących go zewsząd oczu.

Nie umiał zachować chłodnego obiektywizmu. Myślał o rosyjskim systemie obrony, o godzinach lotu Firefoxem. Wspominał ćwiczenia na Foxbacie i na symulatorze zbudowanym według fotografii i wskazówek dostarczonych przez agenta z Biljarska, Baranowicza. Z wysiłkiem stłumił te myśli.

Wstał, podszedł do okna i z wysokości dwunastego piętra spojrzął na plac Czerwony. Nie interesowały go rzędy zaparkowanych w dole samochodów. Pod niską powłoką chmur, w zapadającym zmierzchu późnego popołudnia, długo patrzył ponad pustym placem, ponad dachem Muzeum Historycznego w stronę wież i kopuł Kremla. Widział wartowników przed spiżowymi wrotami Mauzoleum Lenina i maleńkie figurki przechodzące przez szklane drzwi szarego gmachu GUM -u. Na krańcu placu

wznosiła się ogromna, niesamowita cerkiew Wasyla Błogosławionego, pstrokata i areligijna. Wzrok Ganta długo błędził bez celu po pustym placu.

Kolejny łyk scotcha już go nie rozgrzewał. Myśli Ganta bieły ku najbliższej przyszłości, spotkaniu z trójką ludzi, których nie znał, na bulwarze, w pobliżu mostu Krasnochołmskiego. Miał po kolacji wyjść z hotelu i choćby był śledzony, zachowywać się jak turysta. Musiał tylko dotrzeć na miejsce dokładnie o dziesiątej trzydzieści. Powinien zabrać płaszcz i kapelusz — nie zabrać, włożyć — i radio tranzystorowe. Wiedział więc, że nie wróci już do hotelu, że wyruszy w drogę do Biljarska.

* * *

Alexander Thomas Orton wyszedł z hotelu „Moskwa” przed dziesiątą wieczorem, zjadłszy wcześniej kolację w hotelowej restauracji. Podczas posiłku był obserwowany przez agenta z pionu inwigilacji KGB, niewysokiego, korpulentnego mężczyznę, jedzącego samotnie przy stoliku, z którego widział całą salę. Po kolacji poszedł za Ortonem do baru, zamówił dużą wódkę i siedział, przyglądając mu się ostentacyjnie. Gant podejrzewał, że w czasie jego nieobecności KGB dokładnie zrewiduje pokój. Dlatego małe radio tranzystorowe spoczywało bezpiecznie w kieszeni płaszcza, sam płaszcz wisiał w takim miejscu, gdzie Gant mógł go widzieć i gdzie każdy musiał zauważyć, że go widzi. Nikt nie próbował przeszukiwać kieszeni.

Przy jedzeniu studiował „Przewodnik po Moskwie” porównując informacje z planem miasta ostentacyjnie rozłożonym na obrusie. Godzinę, którą spędził w barze, także poświęcił na oglądanie mapy i czytanie. Kiedy wyszedł, agent ruszył za nim niemal natychmiast.

Gdy schodził po stopniach, niski mężczyzna zatrzymał się i zapalił papierosa błyskając w mroku płomieniem zapalniczki. Gant nie widział tego sygnału, dostrzegł jednak ciemną postać wysuwającą się zza samochodu, zaparkowanego w pobliżu miejsca, gdzie po południu parkowała śledząca go limuzyna. Tylko jeden, pomyślał. I jeszcze ten mały grubas na schodach. To dwóch.

W ciemności zapłonęły reflektory samochodu, zamigotały, gdy krztusił się silnik i rozbłysły jasno, kiedy po chwili zaskoczył. W panującej ciszy huk motoru wydawał się ogłuszający. Gant przeżył chwilę paniki, że aresztują go zaraz, nie pozwolą wyjść z hotelu. Nikt jednak nie próbował go zatrzymać, nawet gdy stanął na

chwilę, by się o tym przekonać. Podniósł kołnierz płaszcza, osłaniając twarz od wiatru wiejącego mu w oczy od strony placu Czerwonego. Musiał przytrzymywać na głowie kapelusz, którego nigdy przedtem nie nosił. Pochylony, ruszył przed siebie.

Lewą stroną ulicy dotarł do placu Marksa i dalej, na plac Czerwony. Przeszedł przed fasadą GUM-u. Po placu kręciło się sporo ludzi. Wprawdzie kolejka przed Mauzoleum Lenina zniknęła, lecz ludzie oglądali wystawy wielkiego sklepu, ukazując swe twarze w białym świetle jarzeniówek. Gant nie oglądał się za siebie. Nie sprawdzał, czy idzie za nim „ogon”, w jakiej odległości, czy go nie zgubił. Wiedział, że będą stale za nim. Gdyby stracili go z oczu, ogłoszą coś w rodzaju polowania z nagonką, a tego właśnie wolałby uniknąć. Ci ludzie musieli iść tuż za nim. Dlatego właśnie spędził kilka chwil przed wystawami, przyglądając się kopiom — często niezbyt udanym — zachodniej odzieży, sprzedawanej w GUM-ie, szarym monstrum, największym domu towarowym świata. Potem ruszył dalej, powoli, spoglądając poprzez plac Czerwony na wieże Kremla.

Zanim dotarł na brzeg rzeki, do mostu Moskwowieckiego, przemarzył zupełnie. Naciągnął kapelusz głęboko na oczy. Nie wyglądał na człowieka, który zmierza do jakiegoś konkretnego miejsca, ale też nie można było wziąć go za turystę, oglądającego Moskwę nocą. Wiatr od rzeki zdawał się lodowaty. Gant musiał przytrzymywać kapelusz, co było też rodzajem sygnału dla śledzących, gdzie się znajduje. Z pewnością wolałby schować białą z zimna dłoń do kieszeni płaszcza. Przechylił się przez poręcz i spojrzał na falującą, mroczną powierzchnię wody, znaczoną odbiciami latarni. Ktoś jeszcze zatrzymał się kawałek dalej. Ten bezruch wyróżniał go z tłumu spieszących się, szarpanych wiatrem przechodniów. Gant uśmiechnął się do siebie.

Po chwili odwrócił się plecami do wody, otulił szyję kołnierzem i dyskretnie zlustrował oba chodniki. Samochód stał z wygaszonymi światłami, jakby pusty, zaparkowany z dala od latarni. Jeszcze jeden przechodzień opierał się o poręcz po drugiej stronie ulicy, nieco z przodu.

Gant ruszył dalej. Mimo wszystkiego, co mu mówiono, mimo ćwiczeń w wykrywaniu obserwacji, jakie przeszedł w Nowym Jorku i Waszyngtonie w ramach zajęć z Buckholzem, czuł lekką słabość w kolanach. Nie wiedział, co ma się zdarzyć, gdy dotrze do leżącego nieco dalej mostu Krasnochołmskiego. Otrzymał instrukcje, by

nie gubić „ogona”. Aubrey powtórzył to kilkakrotnie wczoraj wieczorem, w zadymionym hotelowym pokoiku w Londynie. KGB miało być stale w pobliżu.

Przeszedł nad kanałem odpływowym biegnącym wzdłuż rzeki i skręcił w Bulwar Owczyński. Zszedł po stopniach na nabrzeże. Czuł mdłości. Pojął, że spokój, jaki odczuwał aż do tej chwili, opuścił go ostatecznie. Nie potrafił dłużej udawać przed sobą, że wszystko to jest tylko męczącym wstępem, który musi przejść, zanim odegra swoją rolę w tej akcji. To było prawdziwe. Prawdziwy był chłód i wiatr, nieco słabszy poniżej poziomu ulicy, oraz śledzący go ludzie, których niespieszne, pewne kroki słyszał na stopniach, jakieś czterdzieści metrów za sobą. Bał się. Wyjął rękę z kieszeni i chwycił połę płaszcza, z całej siły skręcając w dłoni materiał.

Myślał o samochodzie i jego pasażerach. Nie mógł się teraz odwrócić, by policzyć prześladowców, ale czuł przerażającą pewność, że idzie za nim teraz trzech, może czterech ludzi, a samochód jedzie wyżej, Bulwarem Ożierkowskim, czekając, aż on, Gant, wróci z nabrzeża na ulicę.

Przechodząc przez most Uściński spojrzał na zegarek. Dziesiąta dwadzieścia. Przejście do następnego mostu nie powinno mu zająć więcej niż dziesięć minut. Tam miał się spotkać... z kim? Pod mostem panowała niezwykła cisza. Bulwar Sadowiczski, na którym się znajdował, był prawie pusty. Tylko kilka par spacerowało nad kanałem, jakby o całe mile oddalonym od miasta.

Odetchnął głęboko trzy lub cztery razy tak, jak to zwykle robił, gdy wkładał hełm lotniczy i po raz pierwszy spoglądał na tablicę przyrządów samolotu, którym miał lecieć. To wspomnienie uspokoiło go trochę. Musiał przekonać samego siebie, że robi coś, w czym jest mistrzem — że leci. Jeśli mu się uda, będzie mógł iść dalej. Kroki tamtych ucichły. Niby cierpliwi pielęgniarze czekali, aż będzie dość silny, by ruszyć z miejsca.

Ruszył. Wyprzedził zajętą sobą parkę nie rzucając nawet okiem w ich stronę. Słyszał odgłos kroków śledzących go agentów KGB. Kroki tamtych dwojga, wolniejsze i mniej zdecydowane, ucichły w oddali. Miał ochotę ruszyć biegiem — nie wierzył, że pozwoli mu dotrzeć do mostu. Chciał uciekać... To była kwestia zwolnienia, by nie przelecieć nad celem. Wyobrażał sobie tę sytuację w walce powietrznej, gdy wyprzedził cel, wytracał prędkość, czekał cierpliwie, choć stracił z oczu Miga... stracił z oczu Phantoma, kiedy sam pilotował Foxbata... te straszliwe sekundy przed ponownym kontaktem. Opanował się. Teraz sytuacja była inna, bardziej bezpieczna.

Szedł, z wolna odzyskując wyimaginowaną równowagę. Był najlepszy... leciał.

Wspiął się po stopniach na most Krasnochołmski, na pozór bez pośpiechu przeszedł nad kanałem i znowu zszedł na wąskie nabrzeże rzeki Moskwy na jej południowym brzegu. Czarna powierzchnia wody ciągnęła się wzdłuż szeregu ulicznych świateł przy Bulwarze Kottliczeskim po drugiej stronie. Przez kilka sekund nie słyszał za sobą kroków, lecz wyczulony słuch pochwycił dobiegający z nad głowy, z mostu, cichy szum silnika. Samochód podjął obserwację. KGB próbowało przewidywać jego posunięcia. Spojrzał na zegarek: dziesiąta trzydzieści. Z pewnością tamci także domyślali się głębszego znaczenia tej dokładnej godziny. Gdy spoglądał w wodę, usłyszał za sobą odgłos kroków. Dwóch ludzi. Potem jeden. Któryś z agentów KGB zatrzymał się w połowie schodów.

Gant wpatrywał się w ciemność pod mostem. Żadne postacie nie kryły się wśród cieni. Odwrócił się i ruszył nabrzeżem.

Kilkaset metrów dzieliło go od kolejnych stopni, prowadzących na Bulwar Gorkiego. Gdy się zbliżył, na schodach zmaterializowały się nagle trzy cienie. Przez sekundę zastanawiał się, czy to nie ludzie KGB, lecz zaraz jedna z postaci odezwała się po angielsku.

— Pan Orton? — pytający mówił bez śladu obcego akcentu.

— Tak.

Trzej ludzie zbliżyli się szybko, ktoś błysnął mu latarką w twarz.

— Tak, to on.

Najwyższy z trzech mężczyzn, młody blondyn o kwadratowej twarzy, podjął rozmowę.

— Ilu ludzi szło za panem? — mówił po angielsku, lecz z wyraźnym rosyjskim akcentem.

Gant odpowiedział po rosyjsku. Chciał sprawdzić swoją wymowę.

— Trzech na piechotę. Tak mi się wydaje. I samochód — czeka na moście.

— Dobrze — odparł Rosjanin. Gant patrzył na Anglika. Zapewne był to ktoś z ochrony ambasady. Miał taką samą budowę jak Gant i włosy zaczesane do tyłu. Uśmiechnął się, jakby porozumiewawczo, jakby chciał dodać Gantowi odwagi. Gant odpowiedział uśmiechem.

— Co oni robią, Paweł? — zapytał Anglik cały czas patrząc na Ganta.

— Ten ze schodów wrócił do samochodu, a ten mały grubas myśli pewnie, co robić. Jest nas tu teraz czterech — Rosjanin zaśmiał się cicho. — Chyba się boi.

— Więc pomoc jest już w drodze. Lepiej zabierzmy stąd pana Ortona i to zaraz, póki są niezdecydowani.

Gant napiął mięśnie gotów do biegu, do ucieczki... Stali wszyscy w ciasnej grupce i jego dłoń dotykała płaszcza Anglika, tak podobnego do jego własnego okrycia. Potężny Rosjanin, Paweł, wyciągnął ciężką, drewnianą pałkę. Wszyscy byli podobnie ubrani, zauważył mimowolnie Gant, a ten Anglik miał taką samą niemodną fryzurę jak on...

Fenton, Anglik od dwóch lat po wielokroć grający rolę Ortona, krzyknął z zaskoczenia i z bólu, kiedy Paweł uderzył go pałką w czoło — raz, potem drugi. Anglik osunął się z jękiem na ziemię, a pałka opadła jeszcze trzy razy. Z trudnością panując nad skurczami żołądka, nad własnym umysłem krzyczącym, że znalazł się w gnieździe żmij gorszym od Szpitala Weteranów, Gant pojął, że Paweł masakruje twarz Anglika, by uniemożliwić rozpoznanie.

Milicyjny gwizdek wyrwał go z oszołomienia. Jego dźwięk narastał, jakby odtwarzany z coraz szybciej wirującej płyty gramofonowej. To agent KGB wzywał posiłki.

— Twoje papiery! Szybko! — rzucił Paweł pochylając się nad ciałem Anglika. Zmasakrowana twarz hipnotyzowała Ganta. — Dokumenty!

Wyjął i jak w transie podał Rosjaninowi swój paszport, dokumenty podrózne, zaświadczenie z radzieckiej ambasady. Tamten wcisnął je do kieszeni płaszcza Fentona, zabierając jednocześnie oryginalne papiery Anglika. Trzeci mężczyzna zerwał Gantowi kapelusz, po czym pomógł Pawłowi przetoczyć ciało na skraj nabrzeża, skąd zepchnęli je w niespokojne wody Moskwy. Ciemny płaszcz wydął się, a ramiona zabitego stały się ramionami krucyfiks, gdy wolno odpływał z prądem.

— Szybciej! Biegiem do metra, na Pawielecką! — krzyknął mu w ucho Paweł. Gant ruszył niepewnie. Słyszał gwizdki milicjantów odpowiadających na wezwanie stojącego o pięćdziesiąt metrów dalej agenta KGB.

Czuł, że jego stopy poruszają się gdzieś w niezmierzonej dali, setki mil pod nim. Potykając się wbiegł schodami na Bulwar Górowski. Gwizdki rozlegały się coraz głośniejsz, odgłosy biegnących stóp odbijały się echem po nabrzeżu. Paweł i drugi Rosjanin oddalali się coraz dalej. Dostrzegł białą plamę, gdy Paweł obejrzał się.

— Szybciej! — krzyknął.

Gant pobiegł prędzej, coraz prędzej, pozostawiając z tyłu gwizdki i unoszone na falach ciało...

* * *

Niski, tęgi mężczyzna i drugi, wyższy, który czekał w samochodzie pod hotelem, zanurzyli się po piersi w lodowatą wodę rzeki, by wciągnąć ciało na brzeg. Grubas stękał z wysiłku i przeklinał.

Kiedy ułożyli zwłoki na płytach nabrzeża, grubas kaszląc pochylił się i sprawdził kieszenie ofiary. Wyjął brytyjski paszport i włożone w środek papiery. Wyższy mężczyzna przy świetle latarki obejrzał fotografię, potem przyjrzał się zmasakrowanej twarzy trupa.

— Hmm — mruknął po chwili grubas. — A mówiłem tym w Centrali. — W jego głosie zabrzmiała nuta zadowolenia z siebie. — Na Szeremietiewie nie znaleźli przy nim żadnych narkotyków. Najwyraźniej nie potrafił się wywiązać ze swoich zobowiązań. Zabili go, Stieczko. Koledzy przemytnicy zabili pana Alexandra Thomasa Ortona.

2.

Podróż

Gant zapamiętał widok szerokiej, ozdobnej fasady budynku dworca kolejowego w orientalnym niemal stylu. Zwolnili, potem zjechali ruchomymi schodami na poziom stacji. Starał się uspokoić oddech, by nie zwracać na siebie uwagi. Przyglądał się szarym, marmurowym ścianom korytarza. Niczego takiego jeszcze nie widział, ani w Nowym Jorku, ani w Paryżu czy Londynie. Stacja Pawielecka przywodziła na myśl pełną przepychu architekturę zabytkowych budowli, a pociągi wypadające z szumem z ciemnych otworów tuneli zdawały się w tym miejscu czymś zupełnie nieodpowiednim.

Peron nie był zatłoczony, więc czekając na pociąg nie zbliżali się do siebie, by nie zwracać uwagi. Paweł znalazł się obok Ganta na chwilę tylko, aby wcisnąć mu w rękę granatowy paszport brytyjski z plikiem papierów wsuniętym za okładkę.

— Przejrzyj to w czasie jazdy — szepnął. — Teraz nazywasz się Michael Grant, prawie tak, jak naprawdę. Jesteś turystą i mieszkasz w hotelu „Warszawa”. Pamiętaj, oni nie szukają Anglika. Zachowaj spokój.

Gdy Paweł odchodził wzdłuż peronu, Gant spojrzał na fotografię w paszporcie. Rozpoznał siebie, zdjął okulary i wsunął je do kieszeni płaszcza. Potem zdjął płaszcz i przewiesił go przez ramię. Jednak ciemny garnitur o wyraźnie zagranicznym kroju zdradzał go i wzbudził zainteresowanie paru Rosjan.

Pociąg wpadł na stację i Gant ruszył do drzwi. Z powrotem włożył płaszcz. Wiedział, że popełnił błąd — płaszcz gwarantował większą anonimowość. Usiadł i obejrzał się. Paweł czytał gazetę, wyciągając w przejściu długie nogi. Ten drugi musiał wsiąść do innego wagonu.

Gant przyglądał się twarzom pasażerów, zmęczonym, znudzonym, zamyślo-nym, unikającym spojrzeń innych. Twarze z metra, takie same na całym świecie, pomyślał. Widział ich już miliony. Wciąż jednak czuł się, jakby był nagi. Pociąg zahamował przy jasno oświetlonym peronie i za oknem przesunęła się tablica z nazwą stacji — Tagańska. Jechali na północny wschód, oddalając się od centrum Moskwy. Drzwi otworzyły się z sykiem. Gant obrzucił wzrokiem wysiadających i zaczął

obserwować tych, którzy wsiedli. Żaden z nich nawet nie spojrzał w jego stronę. Czuł pot zalewający mu czoło. Raz jeszcze obejrzał się w stronę Pawła. Potężny Rosjanin patrzył na niego w milczeniu, a wyraz jego twarzy i samo ułożenie ciała przekazywały polecenie: zachowuj się normalnie.

Gant skinął głową i spróbował się odprężyć. Jazda nie dawała ukojenia. Nie wiedział, dokąd zmierzają, i nie miał pojęcia, jak dalece może zaufać swym towarzyszom. Mógł tylko wierzyć zapewnieniom Aubreya. Nie mógł się uspokoić. Przed chwilą, w samym centrum Moskwy, zamordowano człowieka, a teraz wszyscy trzej uciekali korzystając z komunikacji miejskiej. Cała sprawa roztaczała wokół niewyraźną aurę komizmu i — musiał to przyznać — anonimowości. Znowu pomysł Aubreya.

Aubrey nie uprzedził go, w jaki sposób ma zniknąć z Moskwy ani jak dostanie się do Biljarska. Był jak bagaż, jak ładunek, przynajmniej do chwili, gdy dotrze do zakładów... do hangaru. Tak zresztą sam Gant traktował całą operację. Mimo to szok, jaki przeżył na nabrzeżu, cios w jego rezerwy spokoju i obojętności, spowodował, że coraz trudniej było mu zachowywać się jak ładunek czy bagaż. Bał się.

Kiedy pociąg zatrzymał się na stacji Kurskiej, Gant z trudem powstrzymał się od wyglądania przez okno. Raz tylko ze znudzoną miną rzucił okiem. Nie przyglądał się wsiadającym. Lecz kiedy obejrzał się na Pawła, Rosjanin patrzył niespokojnie na koniec peronu. Gant spojrzał także. U wejścia na ruchome schody dwaj ludzie w kapeluszach i płaszcach kontrolowali dokumenty pasażerów, którzy właśnie wysiedli.

Gant, z gardłem wyschniętym ze strachu, czekał, aż Paweł się odwróci. Rosjanin spojrzał na niego i skinął głową. Gant zrozumiał: KGB. Początek rozgrywki. Zanim rozpoczęła się wielka operacja kontroli wszystkich pociągów metra, tamci zablokowali wyjścia. Wiedzieli, jak dużą szansę ucieczki daje podziemna kolej. Mieli mapę sieci i rozkład odjazdów, tak samo jak Aubrey, gdy planował ich trasę. Wiedzieli, że nie bez powodu morderstwa dokonano w dogodnym miejscu, niedaleko stacji metra.

Szybko, niemal obojętnie przejrzał dokumenty, które dał mu Paweł. Potem schował je do kieszeni, a jego wzrok, jak przyciągany z nieodpartą siłą, znów powędrował w stronę okna.

Za szybą panowała ciemność podziemnego tunelu. Gant czuł, jak lęk coraz silniej uciska mu żołądek, jak staje kością w gardle. Bezradnie wpatrywał się w drzwi

do sąsiedniego wagonu czekając, aż otworzą się i stanie w nich postać w ciemnym płaszczu, o manierach człowieka obdarzonego władzą, o oczach, które rozpoznają go od razu.

Pociąg zwolnił. Jaskrawe światła stacji Komsomolskiej rozjaśniły mrok za brudnymi szybami. Gant spojrzał na Pawła, który właśnie wstał z miejsca i teraz trzymał się uchwyty obok wyjścia. Gant podniósł się niepewnie i stanął przy sąsiednich drzwiach. Wiedział, że twarz ma bladą i spoconą.

Kiedy pociąg stanął i drzwi rozsunęły się, Gant zdał sobie sprawę, że nie ma pojęcia, co zawierały jego dokumenty. W ataku lęku zapomniał. Drżąc stanął na peronie. Ktoś popchnął go z tyłu i to odblokowało mu pamięć. Grant... prawie tak, jak naprawdę. Przypomniawszy sobie. Spojrzał w stronę wyjścia. Zgadza się, stało tam już dwóch ludzi z KGB.

Paweł przecisnął się bliżej, jakby chciał dodać mu odwagi. Na stacji wysiadła spora grupa pasażerów, a oni dwaj znaleźli się w samym środku. Wolno przesuwali się do wyjścia. Gant nie mógł się przyzwyczaić do wystroju peronu. Nawet tutaj nie było tablic, plakatów przedstawiających kobiety w bieliźnie, wielkie butle whisky, czy reklamujących najnowsze filmy — jedynie freski przedstawiające wielkie, godne zachwytu zwycięstwa ludu rosyjskiego po 1917 roku, utrzymane w monumentalnym stylu radzieckiego realizmu.

Wyczuł, że Paweł oddala się od niego, ale nie odwrócił głowy. Długi szereg ludzi zbliżał się do pary agentów czekających przy wejściu na ruchome schody. Sprawdzali papiery, sięgnął więc do wewnętrznej kieszeni po dokumenty Michaela Granta. Przejrzał je jeszcze raz, możliwie szybko. Paszport, wiza wjazdowa, karta hotelowa i broszurka informacyjna Intouristu.

Pojawiła się przed nim twarz agenta KGB: blada, o wystających kościach policzkowych, orlim nosie i przenikliwych oczach. Mężczyzna szybko, lecz dokładnie przekartkował paszport, przyjrzał się fotografii i porównał ją z twarzą Ganta. Potem zajął się papierami, które wydano Michaelowi Grantowi po jego przybyciu do Moskwy, trzy dni temu. Gant zastanawiał się, czy ktoś taki naprawdę wynajął wtedy pokój w hotelu „Warszawa”, ale wiedział, że nie przeoczono by tego szczegółu. Michael Grant jest bez wątpienia prawdziwym turystą, którego dokumenty wypożyczono i skopiowano.

— Wydaje się, że chyba nie czuje się pan najlepiej, panie Grant — odezwał się po angielsku człowiek z KGB. Był uśmiechnięty i na pozór nie żywił najmniejszych nawet podejrzeń.

— Nie... — Gant zawahał się. — To... drobne kłopoty żołądkowe. Wie pan, tutejsze jedzenie... — uśmiechnął się słabo.

— Na zdjęciu w paszporcie ma pan okulary, panie Grant. Gant poklepał się po kieszeni. Wciąż się uśmiechał, zapewne wyjątkowo idiotycznie.

— Mam je tutaj.

— Czyżby w hotelu nie karmili pana najlepiej?

— Nie, bardzo dobrze. Może trochę za obficie.

— Aha. No cóż, dziękuję panu.

Mężczyzna zapisał numer paszportu i oddał go. Dopiero po kilku krokach Gant uświadomił sobie, że jednak przeszedł, że staje na ruchomych schodach, które zaraz skryją go przed wzrokiem funkcjonariuszy KGB. Nadal czuł ucisk w żołądku. Miał ochotę wymiotować. Z wysiłkiem powstrzymał się od spojrzenia za siebie, sprawdzenia, co się dzieje z Pawłem i tym drugim, stłumił atak paniki, lęk, że ich schwytano i teraz został zupełnie sam...

Po wyjściu ze schodów zatrzymał się przed wielką mapą moskiewskiego metra. Nie odważył się obejrzeć. Stał z rękami w kieszeniach, lekko przygarbiony i próbował zwalczyć atak mdłości. Raz po raz powtarzał sobie, że to wszystko jest podobne do lotu, że zna te czasowe przeskoki od spokoju i nudy do przerażenia, że przeżywał je już tysiące razy. Lecz to nie pomagało. Być może dlatego, że znalazł się w przestronnym, ozdobnym holu stacji metra, z rzeźbami, marmurami, brązami, mozaikową podłogą, freskami na ścianach — i nie potrafił przenieść się stąd myślami do kabiny, nie umiał powstrzymać narastającej paniki. Wiedział tylko, że jest samotny i zagubiony, że na pewno złapali Pawła i tego drugiego Rosjanina. Co miał teraz robić?

Czyjaś dłoń spoczęła mu na ramieniu i Gant podskoczył jak porażony elektrycznym ładunkiem. Obejrzał się. Paweł zobaczył bladą, lśniąca od potu twarz. Zwątpienie błysnęło w jego oczach.

— Dzięki Bogu — westchnął Gant.

— Wyglądasz okropnie — stwierdził Paweł. — Obserwowałem te twoje wyczyny, mister Grant. Nie były zbyt przekonujące.

— Rany boskie! Człowieku, byłem przerażony! — wybuchnął Gant.

Paweł patrzył na niego z góry. Gant wydawał się mniejszy, niż wynikałoby to z roli, którą odgrywał. Paweł przyznał teraz rację Edgecliffe'owi, szefowi moskiewskiej rezydentury Intelligence Service.

„Jeśli zaczniesz sprawiać kłopoty, pozbądź się go — powiedział mu. — Nie ryzykuj dla niego całej siatki”. To prawda. Ten człowiek stanowił zagrożenie.

— Spróbuj zwymiotować — polecił Paweł niechętnie. — Schowaj się w toalecie. Wkrótce zjawi się tu więcej tych z KGB. Opuścimy stację, kiedy już poczują się pewnie. Kiedy będą przekonani, że zanim znaleźliśmy się przy wyjściu, sprawdzili nas dokładnie przynajmniej trzy razy. No, idź!

Gant spojrzał na niego niepewnie, odwrócił się i odszedł. Paweł odprowadził go wzrokiem, pokręcił głową i usiadł, by ukryty za płachtą gazety obserwować wejście do budynku stacji.

* * *

David Edgecliffe, oficjalnie attache handlowy ambasady brytyjskiej, siedział w barze hotelu „Moskwa”. Ze swojego miejsca przy drzwiach mógł obserwować wejście do foyer. Zauważył przybycie dwóch ludzi z KGB i przynajmniej jeszcze dwóch z tajnej policji politycznej. Jeśli nie pomylił się w swych ocenach, to biedak Fenton nie zginął na darmo. Ze smutkiem pochylił głowę nad swoją whisky, po czym opróżnił szklanekę do dna. Przybycie agentów KGB oznaczało, że uwierzyli w śmierć Ortona z rąk jego przypuszczalnych współników, spowodowaną niedostarczeniem narkotyków. Orton umarł — niech żyje Gant.

Uśmiechnął się smutno i skinął na kelnera, który zjawił się natychmiast, niosąc na tacy kolejną whisky i niewielki dzbanek z wodą. Edgecliffe zapłacił i demonstracyjnie zajął się lekturą przyniesionej ze sobą książki. Dyskretnie obserwował, jak agenci KGB wynoszą bagaż Ganta. Z pewnością przeszukali pokój i wyczyścili go dokładnie. Postać Ortona, tajemniczego Anglika o niewinnym wyglądzie, narażającego moskiewską młodzież na zgubne uzależnienie od heroiny, zostanie dokładnie zbadana. Edgecliffe odczuwał satysfakcję. W wieczornej transmisji będzie mógł wreszcie zameldować Aubreyowi o zadowalających postępach operacji.

Oprócz fałszywych papierów, które okazał przy kontroli, by nie zidentyfikowano go jako podejrzanego o handel narkotykami, Paweł miał w kieszeni coś, co jeszcze bardziej pogorszyłoby fatalne samopoczucie Ganta. Tym czymś była czerwona legitymacja pracownika KGB. Miał nadzieję, że nie będzie mu potrzebna, ponieważ była podrobiona, ale wiedział, że użyje jej, jeśli w inny sposób nie zdołają wydostać się na zewnątrz.

Widział, jak się pojawiają. Na razie było ich kilku, ale sprawnie wzięli się do pracy. W ciągu kwadransa Paweł kilkakrotnie przeszedł z miejsca na miejsce. Przywołując na pomoc całe swe opanowanie i cierpliwość, starał się, by jego poruszenia wyglądały naturalnie i nie zwracały niczyjej uwagi. Ludzie z KGB obstawili wyjście i za pospiesznie ustawioną barierką kontrolowali wszystkich wchodzących i wychodzących. Była to zbieranina funkcjonariuszy z różnych wydziałów Zarządu Drugiego, tych na służbie i tych, których ściągnięto naprędce z domów. Paweł rozpoznał kilku z nich. Widział ich zdjęcia w aktach Edgecliffe'a. Szukali teraz morderców Ortona, „przestępców gospodarczych”, będących jednym z zasadniczych celów ich działań.

Raz tylko zauważył Wasilija, trzeciego z obecnych na nabrzeżu. Siedział w dworcowej restauracji i popijał kawą ogromne drożdżowe ciastko. Kawa była niezła, a ciastka tanie i pożywne, w sam raz dla kogoś takiego jak Wasilij, którego dokumenty stwierdzały, że jest nocnym stróżem. Mógł spędzić w restauracji jeszcze kilka godzin, nawet kilkakrotnie poddać się kontroli i przesłuchaniu, a mimo to nie wzbudzić niczych podejrzeń. On, Paweł, także. Ale nie Gant.

Ci z agentów KGB, którzy nie zjechali na perony, zajęli się przeszukiwaniem wszystkich możliwych kryjówek w holu stacji. Niewielka grupa pracowicie otwierała wszystkie schowki bagażowe, inni sprawdzali papiery, przepytывali wychodzących pasażerów, krzyczeli i grozili. Paweł z pewną fascynacją przypatrywał się jeszcze jednej, typowej, sprawnie przeprowadzanej operacji KGB przeciwko obywatelom Moskwy.

Starał się nie tracić z pola widzenia drzwi toalety, za którymi zniknął Gant. Ten człowiek wyraźnie sobie nie radził. Paweł nie mógł pojąć, jak ktoś taki został wybrany do tej akcji. Sam był tylko skromnym ogniwnem w łańcuchu, jednym z moskiewskich

agentów Edgecliffe'a. Wiedział jednak sporo, może nawet więcej niż powinien, ponieważ Edgecliffe darzył głębokim szacunkiem pracujących dla niego Rosjan, Żydów i nie-Żydów. W przeciwieństwie do Aubreya, zdawał sobie sprawę z ryzyka, jakie ponoszą, i gdy tylko mógł, starał się ich nie narażać. W przypadku Pawła — nawet dla Firefoxa.

Niewiele brakowało, by nie zauważył agenta idącego w stronę toalety. Obserwował zamieszanie przy wyjściu, gdzie KGB aresztowało kogoś. Nie wiedział dlaczego — wystarczyła im jakaś drobna nieścisłość w dokumentach, zezwoleniu na podróż albo świadectwie pracy. Gdy tylko dostrzegł funkcjonariusza KGB schodzącego schodami w dół, opuścił swoje stanowisko w pobliżu restauracji. Oderwał się od ściany niepostrzeżenie, niby zerwany wiatrem plakat. Mimo to inny tajniak, wychodzący właśnie z baru i ocierający usta ciemnoniebieską chustką, poprosił go o dokumenty. Paweł przez chwilę, ale tylko przez chwilę, miał ochotę zignorować polecenie. Zatrzymał się jednak i z nerwowym uśmiechem sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza.

* * *

Gant był jeszcze w kabinie. Otulony płaszczem siedział na sedesie. Jedną ręką trzymał kołnierz, drugą zaciskał w kieszeni w pięść, próbując opanować drżenie palców. Wiedział, że jego stan bliski jest tego, jaki przeżywał w Sajgonie. Czuł zbliżający się koszmar.

Nie musiał się zmuszać do wymiotów. Ledwie zdążył dobiec do sanktuarium kabiny, nim zwrócił całą kolację. Mdłości trwały nadal i suche skurcze szarpały mu krtań. Usiadł ciężko, jak starzec, próbując opanować szaleńcze bicie serca i pojawiające się w mózgu przerażające obrazy. Słuchał odgłosu kroków, ściszonej rozmów, pogwizdywania, chlupotu wody. Tyle już razy toaleta pustoszała, a mimo to Gant nie poruszył się nawet. Nie był pewien, czy zdoła.

Czuł się jak człowiek, który wyruszając w podróż dookoła świata, łamie nogę na progu własnego domu. Jakaś chłodna część jego umysłu, funkcjonująca już tylko w pozycji niezdolnego do ingerencji obserwatora, uznawała całą sytuację za śmieszna i krępująca. Nie wiedział, dlaczego jest taki roztrzęsiony, ale przypuszczał, że zwyczajnie nie był przygotowany na to, co go spotkało. Nie był odporny na lęk. Jego

wystudiowana arogancja nie dawała obrony w sytuacjach, których nie mógł kontrolować. I choć ze wszystkich sił starał się przekonać samego siebie, że ta sytuacja jest pod jego kontrolą, nie potrafił w to uwierzyć. Nie mógł odzyskać spokoju.

Usłyszał stukot butów na kafelkach podłogi. Obiecał sobie, że wyjdzie, gdy tylko przybysz opuści toaletę. Potem ktoś walnął pięścią w drzwi.

— Hej, tam! — usłyszał po rosyjsku. — Dokumenty. Szybko.

— Ja... ja... — wykrztusił. — Siedzę na ubikacji — przypomniał sobie wbijane w pamięć używane w Anglii określenie.

— Anglik? — zapytał mężczyzna po angielsku z silnym rosyjskim akcentem. — Służba Bezpieczeństwa. Proszę okazać dokumenty.

— Czy może pan chwilę poczekać?

— Dobrze — odparł tamten z irytacją.

Gant oderwał kawałek papieru, zgniótł go hałaśliwie, spuścił wodę. Potem rozpiął klamrę paska, potrząsnął drobnymi w kieszeni, wreszcie odsunął zasuwkę i otworzył drzwi.

Człowiek z KGB miał szeroką pierś, potężne mięśnie i był wyraźnie niezadowolony. Zajmuje pewnie niskie stanowisko, domyślił się Gant, i nie chce dać tego poznać jakiemuś zagranicznemu turyście. Agent wypiął pierś i patrzył na niego gniewnie.

— Dokumenty... proszę — wyciągnął rękę wpatrując się w twarz Ganta. — Jest pan chory? Czy może przestraszony?

— Nie... to żołądek — Gant poklepał się po brzuchu. Mężczyzna dokładnie i bez pośpiechu sprawdził jego papiery. Potem podniósł głowę.

— Pańskie papiery nie są w porządku — oświadczył.

Buckholz powtarzał wiele razy, że taka sztuczka jest stałym elementem gry KGB, zwykłym wstępem do rozmowy. Oskarżenie o cokolwiek, tylko po to, by sprawdzić reakcję. Nie potrafił jednak reagować spokojnie. Wpadł w panikę. Strach błysnął w jego oczach. Z przestraszonym, niepewnym spojrzeniem wyglądał jak zwierzę szukające kryjówki. Agent sięgnął do kieszeni. Gant wiedział, że chce wyciągnąć pistolet, i zareagował instynktownie. Skoczył na tamtego, złapał go za schowaną w kieszeni rękę i próbował pochwycić broń.

Agent stracił równowagę i uderzył plecami o ścianę. Wciąż usiłował wyrwać pistolet z kieszeni. Gant starał się gorączkowo uchwycić ręcznik przy umywalce. Zaciśnięta na kolbie dłoń wila się w jego uchwycie i z trudem trzymał gruby nadgarstek. Z rozmachem uderzył Rosjanina kolanem w krocze. Tamten sapnął i jęcząc osunął się ciężko po ścianie. Gant złapał ręcznik, zarzucił pętlę na szyję przeciwnika i szarpnął. Rosjanin starał się wolną ręką rozluźnić zacisk na gardle, a jego oczy zdawały się coraz większe, wychodziły z orbit. Gant widział to jak przez mgłę. Coraz mocniej zaciskał ręcznik. Zdawało mu się, że słyszy czyjś głos, odległy i donośny, poczuł dłoń na ramieniu... nie ustępował. Wreszcie ktoś obrócił go siłą i ból eksplodował na jego twarzy.

Patrzył na Pawła, który właśnie podnosił rękę, by uderzyć go po raz drugi. Jego twarz wyrażała zimną, bezlitosną furję.

— Ty... durna bestio! On był z KGB! Nie rozumiesz, co to znaczy? A ty... ty go zabiłeś!

Gant odwrócił się i spojrzał oniemiały na wytrzeszczone oczy i siną twarz agenta, na wypchnięty z ust język.

— Ja... ja myślałem, że się domyślił, kim jestem — powiedział słabym głosem.

— Zagrożasz nam, Gant — stwierdził Paweł. — Czy zdajesz sobie sprawę, że przez ciebie wszyscy możemy zginąć?

Jak zahipnotyzowany wpatrywał się w ciało. Po chwili pochylił się i odwinął ręcznik. Wziął trupa pod pachy i przeciągnął go do pustej kabiny. Wepchnął nogi, przeszukał kieszenie zabitego, po czym zamknął za sobą drzwi.

— Nikogo? — zapytał ze środka.

— Nikogo — odparł Gant głuchym głosem. Potężny Rosjanin wspiął się na drzwi kabiny i zeskoczył obok niego. Wytarł brudne od kurzu ręce i klepnął się po kieszeni.

— Próbowałem... zamaskować twoją głupotę — powiedział z pogardą. — Może pomyślą, że to napad i rabunek. A teraz — dodał — wracaj na górę i idź powoli do wyjścia. Jeśli ktokolwiek każe ci stanąć, zatrzymaj się natychmiast. Pokaż papiery i udawaj, że źle się czujesz, tak jak poprzednio. Rozumiesz?

— Tak. On... powiedział, że coś jest nie tak w moich papierach.

— Ty cholerny durniu! Za to go zabiłeś? Dokumenty są w porządku. Chciał cię tylko przestraszyć.

— Ja... ja nie wiedziałem, gdzie jesteście.

— KGB mnie zatrzymało. Ale moje papiery też są bez zarzutu — popchnął Ganta do przodu. — Teraz szybko, do wyjścia. Lada chwila zaczną szukać tego grubasa, a wtedy nikogo nie wypuszczą ze stacji.

Dwukrotnie funkcjonariusze KGB zatrzymywali Ganta, oglądali paszport, pytali o zdrowie i cel przyjazdu i odchodzili. Wreszcie znalazł się przy barierce ustawionej w poprzek wyjścia.

Nie miał pojęcia, jak daleko z tyłu był Paweł. Zaczeka na niego, o ile się stąd wydostanie.

Ludzie przy barierce, a przynajmniej jeden z nich, wysoki i siwowłosy, o twarzy z widocznymi śladami niezbyt udanej operacji plastycznej — wyglądało to na ranę wojenną — byli chyba wyżsi stopniem od tamtego, którego udusił. Gant podał dokumenty młodemu mężczyźnie, stojącemu przed milczącym, siwowłosym starszym oficerem. Potem czekał. Starał się nie patrzeć na poznaczoną bliznami, nie do końca poprawioną twarz, ale nie potrafił się powstrzymać. Wysoki mężczyzna uśmiechnął się smutnie i potarł długimi palcami nienaturalnie gładki policzek.

— Anglik? — zapytał młodszy funkcjonariusz.

— Ee... tak.

— Taak... Panie Grant, muszę pana prosić, by zechciał pan poczekać przy stoliku, aż sprawdzimy w hotelu.

— Mam dokumenty...

— Tak, tak, pańskie dokumenty mają stempel służby bezpieczeństwa. Mimo to proszę, by pan poczekał.

Podniósł barierkę i wskazał Gantowi stolik. Przy innych siedzieli już jacyś ludzie, razem może z sześciu, siedmiu, nie tylko Rosjanie. Gant usłyszał starszego mężczyznę mówiącego z amerykańskim akcentem:

— Nie masz, chłopcze, żadnego prawa, by kwestionować mój paszport i te papiery!

Młody, jasnowłosy urzędnik KGB machnął tylko ręką, nie przerywając telefonicznej rozmowy.

Gant usiadł ciężko przy chybottliwym składanym stoliku. Nerwowo przełknął ślinę, spojrział w stronę barierki. Paweł chował właśnie swoje papiery i wychodził na ulicę. Nawet się nie obejrzał. Gant poczuł się nagle samotny i opuszczony. Znowu nie potrafił kontrolować sytuacji. Siedział nieruchomo, wpatrzony w czarny aparat telefoniczny na blacie stolika.

Młody człowiek zajął miejsce naprzeciwko i uśmiechnął się.

— Miejmy nadzieję, że to nie potrwa długo, panie Grant.

Zaczął nakręcać numer hotelu „Warszawa”. Wtedy właśnie Gant po raz pierwszy w pełni zrozumiał, jak nikłe były jego szanse. Wystąpił przeciwko najpotężniejszej, najbardziej bezlitosnej i najprecyzyjniejszej służbie bezpieczeństwa, jaką znał świat. Zapewnienia Aubreya, że działania KGB są nieefektywne właśnie z powodu jej wielkości, wcale nie uspokajały. Dla Ganta, siedzącego przy stole w chłodnym holu stacji metra, tamte gładkie zdania, wygłaszane w hotelowym pokoju w centrum Londynu, nie miały teraz znaczenia.

— Hotel „Warszawa”? — spytał po rosyjsku młody człowiek. Gant spuścił oczy, by nie dać po sobie poznać, że rozumie, co tamten mówi. — Tu służba bezpieczeństwa. Poproście Prodkowa.

Prodkow to pewnie agent KGB zatrudniony w hotelu. Mógł pracować jako kelner, recepcjonista albo pomywacz, ale miał większą władzę niż sam dyrektor.

— Prodkow? — odezwał się po dłuższej chwili funkcjonariusz. — Mam tu turystę, Michaela Granta. Mieszka w pokoju 308... tak, wiesz, o kogo chodzi. Powiedz, jak on wygląda? Panie Grant, proszę spojrzeć na mnie... dziękuję. Mów dalej, Prodkow... Aha... Tak... tak... rozumiem. I nie ma go teraz?

Czekał na odpowiedź dłużej niż poprzednio. Gant słuchał przerażony. Aubrey nie mógł przewidzieć tego, co się wydarzyło. Zaraz się okaże, że Grant wygląda zupełnie inaczej albo leży już w łóżku.

— Dobra. Dzięki, Prodkow. Na razie.

Młody człowiek uśmiechał się przyjaźnie, jakby chciał zatrzeć wrażenie tego, co zaszło przed chwilą. Nie było żadnych podejrzeń, żadnego przymusu, jedynie najzwyczajniejsza, rutynowa kontrola. Podał Gantowi plik dokumentów, włożonych równo za okładkę paszportu wystawionego na nazwisko Michaela Granta.

— Dziękuję panu, panie Grant. I przepraszam, że musiał pan czekać. Prowadzimy poszukiwania... przestępców, tak można chyba to określić. Chcieliśmy

jedynie usunąć pana z kręgu naszych zainteresowań. Jest pan wolny. Może pan spokojnie kontynuować nocny spacer po mieście. — Był wyraźnie dumny ze swego angielskiego. Wstał, ścisnął Gantowi dłoń i odprowadził do barierki. Siwowłosy oficer uśmiechnął się krzywo tylko jedną połową twarzy.

Gant skinął mu głową, a potem był już na zewnątrz, za barierką, za ozdobną bramą, pod bogato zdobionym portalem. Wiatr dmuchnął chłodem i Gant poczuł, że jest zlany potem. Rozejrzał się i dostrzegł Pawła wynurzającego się z mroku.

— Dobrze — stwierdził Rosjanin. — Ale straciliśmy już zbyt wiele czasu. Wkrótce na ulicach będzie niebezpiecznie, z dokumentami czy bez. Chodźmy, musimy przejść kawałek piechotą. Idź przodem, cały czas ulicą Kirowa. Kiedy oddalimy się od stacji, dogonię cię i pokażę, dokąd idziemy. Jasne? To dobrze. A teraz ruszaj.

* * *

Dwójkę rozpracowanych wspólników Pawła Upieńskiego zabrano z domów tuż przed szóstą rano. Obaj mieszkali z rodzinami przy Prospekcie Mira, w tym samym bloku na osiedlu Robotników Radzieckich, wznoszącym się obok stałej Wystawy Osiągnięć Gospodarki Narodowej. Czarne limuzyny grupy Kontarskiego zaparkowały przed wejściem, gdy panował jeszcze mrok. Działali szybko. Cała operacja zajęła niewiele ponad trzy minuty, wliczając w to jazdę windą na czternaste i szesnaste piętro. Kiedy wracali, prowadzili ze sobą dwóch ludzi, ledwie rozbudzonych, odpowiednio poszturchiwanych i bardzo przestraszonych. Priabin wiedział, że jego szef będzie zadowolony.

Uśmiechnął się do dwóch bladych, zaleknionych twarzy. Wyrwani z łóżek ludzie przechodzili rozglądając się nerwowo. Wyczuwał, że wiedzą, dlaczego ich zabierają... i wiedzą, czego oczekiwać po przyjeździe do Centrali na Dzierżyńskiego. Przyglądał się z satysfakcją, jak pakują ich do samochodów, a potem podniósł głowę i spojrzał w ciemne okna bloku. Na szesnastym piętrze dostrzegł bladą plamę twarzy żony, czy może dziecka. To bez znaczenia.

Spowity w chmurę pary oddechu, Priabin podszedł do samochodu i wsunął głowę przez okno.

— Wszystko w porządku. Wydaj rozkaz grupie obserwacyjnej, żeby wkroczyli do magazynu — polecił kierowcy. — Jeśli już tych mamy tutaj, to możemy od razu zwinąć Upieńskiego.

* * *

Gant przebudził się z niespokojnego snu pełnego koszmarów, gdy Paweł Upieński ze zgrzytem otworzył drzwi z tyłu ciężarówki. Potrząsnął głową i usiadł, mrużąc coś niewyraźnie. Jego materac leżał tuż za kabiną kierowcy. Ciężarówka stała w magazynie Moskiewskich Zakładów Urządzeń Sanitarnych.

Do wnętrza wozu wpadało zimne światło nagich żarówek, ale Gant nie widział Upieńskiego. Zasłaniały go stosy muszli klozetowych i spłuczek, które Paweł miał przewieźć do Kujbyszewa, miasta leżącego około dwustu kilometrów na południe od Biljarska i ponad tysiąc kilometrów na wschód od Moskwy. Budowany w Kujbyszewie hotel czekał na wyposażenie toalet.

— Gant! Obudziłeś się?

— Tak — burknął Gant. Czuł suchość w ustach. — Która godzina?

— Prawie wpół do szóstej. Tuż przed szóstą ruszamy do Biljarska. Jeśli masz ochotę, to stary zaparzył kawę. Chodź, napij się.

Usłyszał odgłos ciężkich kroków na betonowej posadzce magazynu, potem tupanie po schodach i trzaśnięcie drzwiami. Teraz ciszę zakłócał jedynie chrobot jego własnych palców pocierających szczecinę na policzkach. Starał się przełknąć ślinę, by pozbyć się nieprzyjemnego smaku w ustach. Przesunął dłoń po czole i spojrzał na cienką warstwę potu na palcach, jakby było to coś absolutnie obcego, albo przeciwnie, znanego doskonale, o czym jednak dawno zapomniiał. Wytarł dłoń o nogawkę spodni wyblakłego, niebieskiego kombinezonu, w który się przebrał zaraz po przyjeździe.

Nie spał dobrze. Kiedy dotarli do magazynu, przy niewielkiej przecznicy ulicy Kirowa, niecałe pół kilometra od stacji Komsomolska, Paweł nie pozwolił mu zasnąć. Przez dwie godziny wbijał mu do głowy imiona i fakty związane z jego nowym, trzecim już wcieleniem — Borysa Głazunowa, pomocnika kierowcy, mieszkającego w bloku przy Prospekcie Mira, żonatego, z dwójką dzieci. Prawdziwy Głazunow, wyjaśnił Paweł, zostanie w domu i postara nie rzucać się w oczy, Gant natomiast zajmie jego miejsce w ciężarówce. Wszystkie instrukcje Paweł wygłaszał wyłącznie po rosyjsku, co

przypominało Gantowi lekcje tego języka, jakich udzielał mu niejaki Lebediew w siedzibie CIA w Langley.

W końcu, po kolejnym powtórzeniu nowego życiorysu i listy dokumentów, jakie miał ze sobą, mógł spać, i to tak mocno, jak tylko pozwalała mu własna wyobraźnia. Raz za razem, bez końca, w groteskowo zwolnionym tempie zabijał w toalecie agenta KGB. Przeżywał swój stan; gdy po drodze oparł się bezwładnie o okno wystawowe — Paweł musiał podbiec i przytrzymać go, dopóki nie ustaną drgawki.

Gant wstał. Próbował usunąć z umysłu te nazbyt wyraźne obrazy. Kiedy przeciskał się między porcelitowymi stosami ułożonymi w ciężarówce, próbował zastanowić się nad przyszłością, nad tym, co miało nastąpić za kilka godzin... I próbował usunąć obrazy przeszłości. Wiedział, że może całkowicie polegać na Pawle Upieńskim.

Każdym słowem i gestem potężny Rosjanin okazywał swą pogardę dla Ganta. Musiał go ciągnąć ze sobą, póki nie wysadzi w pobliżu Biljarska. To tak, jak Ganta obrażałoby towarzystwo jakiegoś niedzielnego pilota w kabinie Firefoxa. Pojmował zimny profesjonalizm Rosjanina. Nie wiedział, jak i gdzie brytyjski wywiad zdołał zwerbować tego człowieka, ale stary, nocny stróż tego magazynu mruczał coś przez bezzębne dziąsła o żonie Upieńskiego, Żydówce, która nadal siedziała w więzieniu czy w obozie pracy za to, że dwanaście lat temu demonstrowała przeciwko radzieckiej inwazji na Czechosłowację. Powiedział to, gdy Paweł na chwilę zostawił ich samych i stary próbował jakoś załagodzić niegrzeczne czasem zachowanie Upieńskiego. Poza tym Gant nie wiedział nic. Mimo to, co było niezwykle, akceptował bez sprzeciwów wzgardę i szorstkie maniery Rosjanina. Ten człowiek był naprawdę dobry.

Paweł i stary siedzieli przy pustym stoliku w dyżurce. Nikt z dziennej zmiany nie zjawił się jeszcze w pracy. Paweł planował wyjazd na długo przed ich przyjściem. Patrzył, jak Gant zamyka drzwi, jakby oceniał Amerykanina w świetle nagiej, zwisającej z sufitu żarówki. W dyżurce nie było cieplej niż w całym magazynie i Gant rozcierał zmarzniete dłonie. Paweł wskazał dzbanek stojący na starej płytce elektrycznej. Gant wziął ze stołu wyszczerbiony kubek i nalał sobie czarnej kawy. Była gorzka, ale gorąca. Z zakłopotaniem, jak nieproszony gość, usiadł przy stole. Jakby na umówiony sygnał, stary dopił swoją kawę, wstał i wyszedł.

— Poszedł sprawdzić, czy nas nie obserwują — wyjaśnił Paweł nie patrząc na Ganta.

— Myślisz, że...? — spytał szybko Gant.

— Nie, nie sędzę, by wiedzieli, gdzie teraz jesteś — odparł Rosjanin. — Nie chodzi o ludzi, którzy śledzili cię wczoraj wieczorem, ani o tych ze stacji. Ale wydział KGB, zajmujący się ochroną samolotu, wie, kim jestem, i zna pozostałych. Będą pilnować, zwłaszcza teraz, kiedy do lotu próbnego zostało — spojrzał na zegarek — niecałe trzydzieści godzin.

— Więc... będą wiedzieć, że tam jadę?

— Niekoniecznie. Po prostu będą nas obserwować.

— A jeśli nas zatrzymają? — nie ustępował Gant. — Diabli wezmą całą akcję, zanim jeszcze wyjadę z Moskwy.

— Nie. Na wypadek, gdybyśmy zostali zatrzymani, opracowano... inne plany — zdawało się, że Paweł sam ma pewne wątpliwości.

— Jakie plany? — spytał Gant. — Człowieku, muszę dziś przebyć sześćset mil! Jak mam to zrobić? Przelecieć? — roześmiał się piskliwie. Paweł spojrzał na niego z pogardą.

— Mam rozkaz... umrzeć, jeśli zajdzie potrzeba, byle tylko umożliwić ci ucieczkę — powiedział cicho. — Nie jest to ofiara, którą poniosę chętnie czy uważam za sensowną. W każdym razie, jeśli wydostaniemy się stąd, nikt nas nie zatrzyma aż do obwodnicy, a tam będzie czekał inny samochód, żeby cię zabrać w razie czego. Jeśli nie będzie kłopotu, pojedziesz dalej ze mną. Jasne?

Gant milczał przez chwilę, zanim odpowiedział:

— Tak.

— To dobrze. A teraz idź się ogolić, tu obok. I umyj się trochę, co? — Gant skinął głową i zamykał już drzwi, kiedy Paweł spytał jeszcze: — Gant! Czy potrafisz pilotować ten samolot? Lecieć nim, naprawdę?

Gant wysunął głowę zza drzwi. Paweł wpatrywał się w dno swego kubka. Obejmował go dłońmi opierając łokcie na stole. Jego potężna postać w niebieskim kombinezonie wydawała się mniejsza.

— Tak, potrafię. W tym jestem najlepszy.

Paweł podniósł głowę i przez długą chwilę patrzył mu nieruchomo w oczy.

— To dobrze — stwierdził wreszcie. — Nie chciałbym ginąć tylko po to, żeby dostarczyć do Biljarska wybrakowany towar.

Po czym znowu pochylił głowę nad pustym kubkiem. Gant zamknął drzwi, zapalił słabą, nagą żarówkę, odczekał, aż z kranu popłynie letnia woda, i przyjrzał się swemu odbiciu w lustrze. Wczoraj wieczorem Paweł obciął mu włosy. Później Gant umył głowę. Teraz, krótko ostrzyżony, bez śladu brylantyny, wydawał się dużo młodszy, podobny do nastolatka, jakim był w Clarkville. Obraz psuły tylko idiotyczne wąsy, które pozostały po jego wcieleniach Ortona i Granta. Sztywnym pędzlem namydlił twarz i ciął je tak długo, aż stały się kępkami włosów pływających w umywalce. Potem dokładnie ogolił resztę twarzy.

Gdy wrócił do dyżurki, Paweł był gotów do wyjazdu. Stary wrócił i zaraz znowu wyszedł, pewnie, by trzymać straż.

— Są tutaj — oznajmił cicho Paweł.

Gant wyczuł w nim napięcie, świadczące o tym, że jednak jest tylko zwykłym człowiekiem.

— Ilu? — zapytał, z trudem zachowując spokój.

— Trzech... w samochodzie. Stary już ich widział. Należą do zespołu odpowiadającego za bezpieczeństwo prób w Biljarsku. Śledzą Lansinga po Moskwie i chodzą za Dżerkowem, kurierem z Biljarska. Stary uważa, że mają nas tylko obserwować. Gdyby mieli nas zamknąć, byłoby ich więcej.

Gant kiwnął głową. Ze zdumieniem dostrzegł, że Paweł wyjmując z kieszeni kurtki pistolet.

— Co...?

— Potrafisz tego używać?

Gant wziął broń i obejrzał dokładnie. Nigdy jeszcze nie trzymał w ręku makarowa, ale wydał mu się dość podobny do walthera PPK, z którego strzelał już nieraz, choć tylko na strzelnicy. Przytaknął.

— To dobrze. Nie rób tego. Chyba że w ostateczności!

— Rozumiem.

— Jesteś gotów?

— Tak.

— No to jedziemy. Już prawie szósta. Niedługo będzie widno, a my mamy przed sobą tysiąc kilometrów — otworzył drzwi i przepuścił Ganta przed sobą.

Gdy tylko znaleźli się w obszernej kabinie ciężarówki, Paweł uruchomił silnik i zapalił reflektory. Gant zauważył przy bramie starego dozorcę. Odrzwia rozsunęły się, Paweł wrzucił bieg i ruszyli w stronę poszerzającej się szczeliny. Gant dostrzegł jeszcze ponuro uśmiechniętą twarz starego, a potem byli już na niewielkiej uliczce. Z tyłu, w głębi uliczki, czekała czarna limuzyna. Po chwili skręcili w ulicę Kirowa, oświetloną sodowymi lampami, pustą i mroczną.

W wozie KGB panował spokój. Nikt nie wpadł w panikę, nikt nie uruchamiał silnika. Najstarszy i najwyższy z trzech pasażerów podniósł mikrofon i już po kilku sekundach rozmawiał z pułkownikiem Michailem Kontarskim.

— Właśnie odjechali. Dwóch ludzi w ciężarówce Zakładów Urządzeń Sanitarnych. Jakie rozkazy, towarzyszu pułkowniku?

— Sprawdzę, co załatwił Priabin na Prospekcie Mira — nadeszła odpowiedź. — Na razie jedźcie za nimi. Ale nie zbliżajcie się!

— Tak jest, towarzyszu pułkowniku.

Mężczyzna skinął kierowcy głową, a ten włączył silnik. Samochód zjechał z krawężnika, minął zamkniętą już bramę magazynu i zahamował przy wjeździe na ulicę Kirowa. Ciężarówka była już tylko czarną plamą na drodze. Jechała na północny wschód, w stronę Sadowego Koła, wewnętrznej obwodnicy miasta.

— Za nimi — polecił dowódca grupy. — Byle nie za blisko. Tylko tyle, żeby ich nie zgubić.

— Tak jest — kierowca wcisnął pedał gazu i limuzyna skoczyła do przodu, zmniejszając dystans dzielący ją od ciężarówki. Nim zbliżyli się na odległość stu metrów, tamci zwalniali już przed wjazdem z Kirowa na Sadowe. Wóz KGB zahamował przy krawężniku czekając, aż uciekinierzy włączą się w ruch na obwodnicy. Kierunkowskaz dowodził, że kierowca ciężarówki zamierza skręcić w prawo.

Ciężarówka ruszyła. Mężczyzna siedzący w limuzynie obok kierowcy poinformował:

— Towarzyszu pułkowniku, są już na Sadowym. Jadą na południowy wschód. Jesteśmy za nimi!

Samochód przemknął w poprzek ulicy, nadjeżdżająca ciężarówka zatrąbiła głośno, kierowca wyrównał i znaleźli się pięćset metrów za ściganymi.

— Podjedź bliżej — rzucił mężczyzna i szofer skinął głową. Zmienił pas i przyspieszył.

— Priabin właśnie przekazał — odezwał się z radiotelefonu głos Kontarskiego — że ma już Głazunowa i Riazina. — Pora aresztować Upieńskiego. Borch, kto z nim jedzie?

— Nie wiem, towarzyszu pułkowniku. To powinien być...

— Otóż właśnie. To powinien być Głazunow, gdyby Upieński naprawdę coś przewoził. Zgadza się?

— Tak, towarzyszu pułkowniku. Ciężarówka skręciła właśnie w Marksa. Wydaje się, że chcą wyjechać z miasta.

— Dokąd Upieński miał dzisiaj kurs?

— Nie wiem, towarzyszu pułkowniku. Możemy sprawdzić.

— Będzie musiał okazać papiery w punkcie kontrolnym na autostradzie. Wtedy się dowiemy. Póki co, jedź za nimi. Potem zdecydujemy, co robić. Priabin wiezie tu Głazunowa i Riazina. Może oni coś nam powiedzą.

Ludzie w samochodzie usłyszeli jeszcze śmiech Kontarskiego, a potem trzask przerwanego połączenia. Borch odłożył mikrofon i spojrzał na ciężarówkę, odległą teraz tylko o sto metrów. Mknęli Bakunińską w stronę granic miasta, do trasy na Gorki.

— Nasz pułkownik jest dziś w dobrym humorze — zauważył kierowca. — No, ale on nie siedział całą noc w tym lodowatym wozie.

— Cóż to, Ilja, brak szacunku? — uśmiechnął się Borch.

— Ja? W życiu! O, nasz przyjaciel skręca w lewo — dodał.

Ciężarówka przejechała nad Jauzą, niewielkim dopływem Moskwy, płynącym na południe, by połączyć się z rzeką w okolicach mostu Ustińskiego. Limuzyna utrzymywała właściwą odległość.

— Czyżby nas zauważyli?

— Niekoniecznie... może jedzie na Gorki... popatrz, tak jak przypuszczałem: w szosę Szczolkową i dalej na wschód. Prosto do Gorki, zgadza się.

— A potem do Kazania, a potem...? — kierowca uśmiechnął się.

— Może, może... Niech się o to martwi nasz pułkownik.

— Będzie się martwił — burknął spod kapelusza trzeci mężczyzna, wyciągnięty na tylnym siedzeniu.

— Czyżbyś się obudził? — zapytał sarkastycznie Borch.

— Dopiero co. Prowadzę nieciekawe życie i wpadłem w nieciekawe towarzystwo — odparł tamten i usiadł prosto.

* * *

— Na punkcie kontrolnym zrobią ci zdjęcie — uprzedził Paweł, prowadząc wóz wzdłuż linii słupków wyznaczających pas dla ciężarówek. Gant widział, że zbliżają się do czegoś, co wyglądało zupełnie jak posterunek kontroli celnej, jak gdyby autostrada biegnąca tuż za przedmieściami Moskwy znajdowała się w innym kraju.

— Czy to KGB? — zapytał, gdy mijali żołnierza w płowym mundurze.

— Nie, wojsko. Ale dowódca jest z KGB. Siedzi pewnie w tamtej budce.

Paweł kiwnął głową w kierunku drewnianego domku i Gant zauważył młodego człowieka w cywilnym ubraniu, z długim papierosem w ręku, stojącego obojętnie w drzwiach. Nie widział wnętrza, gdyż wschodzące słońce odbijało się ogniście w szybach okien.

— Co teraz? Tylko sprawdzą papiery? — zapytał.

— Na ogół tak. I sfotografują nas, z tej małej budki obok biura.

Ale nie uśmiechaj się, bo zaczną się zastanawiać, co ukrywasz — zażartował ponuro Paweł i ze zgrzytem zaciągnął hamulec. — Wsiadamy.

Gant otworzył drzwiczki i wyskoczył z kabiny. Znów czuł ucisk w żołądku, choć niezbyt silny. Odrobinę mocniejszy niż przez całą drogę od chwili, gdy Paweł powiedział, że limuzyna KGB jedzie za nimi od ulicy Kirowa do autostrady. Miał ochotę spojrzeć za siebie, zobaczyć twarze ukryte za przednią szybą wozu.

Paweł ze znudzoną miną palił papierosa. Gant starał się nie rozglądać. Z jego papierów wynikało, że wielokrotnie przechodził już takie kontrole.

Wartownik wziął ich dokumenty i zaniósł je do biura. Gant przyglądał się obojętnie, jak samochody osobowe i ciężarówki formują kolejki na trzech pasach drogi prowadzącej z miasta. Pasma obwodnicy wznosiło się nad nimi na potężnych betonowych filarach. Słyszał szum przejeżdżających nad głową samochodów.

— Jeden z tamtych wysiadł i poszedł do biura — oświadczył spokojnie Paweł. — Pamiętasz, gdzie ma czekać rezerwowy samochód, gdyby trzeba było uciekać?

— Myślisz, że mogą...

— Nie. Na razie nie interesują się tobą. O, są już nasze papiery.

Ten sam żołnierz wyszedł z biura i stukając obcasami o beton podszedł do nich i podał dokumenty, ostemplowane niezbędną pieczęcią, zezwalającą na podróż aż do Gorki. Tam będą musieli uzyskać kolejne pozwolenie na jazdę do Kazania, a potem jeszcze jedno, z Kazania do Kujbyszewa. Paweł skinął głową, rozdeptał niedopałek papierosa i wszedł do kabiny. Uważając, by nie patrzeć w stronę drzwi biura, Gant obszedł wóz dookoła i zajął swoje miejsce.

Paweł uruchomił silnik, wrzucił bieg i ruszył. Czerwono-biały szlaban uniósł się wpuszczając ich na drogę do Gorki.

— W Gorkim na obiad, w Kazaniu na herbatę — oznajmił Paweł. — A może wy, Amerykanie, nie pijecie herbaty? — zażartował starając się zmusić Ganta do uśmiechu.

— Śledzą nas? — zapytał. Paweł spojrział w lusterko.

— Jeszcze nie — stwierdził. — Ale później ktoś nas przejmie. Nie martw się! KGB niczego nie podejrzewa, są po prostu ciekawi. Chcieliby wiedzieć, kim jesteś.

— Myślisz, że nie wierzą, że jestem tym Głazunowem?

— Jeśli nawet, to niedługo przestaną. Po południu twoje zdjęcie znajdzie się w aktach drogówki. Porównają je z fotografiami Głazunowa i wtedy naprawdę się tobą zainteresują.

— I co? Zatrzymają nas, żeby zapytać?

— Może. Ale pamiętaj, oni tam, w Biljarsku, są bardzo pewni siebie. Miejmy nadzieję, że zechcą zaczekać i przekonać się, co zamierzamy. Nie masz się co martwić, przygotowaliśmy dla ciebie plany rezerwowe w każdym punkcie postoju. A gdyby zatrzymali nas na drodze, to sami będą sobie winni — uśmiechnął się. — Przypuszczam jednak, że nie ruszą nas, dopóki nie zaczną się choć trochę niepokoić. A na to KGB potrzebuje sporo czasu.

* * *

Wczesnym popołudniem David Edgecliffe, niezwykle poważny, zasmucony i pełen godności, zidentyfikował ciało swojego agenta, Fentona, jako doczesne szczątki Alexandra Thomasa Ortona. Stał w kostnicy obok inspektora Tortiewa z moskiewskiej milicji i patrzył na zmasakrowaną, ledwie rozpoznawalną twarz. Po odpowiednio długiej chwili i głośnym przełknięciu śliny kiwnął głową. Obrażenia nie zaskoczyły go. Fenton wyglądał teraz tak, jak mógłby wyglądać Gant udający Ortona. Nikt nie potrafiłby odróżnić Amerykanina od Anglika, zwłaszcza że Gant jeszcze dwa razy zmienił charakterystykę, gdy poprzedniej nocy wyszedł z hotelu.

— Tak — powiedział cicho. — Według mnie jest to ciało Ortona. Tortiew opuścił prześcieradło na zmiażdżoną twarz zabitego.

— Nie myli się pan, panie Edgecliffe? — zapytał.

— Nie... nie przypuszczam, panie inspektorze — Edgecliffe lekko wzruszył ramionami. — Naturalnie, twarz jest uszkodzona...

— Istotnie. Zupełnie, jakby jego byli wspólnicy chcieli utrudnić rozpoznanie.

— Owszem. Ale dlaczego?

Edgecliffe nadał swej twarzy wyraz zdziwienia, lecz przez cały czas uważnie obserwował Tortiewa. Nie znał tego człowieka, lecz zdawał sobie sprawę, że choć udaje zwykłego milicjanta w cywilnym ubraniu, pracuje dla KGB.

— Nie wiem, panie Edgecliffe. Pan także nie wie, jak sądzę?

Tortiew uśmiechał się. Był młody, bezlitosny, twardy i uprzejmy. Jego szare oczy spoglądały przenikliwie i inteligentnie. Zapewne był jednym z absolwentów wyższych uczelni, jacy coraz częściej pojawiali się w szeregach KGB. Kimś, na kogo trzeba uważać.

— Hmm... chciałbym panu pomóc, inspektorze. W Londynie będzie z tą sprawą masa kłopotów.

— Będzie z nią masa kłopotów tu, w Moskwie, panie Edgecliffe — warknął Tortiew — dopóki nie znajdziemy ludzi, którzy go zabili. Opanował się natychmiast.

— No cóż, panie Edgecliffe — dodał. — Na pewno chętnie się pan czegoś napije. Nie miał pan przyjemnego zadania. I ze zwycięskim uśmiechem otworzył drzwi.

— Więc kim jest ten człowiek? — pytał Kontarski podsuwając Borchowi i Priabinowi pod nos wykonane w punkcie kontrolnym zdjęcie Ganta przy ciężarówce.

W gabinecie paliło się światło, gdyż za oknem zapadał już zmierzch. Kończył się piękny, kwietniowy dzień. Kontarski skorzystał z pogody i po obiedzie poszedł na spacer do Ogrodów Aleksandrowskich. Teraz, wciąż jeszcze w dobrym nastroju, spoglądał pytająco na swoich podwładnych. Nie denerwował się, czuł tylko lekką irytację, że pomocnik kierowcy jadący z Upieńskim nie został jeszcze zidentyfikowany. Nie figurował w aktach Wydziału „M”. Naturalnie, ciężarówka była śledzona i jadący za nią ludzie ani na chwilę nie spuszczała jej z oka. Łaniew wrócił do Biljarska z nowymi rozkazami dla Czernika i wiadomością o ruchach Upieńskiego i jego wozu.

— Nie wiemy, towarzyszu pułkowniku — oświadczył Priabin. Mimo wewnętrznego spokoju, Kontarski z wprawą okazywał irytację.

— Nie wiecie? Mamy to zdjęcie u siebie już od paru godzin! Borch uznał, że też powinien zabrać głos.

— Sprawdzamy, towarzyszu pułkowniku. Zarząd Archiwów i Przetwarzania Danych nadał tej sprawie priorytet.

— Doprawdy? A czemu właśnie u nich?

— Założyliśmy, że ten człowiek jest obcym agentem — wyjaśnił Priabin. — Może brytyjskim?

— Mhm... czy to możliwe?

— Dlaczego ich nie zatrzymamy i nie spytamy go wprost? — wykrztusił z siebie Borch.

Kontarski spojrzał na niego gniewnie.

— Idiota! — stwierdził.

Priabin rozumiał go doskonale. Kontarski pragnął olśniewającego sukcesu. Wyczuwał, że człowiek w ciężarówce jest ważną postacią, ale działał przy założeniu, że ochrona Biljarska jest nie do przejścia. Priabin też tak uważał. Dlatego Kontarski mógł tamtym pozwolić na działanie w nadziei, że doprowadzą go do innych, że są powiązani z jakąś ważną operacją Secret Intelligence Service albo CIA. Denerwowało to Priabiną, choć sam także nie potrafił poważnie traktować zagrożenia, jakie stwarzał pojedynczy człowiek, nawet jeśli jechał w stronę Biljarska.

Kontarski zauważył, że jego zastępcę przygląda mu się z uwagą.

— Co z przesłuchaniami? — zapytał.

— Nic... jak dotąd. Na razie się trzymają.

— Trzymają się, Dmitrij?

— Tak, towarzyszu pułkowniku.

— Pokazałeś Głazunowowi fotografię człowieka, który go udaje? I co? Nie zdenerwował się?

Priabin uznał, że uśmiech byłby nie na miejscu.

— Towarzyszu pułkowniku... moim zdaniem on nie wie, kto jedzie z Upieńskim.

— Ale zgadzasz się, że ciężarówka zmierza do Biljarska?

— Tak, towarzyszu pułkowniku. Jestem pewien.

— Więc ten człowiek, kimkolwiek jest i skądkolwiek pochodzi, jest sabotażystą?

— Prawdopodobnie.

— Bez żadnych wątpliwości, Dmitrij — Kontarski potarł ciemniejący na policzku zarost. — Ale co może Migowi-31 zrobić jeden człowiek, czego nie potrafiliby dokonać Baranowicz i reszta, którzy są już na miejscu? Gdybyśmy wiedzieli, kim on jest, mogłoby się okazać, że schwytaliśmy w sieć coś bardzo cennego.

Uśmiechnął się, a Priabin raz jeszcze musiał się zastanowić nad jego motywami. Kontarski był najwyraźniej ucieszony, co do tego nie było nawet cienia wątpliwości. Spodziewał się jakiegoś sukcesu, czegoś, co miało związek z nieznanym mężczyzną — ale czego? Gdyby to on, Priabin, decydował, już dawno kazałby zatrzymać ciężarówkę.

— Odłożę na parę godzin mój lot do Biljarska — kontynuował Kontarski. — Tymczasem zaalarmujcie tam ochronę. Borch, połącz mnie z pułkownikiem Leprowem z Archiwów. Musimy jak najszybciej zidentyfikować tego człowieka. A ty, Dmitrij, zejdź do naszych przyjaciół i jeszcze raz ich zapytaj, kto to jest.

Priabin wstał i wyszedł z gabinetu. Borch nakręcał numer, a Kontarski wolno stukał palcem w fotografię.

* * *

Gant był zmęczony jazdą i otepiały od widoku bezkresnego rosyjskiego stepu, ogromnej równiny ciągnącej się aż do Uralu, jeszcze ponad trzysta kilometrów za Biljarskiem. Przed oczami przesuwały się obrazy przeszłości, wywoływane podobieństwem tej okolicy do miejsc, gdzie spędził dzieciństwo. To nie były przyjemne przeżycia i miał już dość wspomnień i oparów benzyny, sączących się do kabiny.

Zapał już zmierzch i Upieński włączył reflektory. Śledzący ich samochód utrzymywał stałą odległość około pięciuset metrów. Przejeli ich od poprzedników na przedmieściach Kazania, za mostem Lenina, który zastąpił dawny prom przez Wołgę. Samochód nie zapalał świateł, ale i Gant, i Paweł wiedzieli, że tam jest.

— Daleko jeszcze? — spytał, przerywając długie milczenie.

— Do rozjazdu jakieś sześć kilometrów, potem jeszcze dwadzieścia drogą do Biljarska.

— I mam się z nim spotkać przy tej drodze? Tam, gdzie mi pokazałeś na mapie?

— Zatem czas się pożegnać.

— Jeszcze nie.

— Tak. Jak tylko wjedziemy w jakiś zagajnik, wyskakuję i chowam się między drzewami — oświadczył zdecydowanym tonem Gant. Paweł spojrzał na niego spod oka.

— Jak chcesz — odparł. — Spróbuję nie dać się wyprzedzić i dojechać możliwie daleko za posterunek. Potem, przy odrobinie szczęścia, zostawię ich za sobą, gdy porzucę ten wierny pojazd, wiozący cuda współczesnej kanalizacji dla hotelu „Wołga” w Kujbyszewie — Paweł ryknął śmiechem, czym kompletnie zaskoczył Ganta.

— Nie daj się złapać — mruknął Amerykanin.

— O ile będzie to ode mnie zależało — odparł Paweł. — Siemielowski przejechał przez posterunek jakieś piętnaście minut temu.

— Skąd wiesz?

— Był na stacji benzynowej w Kazaniu. Nie rozmawialiśmy, ale widziałem go.

— Ale jak wydostał się z Biljarska? Myślałem, że miasto jest zablokowane aż do zakończenia jutrzejszych prób.

— Zgadza się. Siemielowski pochodzi z Kazania, a jego matka umiera. Wypuścili go więc, naturalnie w towarzystwie kogoś z KGB. Nie martw się o niego.

Ten z KGB odprowadził go tylko. Nie muszą go pilnować. Wiedzą, że jest jednym z nas i że wróci do Biljarska.

— Czy jego matka naprawdę umiera?

— Tak się wydaje... przynajmniej lekarzowi. Ale to niezwykle wytrzymała starsza pani — uśmiechnął się. — Siemielowski będzie na ciebie czekał przy drodze.

Gant miał wrażenie, że każdy, kogo tu spotkał, żyje z wyrokiem śmierci. Wyrokiem, który uznawali za coś naturalnego. Ogarnięty współczuciem i podziwem, chciał powiedzieć Pawłowi coś odpowiedniego.

Głos Pawła przerwał jego rozmyślenia.

— Widzę drzewa. I kilka zakrętów, żeby kierowcy nie zasypiali! — spojrzał na Ganta i dodał: — Nic nie mów. Słowa byłyby bezużyteczne, może nawet obraźliwe. Po prostu odleć tym cholernym samolotem i zabierz go z Rosji!

3.

Podejrzenia

Inspektor Tortiew z moskiewskiej milicji z uwagą patrzył na dwa męskie buty leżące na jego biurku w ostrym świetle jarzeniowej lampy. Rozparty wygodnie, odpychając się jedną nogą od biurka, uderzał palcami o ściągnięte wargi. Był sam w biurze. Został dłużej, ponieważ chciał trochę pomyśleć. Wciąż nie wiedział, co począć z tymi butami.

Krzesło skrzypnęło, gdy Tortiew wyprostował się i wyciągnął rękę. Ujął białą karteczkę przywiązaną do jednego z butów i kolejny raz przeczytał, że jest to własność Alexandra Thomasa Ortona. Potrząsając w zdumieniu głową przymierzył buty do siebie. Nie stanowiły pary, jeden był czarny, drugi brązowy. I jeden był o półtora numeru większy. Czarny, zdjęty z ciała Ortona, był jeszcze wilgotny po jego śmiertelnej kąpieli. Brązowy, lśniący i mało używany, choć ze startym nieco obcasem, znaleziono w pokoju Ortona w hotelu „Moskwa”.

Odsunął buty od siebie, potem znowu zestawił je razem. Gwizdnął cicho i spojrzał na buty tak, jakby chciał im rozkazać, by mu wyjaśniły różnicę rozmiarów. Kapelusz był tej samej wielkości, numer kołnierzyka, płaszcz z hotelu pasował na zabitego, garnitury pasowały, skarpety... ale buty nie. Dlaczego? Czy ktoś może nosić buty tak różnych rozmiarów?

Odsunął krzesło od biurka i przybrał poprzednią pozycję. Sprawa była tajemnicza. Odpowiedź pojawiła się w jego umyśle, gdy tylko został sam w biurze: człowiek wyłowiony z rzeki nie był tym, który wynajął pokój w hotelu, który przeszedł przez kontrolę na Szeremietiewie i który wyszedł na spacer po nabrzeżu tylko po to, by zginąć.

Ale dlaczego nie był to ten sam człowiek? Ta kwestia wydawała się bardziej istotna niż samo rozwiązanie problemu butów. Jeden z trzech ludzi, jacy spotkali się z panem Orionem, zajął jego miejsce... w rzece. Dlaczego?

Zwykły milicjant nie zainteresowałby się tą sprawą, przynajmniej nie tak bardzo. Ale Tortiew nie był zwyczajnym funkcjonariuszem moskiewskiej milicji. Owszem, miał swój stopień, a jego gabinet mieścił się w Komendzie Milicji, ale — jak

wielu jego kolegów — zatrudniony był w Zarządzie Drugim KGB. Jego zwierzchnikami, jedynymi, przed którymi odpowiadał, byli oficerowie Służby Bezpieczeństwa KGB.

Tortiew zajmował się sprawą Ortona od chwili, gdy przypadki narkomanii po raz pierwszy zwróciły uwagę milicji i, naturalnie, uwagę jego sekcji w KGB. Wtedy awansowano go na inspektora i upoważniono do korzystania z wszelkiej możliwej pomocy, by wykryć i zniszczyć siatkę handlarzy.

Tortiew nienawidził narkotyków i ludzi, którzy nimi handlują, tak jak każdy policjant z dowolnego wydziału narkotyków gdziekolwiek na świecie. Działalność Tortiewa byłaby równie wysoko, jak w Moskwie, ceniona w Nowym Jorku, Londynie czy Amsterdamie. Nienawidził Ortona. Kiedy Chołokow, gruby, solidny Chołokow, powiadomił go o śmierci Ortona, ucieszył się, choć poczuł także rozczarowanie. Chciał postawić Anglika przed sądem, chciał, by został skazany. Jego śmierć jednak nie miała większego znaczenia. Znał innych członków gangu, których Orton zaopatrywał w towar.

Lecz teraz okazało się, że Orton wcale nie zginął. Tortiew głośno zgrzytnął zębami i podniósł słuchawkę. Telefonista specjalnej centrali, oddzielonej od tej, która obsługiwała pozostałą część komendy, zgłosił się od razu.

— Dajcie Zarząd Siódmy, pułkownika Osipowa — rzucił. Osipow nadzorował inwigilację turystów brytyjskich. Kiedy uzyskał połączenie, poprosił o ludzi do pomocy. Rozmowa nie trwała nawet minuty — sprawy prowadzone przez Tortiewa miały priorytet w tym Zarządzie.

Inspektor odłożył słuchawkę i znów zajął się butami. Zestawiał je z sobą i rozstawiał, jakby zmuszając do jakiegoś prostego tańca. Teraz, kiedy miał dostać ludzi, którzy sprawdzą każdy krok Ortona, Stieczko, Chołokow i nawet sierżant Filipow, chociaż to Żyd, powinni zająć się raportami z poprzednich wizyt Anglika w Moskwie, jego kontaktami, zachowaniem, przyzwyczajeniami...

Naciskając włącznik interkomu, by wezwać swoich podwładnych, Tortiew wciąż wpatrywał się w niedobraną parę butów.

Nagle uświadomił sobie, że nie wiadomo, co się właściwie stało z radiem tranzystorowym, które miał Orton na lotnisku. Sprawdzano przecież, czy nie przewozi w nim narkotyków. Radia nie znaleziono ani w hotelowym pokoju, ani przy zwłokach. Naturalnie, mogło teraz leżeć na dnie Moskwy.

— Stieczko? — rzucił do mikrofonu. — Ściągnij tu zaraz Chołokowa i Filipowa. Mam dla was trochę papierkowej roboty.

Wyraz zamyślenia pojawił się na jego twarzy. Gdzie, do diabła, podziało się to radio?

* * *

Siemielowski już czekał. Moskwicz z otwartą maską stał na poboczu wąskiej drogi prowadzącej do Biljarska. Gant dostrzegł tylko niewyraźną sylwetkę pod otwartą maską samochodu. Przysiadł na skraju nasypu biegnącego wzdłuż szosy i czekał. Mężczyzna naprawiał albo udawał, że naprawia silnik. Gant odczekał dziesięć minut, nim się upewnił, że kierowca jest sam, a droga dookoła pusta. Kiedy tamten wysunął się spod maski, wyprostował i zaklął po rosyjsku, Gant skrył się szybko. Zauważył błysk dwóch półksiężyców — okularów Siemielowskiego. Rosjanin był niski. Rozejrzał się dookoła, po czym znowu schylił się nad odkrytym silnikiem. Gant słuchał przez chwilę brzęku narzędzi i fałszywego pogwizdywania, po czym wstał ostrożnie i zsunął się po zboczu nasypu w dół. Mężczyzna był odwrócony tyłem. Jeśli to nie Siemielowski...

— Jak długo mnie pan obserwuje? — zapytał po rosyjsku kierowca zirytowanym głosem, nie wysuwając głowy spod maski. Gant zatrzymał się w pół kroku z uniesioną w górę stopą.

— Siemielowski? — spytał, gdy nieco ochłonął.

Mężczyzna wyprostował się i wytarł ręce brudną szmatą. W świetle księżyca, stojącego jeszcze nisko nad horyzontem, dokładnie zlustrował Ganta. Usatysfakcjonowany, kiwnął głową i z hukiem zatrzaskał maskę. Gant podszedł bliżej. Siemielowski miał czterdzieści parę lat; resztki siwych, kędzierzawych włosów rosły mu jeszcze nad uszami, ale czubek głowy był łysy. Ubrany w ciemny garnitur i płaszcz przeciwdeszczowy, miał trochę ponad pięć stóp wzrostu. Światło błyszczało w szklach jego okularów, gdy podniósłszy głowę przyglądał się Gantowi.

— Spóźnił się pan — stwierdził w końcu.

— Przepraszam — warknął Gant. Ten człowiek go icytował.

— Chodzi o strażników — wyjaśnił Siemielowski, jakby zwracał się do dziecka.
— Jeszcze chwila, a któryś z posterunków, albo ten przy skrzyżowaniu, albo na końcu drogi, wysłałby kogoś, żeby sprawdzić, co się ze mną stało. Już prawie godzina minęła, odkąd zameldowałem się w punkcie na skrzyżowaniu. Właśnie dlatego mój samochód musiał się zepsuć. Gant kiwnął głową.

— Jak dostanę się do Biljarska? — zapytał.

— Też pytanie! W bagażniku, naturalnie.

— Nie będą sprawdzać?

— Raczej nie. Przeszukali mnie, kiedy wyjeżdżałem. Bardzo dokładnie. KGB pracuje zupełnie bez pomysłu — dodał, jakby prowadził wykład o źle zaprojektowanym urządzeniu. — Jeśli jeden posterunek ma kontrolować wszystkich przyjeżdżających, a drugi wyjeżdżających, to bardzo rzadko zmieniają te zasady mimo sprowadzenia do miasta dodatkowych ludzi. Czy może pan sobie wyobrazić kilkunastu strażników stłoczonych w punkcie kontrolnym przy zjeździe z autostrady?
— Siemielowski uśmiechnął się promiennie. — Chyba spodziewają się jakichś kłopotów!

Wyminął Ganta, przeszedł na tył samochodu i otworzył bagażnik. Skinął niecierpliwie ręką, jakby zły na Amerykanina, że ten marnuje cenny czas. Gant poszedł za nim. Bagażnik był nieduży i pusty. Gant schował pistolet, który cały czas trzymał w ręku, wsunął się pod klapę, ułożył w pozycji embrionalnej i kiwnął głową. Rosjanin przyglądał mu się przez moment, po czym także skinął głową. Światło zgasło i Gant znalazł się w ciasnej, zamkniętej przestrzeni. Zakładał, że Siemielowski odpowiednio przygotował bagażnik i nie grozi mu uduszenie. Nie bał się ciemności. W ciągu spędzonych w szpitalu miesięcy przeżywał w wyobraźni rzeczy o wiele gorsze.

Usłyszał nierówny warkot silnika. Pojął, że Siemielowski zadbał o wszystkie szczegóły i że silnik pracuje tylko na trzech cylindrach. Samochód ruszył z miejsca i siła bezwładności przycisnęła go do klapy bagażnika.

Siemielowski nie przejmował się zbyt swym pasażerem, gdy pokonywał ostatnie kilometry, dzielące ich od przedmieścia Biljarska, gdzie mieściły się kwatery ekipy technicznej i naukowej. Droga była wąska, a nawierzchnia zniszczona przez liczne ciężkie pojazdy, dowożące sprzęt do zakładów. Myślał tylko o swoim zadaniu w całej operacji, mającej na celu doprowadzenie Ganta możliwie blisko Miga-31. Do nielegalnej działalności zwerbował go Baranowicz, dla którego, a zwłaszcza dla jego

cierpień poniesionych z rąk NKWD, a później KGB, żywił religijny niemal szacunek. Sam był Żydem, lecz spędził większą część swego dorosłego życia pracując z sukcesami przy rozlicznych przedsięwzięciach technicznych i wojskowych reżimu, który nękał jego pobratymców. Baranowicz stał się jego bohaterem — i to wyrwało go z wieloletniej, tchórzliwej apatii. Jak wszyscy neofici, był teraz gorliwy aż do przesady.

Drugi posterunek mieścił się przy bramie w ogrodzeniu z drutu kolczastego, które otaczało cały obszar zakładów, łącznie z pasem startowym. Niewielka wioska Biljarsk leżała poza tym ogrodzeniem. Była to odseparowana społeczność, przyzwyczajona do drewnianych chat, kołchozowego rolnictwa i biedy. Zakłady zbudowane na ich terenach były jak obca narośl, otoczone drzewami, zamknięte i tajemnicze.

Siemielowski zwolnił przed bramą. Zauważył zwiększoną liczbę strażników, ale spodziewał się tego po tym, co widział na posterunku przy skrzyżowaniu, dwadzieścia kilometrów wcześniej. Dwóch wartowników, zamiast jak zwykle jednego, zbliżyło się do samochodu, a nowy, potężny reflektor ustawiony na ciężarówce, niemal go oślepił. Drugi reflektor na wieżyczce strażniczej pięćdziesiąt metrów dalej odwrócił się w jego stronę i Siemielowskiego zalała powódź zimnego, białego światła. Opuścił szybę i wystawił głowę na zewnątrz.

— Fiodor — rozpoznał strażnika. — Widzę, że dostaliście nowe zabawki! — Roześmiał się całkiem naturalnie, pełen podziwu dla własnej brawury.

— Doktorze Siemielowski, co się z wami działo? Przejechaliście przez punkt kontrolny ponad godzinę temu — wartownik groźnie zmarszczył brwi. Siemielowski przypuszczał, że to raczej z powodu nie znanego mu oficera, który przyglądał się całej scenie, niż dlatego, że coś podejrzewał albo był na niego zły.

Wyciągnął ręce, by żołnierz wyraźnie zobaczył w blasku reflektorów plamy smaru.

— Ten diabelski wóz znów się zepsuł — oznajmił. — Wiele osiągnęliśmy w ostatnim Planie Pięcioletnim, ale problem moskwicza nadal pozostał nie rozwiązany — wybuchnął śmiechem, a żołnierz także się uśmiechnął.

Drugi wartownik podszedł bliżej.

— Proszę uruchomić silnik — polecił.

Siemielowski nie znał tego człowieka. Spojrzał pytająco na Fiodora, po czym wzruszył ramionami i spełnił polecenie. Silnik warknął głośno i wyraźnie dało się

słyszeć brak jednego cylindra. Strażnik skinął ręką, nakazując otworzyć maskę, podniósł ją i pochylił głowę. Siemielowski rzucił okiem na oficera, wyraźnie nie żywiącego żadnych podejrzeń. Palił papierosa i w oczywisty sposób się nudził.

— Wiecie, co to mogło być? — zawołał Siemielowski wychylając się z okna.

Strażnik zatrzasnął maskę i wyprostował się szybko, jakby przyłapany na czymś nielegalnym.

— Silnik jest brudny — burknął. — Jesteście uczonym. Powinniście bardziej dbać o pojazd.

Nagle chyba uświadomił sobie, że nie okazuje właściwego szacunku. Zaskoczony ostrym tonem Siemielowski zrozumiał, że ten człowiek, mimo zwykłego wojskowego munduru, pracuje dla KGB czy może GRU.

— Mamy tyle pracy... — zaczął.

Wartownik odwrócił się i skinął głową oficerowi, opartemu o ścianę budki strażniczej. Tamten lekceważąco machnął ręką i barierka uniosła się. Ruchem dłoni Fiodor nakazał Siemielowskiemu ruszać.

Naukowiec wrzucił bieg. Szlaban opadł, gdy tylko pod nim przejechał. Teraz dopiero poczuł strach. W retrospekcji całe zajście wydawało się bardziej niebezpieczne niż wtedy, gdy je przeżywał. Mimo wszystko przemycił Ganta w granice kompleksu. Wykonał swoje zadanie.

Jechał ulicami dzielnicy mieszkalnej. Identyczne domki, zbudowane w stylu dachy, drewniane, z piętrem, stały nieco w głębi, oddzielone od ulicy pasem trawnika. Pomyślał, że jest to raczej obóz niż miasteczko. Nie taki obóz, jaki osobiście poznał Baranowicz w tym, co nazywano Archipelagiem Gułag, ale jednak obóz. Nie miał murów jak Mawrino, gdzie Baranowicz spędził większą część twórczego okresu swego życia. Było jednak ogrodzenie pod napięciem, wieżyczki strażnicze i KGB.

Skręcił kierownicę i wjechał wznoszącym się lekko podjazdem do otwartego garażu przy domku stojącym w połowie alei Tupolewa. Biegła przez sam środek zamkniętego miasteczka, taka sama jak wszystkie inne ulice z wyjątkiem tych, przy których mieściły się sklepy, bary, kino i sala taneczna.

Siemielowski zauważył pilnującego go agenta w czarnym samochodzie po drugiej stronie ulicy. Nagle wrócił lęk. Mimo wszystkich zapewnień Baranowicza, mimo iż sam wiedział doskonale, że nie mogą go aresztować przed zakończeniem próbnych lotów... no bo kto by pokierował uzbrajaniem samolotu, czy wykonał jego

pracę? Dopiero kiedy wyobraził sobie twarz Baranowicza i jego spokojny głos, zdołał się opanować. Zderzak odbił się miękko od starej opony przymocowanej do ściany garażu, a Siemielowski zaciągnął ręczny hamulec i wyłączył silnik. Jakby zapominając o zamkniętym w bagażniku Gancie siedział przez chwilę nieruchomo, oddychając tylko głęboko i równomiernie. Zbyt wiele przeżył i w zbyt krótkim czasie.

Po chwili otworzył drzwi, wyjął kluczyki i zanim podszedł do bagażnika, zamknął bramę garażu.

* * *

— Nadal niczego się od nich nie dowiedziałeś, Dmitrij? Ciągłe nic? — Łagodny ton zniknął z głosu Kontarskiego, zastąpiony przez irytację i niecierpliwość. Krążył po gabinecie, a siedzący przed biurkiem Priabin obserwował go czujnie. Minęła siódma. Priabin ledwie kilka minut temu wyszedł z celi w podziemiach budynku przy Dzierżyń-skiego. Riazin, na pozór łatwiejszy do złamania z dwójki aresztowanych, znowu stracił przytomność. Priabin czuł gorzki smak zawodu po tym nieudanym przesłuchaniu. Wolałby bardziej wyrafinowane, powolniejsze metody, ale nie mieli czasu. Po brutalnym „zmiękczeniu” zaaplikowano więźniom potężne dawki pentatolu. Mimo to niczego się nie dowiedzieli. Priabin uważał, że nie mają nic do powiedzenia poza stwierdzeniem faktu, że obaj znali Pawła Upieńskiego i jeden z nich, Głazunow, jeździł razem z nim ciężarówką. Tego dnia polecono mu zostać w domu, chociaż Upieński wyjeżdżał w długą trasę do Kujbyszewa. Nawet pod wpływem serum prawdy Głazunow twierdził, że nie wie, dlaczego tamten pojechał sam.

Mimo to Kontarski nie chciał uwierzyć, że Priabin próbował wszystkiego, że naciskał tak mocno, jak tylko mógł bez zabijania Głazunowa i tego drugiego. Uważał, że jego zastępcą zawiódł. Nadal wierzył, że tamci dwaj posiadali potrzebne mu informacje.

Priabin czujnie obserwował zwierzchnika, spacerującego nerwowo po pokoju. Obaj mieli przeczucie, że coraz pilniejsze staje się ustalenie, kim jest pasażer ciężarówki. Cały problem leżał w tym, że nie mogli zrozumieć, co właściwie chcą osiągnąć agenci brytyjskiego czy amerykańskiego wywiadu, przemycając do Biljarska swojego człowieka. Czego mógł tam dokonać, do czego nie byłby zdolny Baranowicz, ten błyskotliwy, oryginalny umysł, albo Siemielowski, albo nawet Kreszyn? Przecież

cała trójka będzie tej nocy pracować przy samolocie. Obcy nie przedstawił się w pobliżu Miga. Zresztą, sama myśl o tym, że przybył tylko po to, by szpiegować, czy może zrobić kilka zdjęć, była śmieszna.

Zauważył, że Kontarski się zatrzymał i stoi teraz przed nim. Spojrzał na skupioną twarz pułkownika, który o wiele godzin opóźnił swój odlot do Biljarska, ponieważ nie chciał odjeżdżać bez potwierdzonych informacji o człowieku, zmierzającym ciężarówką Upieńskiego do tego samego celu. Śmigłowiec KGB od wczesnego popołudnia czekał na lotnisku na przedmieściach Moskwy.

— No dobrze — Kontarski wyraźnie podjął już decyzję. — Łap za telefon, Dmitrij. Skontaktuj się z grupą obserwacyjną. Mają natychmiast zatrzymać Upieńskiego i tego drugiego.

— Tak jest.

Priabin podniósł słuchawkę. Proste polecenie zostanie przesłane drogą radiową do biura KGB w Kazaniu, a stamtąd dalej, do grupy śledzącej ciężarówkę.

— Powiedz im, że mogą zażądać pomocy z posterunku przy zjeździe na Biljarsk — dodał Kontarski. — Ilu ludzi mamy w samochodzie?

— Trzech. — Priabin nie wypuszczał słuchawki z ręki. — Ostatnia pozycja ciężarówki dowodzi, że ścigani minęli skrzyżowanie z drogą do Biljarska. Samochód nawet nie zwolnił.

Kontarski odwrócił się gwałtownie.

— Niech go natychmiast zatrzymają. Chcę wiedzieć, czy ten drugi gdzieś nie wysiadł.

* * * *

Gdy tylko minął skrzyżowanie z drogą do Biljarska, spojrzawszy przelotnie na posterunek strażniczy, Paweł Upieński wiedział, że jego czas się kończy. Nie zwalniając zdjął prawą rękę z kierownicy, odpiął kurtkę i wyjął stary wojskowy pistolet. Położył go ostrożnie na siedzeniu pasażera, które niedawno zajmował Gant.

Wóz pościgowy zrezygnował z jazdy bez świateł i Upieński widział za sobą dwie jasne plamy reflektorów. Zastanawiał się, czy staną, by porozmawiać z wartownikami,

ale nie — pewnie byli w kontakcie radiowym. Dowiedzą się, że się nie zatrzymał ani nie zwolnił i będą się zastanawiać dlaczego.

Uznał, że ma przed sobą jakieś piętnaście kilometrów, zanim zaczną coś podejrzewać albo ten, komu podlegają, poleci im sprawdzić, kogo wiezie ze sobą. Wtedy go wyprzedzą i każą się zatrzymać. Dobrze znał drogę między Kazaniem a Kujbyszewem. Były to rolnicze tereny, pojedyncze wioski dzieliło po kilka kilometrów, zdarzały się samotne zagrody, ale nie było żadnego miasta przed Krasnym Jarem, piętnaście czy dwadzieścia kilometrów od Kujbyszewa. Nie pozwolą, by dotarł tak daleko.

Akceptował ryzyko, którego się podjął. Wiedział, jak ważne dla komunistów są badania w Biljarsku — a jeszcze bardziej dla NATO. Pojmował desperację, jaka zrodziła plan porwania samolotu, a potem skłoniła Edgecliffe'a do poświęcenia jego, tego biedaka Fentona i pozostałych. Był przekonany, że Edgecliffe ceni go i nie poświęci bez ważnego powodu. Teraz jednak został sam, niepotrzebny. Miał unikać aresztowania, jeśli to możliwe, przez co najmniej dwanaście godzin, dopóki Gant... Nie miał czasu, by myśleć o Gancie, wspominać tę aurę niepokoju i depresji, jaką roztaczał wokół siebie ten człowiek.

Postanowił uciekać. Nie sądził, by zarządzono blokadę dróg, przynajmniej nie przed Krasnym Jarem. Musiał dotrzeć do miasteczka, gdyż tylko tam miał szansę się ukryć. Nie znał nikogo, ale nie przejmował się tym. Potrzebował tylko takiego schronienia, które sam sobie znajdzie, i żywności, którą może ukraść. Potem... zresztą, rozważania o przyszłości nie miały sensu. Nie będzie planował — zareaguje, gdy ci w jadącym z tyłu samochodzie zaczną działać.

Wspomnił Marię, swoją żonę. Nadszedł czas, gdy mógł sobie pozwolić na ten luksus. Ile lat miała teraz? Trzydzieści siedem, o trzy więcej od niego. Dwanaście lat w więzieniu za udział w demonstracji przeciw inwazji na Czechosłowację w sześćdziesiątym ósmym roku. Na początku dostała trzy lata, ale przemyślała pamflety i artykuły o tym, jak jest traktowana. Przyłapali ją i zwiększyli karę o dziesięć lat. Paweł był całkowicie pewny, że nigdy nie wyjdzie na wolność. Nie przyjmie tej przysługi od reżimu, którego nienawidziła i którym pogardzała.

Maria była Żydówką. Po studiach uczyła w szkole, ale jej działalność polityczna doprowadziła najpierw do zwolnienia z pracy, a potem aresztowania. Paweł nigdy nie zrozumiał, dlaczego wyszła za takiego nie douczonego prostaczka jak on. Lecz tak się

stało, a on darzył ją za to nabożną niemal czią. Przez te dwanaście lat starał się być jej godny. Wykonywał wszystko, o co prosili go Edgecliffe i Lansing albo ci, którzy byli w brytyjskiej ambasadzie przed nimi.

Nie był pewien — w tych sprawach nigdy nie można być pewnym — ale przypuszczał, że jego żonę poddano przymusowemu leczeniu psychiatrycznemu. Zgodnie z filozofią KGB i Kremla każdy dysydent to szaleniec. Nie to jednak było najgorsze. Przez te wszystkie lata spędzone w więzieniu postarzała się pewnie tak, że mógłby przejść obok na ulicy i nie poznać jej. Bał się niemal, że coś takiego naprawdę nastąpi.

Spojrzał w lusterko. Samochód zbliżał się wyraźnie. Sprawdził, czy pistolet nie zsunął się gdzieś, ale nadal leżał na siedzeniu kolbą w jego stronę, tak by natychmiast mógł go pochwycić. Raz jeszcze spojrzał w lusterko. Samochód włączył kierunkowskaz, jakby chciał wyprzedzić. Paweł uśmiechnął się ponuro. Wiedzieli, że zdaje sobie sprawę z tego, kto za nim jedzie i zakładali w swej nieskończonej arogancji, że gdy uznają tę grę za skończoną, on załamie się i rozsypie niby domek z kart. Dodał gazu. Reflektory wozu pościgowego oddaliły się, a potem zbliżyły znowu, gdy tamci zrozumieli, że próbuje uciekać.

Znaleźli się na prostym odcinku drogi, nie podzielonej jeszcze na osobne pasy ruchu. Żeby go wyprzedzić, wóz KGB musi przejechać tuż obok, wjeżdżając na drugą część jezdni. Na to właśnie liczył. Jeśli będzie uciekał dostatecznie długo, zraniona duma KGB każe im spróbować go wyminąć. Przyglądał się z zastygłym na twarzy uśmiechem, jak mrugając światłami nakazują mu zatrzymanie. Przyspieszył do stu dziesięciu kilometrów na godzinę.

Znowu reflektory oddaliły się i natychmiast zbliżyły. Paweł wiedział, że ludzie w samochodzie zaczynają się irytować. Nie byli przyzwyczajeni do najmniejszego nawet sprzeciwu. Skoncentrował się na obserwacji drogi przed sobą. Na tym odcinku nie było żadnych drzew, tylko jezdnia i niskie nasypy po obu stronach, oddzielające szosę od pól kukurydzy. Nasyp musi wystarczyć dla jego planów.

Samochód zaczął przesuwac się na sąsiedni pas, bardzo ostrożnie, jakby kierowca podejrzewał jakąś sztuczkę. Przez chwilę nie przyspieszali, wciąż migając światłami. Potem skoczyli do przodu, gdy kierowca do oporu wcisnął pedał. Niewiele brakowało, by zaskoczyli Pawła zupełnie. Znaleźli się na równi z jego kabiną, zanim zareagował. Ostro szarpnął kierownicą i ciężarówka zjechała na drugi pas. Słyszał i

czuł uderzenie blach karoserii. Wyrównał, a światła wozu KGB zatańczyły szaleńczo, zanim zaryły się w nasyp. Mocno wcisnął hamulec i ciężarówka stanęła z piskiem opon. Opuścił szybę i nasłuchiwał. Panowała cisza. Silnik tamtego samochodu widocznie zgasł przy zderzeniu. Upieński wziął pistolet i zeskoczył na drogę. Wrak stał o sto metrów z tyłu, wryty w ziemię nasypu. Gdy szedł w tamtą stronę, zauważył ciało pasażera leżące do połowy na masce silnika. Zderzenie przy prędkości ponad stu kilometrów na godzinę wyrzuciło go przez przednią szybę.

Zdumiał się, gdy drzwi wozu otworzyły się nagle i ciemna postać wyszła kulejąc na drogę. Zatrzymał się. Błysk ognia i huk strzałów, dwa ostre, głośne trzaski, zaskoczyły go zupełnie, jakby nie pasowały do całej scenerii. Jeden pocisk chybił, drugi trafił go w ramię. Prawie nie poczuł bólu. Podniósł pistolet i wypalił dwukrotnie. Ciemna sylwetka wolnym, baletowym ruchem rozciągnęła się na asfalcie.

Nie musiał oglądać rany, by wiedzieć, że kierowanie ciężkim wozem będzie prawie niemożliwe. Przytrzymując postrzelone ramię wrócił do kabiny i z wysiłkiem, zlany zimnym potem, z mgiełką bólu przed oczami, wciągnął się do wnętrza. Drżąc cały wrzucił bieg i ruszył, by jak najszybciej zniknąć z miejsca wypadku. Ciężko opierał się o kierownicę, a ból i upływ krwi utrudniały widzenie. Myślał tylko o jednym — by dotrzeć do Krasnego Jaru, zanim straci przytomność. Widział przed sobą twarz Marii takiej, jaką ją zapamiętał...

Paweł Upieński zginął, gdy jego ciężarówka nie zdołała pokonać zakrętu drogi, piętnaście kilometrów od miejsca zderzenia z wozem KGB. Wpadła w poślizg, a on, nieprzytomny, został wyrzucony z kabiny na drogę. Samochód wjechał na nasyp, a potem przewrócił się i runął na jego ciało.

* * *

Piotr Wasiljewicz Baranowicz przestał się dziwić, dlaczego Amerykanie przysłali właśnie Ganta. Przez pierwszą godzinę po przybyciu do domku przy alei Tupolewa zachowanie tamtego zdumiewało go coraz bardziej. Przyglądał się, jak zjada kolację, podaną przez kobietę mieszkającą z Kreszynem, sekretarkę z działu finansowego zakładów w Biljarsku. Obserwował Amerykanina i nie potrafił go zrozumieć. Przyglądał mu się badawczo, gdy rozmawiali o podróży i o Pawle — który teraz był Bóg wie gdzie, na drodze do Kujbyszewa albo w łapach KGB — i wciąż się

dziwił. Potem zaczęli rozmawiać o Migu-31 — Firefox, jak nazwali go w NATO. Wtedy dostrzegł w oczach obcego pragnienie, ślełą żądzę i przestał się zastanawiać, czemu Buckholz wybrał tego pilota.

Zrozumiał, że Gant musiał — dla jakichś własnych powodów — polecieć tym samolotem. Przerzucano go z Ameryki do Anglii, potem do Rosji, z Moskwy do Biljarska, niby worek z brudną bielizną, a on godził się na to, ponieważ na końcu trasy, jak ogromna nagroda za dobre zachowanie, czekała lśniąca zabawka — Mig.

Siemielowski odszedł, gdy tylko przedstawił im Amerykanina. Wrócił do własnego domu. Mieli się spotkać dopiero w hangarze, gdy zjawia się tam, by przygotować samolot do jutrzejszych prób z uzbrojeniem. On sam minie posterunki ochrony i wejdzie do kompleksu zakładów razem z Kreszynem, o drugiej w nocy.

Baranowicz wiedział, że tej nocy KGB będzie ich pilnować ze szczególną czujnością. Z pewnością dostali już rozkaz, by aresztować jego, Kreszyna i Siemielowskiego na kilka godzin przed startem. Tego należało się spodziewać. Dopóki jednak nie skończy pracy, nie wazą się go tknąć. Mogą tylko obserwować z samochodu zaparkowanego po drugiej strone ulicy. Właśnie dlatego obecność Ganta w jego domu, na pozór zwiększająca ryzyko, była w istocie rodzajem zabezpieczenia. Lepszego miejsca nie znalazłby w całym Biljarsku. Tutaj na pewno nie będą nikogo szukać.

Baranowicz nie chciał myśleć o własnej przyszłości. Tak jak Gant, czy Aubrey w Londynie, nauczył się przyjmować darowane mu okrucieństwa czasu i nie zastanawiać się, co przyniosą najbliższe dni czy godziny. Nauczył się takiego życia w Mawrino, a przedtem w obozach pracy. Wiedział, co robi, kiedy się zgadzał na przeniesienie do Biljarska. Miał tu rozwinąć czysto teoretyczne rozważania nieżyjącego już człowieka nad sterowanymi myślą systemami uzbrojenia. W KGB też wiedzieli, co robią, gdy go wypuścili, by mógł podjąć tę pracę. Baranowicz żył w podarowanym mu czasie od wielu lat, niemal od końca wojny. Nie, jeszcze dłużej, poprawił się w myśli, ponieważ żołnierz żyje w darowanym czasie, zwłaszcza zimą w Rosji. Trwało to już tak długo, że uświadomienie tego faktu nie wywarło na nim szczególnego wrażenia.

— Jak dokładnie pana wyszkolono? — zapytał, by przerwać jałowe rozmyślenia o sobie i o Amerykaninie.

Znajdowali się w pokoju stołowym Kreszyna, niewielkim, ciepłym i przytulnym. Kreszyn zostawił ich samych. Baranowicz przypuszczał, że kochają się z

tą kobietą w sąsiednim pokoju z zawziętością młodych, dla których czas — darowany czy nie — jest bezcenny. Kreszyn próbuje pewnie zapomnieć w tej iluzji namiętności o czekających go godzinach. Baranowicz zapewnił Ganta, że może mówić spokojnie. Dom był na podsłuchu, ale na tę noc podłączył do tej instalacji nagrane taśmy, odtwarzające słuchaczom z KGB niewinną rozmowę i głos z telewizora jako tło.

— Mówiłem już. Przez parę lat pilotowałem zbudowane w Stanach kopie Miga-25, a potem kilka miesięcy spędziłem na symulatorze Miga-31.

Baranowicz wywarł na Gancie spore wrażenie. Jego postura, siwe włosy, kozia bródka, jasnobłękitne oczy i gładkie, wysokie czoło budziły szacunek.

— Nie wątpię, że przeszedł pan bardzo dokładne szkolenie — Baranowicz uśmiechając się ssał fajkę, jak gdyby siedzieli w uniwersyteckiej sali i dyskutowali o czysto teoretycznych kwestiach. Wiele lat już minęło, chyba ponad czterdzieści, od czasu, gdy Baranowicz ostatni raz był na uczelni.

— Istotnie — przyznał Gant, a po chwili dodał: — Systemy uzbrojenia. Proszę mi o nich opowiedzieć.

Bezpośredniość Ganta nie irytowała Baranowicza. Cenił ją nawet. To był właściwy czas i miejsce na taką bezpośredniość.

— Naturalnie. Muszę przyznać, że nie jest to moje odkrycie, choć to ja wykonałem większość prac nad związaną z tym problemem elektroniką, miniaturyzacją i tak dalej — wypuścił kłęb dymu. — Zostaje pan dosłownie podłączony do systemu. W skorupę i wizjer hełmu wbudowane są czujniki, reagujące na impulsy myślowe pilota i ruch jego gałek ocznych. Impulsy biegną kablem do systemu prowadzenia ognia. Ten kabel należy ręcznie przyłączyć do konsoli. Wie pan, gdzie jest gniazdo? — Gant przytaknął. — To dobrze. To, co się dzieje, nie jest dla pana ważne jako proces, a jedynie jako efekt końcowy, rezultat. System radarowy samolotu został zaprojektowany specjalnie do kierowania systemami uzbrojenia. W sposób zasadniczy przyspiesza moment otwarcia ognia. Otrzymuje pan impuls z radaru szybciej, niż zdąży zareagować oko. To powoduje reakcję mózgu, która z kolei uruchamia system uzbrojenia. Dzięki temu odpalenie rakiety powietrze—powietrze albo seria z działka następują o wiele prędzej. Naturalnie samo porównanie kontaktu radarowego z wizualnym daje panu kilka sekund przewagi nad każdym innym pilotem czy myśliwcem. Kiedy pańskie oczy widzą cel, impuls przepływa z mózgu do

układu sterującego i ta broń, którą pan chce odpalić, zostaje odpalona. Pański mózg może też kierować rakieta w locie do celu.

Baranowicz uśmiechnął się widząc zdumione spojrzenie Ganta.

— Nie martw się, przyjacielu. Niektórzy nasi piloci są niezbyt inteligentni. Cały system działa tylko wtedy, kiedy ma pan na głowie hełm podłączony do konsoli. Poza tym — dodał z uśmiechem — nie mogę powiedzieć więcej. To ściśle tajne informacje, prawda? — wyjął z zębów fajkę i wybuchnął śmiechem. — Nawiasem mówiąc istnieje główny wyłącznik. Żeby przez złe myśli nie stracić z nieba własnych przyjaciół.

Po chwili milczenia Baranowicz westchnął. Zdawało się, że jest zasłuchany we własne myśli. Kiedy znów się odezwał, zdawało się, że streszcza całość zagadnienia dla swojej tylko satysfakcji.

— Pański rząd zdaje sobie sprawę z tego, jak istotny jest system uzbrojenia Miga. Nastąpił oczywisty krok naprzód i otworzyły się nieskończone możliwości. Naturalnie, wiele mógłbym ich nauczyć, tyle że wywiezienie mnie ze Związku Radzieckiego jest absolutnie niemożliwe. Łatwiej porwać Miga... — umilkł, ssąc wygasłą fajkę. — Stany Zjednoczone ledwie zaczęły rozważać możliwość istnienia takiego systemu. Jeśli nie zdobędą go w miarę szybko, to nigdy już nie będą mogły nadażyć za serią udoskonaleń i zastosowań tego, co na razie jest jeszcze dość prymitywnym układem elektronicznym. Muszą więc zdobyć Miga, jako że nie mogą mieć mnie. Zastosowania będą niewyobrażalne, w miarę jak ulepszany będzie sam system. Pan, naturalnie, interesuje się tym wszystkim jedynie jako pilot, nie naukowiec. W tej chwili wykorzystujemy typowe uzbrojenie... kto wie? Niedługo ono także może się zmienić, by nadażyć za systemem sterowania myślą...

Spojrzał nagle na Ganta, który pospiesznie nadał swej twarzy wyraz zainteresowania. Ból błysnął w oczach Baranowicza.

— Nudzę pana, oczywiście — powiedział. — Może to litość nad sobą. Chciałbym żyć dalej, może w Stanach Zjednoczonych...

— Co z antyradarem? — spytał cicho Gant.

— Och — Baranowicz potrząsnął głową. — O tej sprawie nie wiem nic. To najbardziej tajna część projektu i ja, Żyd z długą kartoteką działań dysydenckich, nie miałem szans, by się z tym zapoznać.

Gant przytaknął.

— Muszę wiedzieć — zapytał — czy potrafią go zdalnie wyłączyć, kiedy będę w powietrzu, albo czy ja sam mogę to zrobić przypadkiem?

Baranowicz zastanawiał się przez chwilę, równocześnie zapalając fajkę. Raz jeszcze Gantowi nasunął się obraz uniwersyteckiego seminarium, a nie ryzykownej operacji wywiadu.

— Nie — stwierdził naukowiec kręcąc głową. Potem potarł palcem nos, — Z plotek, jakie do mnie dotarły, choć było ich niewiele i raczej niepewne, wnioskuję, że zdolność wygłuszania wiązki radaru nie jest natury mechanicznej.

— Więc jak, do diabła...?

— Tak wywnioskowałem — powtórzył spokojnie Baranowicz. — Może to rodzaj poszycia czy nawet farby. Coś w rodzaju powłok o niskim współczynniku tarcia, opracowanych dla pewnych amerykańskich konstrukcji lotniczych. Tak, tak, niech pan nie robi takich oczu. Nawet my o tym wiemy. Amerykański system bezpieczeństwa nie jest tak dobry, jak to sobie wyobraża Pentagon. Wracając do sprawy, wydaje się, że antyradar pochodzi od takiego właśnie wynalazku. Promień radarowy opływa kadłub samolotu i nie odbija się, więc na ekranach nie ma echa. Wiem, że system może zostać zneutralizowany przez pilota, na wypadek, na przykład, lądowania na własnym lotnisku w skrajnie trudnych warunkach meteorologicznych. Nie umiem jednak powiedzieć, jak tego dokonać — zmarszczył czoło. — Nie będzie pan mógł tego zrobić — pokręcił głową. — Sam mam wątpliwości, panie Gant. Powtarzam tylko to, co usłyszałem. Ale obaj wiemy, że system działa. Ludzie, zajmujący się tą częścią badań, pracowali gdzie indziej, poza Biljarskiem.

Gant zastanawiał się przez chwilę.

— Ile czasu będę miał na zapoznanie się z przyrządami? — zapytał.

— Obawiam się, że wcale. Ochrona jest bardziej uważna niż kiedykolwiek. Wie pan, że sekretarz generalny przylatuje tu jutro, by na własne oczy zobaczyć tryumf radzieckiej techniki? W towarzystwie przewodniczącego KGB Andropowa i innych partyjnych notabli. Z tego powodu, a może i z naszego — Kreszyna, Siemielowskiego i mnie — siły bezpieczeństwa zostały wzmocnione. — Baranowicz wypuścił kłęb dymu. — Wczoraj przyleciał specjalny oddział GRU. Będą pod rozkazami KGB. Jest ich ponad setka, jako dodatek do całkiem sporego miejscowego garnizonu. Właśnie dlatego zostaliśmy zmuszeni do maksymalnego wysiłku, by zorganizować pańskie przejście w rejon hangaru — mrugnął i uśmiechnął się. — Musi pan obciąć włosy

jeszcze krócej, żeby hełm i czujniki działały. I zrobimy panu zdjęcie dla pewnego szczególnego zestawu dokumentów. Nic więcej na razie nie trzeba.

Gant wzruszył ramionami. Nie miał żadnych oporów przed maskowaniem, wcielaniem się w coraz to inne postacie. Ta obojętność co do własnej osoby, którą Buckholz wyczuł już przy pierwszym spotkaniu, czyniła go idealnym kandydatem do tej roli kameleona. Większość agentów próbuje podświadomie zachować jakąś część własnej osobowości, jakiś drobiazg z ubrania, drobny manieryzm, modulację głosu. Jak pływacy, lękający się pozostawić złożoną na brzegu odzież, boją się, że już nie będą mieli do czego wracać. Gant nie miał takich oporów, ani świadomych, ani podświadomych. Orton, Grant, Głazunow — to tylko cienie, takie jak on.

— Jaką trasą mam tam dojść? Jak wygląda okolica hangaru? — zapytał spokojnie.

Baranowicz spojrzał uważnie na Amerykanina, po czym kiwnął głową. Wstał i wskazał na plan na arkuszu papieru, zwisającym niby obrus z niewielkiego stolika. Kreszyn położył go tam, gdy Gant skończył jeść. Rosjanin wygładził narysowaną ołówkiem mapę, po czym zaczął wyjaśniać.

— Jesteśmy tutaj, prawie w samym środku części mieszkalnej. Zespoły techniczny i naukowy wchodzi do hangaru i zakładów przez tę bramę — wskazywał palcem kolejne ulice, aż zatrzymał się przy czerwonej linii, zaznaczonej dodatkowo czerwonymi krzyżykami. — Tak, to jest drugie ogrodzenie, pod napięciem, z wieżami strażniczymi. Mieści się wewnątrz pierwszego, które oddziela nas i zakłady od wioski. W tym ogrodzeniu jest jeszcze jedna brama, po drugiej stronie pasa startowego, używana wyłącznie przez ochronę. — Znów stuknął palcem w papier. — Tą właśnie bramą pan przejdzie.

— Jak, na miłość boską? Baranowicz uśmiechnął się.

— Odważnie, i z niewielką pomocą moją i innych. Proszę się nie martwić. — Rosjanin zajął się fajką. Pociągnął energicznie i wypuścił z ust chmurę dymu. Gant z dezaprobatą zmarszczył nos.

— Pali pan?

— Już nie. Rzuciłem.

Baranowicz skinął głową, sięgnął do kieszeni swojej znoszonej, wytartej na łokciach marynarki i wyjął paczkę papierosów.

— Proszę się nauczyć od nowa. Zaraz — polecił.

— Co?

— Nauczy się pan palić w ciągu najbliższej godziny, zanim pójdzie się pan przespać. Gant uniósł brwi.

— Amerykańskie?

— Dowód pozycji. Takie papierosy u człowieka, jakim pan będzie, są równie ważne jak dokumenty — Baranowicz uśmiechnął się i wrócił do mapy. Gant wsunął paczkę papierosów do kieszeni na piersi. — Od bramy przejdzie pan wzdłuż pasa startowego aż tutaj. — Długi palec zatrzymał się. Gant patrzył zafascynowany na upstrzoną plamami dłoń z wyraźnie widocznymi żyłami, opartą na białym arkuszu mapy. — Ten budynek to główny hangar, gdzie stoją oba prototypy. Przez całą noc będziemy tam pracować przygotowując jeden z nich do próbnego lotu. Tuż przy hangarze są biura służby bezpieczeństwa i pokoje pilotów. Widzi pan? — Gant przytaknął. — Dobrze. Musi pan wejść na górę, potem tym korytarzem... — Baranowicz wskazywał teraz część planu, przedstawiającą rozkład piętra budynku stojącego obok głównego hangaru. — Inne zabudowania to po prostu laboratoria, tunele aerodynamiczne i tak dalej. Proszę nie marnować na nie czasu i jak najszybciej przejść do szatni pilotów. Podpułkownik lotnictwa, Jurij Wosków, zjawi się tam na kilka godzin przed startem. Musi pan być gotowy.

— A jeśli ktoś przyjdzie? — spytał Gant. — Będę tam siedział przez trzy—cztery godziny.

Baranowicz tłumaczył cierpliwie, jakby zwracał się do dziecka:

— Ukryje pan ciało. Jest tam kilka metalowych szafek z dobrymi zamkami. Piloci skarżyli się na kradzieże różnych drobiazgów zachodniej produkcji, jakie otrzymują za to, że dobrze się zachowują i są dobrze przystosowani... zamki są pewne. Co do pana, jako że jest pan podobny do Woskowa jedynie budową ciała... wejdzie pan pod natrysk.

— Na trzy godziny?

— Będzie pan udawał, że bierze prysznic. Kiedy nadejdzie czas na naszą drobną operację odciągającą, włoży pan skafander i opuści wizjer hełmu. My, z systemów uzbrojenia, wymagamy, by piloci nosili hełmy aż do chwili, gdy im je zdejmujemy w laboratorium. Nikt się nie zdziwi, że włożył pan hełm godzinę przed startem.

Gant skinął głową.

— A co z tą waszą operacją?

— Proszę się nie martwić. Mam niewielkie urządzenie radiowe i dam panu znać, kiedy trzeba zejść z szatni do hangaru. To co będzie się tam działo, pozwoli panu spokojnie wejść do kabiny i wytoczyć samolot na zewnątrz. Nikt nie będzie niczego podejrzewał.

Gant spojrział na niego zdumiony.

— A co się stanie z wami? — zapytał po chwili namysłu. Mówił cicho, jakby znał już odpowiedź.

— To bez znaczenia — odparł spokojnie Baranowicz. Amerykanin nie potrafił zrozumieć sympatii, jaką mu okazywał.

— Niech to diabli! — Gant odwrócił się przygarbiony, potem wyciągnął rękę. — Wy wszyscy tutaj, wszyscy tak bardzo chcecie umrzeć! Nie pojmuję tego. Czy nie macie pretensji do tych facetów z Londynu, którzy skazują was na śmierć?

Baranowicz milczał przez dłuższy czas.

— Łatwo się panu oburzać, panie Gant — stwierdził wreszcie. — Jest pan Amerykaninem. Każdy rozkaz wywołuje w panu niechęć — Gant uśmiechnął się cynicznie, co zirytowało Baranowicza. — Jest pan wolny! Ja nie. To cała różnica. Jeśli czuję gniew dla tych ludzi w Londynie, którzy każą mi ginąć, jest to niczym wobec gniewu, jaki budzi we mnie KGB. — Naukowiec nie widzącymi oczyma wpatrywał się w mapę. Zaciśnął pięści, aż wystąpiły błękitne żyły. Dopiero po dłuższej chwili wyprostował się i uśmiechnął do Ganta.

— Przepraszam... — zaczął Amerykanin.

— Nieważne. Skąd miałby pan znać nasze... drobne problemy? Teraz może jeszcze raz omówimy uzbrojenie samolotu. Na szczęście, przynajmniej dla pana, w pierwszym locie próbnym użyte będą rakiety powietrze—powietrze, a nie pociski do atakowania celów naziemnych.

Wskazał Gantowi krzesło.

— Proszę teraz zapalić. Kaszel nowicjusza w czasie kontroli nie będzie dobrą przepustką. — W jego oczach znowu błysnął uśmiech.

* * *

Łoskot wirnika nad głową prawie nie dochodził do świadomości Kontarskiego. O dziesiątej jego śmigłowiec, lecący nad zalaną księżycowym światłem równiną, znalazł się w połowie drogi do Biljarska. W dole błyszczały światelka wiosek i kołchozów, czasem rozcinały mrok reflektory jakiegoś samochodu na drodze między Gorkim a Kazaniem, wzdłuż której prowadziła ich trasa. Wygodne fotele ciepłego wnętrza Mi-8 mogły pomieścić dwudziestu ośmiu pasażerów. Poza miejscem Kontarskiego tylko cztery były zajęte przez pracowników KGB: jego ochronę, sekretarza i radiooperatora.

Kontarski był śpiący, zmęczony napięciem ostatnich godzin. Odkładał odlot tak długo, jak tylko było to możliwe. Chciał zjawić się w Biljarsku posiadając przynajmniej częściowe informacje na temat osoby, a zatem i misji tajemniczego mężczyzny, który jako Głazunow przejechał przez punkty kontrolne w Moskwie, Gorkim i Kazaniu. Tymczasem śledztwo Priabina nie przyniosło żadnych rezultatów. Owszem, znaleźli samochód pościgowy kilka kilometrów za zjazdem na Biljarsk. Piętnaście kilometrów dalej w stronę Kujbyszewa znaleźli też ciężarówkę i zmiażdżone zwłoki Pawła Upieńskiego. Po tajemniczym mężczyźnie nie pozostał najmniejszy ślad. Kontarski i Priabin wiedzieli zatem z całą pewnością, że człowiek ten był w drodze do Biljarska, pieszo lub jakimś środkiem lokomocji. Stary z magazynu umarł zaraz po tym, jak zaczęli wyduszać z niego zeznania. Miał słabe serce. Kontarskiego irytowała ta niepotrzebna strata.

Fotografię nieznanego mężczyzny przekazano do Biljarska, a służby wartownicze postawiono w stan alarmu. Sam Kontarski wpadł w lekką panikę i natychmiast kazał startować, by osobiście dopilnować środków ochrony.

Zapałił kolejnego papierosa i obejrzał się na radiooperatora siedzącego przy konsoli. Ten, jakby czując podświadomie, że przełożony go obserwuje, milcząco pokręcił głową. Kontarski odwrócił się i wpatrzył w helmy siedzących przed nim pilotów, jak gdyby oczekiwał od nich jakiejś inspiracji. W ustach czuł gorzki smak lęku. Nerwowym ruchem przesunął dłoń po czole. Wiedział, że nie zaśnie aż do pomyślnego zakończenia prób. W całej pełni odczuwał normalną niemoc KGB, konieczność zawierzenia komputerom i potężnemu, nieruchawemu aparatowi służby bezpieczeństwa.

W tej właśnie chwili Priabin pracował przy centralnym banku danych na Dzierżyńskiego. Dysponując absolutnym pierwszeństwem dostępu do komputera,

szukał mężczyzny, bez wątpienia Brytyjczyka lub Amerykanina, który niedawno przekroczył granicę Związku Radzieckiego pod fałszywym nazwiskiem, a którego można by zidentyfikować jako agenta wywiadu. Wykorzystywał całą moc elektronicznego umysłu potężnej maszyny, by schwytać pasażera ciężarówki. Elektroniczne polowanie, myślał z goryczą pułkownik. Tak samo jak Priabin, wierzył tylko w to, co mogli powiedzieć żywi ludzie, w informacje, jakie potrafił wyciągnąć z ich umysłów i języków. Tyle że dwaj więźniowie niczego nie mogli zdradzić, za wyjątkiem swych własnych domysłów: przybysz był obcym agentem, a jego celem — Biljarsk i program eksperymentalny. A Upieński nie żył już, zgnieciony na miazgę przez własną ciężarówkę.

Proces myślowy Kontarskiego przebiegał w sposób defensywny, nawet teraz, kiedy potrzebował wyobraźni i śmiałych pomysłów. Przygotowywał już argumenty obrony dla oficerów Wydziału Śledczego, którzy będą go przesłuchiwali w przypadku niepowodzenia. Krzywił się na samą myśl o tym, że wszystko zależy od danych zmagazynowanych w głównych bankach komputera Wydziału Rejestrów i Archiwów. Nie miał jednak innego wyjścia. Żadnego wyboru. Nikogo, kto mógłby mu cokolwiek wyjaśnić.

Były, naturalnie, także inne problemy. Jeśli nie pozwoli trójce dysydentów, agentów amerykańskich czy angielskich, na wykonanie ich kluczowych czynności przy samolocie, to lot próbny jutro się nie odbędzie.

Odkaszlnął i zaczął się zastanawiać. Bał się szpiegów, próby sabotażu na oczach Andropowa i sekretarza generalnego...

Postanowił, że przeznaczy co najmniej dwie godziny przed przybyciem samolotu dygnitarzy na przesłuchanie dysydentów. Spojrzał na zegarek. Dziesiąta piętnaście. Nie mógł się doczekać lądowania. Chciałby już być na miejscu, działać.

* * *

Inspektor Tortiew przeglądał fotograficzne dossier Alexandra Thomasa Ortona. Rozłożył zdjęcia na blacie biurka nie dbając o to, gdzie i kiedy zostały zrobione, i wybierał je losowo. Od pół godziny podnosił i odkładał kolejne fotografie, przyglądał się im i porównywał ze sobą. Jego niewielkiemu zespołowi trzy godziny zajęło zebranie pełnego zestawu. Wykorzystali rozmaite źródła w Zarządzie Drugim

KGB. Odmówiono mu jednak dostępu do komputera, co wydłużyło i utrudniło analizę. Podejrzał, że maszynę wykorzystywano do jakiejś bardzo ważnej analizy danych. Mieli szczęście, że dotarli choćby do tych zdjęć, które jego ludzie musieli ręcznie wyszukiwać w aktach.

Raz jeszcze, jak wtedy, gdy oglądał buty, Tortiew pojmował, że te zdjęcia mają niezwykle znaczenie. Bezwiednie wybrał dwa: jedno zrobione Ortonowi dwa dni temu na Szeremietiewie, drugie półtora roku temu, na jednej z ulic Moskwy, gdy wychodził ze sklepu. Obserwowano go wtedy w ramach rutynowego nadzoru, a Tortiew nie interesował się jeszcze działalnością angielskiego handlowca. Inspektor podał obie fotografie siedzącym po drugiej stronie biurka Chołokowowi i Filipowowi, oczekującym w ciszy wyników jego rozmyślań.

— Co o tym myślisz? — spytał Chołokow, któremu Filipow zaglądał teraz przez ramię.

Gruby milicjant przyglądał się zdjęciom przez dłuższą chwilę, wreszcie pokręcił głową.

— Czego ode mnie oczekujecie, towarzyszu inspektorze? — zapytał.

— Żebyś powiedział, co naprawdę myślisz — uśmiechnął się Tortiew — choć przyznaję, że to niezwykle polecenie.

— Hmm — Chołokow spojrzał na Filipowa, podsunął mu zdjęcia i stwierdził: — To nie jest ten sam człowiek.

— Dobrze, Chołokow, dobrze... Zgadzasz się z nim, Filipow? Milicjant spojrzał z powątpiewaniem.

— Ja... nie jestem pewien, towarzyszu inspektorze.

— Oczywiście. Ale ja jestem. Ty też, Chołokow? — Grubas przytaknął. — A to nasuwa pytanie, prawda? Który z tych dwóch został zabity?

— Skąd możemy wiedzieć? Są bardzo podobni — odparł Filipow.

— Są podobni, bo są tak samo ucharakteryzowani! — rzucił Tortiew. — Zmasakrowali mu twarz, żebyśmy się nie domyślili, że w tę sprawę zamieszanych było dwóch ludzi. A czemu było ich dwóch?

Chołokow zastanawiał się, Filipow milczał. Tortiew wyszedł zza biurka i zaczął spacerować po pokoju. Nagle odniósł wrażenie, że musi działać szybko, choć nie

potrafił powiedzieć, skąd się wzięło. Wydało mu się, że duszą go ściany własnego gabinetu. Spojrzał na zegar. Była dziesiąta trzydzieści.

— Co z tym agentem KGB, znalezionym wczoraj wieczorem na stacji Komsomolskiej? — zwrócił się do Chołokowa. — Kto go zabił?

— Może jeden ze współników Ortona? — odezwał się Filipow.

— Dlaczego nie sam Orton? Przecież wcale nie zginął. — Tortiew pochylił się nad Filipowem. — Dlaczego nie sam Orton?

Filipow wzruszył ramionami, jakby nie miał pojęcia, co powinien odpowiedzieć.

— Kim są współnicy Ortona? Mamy tych ludzi, których zatrzymaliście, zwykłe śmieci, wszystkie ich dane są w aktach Ortona. Przeszukaliście ich mieszkania i kryjówki. Co znaleźliście? Nic! Zupełnie nic!

Odszedł od biurka i zastanawiał się głośno.

— Gdzie jest Orton? Gdzie oni go schowali? Dlaczego chcieli stworzyć wrażenie, że nie żyje? Żebyśmy zgubili trop? Gdyby tylko o to chodziło, to czemu nie zginął w Londynie, gdzie nie moglibyśmy wszystkiego dokładnie sprawdzić, gdzie nie mielibyśmy najważniejszego dowodu rzeczowego — zwłok? — przerwał, odwrócił się, przeszedł przez pokój. Chołokow i Filipow siedzieli w milczeniu, słuchając wywodów swego szefa. — Nie. Rozwiązanie leży gdzie indziej. Orton musiał zniknąć tutaj, w granicach Związku Radzieckiego, w Moskwie. Dlaczego?

Znów zatrzymał się na moment. Po chwili mówił dalej, ale z nutą podniecenia w głosie. Obaj podwładni zauważyli to natychmiast.

— Gdybyśmy nie byli przekonywani, że pan Alexander Thomas Orton przemycą narkotyki, to co byśmy pomyśleli? No? Uwzględniając wszystko, co się wydarzyło. Włącznie z zabójstwem człowieka KGB, które dowodzi determinacji tamtych. Dwa morderstwa — fałszywy Orton i jeden z naszych.-.. Biorąc to wszystko pod uwagę, co byśmy pomyśleli?

Patrzył na nich wyczekująco. Chciał, by sami doszli do tych samych wniosków co on, niepewny przeskoku myślowego, jakiego dokonał. Miał nadzieję, że ich umysły będą pracować podobnie.

Chołokow odchrząknął głośno, przepraszająco, irytująco.

— Że jest szpiegiem? — zapytał.

— Dokładnie! — rozpromienił się Tortiew. — Jest agentem brytyjskiego albo amerykańskiego wywiadu. Narkotyki przesłoniły nam prawdę. A teraz zniknął. Z jakiego powodu? Gdzie jest... i co zamierza?

Żaden z jego podwładnych nie miał ochoty na przedstawienie dalszych pomysłów. Tortiew zebrał fotografie i ruszył do drzwi.

— Chołokow, pójdziesz ze mną. Komputer powinien przeanalizować tę twarz i to natychmiast. Może uda się coś znaleźć w centralnym rejestrze znanych i przypuszczalnych agentów. — Obejrzał się na Filipowa. — A ty skontaktujesz się z naszymi ludźmi w ambasadzie brytyjskiej. Powołasz się na mnie i powiesz, że to bardzo pilne. Chcę wiedzieć, z kim kontaktował się Orton. I to zaraz!

Filipow kiwnął głową, ale za inspektorem i jego grubym pomocnikiem zamknęły się już drzwi. Milicjant podniósł fotografię, która wysliznęła się Tortiewowi, i przyjrzał jej się w skupieniu. Przedstawiała Ganta, nie Fentona. Filipow patrzył na nią przez chwilę obracając w palcach tak, by blask świetlówki pod sufitem padał na twarz mężczyzny. Martwił się czymś i niepokoił.

Wiedział, że już niedługo Tortiew zacznie wypytywać informatorów KGB zatrudnionych w kuchni, przy sprzątaniu i w sekretariacie brytyjskiej ambasady, dowie się o licznych powiązaniach między Edgecliffe'em i Lansingiem a tym człowiekiem Fentonem, udającym Ortona. Fenton był agentem Intelligence Service z Londynu. Tym razem przyleciał do Moskwy bez przebrania, jako zwyczajny turysta na wycieczce. Zjawił się w ambasadzie godzinę przed swoją śmiercią, by na krótko wyjść stamtąd jako Orton. Ktoś mógł go zauważyć i skojarzyć pewne fakty. Mogli nawet stwierdzić, że nieznajomy, który zgodnie z planem wycieczki odjechał zamiast Fentona do Leningradu, nie był tym samym człowiekiem, który wylądował na Szeremietiewie.

Filipow wiedział, że trzeba zawiadomić Edgecliffe'a. I to szybko. Wstał z krzesła. Nie mógł dzwonić z gabinetu Tortiewa, gdyż linia z pewnością była na podsłuchu. I nie mógł opuścić budynku, ponieważ inspektor mógł wrócić już za kilkanaście minut. O ile wiedział, o tej porze rozmowy z telefonów „towarzyskich”, jak je nazywano, w świetlicy na piętrze nie powinny być podsłuchiwane. Musiał zaryzykować. Musiał skontaktować się z Edgecliffe'em, zanim Tortiew uzyska jakieś informacje od agentów w ambasadzie.

Bezszelestnie zamknął za sobą drzwi gabinetu.

Zmuszony wyraźnym rozkazem szefa wywiadu, znanego jako „C”, Kenneth de Vere Aubrey musiał na pewien czas opuścić biuro SO-4, swojej sekcji operacji specjalnych Intelligence Service, i przenieść się do specjalnie przygotowanego i w pełni bezpiecznego pomieszczenia w budynku Ministerstwa Obrony. Nie podobало mu się tam. Razem ze swoim zastępcą, Shelleyem, zajmował pokój z teleksem i telefonami zabezpieczonymi przed podsłuchem. Przez prawie cały dzień i wieczór znosili tu masę map, pokrywających teraz ściany: europejska część Rosji, Morze Barentsa, część Morza Arktycznego, plan ulic Moskwy i sieć moskiewskiego metra. Wszystkie obszary lądowe i wodne, na których toczyć się miała akcja. Później w pokoju zjawiono się dwóch nowych lokatorów. Byli nimi Amerykanie: Buckholz i jego zastępca, Anders. Zajęli oba niewielkie biurka, z wyraźną pogardą patrząc na składane stoliki, które dodał do wyposażenia gabinetu Aubrey. Shelley, wracając z wyprawy do kuchni, zastał Buckholza rozmawiającego przez czerwony telefon. Anders stał na drabinie i obok mapy obszarów arktycznych przypinał zdjęcie tych samych terenów pochodzące z satelity meteorologicznego. Mapa, podobnie jak pozostałe, obramowana była takimi fotografiami. Nie to jednak zwróciło uwagę Shelleya, lecz mapa europejskiej części Rosji, nad którą pracował Buckholz. Aubrey nie pozwalał tu wchodzić nikomu oprócz siebie, Shelleya i pary Amerykanów, którzy zjawili się kilka minut po ósmej. W Londynie była teraz pierwsza w nocy, w Moskwie — czwarta.

Shelley podszedł do Aubreya i spojrzał do góry, na wielką mapę. Zamiast czystych konturów widział teraz coś, co — choć oddalone o tysiące mil — wzbudziło w nim lęk i zwątpienie. Oczyma wyobraźni zobaczył Ganta, stojącego z wojowniczym wyrazem twarzy w małym hotelowym pokoiku. Żałował głupiej, złośliwej niechęci, jaką czuł wtedy do Amerykanina.

To, co widział Shelley, było graficznym obrazem informacji Buckholza na temat rosyjskiego systemu obrony, przez który musi przebić się Gant, nawet jeśli uda mu się wystartować Firefoxem z Biljarska. Większość z tych rzeczy już znał, ale widok kolorowych szpilek i pasków wstrząsnął nim do głębi.

Szerokie pętle żółtej tasiemki sięgały głęboko w tereny polarne u szczytu mapy. Oznaczały praktyczny zasięg rosyjskiego systemu wczesnego ostrzegania, najmniej ważnego ze wszystkich problemów Ganta. Co innego przyciągało wzrok Shelleya: linie

szpilek oznaczających znane i przypuszczalne bazy myśliwców oraz wyrzutnie ракет. Na każdym z tych lotnisk przez dwadzieścia cztery godziny na dobę czeka kilkanaście myśliwców gotowych do startu w kilka minut. Bazy, zaznaczone niebieskim kolorem, ciągnęły się wzdłuż północnego wybrzeża Związku Radzieckiego od Murmańska i Archangielska na zachodzie do półwyspu Tajmyr na wschodzie — półtora tysiąca mil w odstępach powyżej stu mil jedna od drugiej.

Poniżej tych szpilek widział dwa pasy czerwonych kółek, oznaczających bazy rakietowe, oddalone od siebie o niecałe sto mil. Rozmieszczone były w tym samym pasie. Każda z nich dysponowała kilkunastoma raketami klasy ziemia-powietrze, zbliżeniowych lub samonaprowadzających, startujących z betonowych wyrzutni. Shelley wiedział, że choć nie zaznaczone, między każdą parą krążków obu pasów znajdowały się wyrzutnie samobieżne, po kilka w kolumnie. Systemy radarowe, umieszczone w każdej bazie, łączyły się z układem centralnym, przetwarzającym informacje dostarczane przez system wczesnego ostrzegania dalekiego zasięgu.

Shelley jak zahipnotyzowany wpatrywał się w dwa ciągi czerwonych kółek, jeden wzdłuż brzegu, drugi trzysta mil w głąb lądu. Wyglądały jak klasyczny plan bitwy z dwoma armiami stojącymi w równoległych liniach. Ale w tym przypadku były to armie pocisków kierowanych, połączonych z radarem, badającym każdą stopę sześcienną przestrzeni powietrznej Związku Radzieckiego. Gant musi nad nimi przelecieć, a potem uciec przed myśliwcami, postawionymi w stan alarmu zaraz po porwaniu Firefoxa.

Do tego, myślał Shelley, Buckholz nie zaznaczył jeszcze pozycji radzieckich „trawlerów” szpiegowskich, krążowników rakietowych Floty Północnej i tras okrętów podwodnych na Morzu Arktycznym i Morzu Barentsa.

Zauważył, że Aubrey przygląda mu się badawczo.

— No i co, Shelley? Dużo tego? — zapytał spokojnie.

— Za dużo! — wyrzucił z siebie Shelley. — O połowę za dużo, do cholery! On nie ma żadnych szans!

Spuścił głowę widząc irytację Aubreya, który nie lubił okazywania emocji.

— Biedaczysko — mruknął do siebie.

4.

Maskowanie

Gant był zmęczony, lecz nie potrafił uspokoić myśli. Baranowicz i kobieta, kochanka Kreszyna, krzatali się wokół niego i dopasowywali przebranie. Sam Kreszyn siedział w niewielkim fotelu i obserwował Amerykanina, tak jakby usiłował się czegoś nauczyć ze sposobu, w jaki tamten się poruszał albo stał nieruchomo.

Gant z niepokojem obserwował rosnące w nim napięcie i podniecenie. Nie tak powinien wszystko odczuwać. Choć jednak starał się kontrolować własne emocje, nie umiał powstrzymać lękliwych wejrzeń w mroczną otchłań kilku najbliższych godzin.

Przebranie, kiedy się nad nim zastanawiał, uznał za nieuniknione. Istniał tylko jeden sposób, by przedostać się przez gęstą sieć posterunków, gdzie żołnierze wypatrywali wszystkiego, co choć trochę odbiegało od normy. Musiał się stać częścią tej sieci. Baranowicz powstał z klęczek, cofnął się. Z rękami na biodrach przypominał krawca podziwiającego swą nową kreację. Gant prawie automatycznie obciągnął mundur, poprawił pas i spojrzał w lustro. Czapka, którą miał na głowie, kryła świeżo obcięte włosy. Musiały być krótkie, by kontakty wewnątrz hełmu lotniczego, poprzez które sterował uzbrojeniem, mogły pochwycić jego prądy mózgowe i przekazać je do radaru, rakiet lub działka.

Pod czapką widział obojętną, szczupłą, zmęczoną twarz — obcą, mimo że nie poddano jej charakteryzacji. Niewielkie ścienne lustro odbijało jeszcze kołnierzyk brązowej koszuli, ciemny krawat i jasne odznaki na klapach kurtki.

— Doskonale — oznajmił wreszcie Baranowicz. — Natalia przerobiła go trochę i teraz pasuje.

Ponad ramieniem Ganta uśmiechnął się do kobiety, siedzącej na poręczy fotela Kreszyna z ręką wokół jego szyi, jak gdyby potrzebowała ciepła. Coś w mundurze zdawało się ją niepokoić, zmuszać do szukania fizycznego kontaktu z kochankiem.

— Kapitan Grigorij Czechów, przydzielony do Pomocniczego Oddziału Zabezpieczenia GRU, aktualnie pod rozkazami...

— ...majora Czernika z KGB, odpowiedzialnego za bezpieczeństwo zakładów — dokończył Gant uśmiechając się kącikiem ust. Baranowicz kiwnął głową.

— Co o nim sądzisz, Ilja?

— Bardzo... przekonujący — odparł Kreszyn, ściskając dłoń dziewczyny na swoim ramieniu. — W każdym razie wystraszył Natalię, prawda? — spojrzał na nią i uśmiechnął się. Kobieta bezskutecznie usiłowała odpowiedzieć uśmiechem. — Ona cię bierze za prawdziwego oficera, a przecież sama pomagała w tej przebierance!

Kreszyn wybuchnął śmiechem i pocieszająco poklepał dziewczynę po rękę.

— Pamięta pan resztę danych? — upewnił się Baranowicz. Gant przytaknął. — To dobrze. Teraz proszę usiąść albo pospacerować, żeby się przyzwyczaić do munduru. Niech pan wypnie pierś.

W błękitnych oczach Baranowicza lśniła złośliwa niemal uciecha. Gant uśmiechnął się i przeszedł dookoła pokoju. Naukowiec przyglądał mu się z uwagą.

— Nie... z kciukami zatknietymi za pas, o tak — zademonstrował, a Gani powtórzył jego ruch. — Teraz dobrze. Proszę nie zapominać, że mogą pana rozpoznać tylko wtedy, gdy będzie pan inny, niż tego oczekują. A oczekują kapitana, który jest arogancki, obojętny i rzeczowy. Jeśli trafi się możliwość, niech pan objedzie jednego czy dwóch za jakiś drobiazg: guzik przy mundurze albo palenie na służbie.

Gant skinął głową. Baranowicz był ekspertem — wygląd ludzi z KGB czy GRU poznał dokładnie w ciągu długich, gorzkich lat. Gant odrzucał własną osobowość i bez sprzeciwu przyjmował polecenia specjalisty.

Niech pan teraz usiądzie. Wygląda pan całkiem nieźle. Prawda, Ilja?

Gant przetarł dłonią siedzenie pustego fotela i spojrzał na końce palców szukając kurzu. Potem usiadł, całkowicie odprężony, założywszy nogę na nogę. Nie patrząc na Rosjan wyjął z kieszeni srebrną papierośnicę i złotą zapalniczkę. Przedmioty takie mógł kupić wyłącznie w luksusowym sklepie dla pracowników KGB przy placu Dzierżyńskiego, naprzeciw Centrali. Potem wziął w usta amerykańskiego papierosa, zapalił, głośno wypuścił dym, zdjął kawałek tytoniu z czubka języka, wreszcie odwrócił głowę i kamiennym wzrokiem zmierzył Kreszyna. Młody człowiek głośno zaklaskał.

— Zadziwiające — oświadczył Baranowicz. — Jakie to melodramatyczne... i jakie realistyczne!

Cień przemknął mu po twarzy, jakby przypomniawszy sobie coś przykrego. Zaraz jednak uśmiechnął się znowu i spojrzał pogodnie.

— Znakomity spektakl. Ma pan talent, panie Gant. Bez żadnego przygotowania potrafi pan stać się inną osobą. Gant z lodowatą uprzejmością skłonił głowę.

— Opowiedzcie, co widzieliście na tej przechadzce zakochanych — polecił ostro, zwracając się do Kreszyna. To nie była prośba, ale rozkaz. Doszedł do wniosku, że może wykorzystać zbędną adrenalinę, pompowaną przez gruczoły, by lepiej wczuć się w postać Czechowa. Miał w kieszeni wszystkie podrobione dokumenty: najważniejszą, żółtą legitymację GRU, rozkaz wyjazdu i całą resztę. Nie pytał, jak je wykonano, jak zorganizowano wszystkie niezbędne drobiazgi. Baranowicz był ekspertem, działającym pod wpływem nienawiści i ponaglanym przez własne ego. Rezultaty okazały się znakomite.

— Wzmocniono straż przy bramie — odparł z uśmiechem Kreszyn. — To normalna grupa żołnierzy KGB, tyle że jest ich więcej. Nie użyli ludzi z Pomocniczego Oddziału Zabezpieczenia. Pewnie dlatego, że Czernik poczuł się urażony wezwaniem GRU. Jak zwykle.

— Co z zewnętrznym ogrodzeniem?

— Wieże strażnicze są zapchane do granic możliwości. Wewnątrz ogrodzenia chodzą patrole z psami, mniej więcej co dziesięć minut. Nawiasem mówiąc, ogrodzenie jest podwójne i kiedy pan tam dojdzie, psy będą już spuszczone. Nikt przy zdrowych zmysłach nie próbowałby wtedy przecinania drutów. Wieże strażnicze stoją co jakieś sto metrów. Wyminie pan co najmniej cztery.

— Musi pan sprawiać wrażenie, że sprawdza druty — wtrącił Baranowicz. — I proszę pamiętać, żeby krzyknąć do żołnierzy na wieżach, rozbudzić ich. Mów dalej, Ilja.

— Samo przejście jest dobrze oświetlone i będą pana widzieć już z daleka. Zewnętrzna brama to zwykły szlaban z budką strażniczą. Musi pan pokazać papiery. Wartownicy będą ciekawi, bo pana nie znają, ale naszywki GRU na mundurze uciszą wszelkie podejrzenia. Za szlabanem trafi pan na zamkniętą bramę z siatki. Strażnicy są za nią. Zanim otworzą, jeszcze raz zażądają okazania dokumentów.

— A otworzą? — spytał cicho Gant.

— Nie ma się o co martwić. Sprawdziliśmy obowiązujące papiery i legitymacje oficerów GRU z grup specjalnych. Pańskie są w najlepszym porządku wyjaśnił Baranowicz.

Gant kiwnął głową. Baranowicz mówił dalej, a Kreszyn wciąż poklepywał opartą na jego ramieniu dłoń Natalii.

— Kiedy będzie pan już wewnątrz, proszę możliwie szybko przejść przez lotnisko. Może pan nie zwracać uwagi na śmigłowce. Nie zainteresują się człowiekiem w mundurze. Kiedy znajdzie się pan przy posterunku przed wejściem do budynku administracji, jak już wspominałem, połączonego z hangarem, gdzie stoi Firefox, jeszcze raz zażądają dokumentów. Ale ponieważ będzie pan wchodził do siedziby KGB w Biljarsku, nikt nie pomyśli, że nie ma pan tam nic do roboty. W środku skieruje się pan do szatni pilotów na piętrze. O tej porze powinna być pusta.

— A gdzie jest pilot... Wosków? — wtrącił ostro Gant.

— W tej chwili? — Kreszyn demonstracyjnie spojrzał na zegarek. — W łóżku.

— Ma kwaterę w wydzielonej części miasta, gdzie mieszkają ludzie z KGB i inni godni zaufania członkowie zespołu. — W głosie Baranowicza zabrzmiała pogarda, jakby na moment odsłonił ciemny zakamarek swej duszy. — Tam są ci, którzy pracują nad antyradarem. Dlatego nie mamy żadnych informacji na ten temat.

— Ale przyjdzie do szatni? — nie ustępował Gant.

— Tak. Musi się tam przebrać. Może też coś zje, ale na ogół przed startem nie ma apetytu. A pan, panie Gant? — oczy Baranowicza błysnęły.

— Też nie, ale lubię się przespać.

— Naturalnie. Wychodzimy o drugiej trzydzieści. Ma pan tylko kilka godzin.

— Nieważne — Gant stłumił ziewnięcie i zmusił się do koncentracji. — Chcę powtórzyć wszystko jeszcze raz.

— Straże?

— Nie. Samolot. System uzbrojenia, blok tylnej osłony, wszystko. Proszę mówić.

Gant wyczuł nagle oba poziomy własnych reakcji. Na powierzchni było podniecenie, ulga, że nie musi już myśleć o swoim wcieleniu w oficera GRU, napięcie związane z Firefoxem, płonące jak żądza. W głębi wyczuwał dziwny opór wobec pozostania na jawie, niewyraźną chęć znalezienia się w ciemności, z pustym umysłem.

Po raz pierwszy w życiu zapragnął wrócić do Szpitala Weteranów. Było to uczucie, którego wolał nie analizować.

* * *

Dmitrij Priabin i Aleksiej Tortiew znali się. Nie byli przyjaciółmi, ale ukończyli tę samą szkołę KGB. Byli rówieśnikami, trzydziestolatkami, i pracowali w tej samej komórce. Działo się to, zanim Priabin, uznany za bardziej obiecującego, został adiutantem Kontarskiego w Wydziale „M”. Tortiew, którego błyskotliwy umysł nie budził zaufania i który w związku z tym nie miał wielkich szans na awans, przeniósł się do sekcji KGB moskiewskiej milicji, do służby bezpieczeństwa.

Było więc rzeczą zupełnie naturalną, że kiedy spotkali się w chłodnym pomieszczeniu, gdzie pracowali operatorzy głównego komputera, w podziemiach budynku przy Dzierżyńskiego, po omówieniu własnych karier i skrytykowaniu przełożonych, zaczęli rozmawiać o sprawach, jakimi się aktualnie zajmowali.

Niezwykły przypadek sprowadził ich tutaj równocześnie. Taka rozmowa była przywilejem młodszych oficerów, którzy znaleźli się z dala od zwierzchników i których podniecały możliwości, jakie kryły prowadzone sprawy. Wyżsi urzędnicy KGB, podobnie jak dawniej w Czece i NKWD, zawsze byli niechętni tego typu zawodowym ploteczkom, całkiem naturalnym w siłach policyjnych innych krajów i społeczeństwach. Zasada ta miała gwarantować absolutną tajność, na pozór konieczną w działaniach tajnej policji. Mimo to grupa młodych w KGB, do której należeli Priabin i Tortiew, obdarzeni wysoką inteligencją absolwenci Uniwersytetu im. Lenina w Moskwie, przejawiała — w oczach swych przełożonych — zaskakujący sceptycyzm wobec świętych celów służby. Szczególnie w kwestii plotek. Pojmowali, w przeciwieństwie do skostniałego dowództwa, że wymiana pomysłów z nawiązką wynagradza złamanie nakazu absolutnej tajności. Priabin, siedzący w fotelu w poczekalni obok ekranowanego, sterylne pomieszczenia, w którym zapalały się rzędy światełek kontrolnych i wirowały szpule z taśmami, o tym właśnie mówił Tortiewowi.

— Nie rozumiem, Aleksiej, ile tracą przez ten sztywny podział. Prawica nigdy nie wie, co robi lewica.

Tortiew przekazał już swój plik fotografii w ręce jednego z ubranych na białe operatorów i czekał tylko, aż rysy twarzy Ortona zostaną przetłumaczone na język

komputera i otrzyma informację, jak długo potrwa analiza. Teraz z powagą kiwnął głową. Na jego wargach pojawił się uśmiech zrozumienia.

— Szczera prawda — przyznał. — Weź nas, dla przykładu.

— Zgadza się. W końcu obaj szukamy obcych agentów.

Umilkli. Priabin zapalił długiego angielskiego papierosa, Tortiew obgryzał paznokcie. Priabin odwiedzał pokój programistów przez całe popołudnie i wieczór, jakby cierpiał na rodzaj obsesji. Wierzył, że jeśli pojawi się tutaj z irytacją wyraźnie widoczną na twarzy, operatorzy zmuszą komputer do szybszego działania. Jak dotąd maszyna nie odpowiedziała na jego pytanie: kim był mężczyzna jadący ciężarówką z Upieńskim. A przecież miała do dyspozycji dane, opisy, możliwe charakteryzacje, całą bibliotekę identyfikacji dla każdej twarzy, sugestie, jak można te twarze zmienić. Dysponowała też wiedzą o aktualnych miejscach pobytu, o ile tylko były znane, tysiący rozpracowanych i przypuszczalnych agentów amerykańskich, europejskich, izraelskich. Nawet państwa Układu Warszawskiego i rozwijające się kraje Afryki miały swoje miejsce w blokach pamięci jako potencjalni przeciwnicy KGB.

Priabin był zły na komputer. Przedstawił mu trywialny problem, taki jaki duża grupa ludzi rozwiązałaby w tydzień. Zastanawiał się, po co właściwie wymyślono maszyny, skoro ta tutaj nie jest w stanie podać mu odpowiedzi, której oczekiwał. Gniewnie zaciągał się papierosem. Milczeli obaj, lecz Priabin pragnął, by Tortiew naprawdę mógł mu pomóc... Czym właściwie tak się martwi? Jakimś ciałem ze zmasakrowaną twarzą wyłowionym z Moskwy?

— Kogo właściwie szukasz? — zapytał, nie tylko dla podtrzymania rozmowy czy z ciekawości, ale by oderwać się od swych ponurych myśli. Kontarski dotarł już pewnie do Biljarska i puszy się jak indor, gorliwą kontrolą środków bezpieczeństwa próbując rozproszyc własne wątpliwości. A on, jego adiutant, został tu sam z tą paskudną sprawą. Co właściwie Kontarski mu powiedział tuż przed odlotem, chyba dwudziesty raz, odkąd zobaczył tę przekłętą fotografię człowieka, który nazywał siebie Głazunowem i który wyskoczył znikąd jak jakiś diablik? Co to było? „Znajdź go, Dmitrij. W twoim własnym interesie, i w moim także. Znajdź go jeszcze dzisiaj.” Tak właśnie powiedział.

Skrzywił się niechętnie. Dmitrij Priabin działał wyłącznie w interesie Dmitrija Priabina. Znajdzie tego człowieka, jeśli tylko ten piekielny komputer się nie rozleci. We własnym interesie.

— Ach... — odparł zamyślony Tortiew. — Właśnie chciałbym się tego dowiedzieć od naszej wspaniałej maszyny. Znam go jako Ortona...

Priabin zmarszczył czoło i zapytał:

— A co on właściwie zrobił?

— Zainteresował mnie jako przemytnik narkotyków — odparł urażonym tonem Tortiew. Priabin skinął głową i zdawało się, że stracił zainteresowanie dla problemu kolegi. Tortiew mówił dalej, zirytowany tym, że człowiek, z którym chodził razem do szkoły, uznał jego sprawę za nieważną.

— Dziwne jest to, że ten Orton, który, jak nam się wydawało, zginął z ręki jednego ze swoich wspólników, nie jest człowiekiem, który dwa dni temu wylądował na Szeremietiewie.

Priabin wyprostował się nagle.

— Kiedy? — warknął.

— Dwa dni temu...

— A kiedy... zginął? — głos Priabina drżał z podniecenia. Powtarzał sobie, że to tylko zbieg okoliczności, ale w myślach wyciągał już wnioski z tej zbieżności dat.

— Tej samej nocy.

— Złapaliście ich?

— Zajęliśmy się wszystkimi znanymi nam wspólnikami Ortona i nie znaleźliśmy niczego, co pozwoliłoby nam powiązać ich z morderstwem — wyjaśnił Tortiew zadowolony, że wreszcie zaciekał czymś Priabina. Nie rozumiał tylko, czemu tamten jest taki podniecony.

— Kto go zabił, Aleksiej?

— Nie wiemy... Właściwie nie wiemy nawet, kto zginął.

— Co?

— To, co powiedziałem. Ten, którego zabili, nie był tym, który zjawił się na lotnisku razem z paszportem i dokumentami z naszej londyńskiej ambasady.

— Więc kim był, do diabła? Kim byli obaj? Tortiew bezradnie rozłożył ręce.

— Poprosiłem o pomoc nasz wspaniały, rewolucyjny komputer właśnie po to, żeby to wykryć. Priabin kiwnął głową.

— Rozumiem — stwierdził tonem tłumionego podniecenia. — Uważasz, że był podstawiony.

Tortiew przytaknął.

— Dlaczego?

— Jest tylko jedna możliwość. Ten, który przyleciał dwa dni temu, jest agentem, a trup miał zatrzeć jego ślady.

Priabin klepnął się w czoło. Zaczerwieniony ze zdenerwowania, pobałdł nagle tknięty niepewnością. Uśmiechnął się do Tortiewa.

— Co się stało z ludźmi, którzy... pozostawili ciało?

— Uciekli.

— Gdzie?

— Na najbliższą stację metra, na Pawielecką.

— A potem?

— Nigdzie. Zgubili się... ludziom stąd i milicji. Zresztą nikt wtedy nie szukał Ortona.

— Szukamy pewnego człowieka — powiedział wolno Priabin. — Z całą pewnością agenta. Pojawił się nagle w ciężarówce wyjeżdżającej z Moskwy wczoraj wczesnym rankiem... — zbladł nagle jak ściana. — Zaczekaj... — szepnął, jakby po raz pierwszy uświadomił sobie, na co natrafił. — Zaczekaj...

Tortiew wyraźnie doszedł do tych samych wniosków, co zadowoliło i uspokoiło adiutanta Kontarskiego.

— Myślisz...?

— Nie ma śladu po tak wyglądającym człowieku, który przyjechał do Związku Radzieckiego w ciągu ostatnich dwóch tygodni. Może jest u nas dłużej, ale jeśli nawet, to jak się tu dostał? Kazałem sprawdzić na komputerze wszystkich znanych i prawdopodobnych agentów amerykańskich i brytyjskich i porównać ich z fotografią.

— A ja szukam Ortona... — dodał Tortiew. — Gdzie jest teraz ten twój agent?

— W Biljarsku.

— Rany boskie! Chcesz powiedzieć...

— ...że pewnie wszedł już do wnętrza kompleksu jako ktoś zupełnie inny.

— Żeby co zrobić?

— Kto wie? Może wysadzić ten cholerny samolot? Tortiew spojrzał na Priabina. Po raz pierwszy dostrzegł u niego lęk, który pojawił się w miejsce niedawnego entuzjazmu. Ktoś zastukał w drzwi.

— Tak! — rzucił z roztargnieniem Priabin.

Do pokoju wszedł młody, zgarbiony osobnik w przybrudzonej białym fartuchu, z plikiem fotografii w ręku. Stał przed Priabinem, najwyraźniej dumny ze swojej pracy, lecz niepewny, jak zareaguje porucznik KGB.

— Nie znaleźliśmy waszego poszukiwanego... — zaczął.

— Nie znaleźliście?

— Nie. Nie ma go w rejestrach ani u Amerykanów, ani u Brytyjczyków.

— Więc zacznijcie sprawdzać...

— Udało się nam — mówił dalej młody człowiek, spoglądając zza okularów w rogowej oprawie na plik zdjęć — przygotować serię jego portretów w różnych charakterystykach, nie wymagających zabiegów chirurgicznych ani wyraźnego makijażu. Sprawdzamy je teraz, bo może pojawi się gdzieś w przebraniu. Obawiam się jednak, że to potrwa dość długo.

Priabin spojrzał na niego ponuro i zmarszczył brwi.

— No to bierzcie się do roboty.

Młody człowiek uznał, że nieźle wybrnął z sytuacji, odwrócił się i wyszedł, zostawiając Priabinowi zdjęcia. Porucznik przerzucał je bezmyślnie.

— No? — spytał Tortiew siadając na krawędzi krzesła.

— Co no?

— Obejrzyj te zdjęcia, chłopie!

— Niby po co?

Tortiew przeszedł po ciemnym dywanie, zabrał mu fotografie i przejrzał je. Raz czy dwa razy spojrzał uważniej, wracał do poprzedniej, wreszcie odłożył wszystkie. Priabin śmiał się w duchu z jego irytacji, dopóki nie spostrzegł wyrazu twarzy kolegi i zauważył, że zatrzymał jedno zdjęcie.

— To on. To Orton — stwierdził cicho Tortiew, pokazując portret zmęczonego, wąsatego osobnika w okularach. — To on...

Priabin słuchał w oszołomieniu. Stukanie do drzwi sprawiło, że skoczył na równe nogi, jakby go na czymś przyłapano. Do pokoju wszedł zdyszany Chołokow w

nie dopiętym płaszczu z podniesionym kołnierzem, czerwony ze zmęczenia. Tortiew zostawił go w restauracji na piętrze centrali, gdzie jedzenie było równie dobre jak w wielkich moskiewskich hotelach, a o wiele tańsze. Zauważył, że Chołokow zalał sobie herbatą krawat, zresztą krzywo zawiązany.

— O co chodzi? — spytał ostro wstając.

— Stieczko... — wysapał Chołokow — ...dzwonił z komendy. Ten cholerny, mały Żyd, Filipow, kontaktował się z ambasadą brytyjską.

— Co?!

— Tak. Telefon w świetlicy był na podsłuchu, a on właśnie stamtąd dzwonił. Stieczko przyprowadził go do waszego gabinetu. Tortiew przez chwilę przetrawiał otrzymaną informację.

— Wszystkie twoje problemy zostały rozwiązane za jednym zamachem, co, Dmitrij? — zwrócił się do Priabina. — Ten cholerny zdrajca musi wiedzieć, kim jest Orton i po co pojechał do Biljarska. Chciał ostrzec Anglików, że jesteśmy na tropie. Teraz mamy go w ręku.

Priabin uśmiechnął się z niedowierzaniem.

— Chodźmy — powiedział. — Twój samochód czeka? Tortiew przytaknął.

— Pojadę z wami. Za twoim pozwoleniem.

— Naturalnie, Dmitrij.

Kiedy gruby Chołokow zamykał za nimi drzwi, Priabin dodał:

— Oto, do czego przydają się plotki, Aleksiej... bardzo się przydają! Klepnął kolegę po ramieniu i obaj roześmieli się głośno.

* * *

Priabin ze słuchawką w ręku stał przy biurku Tortiewa i czekał na połączenie z sekcją szyfrów w Centrum. Spoglądał w kąt pokoju na zakrwawionego, nieprzytomnego Filipowa, którego tylko związane za oparciem krzesła ręce chroniły przed upadkiem na podłogę. Jego smagła, ascetyczna twarz była opuchnięta i podrapana, skóra wokół zamkniętych oczu popękała i zsiniała. Po brodzie spływała krew spomiędzy połamanych zębów, z rozbitej wargi i nosa złamanego ciosem potężnej pięści Chołokowa. Stieczko i Chołokow stali obok jak wyłączone maszyny,

oczekując dalszych rozkazów. Tortiew chodził tam i z powrotem po pokoju. Była pierwsza w nocy.

Priabin nie przejmował się specjalnie tym, co robiły goryle Tortiewa. Musieli pracować szybko, może zbyt brutalnie, jak na jego gust, lecz Tortiewowi wyraźnie to nie przeszkadzało. Może był zły na Filipowa, ponieważ mu ufał... a może po prostu dlatego, że Filipow był Żydem. Antysemityzm nie był w KGB czymś niezwykłym.

Priabin przede wszystkim skontaktował się z Kontarskim — to było najważniejsze. Zameldował, że mężczyzna w ciężarówce jest obcym agentem i że spodziewa się szybkich wyników przesłuchania zdrajcy Filipowa. O dwunastej pięćdziesiąt musiał dzwonić do szefa jeszcze raz, by zawiadomić, że Filipow niczego nie powiedział, choć przyznał się, że jest brytyjskim agentem i wyśpiewał całą historię werbunku przez attache kulturalnego, Lansinga. Filipow mówił, ale nie to, co powinien.

Tak więc Kontarski nadal nie wiedział, jak aktualnie wygląda człowiek znany Filipowowi jako Orton, mimo że Priabin przesłał mu zdjęcia Ortona. Miał już zresztą fotografie pasażera Upieńskiego, wykonane na punktach kontrolnych w Moskwie, Kazaniu i Gorkim i pilnie przesłane przez telefoto do miejscowych biur KGB.

Priabin stwierdził, że jego szef wpada w panikę. Wiedział, że żywa bomba znalazła się już w Biljarsku, ale nie miał pojęcia o mechanizmie zegara, zasięgu ani mocy wybuchu... Był bezradny. Zażądał przesłania wszystkich portretów Ortona zestawionych przez komputer. Transmisja zakończyła się przed chwilą.

Teraz interesowało go coś innego. Chciał, gdy tylko zgłosi się sekcja szyfrów, przesłać zakodowane instrukcje do ambasad w Londynie i Waszyngtonie, żądając, by rezydenci KGB przekazali informacje, opisy i okoliczności pojawienia się wszystkich nowych osób w centrali CIA w Langley i w Ministerstwie Obrony w Londynie oraz rozmaitych biurach Intelligence Service w tym mieście. Wiedział, że nie ma dużych szans, ale musiał spróbować. W najlepszym wypadku dane o odwiedzających strzeżone sztaby obu organizacji będą niepełne i niepewne. Jednak w przeciwieństwie do Tortiewa, który najwyraźniej nie potrafił zapomnieć ani zostawić w spokoju pobitego, zakrwawionego milicjanta, Priabin przypuszczał, że Filipow nie wie, kim jest człowiek, który był Ortonem, a potem podawał się za Głazunowa. Jediną nadzieją było znalezienie śladu, który pozwoliłby odgadnąć, jakiego rodzaju agentem był tajemniczy obcy. Dzięki temu mógłby przewidzieć cel jego działań w Biljarsku.

— Halo... tu Priabin z Wydziału „M” Zarządu Drugiego — rzucił do mikrofonu. Tortiew spojrzał na niego, po czym odwrócił głowę. — Z upoważnienia pułkownika Kontarskiego proszę nadać następujące polecenia dla naszych rezydentów w Londynie i Waszyngtonie...

Rozmowa trwała ledwie kilka minut. Kiedy skończył, w zamyśleniu odłożył słuchawkę. Spojrzał w stronę Filipowa i spostrzegł, że Tortiew usiłuje doprowadzić go do przytomności, by dalej prowadzić przesłuchanie.

— Zaczekaj chwilę, Aleksiej — powiedział. — Mam pewien pomysł. Będę musiał jeszcze raz zadzwonić.

Tortiew niechętnie, jakby z żalem odwrócił się od Filipowa.

— O co chodzi? — zapytał.

— Zreasumujmy to, czego się do tej pory dowiedzieliśmy. Sprawdziliśmy wszystkich znanych nam albo podejrzanych agentów większości zachodnich służb wywiadowczych, które mogłyby interesować się Biljarskiem i są w stanie zorganizować taką operację.

Tortiew kiwnął głową.

— Ponieważ ten człowiek był sprytny, założyliśmy, że to znakomity agent, jeden z ich najlepszych ludzi... a to oznacza, że komputer powinien już go znaleźć. Zgadza się?

— Owszem. Musi więc być nowy. Chyba że trzymali go w rezerwie na tę jedną misję. Jest dostatecznie ważna.

— Masz rację, cholera — przyznał ponuro Priabin.

— Otóż to. Więc dlaczego ciągle nic o nim nie wiemy? I gdzie właściwie mamy szukać?

— Dokładnie to samo pomyślałem. Jak mówiłem: albo jest czołowym agentem, albo wcale nim nie jest.

— Musi być... przy tej skali akcji maskującej — Tortiew kiwnął głową w kierunku skulonej postaci pobitego milicjanta. — Wykorzystali Filipowa wiedząc, że mogą go stracić. Poświęcili jeszcze jednego człowieka, kierowcę ciężarówki. To dwóch. Brytyjczycy dbają o swoich ludzi i bez potrzeby nie wystawiają ich na ryzyko.

— Nie... nie chciałem powiedzieć, że nie pracuje dla Brytyjczyków albo Amerykanów, ale że zwerbowano go specjalnie na tę akcję. Spójrz na całą sprawę z

innej strony. A jeśli on nie przyjechał po to, żeby dokonać sabotażu? W końcu niby po co? O ile wiemy, Amerykanie są tak daleko z tyłu, że potrzebują co najmniej dziesięciu lat, żeby osiągnąć poziom Miga-31, mimo że cztery lata temu Bielenko podarował im Miga-25 — Priabin zniżył głos do konspiracyjnego szeptu, kątem oka spoglądając na Stieczkę i Chołokowa. Obaj demonstracyjnie zajęli się bezwładnym ciałem Filipowa, badając je drobiazgowo jakby w parodii oględzin zwłok.

— Zgoda. Sądząc po tym, co mi mówiłeś...

— No właśnie. Nasza służba przejęła większość informacji przekazywanych przez siatkę w Biljarsku do Londynu i Waszyngtonu poprzez tutejszą ambasadę. Dlatego Anglicy i Amerykanie chcą wiedzieć więcej. Chcą sprawozdania z pierwszej ręki o tym, co się dzieje, może nawet fotografii i zeznań naocznego świadka...

— Chcesz powiedzieć, że... to ekspert?

— Tak — głos Priabina zabrzmiał głośniejsze. — Co zrobimy, jeśli przysłali eksperta lotnictwa, który wie, na co patrzeć i jakie pytania zadawać?

— Boże... to może być ktokolwiek... ktoś, kogo nawet nie znamy! Przez chwilę panowała cisza.

— Nie przypuszczam, żeby on coś wiedział — Priabin wskazał ruchem głowy Filipowa, który jęknął wracając do przytomności.

— Ale mógł wiedzieć — stwierdził Tortiew. — Zresztą — dodał groźnym tonem — jeszcze nie skończyłem z tym żydowskim zdrajcą!

— Rób jak chcesz — Priabin wzruszył ramionami — ale nie zaczynaj, dopóki nie zatelefonuję. Chcę sprawdzić na komputerze cały amerykański i brytyjski przemysł lotniczy.

— To potrwa parę godzin... — zaprotestował Tortiew.

— Nie dłużej, niż zajmie twoim małpoludom wyduszenie czegośkolwiek z Filipowa. Nie sądzę, żeby podali mi wiele nazwisk. Niewielu jest ludzi zdolnych do takiej operacji, jak przerzucenie go do Biljarska. Zresztą zadzwonię, a potem możesz wracać do metod fizycznych.

Tortiew wahał się przez moment, po czym on z kolei wzruszył ramionami, a Priabin podniósł słuchawkę.

Reflektor znalazł go wcześniej. Pięćdziesiąt jardów przed bramą pochwycił go w swój promień i Gant szedł dalej w tunelu białego, oślepiającego światła. Starał się robić wrażenie obojętnego, lecz nieco poirytowanego. Wystudiowanym gestem osłonił oczy. Każdy krok mógł być ostatnim, nogi mogły odmówić posłuszeństwa. Zmuszał je do działania, choć jego upór i motywacja przestawały funkcjonować niby wyłączona maszyna. Znowu czuł ucisk w żołądku. Wiedział, że pot pokrywa mu czoło, a dłonie drżą. Nagle uświadomił sobie zagrożenie. Czuł się tak, jakby załamała się w nim siła woli i pojął, że nie da sobie rady. To było gorsze niż lot; było jak podskoki wyrzuconej na brzeg ryby.

— Dokumenty! — odezwał się głos, a Gant spostrzegł zaskoczony, że jest już przy szlabanie. Strażnik mierzył do niego z karabinu. — Dokumenty!

Głos Ganta zabrzmiał słabo i chrapliwie, jak zgrzyt sprężyny w starym zegarze, który ma wybić godzinę.

— Mówi się: „Proszę o dokumenty, towarzyszu kapitanie”. Rozumiecie? — warknął.

Wartownik wyprostował się. Czegoś takiego oczekiwał od oficera GRU, choć nie znał jego twarzy.

— Dokumenty proszę, towarzyszu kapitanie — powtórzył posłusznie.

Gant podał mu papiery z żółtą legitymacją GRU na wierzchu. Strażnik przeczytał je uważnie. Gant wiedział, że musi teraz zapalić papierosa, żeby się uspokoić, żeby zająć czymś ręce, które mogły go zdradzić. Tak spokojnie, jak tylko potrafił, sięgnął do bocznej kieszeni i wyjął papierośnicę. Zapalił i zaciągnął się głęboko, dusząc się gryzącym dymem. Wypuścił go z ulgą i stłumił odruch kaszlu. Rozejrzał się badawczo.

Przy bramie było sześciu wartowników, znieruchomiałych w nienaturalnych pozach w ostrym blasku zalewającym ogrodzenie i otwartą przestrzeń za nim. Czerwono-biały szlaban nie podnosił się, a dwóch umundurowanych strażników KGB stało za nim jak obojętne posągi, kierując w jego stronę lufy karabinów. Po obu stronach przejścia ustawiono budki strażnicze, co wywoływało wrażenie przejścia granicznego. W drzwiach każdej z nich stał żołnierz. Szósty strażnik zajął miejsce za plecami tego, który oglądał jego dokumenty. Gant zbadał wzrokiem naszywki i insygnia na mundurach; wartownicy należeli do KGB, nie do Oddziału Zabezpieczenia

GRU — jednostki, której według dokumentów podlegał Gant. Przynajmniej nie będą zaskoczeni, że nie znają jego twarzy.

— Dlaczego jesteście na zewnątrz ogrodzenia, towarzyszu kapitanie?

Gant milczał przez chwilę.

— Wy macie swoje rozkazy — powiedział wreszcie — a ja mam swoje. Wiecie przecież, że kręci się tu obcy agent — pochylił się, i z uśmiechem spojrzał strażnikowi w oczy. — A może nie wiecie?

— Tak — przyznał niechętnie żołnierz. — Zostaliśmy uprzedzeni.

— Znakomicie. Proponuję więc, żebyście ściągnęli tu psa i przez najbliższe parę godzin regularnie sprawdzali tamten zagajnik.

Obserwował oczy żołnierza. Na nich skoncentrowała się cała jego świadomość. Widział, jak wolno, nieskończenie wolno przemija chwila zagrożenia. Żołnierz stanął na baczność.

— Tak jest, towarzyszu kapitanie. Znakomity pomysł.

Gant dotknął palcami daszka czapki. Wciąż uśmiechał się ironicznie. Na znak wartownika szlaban uniósł się i postać w budce strażniczej weszła do wewnątrz, zapewne, by poinformować ludzi przy drugiej bramie, że oficer został przepuszczony. Skinął głową i ruszył przed siebie, czując nagłą słabość w nogach, jak gdyby oddzieliły się od reszty ciała.

Wirnik śmigłowca załomotał głośno, jakby nagle Gantowi powrócił słuch. Spojrzał w górę, starając się nie zdradzać podniecenia. Dotarł do zamkniętej ciągle bramy. Dalej stał wartownik z bronią gotową do strzału. Po chwili z budki wyszedł drugi i dał znak, że można bezpiecznie otworzyć wrota. Gant wyjął z kieszeni legitymację, rzucił niedopałek na ziemię i zgniótł go obcasem. Przybrał pozę irytacji, z rękami wspartymi o biodra i ściągniętymi gniewnie wargami. Z ulgą spostrzegł, że strażnik wchodzi w swój rutynowy wzorzec zachowania. Widział przed sobą oficera, któremu winien był posłuszeństwo.

Przepuścili go, nie przez duże, podwójne wrota, ale przez małą furtkę. Gant z irytacją skinął głową i przeszedł. Furtka zamknęła się z trzaskiem. Nie zatrzymał się, by spojrzeć na strażników, lecz ruszył ścieżką wzdłuż pasa startowego, w stronę hangaru. Tylko tak mógł zareagować na nagły zastrzyk adrenaliny, choć z trudem powstrzymywał się od biegu. Wartownicy przy bramie pewnie już o nim zapomnieli.

Mimo to czuł na plecach ich spojrzenia. Koszula na karku lepiła się od potu. Puls dudnił w uszach zmuszając do działania, do biegu...

Zszedł ze ścieżki i wkroczył na pas startowy. Spojrzał szybko w obie strony. Hangar był coraz bliżej. Ruszył betonową drogą kołowania, odnogą właściwego pasa startowego.

Wirnik zahuczał mu nad głową, podmuch powietrza szarpnął kurtkę, zatrzepotał nogawkami spodni. Przytrzymał ręką czapkę i podniósł głowę. Zobaczył otwarte drzwi śmigłowca i czyjaś twarz za nimi. Pomachał ręką jak człowiek, który ma pełne prawo przebywać w tym miejscu. Maszyna zatoczyła ciasny krąg, twarz rozjaśniła się w uśmiechu, pomachała czyjaś ręka i śmigłowiec odleciał. Gant mocno nasadził czapkę na głowę i ruszył dalej.

Zostało mu jeszcze niecałe sto jardów. Wyraźnie widział strażników stojących przed hangarem, plamy światła padającego na beton, słyszał brzęk metalu. Potem w miejscu, gdzie droga kołowania skręcała i biegła dalej prosto, rozwarły się przed nim wrota hali. Poczuł przyspieszone bicie serca, nowy zastrzyk adrenaliny... ale nie tak jak przedtem, nie dlatego, że strach uciskał mu żołądek. Teraz była to euforia i podniecenie. Nie mógł stanąć, by z otwartymi ustami gapić się do wnętrza hangaru, ale spojrzał szybko, błyskawicznie chłonąc szczegóły, niby dziecko przed wystawą sklepową. Gant był właściwie człowiekiem o jednostronnych zainteresowaniach. W jego charakterze nie było nic skomplikowanego. Jedyna rzecz, jaką zawsze robił doskonale, to pilotowanie samolotów. Teraz w błyszczącym ostrymi światłami hangarze ujrzał Firefoxa. Wydłużony dziób celował lekko w górę i ku niemu, maleńkie figurki krzątały się przy lśniącem kadłubie. Dwa czarne wloty powietrza rozwierały się przed nim, ostre krawędzie skrzydeł zdawały się sunąć w jego stronę... Odwrócił się. Ten krótki przystanek nie był niczym niezwykłym u człowieka, który był tutaj nowy i przyleciał dopiero poprzedniej nocy.

Innego rodzaju krzątania trwała przy drzwiach, prowadzących do budynku KGB, stojącego tuż przy hangarze. To jak symbol, pomyślał Gant, ogarnięty niezwykłym dla siebie, poetyckim nastrojem. W miejscach narodzin radzieckich osiągnięć zjawiało się KGB, jakby złączone pępowiną. Gdy się zbliżył, strażnicy przy drzwiach stanęli na baczność i przez moment zastanawiał się, czy to on wzbudził ich szacunek. Ale drzwi stanęły otworem, przytrzymywane przez wartownika wewnątrz budynku, i Gant stanął twarzą w twarz z pułkownikiem KGB Michaiłem Kontarskim,

szefem ochrony zakładów. Wyprostował się w postawie na baczność i wyciągnął dłoń do daszka. Przed sobą widział niskiego, szczupłego, zmęczonego mężczyznę. Zauważył wyraz zmartwienia w jego oczach, nerwowe spojrzenia na boki. Kontarski spojrzał na Ganta.

— Słucham, kapitanie? — rzucił niecierpliwie.

Gant pojął swoją pomyłkę. Kontarski był przekonany, że chce coś zameldować. Za nim stał Czernik i przyglądał mu się zdziwiony. Widział obcą twarz, a Gant wiedział, że dla Czernika nie powinien być obcym. Powinien go spotkać, gdyby naprawdę przyleciał wczoraj z oddziałem GRU, a przynajmniej widzieć jego fotografię w teczce osobowej.

Groza sytuacji uderzyła go z pełną siłą, ściskając i skręcając żołądek. Niecałe sto jardów dzieliło go od celu, a wpadł prosto w ramiona szefa ochrony.

— Towarzyszu pułkowniku, bez waszej zgody poleciłem sprowadzić psa na posterunek przy bramie, żeby dokładnie przeszukać zagajnik — głos Ganta brzmiał spokojnie, choć wymagało to najwyższego wysiłku. Słyszał w mózgu wrzask nakazujący odwrócić się i uciekać.

Kontarski zdawał się przez moment nie rozumieć, co mówił ten kapitan GRU, jakby myślał o czymś innym. Wreszcie skinął głową.

— Dobry pomysł, kapitanie. Dziękuję wam.

Kontarski musnął daszek czapki końcami palców i ruszył dalej. Gant opuścił rękę, by zaraz zaszutować znowu, gdy mijał go Czernik. Z przytłaczającą ulgą zdał sobie sprawę, że zastępca dowódcy zaakceptował jego meldunek. Nie wyglądał już na zdziwionego. Skinął krótko głową i przeszedł. Gant dosłyszał jeszcze fragment ich rozmowy.

— Pora zgarnąć Dżerkowa. Pozostałych już mamy. Zgadza się, Czernik? — mówił Kontarski.

— Tak, towarzyszu pułkowniku, oczywiście. Natychmiast się tym zajmę. Jego żonę także.

Więcej Gant nie usłyszał. Wszedł do budynku. Wartownicy stali na baczność, póki nie zamknęły się za nim drzwi. Oparł się o ścianę korytarza. Ułga i odprężenie ogarnęły go z taką siłą, że nie zauważył stojącego obok strażnika, dopóki ten się nie odezwał:

— Dobrze się czujecie, towarzyszu kapitanie? Gant spojrzał zaskoczony. Wartownik widział bladą, lśniąca od potu, ściągniętą twarz, rękę przyciskającą żołądek... i mundur.

— To... chyba .niestrawność. Chyba mam wrzody — dodał dla większej wiarygodności.

— Może się czegoś napijecie? — żołnierz był zatroskany.

Gant pokręcił głową. Musiał iść, zaraz. Incydent mógł zapaść w pamięć, tak jak jego twarz; wartownik opowie całą historię w kantine, gdy tylko zejdzie ze służby. Bez większego sukcesu próbował się uśmiechnąć.

— Nie, dziękuję wam. To tylko atak... — uznał, że zachowuje się zanadto po ludzku, reaguje tak, jakby naprawdę miał wrzód żołądka. Poprawił kurtkę i nacisnął mocno czapkę. Spojrzał na żołnierza gniewnie, jakby ten okazał brak szacunku zauważając kłopoty oficera, po czym ruszył korytarzem. Buty stukały głośno po linoleum. Przed sobą widział schody do kasyna oficerskiego i szatni pilotów.

Kiedy wchodził na górę, a obrazy ostatnich kilku minut wolno bladły w pamięci i zwalniał gorączkowy puls, pomyślał z nadzieją, że Dżerkow, ten kurier, nie zna chyba jego wyglądu. Spojrzał na zegarek. Nie było jeszcze trzeciej. Zastanawiał się, jak wytrzymałym i odważnym człowiekiem jest ten sprzedawca.

* * *

W wydzielonej centrali operacyjnej Aubreya było ich teraz pięciu: do dwóch ludzi CIA i dwóch przedstawicieli Intelligence Service dołączył mężczyzna w mundurze marynarki wojennej USA, komandor Eugene Curtin, z biura Szefa Sztabu Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych. To właśnie Curtin odpowiadał za organizację tankowania Firefoxa, naturalnie przy założeniu, że Gantowi uda się go porwać zgodnie z planem i odlecieć we właściwym kierunku — na północ, ku Morzu Barentsa.

Curtin przekroczył czterdziestkę. Był mocno zbudowany i kurtka munduru ciasno opinała mu plecy i ramiona. Miał włosy ścięte krótko jak rekrut, szeroką, kwadratową twarz o grubych rysach i przenikliwe niebieskie oczy. Właśnie skończył wprowadzać poprawki na wielkiej mapie akwenów polarnych, gdzie zaznaczono ostatnie znane pozycje rosyjskich okrętów. Aubreyowi wydało się, że jest ich bardzo

dużo... za dużo, do cholery, jak by powiedział Shelley. Curtin przyniósł też nowy zestaw zdjęć satelitów meteorologicznych, uaktualnione prognozy pogody i wyniki zebrane przez liczne samoloty wywiadowcze i meteorologiczne lotnictwa strategicznego, latające nad akwenami leżącymi na północ od Rosji. Spojrzał na Aubreya, przyglądającego się naniesionym na mapę poprawkom.

— Fatalnie to wygląda, co? — uśmiechnął się.

Aubrey milczał, nie odrywając wzroku od mapy. Nie odpowiadała mu ta irytująca szczerść Curtina, typowa dla wszystkich Amerykanów, jakich spotkał w pracy wywiadowczej, czy to operacyjnej, czy też analitycznej. Mieli denerwujący talent do mówienia wprost. Tymczasem założenie, że Gant nie ma najmniejszych szans, nie prowadziło do niczego. Takie ponure rozważania można było stłumić tylko w jeden sposób: nie wybiegać myślami zbyt daleko w przyszłość, skupić się wyłącznie na sprawach bieżących.

Aubrey łyknął przyniesionej przez Shelleya herbaty i z kamienną twarzą przyglądał się mapie.

Curtin przysiadł się do biurka Buckholza i jego zastępcy, Andersa. Obaj zajęci byli analizą raportów meteorologicznych i porównywaniem ich z ostatnimi pozycjami rosyjskiej floty rybackiej, które przekazał telefonicznie kontradmirał Philipson.

— I jak? — spytał cicho Curtin, kątem oka obserwując Aubreya. Buckholz podniósł głowę.

— Całkiem nieźle — odparł tym samym konspiracyjnym szeptem. Podniósł filiżankę, wypił resztkę kawy i skrzywił się stwierdziwszy, że zupełnie wystygła. Podał pustą filiżankę Andersowi, który wyszedł, by ją napełnić.

— Pogoda może się zmienić ot, tak — Curtin pstryknął palcami.

— Od czterech dni jest dobra — zauważył Buckholz.

— To niczego nie oznacza — stwierdził pesymistycznie Curtin. — Najwyżej tyle, że mamy do dyspozycji o cztery pogodne dni mniej. Buckholz zmarszczył czoło.

— Jak bardzo może się popsuć?

— Tak, że „Prymus” nigdy nie znajdzie paliwa, które mu będzie potrzebne. O ile w ogóle wystartuje z Biljarska. Jakie informacje dostał Aubrey?

— Nie wiem. Nasi brytyjscy przyjaciele nie dają sobie zaglądać w karty.

Curtin przytaknął.

— Aha... tylko nie wiem dlaczego. A jeśli już mowa o „Prymusie”... jakie ma szansę?

— Jakieś ma... — stwierdził niechętnie Buckholz. — Ci faceci Aubreya w Biljarsku nie są durniami.

— Nie mówię, że są. Ale słyszałem, że KGB też się zna na robocie. Jeśli wpadną na to, że posłaliśmy do Biljarska pilota, to „Prymus” nawet się nie zbliży do tego diabelnego samolotu.

— Wiem — przyznał Buckholz z nagłą irytacją. Curtin go rozzłościł. Był zbyt otwarty, zbyt obiektywny. Wpadł tu późno, jak zimny wiatr, rozdmuchując ciepłą, zamkniętą otoczkę subiektywności czterech specjalistów z wywiadu. Czasem zdarzała się odpowiednia chwila na odrobinę fałszywej nadziei. Taka chwila nadeszła właśnie teraz.

— Przepraszam — Curtin wzruszył ramionami. — Jestem tylko gońcem z marynarki. Przekazuję wiadomości.

— Tak. To też wiem.

Curtin zmierzył wzrokiem stertę papierów na biurku Buckholza.

— Rany, przecież to zupełna amatorszczyzna.

— Naprawdę?

— Pewno. Zastanawiam się, czemu całe planowanie zostawiliście Brytyjczykom. Poważnie.

— Dlatego, chłopie, że mają ludzi na miejscu.

— Ale przecież... tak wiele zależy... od tylu ludzi...

— To się nazywa: element zaskoczenia.

— Chcesz powiedzieć, że wszyscy będą zaskoczeni, jeśli się uda? — Curtin ironicznie podniósł brew.

— Może... może... — Buckholz zaczął przeglądać dokumenty, dając tym do zrozumienia, że uważa rozmowę za zakończoną. Curtin przyglądał mu się z ciekawością.

Wiedział, że Buckholz przetrzymał, a nawet awansował po czystkach, jakie nastąpiły po aferze Watergate w rezultacie badania działalności CIA przez komisję Kongresu. Właśnie wtedy, jako szef Wydziału Operacji Tajnych, zajął miejsce w koterii najbliższych doradców dyrektora Agencji. To on, zapalony do pomysłu

Aubreya, aby porwać nowego Miga, z uporem buldoga przeforsował zgodę na pierwsze przygotowania, zaplanował operację tankowania, nadzór radarowy, niezbędne wsparcie ze strony lotnictwa strategicznego i floty. Przekonał szefa sztabu marynarki, by przydzielił mu Curtina do czasu zakończenia „Operacji Wyrwa”. Curtin nie był mu za to szczególnie wdzięczny, bo mimo że zyskał ogromną, choć chwilową władzę, to cała akcja mogła dopisać słowo *finito* do jego marynarskiej kariery. Wolał o tym nie myśleć.

Szczegóły ruchów rosyjskich okrętów na Morzu Barentsa i Morzu Arktycznym, które przed chwilą naniósł na mapę, wzbudziły u Curtina poważne wątpliwości. Lepiej niż ktokolwiek znał siłę Floty Północnej Marynarki Radzieckiej i wiedział, jak szybko i pewnie potrafi ona działać przeciwko każdemu intruzowi w akwenie, uznawanym przez Kreml za wody terytorialne Związku Radzieckiego. Jak dotąd okręt z paliwem nie został wykryty, a przynajmniej nie zauważono żadnych ruchów skierowanych przeciwko niemu, co powinno oznaczać to samo. Ale w zamieszaniu po kradzieży samolotu, kiedy zaczną dokładne poszukiwania z użyciem radarów i sonarów... kto wie?

Idąc w stronę ekspresu do kawy, stojącego na wózku w kącie pokoju, Curtin spojrzał na Buckholza, który demonstracyjnie starał się go ignorować.

— Chłopie, on nie ma najmniejszej szansy... — stwierdził. — Żadnej szansy.

* * *

Była trzecia trzydzieści, gdy podpułkownik Jurij Wosków dotarł do szatni pilotów na drugim piętrze budynku służb bezpieczeństwa, połączonego z hangarem Firefoxa. Zatrzymał się tuż za drzwiami i sięgnął ręką, by zapalić światło. Kiedy jego dłoń natrafiła na inną, zasłaniającą wyłącznik, brakło mu czasu, by zaskoczenie zmieniło się w lęk. Natychmiast bowiem otrzymał straszliwy, morderczy cios tuż za uchem. Nie zobaczył swojego zabójcy. Podłoga trafiła go w twarz, gdy padał po uderzeniu, które odrzuciło go na środek pomieszczenia.

Gant włączył światło i podszedł do bezwładnego ciała. Rozcierał bolącą od ciosu rękę. Potem, jakby w odprężeniu, nerwy jego ciała eksplodowały nagle. Zaczął dygotać jak liść na wietrze. Zdołał zabić Woskova z zimną krwią, gołymi rękami, w co nawet Buckholz nie wierzył. Drżał jednak cały i minęło chyba kilka minut, zanim

zdołał uklęknąć spokojnie przy zwłokach. Delikatnie, jak lekarz, poszukał pulsu, którego już nie było. Wosków był martwy.

Gant przewrócił ciało na plecy i spojrzał w twarz Rosjanina. Wosków był starszy od niego, może trochę po czterdziestce. Gant nie czuł wyrzutów sumienia. Po prostu usunął z szachownicy zbędny pionek, to wszystko. Teraz zastanawiał się jedynie, czy Wosków dobrze latał.

Przypomniawszy sobie, co jeszcze zostało do zrobienia. Przeciągnął zwłoki po dywanie do rzędu wysokich, wąskich szafek ustawionych pod ścianą. Tam rzucił je na podłogę, znalazł w kieszeni kurtki uniwersalny klucz, który dał mu Baranowicz, i otworzył drzwiczki. Szafka była pusta, jak tego oczekiwał. Jak kazano mu oczekiwać. Przytrzymując drzwiczki nogą wcisnął do wnętrza głowę i ramiona zabitego. Potem, jakby w groteskowym, dynamicznym tańcu wykonywanym w zwolnionym tempie, szarpał zwłoki w górę, aż stanęły jak żywe. Szybko zamknął szafkę, słysząc głuchy stuk, gdy ciało Woskowa opadło na drzwiczki. Potem schował klucz.

Otworzył inną szafkę i obejrzał wiszący w niej skafander ciśnieniowy. Należał do Woskowa. A Wosków miał prawie taką samą budowę ciała, a w każdym razie wystarczająco podobną, by Gant mógł wykorzystać jego kombinezon. Na szczęście był to nieco zmodyfikowany, ale zupełnie zwyczajny lotniczy skafander ciśnieniowy. Gdyby to był jeden z tych szytych na miarę ubiorów kosmicznych, jakie robią w NASA, to najmniejsza różnica w sylwetce, wadze czy budowie nie pozwoliłaby mu go użyć.

Zadowolony, Gant zaczął zdejmować mundur kapitana GRU. Była trzecia czterdzieści sześć nad ranem. Czuł, jak napięcie, niby pięść, uderza go w żołądek. Rozpinając koszulę, sprawdził jeszcze przylepiony pod pachą sygnalizator, który we właściwym czasie miał go wezwać do hangaru.

Zostało mu jeszcze dwie i pół godziny.

5.

Wyrwa

Kontarski spojrział na złoty zegarek. Była czwarta. Ze swojego miejsca przy otwartych wrotach hangaru przyglądał się uważnej, choć gorączkowej krzątaninie. Wartownicy zauważyli go — nie tylko ci przy bramie, ale i stojący na posterunkach bliżej samolotu pilniej zaczęli obserwować otoczenie. Wielu techników i naukowców nie zwróciło na niego uwagi. Dostrzegł jednak, że Kreszyn podniósł głowę i mruknął coś do stojącego obok Siemiełowskiego. Baranowicz był tylko zgarbioną sylwetką, schowaną do połowy w otwartej kabinie; wydawał instrukcje technikowi siedzącemu w fotelu pilota Miga-31.

Kontarski nie żywił wobec samolotu żadnych uczuć natury estetycznej czy militarnej. Aerodynamiczne linie, potęga silników czy wielkie wloty powietrza stanowiły dla niego jedynie problem bezpieczeństwa. I w tej kwestii podjął wszelkie możliwe działania.

Powinien właściwie odczuwać zasłużoną dumę. Nie potrafił. Zachowywał się spokojnie, lecz całą noc walczył z wewnętrznym chłodem. Stojąc przy wrotach hangaru przeżuwał tabletkę przeciw niestrawności, lecz miał wrażenie, że wcale nie skutkuje.

Prototyp Produkcyjny Pierwszy stał teraz o niecałe trzydzieści metrów od niego. Z tyłu, w głębi wielkiego hangaru, czekał drugi samolot, PP 2, ignorowany przez zespół pracowitych techników.

Kontarski zastanawiał się, czy porozmawiać ze strażnikami przy samolocie, ale zrezygnował z tego pomysłu. Wszyscy byli specjalnie dobierani, a zanim objęli służbę, on sam udzielił im dokładnych instrukcji. Sprawdzać ich teraz byłoby błędem, świadczącym o braku pewności siebie. Kontarski wiedział o tym. Niechętnie przekroczył pasmo światła padającego przez otwarte wrota i podszedł do żołnierza swojej obstawy zajętego rozmową z wartownikiem przy drzwiach budynku. Skinął na niego i ruszył w stronę drugiego hangaru, w którym zbudowano Miga-31. Był teraz zamknięty i pogrążony w ciemnościach, ale nie zaszkodzi, jeśli pilnujący go strażnicy jeszcze raz przeszukają wnętrze.

Wiedział, że Priabin próbuje w tej chwili osaczyć obcego agenta. W miarę, jak mijały godziny nocy, coraz bardziej wierzył w teorię swojego adiutanta: przybysz musi być kimś w rodzaju technicznego eksperta przysłanego, by porozmawiał z Baranowiczem i innymi, zanim zostaną aresztowani, co musiało nastąpić zaraz po zakończeniu prób. Pewnie także miał obserwować same próby, jeśli tylko będzie to możliwe. Jaki sprzęt, poza własnymi oczami, przywiózł ze sobą szpieg, Kontarski nie miał pojęcia. Przechodząc przez jasno oświetloną, otwartą przestrzeń między hangarami wyrżał za ogrodzenie; szukał jakiegoś punktu obserwacyjnego, z którego agent mógłby bez przeszkód obserwować pas startowy. Nie zauważył najmniejszego pagórka, żadnego wzniesienia gruntu.

Natychmiast po zakończeniu kontroli hangaru produkcyjnego każe wysłać za ogrodzenie patrol z psem — na wszelki wypadek.

Mimo to czuł jednak, że ten człowiek jest już wewnątrz, gdzieś niedaleko, zamaskowany. Trzeba będzie przeszukać jeszcze raz cały teren.

* * *

Baranowicz obserwował, jak postać, w której rozpoznał Kontarskiego, przesuwając się przez czarne pasmo nocy i oddalając się w stronę hangaru produkcyjnego. Kiedy znów spojrzał w dół ze swojego miejsca na najwyższym szczeblu drabinki, opartej o kadłub Firefoxa, zobaczył szeroką twarz mechanika siedzącego w fotelu pilota. Uśmiechał się do niego. Baranowicz, z całym spokojem, na jaki potrafił się zdobyć, odpowiedział uśmiechem. Mechanik spodziewał się dostrzec u niego lęk czy chociaż niepokój. Rozczarowany, zmarszczył czoło i wrócił do pracy. Sprawdzał kolejno wszystkie obwody systemu kierowania uzbrojeniem. Część tablicy przyrządów po lewej stronie była usunięta, odsłaniając płataninę przewodów i płytek drukowanych. Pod kierunkiem Baranowicza proces kontroli wolno posuwał się do przodu.

Baranowicz wiedział, że mechanik pracuje dla KGB. Już kilka miesięcy temu, gdy tylko udoskonalili i zainstalowali system, nad którym musiał pracować jeszcze w więzieniu dla naukowców w Mawrino, przydzielono mu do zespołu tego człowieka. Nazywał się Grosz i był bardzo zdolnym elektronikiem, synem niemieckiego

uczonego, schwytanego przez żołnierzy Armii Czerwonej na początku 1945 roku. Nie było bardziej lojalnego członka partii niż on.

Baranowicz nie czuł gniewu wobec tego człowieka. Ani za to, że jego ojciec był nazistą, ani za to, że on sam pracował dla służby bezpieczeństwa. Gdyby Gant mógł teraz widzieć jego twarz, zobaczyłby na niej ten sam wyraz bólu, mądrości, żalu i oddalenia, jaki widział w mieszkaniu Kreszyna. Baranowicz spojrzał dyskretnie na zegarek: cztery minuty po czwartej. Rozejrzał się, korzystając z tego, że Grosz był zajęty sprawdzaniem płytki drukowanej. Wiedział już, jak odwrócić uwagę straży, gdy nadejdzie właściwy moment.

Spojrzał ponad ogonem Firefoxa w miejsce, gdzie wciśnięty w kąt hangaru stał drugi prototyp. Pograżony w cieniu samolot, choć wyglądał niepozornie, nie tak groźnie jak ten, przy którym pracowali, był w pełni zatankowany i gotów do startu na wypadek jakiegokolwiek ataku lotniczego na zakłady. Prototypy, modele produkcyjne, myśliwce jednostek liniowych — wszystkie stojące na ziemi radzieckie samoloty wojskowe przez pełne dwadzieścia cztery godziny znajdowały się w stanie gotowości.

Kiedy więc Gant wystartuje, siedząc w kabinie pierwszego samolotu, mogą zrobić tylko jedno: wysłać za nim drugi. Naturalnie, nastąpi pewne opóźnienie, zanim da się go w pełni uzbroić... może godzina, wliczając najszybszą z możliwych kontrolę elektroniki i systemów. Ale drugi prototyp może tankować paliwo w powietrzu, w przeciwieństwie do Ganta, który musi w tym celu lądować. Jeśli on, Kreszyn i Siemielowski nie zdołają wykluczyć z akcji drugiego samolotu, Gant zostanie doścignięty i zestrzelony przez jedyny myśliwiec zdolny tego dokonać — Prototyp Produkcyjny Drugi.

Baranowicz znał rozwiązanie tego problemu: pożar. Pożar w hangarze spowoduje panikę i pozwoli Gantowi, bez wzbudzania podejrzeń, zająć miejsce i dokołować na pas. Dwie pieczenie przy jednym ogniu, pomyślał. Bezpieczny start Ganta i uniemożliwienie pościgu. W hangarze było tyle paliwa, oleju, drewna i innych materiałów palnych, że podłożenie ognia nie powinno sprawiać kłopotu. Pożar był jedną z ewentualności, którą omawiał z Kreszynem i Siemielowskim. Teraz musi ich zawiadomić, że podjął decyzję.

Baranowicz nie zastanawiał się, czy Gant przeżyje lot. Nie wykryją go radary, więc Rosjanie będą potrzebować kontaktu wzrokowego, zanim wypuszczą pociski samosterujące czy zbliżeniowe, lub wyślą za nim samolot. Spojrzał w stronę ogona,

gdzie Siemielowski nadzorował montaż specjalnego systemu, będącego od początku do końca jego własnym dziełem. Kreszyn pracował z nim jako asystent. Blok ogonowy był niezwykle skutecznym układem antyrakietowym i zakłócającym. Siemielowski twierdził, że wszystko będzie działać, choć system sprawdzano jedynie w próbach naziemnych. Dzisiaj miał to być element lotu i pilot powinien użyć tego sprzętu. Baranowicz wiedział, że Gantowi będzie potrzebny.

Cały problem polegał na wybraniu odpowiedniego momentu. Samolot sekretarza generalnego miał dotrzeć na miejsce o dziewiątej. Zanim to nastąpi, wszyscy trzej zostaną aresztowani. Pracę zakończą najpóźniej o szóstej trzydzieści, a to oznaczało, że muszą zacząć akcję nie później niż o tej właśnie godzinie. Baranowicz postanowił omówić konieczne czynności podczas najbliższej przerwy, o piątej.

Wartownicy byli tak ostrożni, że kiedy godzinę temu wyszedł do toalety na końcu hangaru, jeden z nich oderwał się od ściany i ruszył za nim. Nawet nie udawał, że przyszedł za potrzebą, po prostu stał i przyglądał się. Za parę minut Grosz powinien znaleźć ten uszkodzony tranzystor zasilacza, pomyślał Baranowicz. Dzięki temu kontrola potrwa dłużej.

Nagle napłynęło wspomnienie czegoś, co przypominało obecną sytuację, choć wolne było od lęku. Miał wtedy na sobie taki sam kombinezon, choć brudny i poplamiony olejem. Temperatura spadła poniżej zera i ręce grabiły z zimna. Pochylił się nad kabiną Miga, starego, wojennego Miga, w hangarze bazy lotniczej pod Stalingradem. Ponieważ był Żydem, został mechanikiem. Nie dla takich jak on przeznaczano bardziej eksponowane funkcje.

Odsunął od siebie to wspomnienie. Przeszłość była tylko przeszkodą, utrudniała koncentrację na tym, co powinien zaplanować i wykonać. Pomyślał o ukrytym pod pachą pistolecie. Nie przeszukali go, kiedy przekraczał bramę. Ten pistolet — uświadomienie sobie tego było jak wiadro zimnej wody na zmęczoną głowę — oznaczał pogodzenie się z faktem, że to już koniec. Nie wierzył, by mógł przeżyć ten dzień.

Uśmiechnął się, gdy Grosz znalazł uszkodzoną płytkę i podniósł do góry prostokąt plastiku z trzydziestoma siedmioma połączanymi blaszkami.

— Wygląda to na tranzystor mocy, towarzyszu dyrektorze. Był uniżenie grzeczny. Więc on także wiedział, że to koniec.

— Hmm... — Baranowicz obrócił w palcach plastikową płytkę, zanim oddał ją Groszowi.

— Wyrzućcie ją — polecił. — Przyniosę drugą.

— Z magazynu techniki eksperymentalnej, towarzyszu dyrektorze? — upewnił się Grosz.

— Owszem. Ale nie musicie opuszczać swojego wygodnego miejsca. Strażnik mnie odprowadzi.

I zanim Grosz zdążył odpowiedzieć, Baranowicz schodził już po drabinie lekkim, sprężystym, spokojnym krokiem.

* * *

— Stieczko, ty przekłety, durny ignorancie! Zabiłeś go! — wybuchnął Tortiew. Spojrzał groźnie na Stieczkę i potężny mężczyzna cofnął się zalekziony, załamany własną porażką. Tortiew stanął nad bezwładnym, martwym ciałem Filipowa. Teraz wiedział, że bicie było zbyt mocne, zbyt regularne, zbyt pospieszne. Koniecznie chciał zmusić więźnia do mówienia i pozwolił, by Stieczko i Chołokow go zabili. Zgrzytnął zębami i zacisnął pięści w ataku bezsilnej furii.

Kiedy odwrócił się do Priabina, młody porucznik KGB trzymał już w ręku słuchawkę telefonu. Jego obojętność rozzłościła Tortiewa jeszcze bardziej. Przeszedł przez pokój i stanął przed Chołokowem, siedzącym okrakiem na krześle. Milicjant przyglądał się zwłokom, jak gdyby szukał jakiegoś znaku życia. Gdy poczuł na sobie wzrok inspektora, w jego oczach błysnęło zwątpienie.

— Ty tępa, gruba świnię — wycodził Tortiew. — Ty durna kupo gówna!

— Popędzaliście nas... — zaczął Chołokow i nagle cofnął głowę, gdy Tortiew wierzchem dłoni uderzył go w twarz. Milicjant dotknął rozciętej wargi i zaskoczony spojrzał na smużkę krwi na palcach.

— On nic nie wiedział — usłyszał Tortiew cichy głos Priabina. Obejrzał się. Porucznik stał ze słuchawką w ręku i uśmiechał się. Ten uśmiech doprowadził Tortiewa do pasji.

— Do diabła, co chcesz przez to powiedzieć?

— Nic nie wiedział. Do licha, przecież już dawno zacząłby mówić, gdyby tylko miał coś do powiedzenia.

— Ty spryciarzu! Więc jak brzmi odpowiedź? Twój bezcenny myśliwiec wciąż jest zagrożony. A może o tym zapomniałeś? — Tortiew otarł ślinę z warg.

Priabin nadal uśmiechał się denerwująco. Pomachał słuchawką.

— Jak myślisz, po co chcę rozmawiać z halą komputerów? — zapytał spokojnie. Inspektor spojrzał na zegar.

— Lepiej się pospiesz, do cholery! Może nie zauważyłeś, że jest już wpół do piątej? — w jego głosie zabrzmiała drwina i powracająca pewność siebie. On zrobił swoje. Reszta należała do Priabina.

— Halo — odezwał się porucznik do mikrofonu. — Tu Priabin. Jakie wieści? Słuchał przez chwilę.

— Jak szybko możecie sprawdzić dane tych ludzi? — skrzywił się z irytacją. — Nie obchodzi mnie to. Te informacje tkwią gdzieś w bebechach maszyny, więc wyciągnijcie je!

Cisnął słuchawkę na widelki. Tortiew uśmiechał się kpiąco.

— Co się stało? Nie jest aż tak cudowny ten twój komputer, co?

— Nikt nie mógłby pracować szybciej — odparł po chwili Priabin. — Szczerze mówiąc, nawet dużo wolniej.

Spojrzał na zwłoki.

— Wy dwaj! Zabierzcie to stąd, ale już!

Chołokow obejrzał się na Tortiewa. Inspektor skinął głową. Dwaj milicjanci chwycili trupa pod pachami i wynieśli z pokoju. Ta chwila ciszy sprawiła, że Priabin i Tortiew uspokoili się trochę.

— Co właściwie sprawdzają? — spytał inspektor, gdy zostali sami.

— Mają listę mniej więcej dziesięciu najlepszych specjalistów techniki lotniczej w Stanach, na tyle młodych i sprawnych, żeby pasowali do naszego człowieka. Ale muszą sprawdzić, gdzie są w tej chwili, a to zajmuje czas... za dużo czasu — dodał cichym, pełnym napięcia głosem. — Podłączyli się do komputera Zarządu Pierwszego, którego banki zawierają dane z ciągłej obserwacji tysięcy użytecznych albo ważnych postaci na Zachodzie. Odpowiedzi nadchodzą...

— Ale mogą nadejść za późno.

— Niestety, to prawda.

Priabin wyszedł zza biurka i podparłszy ręką brodę, zaczął spacerować po pokoju. Palcami skubał dolną wargę. Minęło kilka minut, zanim znów się odezwał.

— Nie mogę przyspieszyć procesu działania maszyny. Albo uzyskamy te informacje na czas, albo nie. O tym drugim wolę nie myśleć. Co jeszcze mogę zrobić? O co jeszcze mogę prosić ten cholerny komputer, co mógłby robić w tym samym czasie, kiedy sprawdza dane tamtych ludzi?

Staął przed Tortiewem. Wyglądał, jakby prosił o pomoc.

Inspektor zastanawiał się przez moment.

— Sprawdź wszystko, co ma związek z samolotami, Dmitrij — powiedział w końcu. — Wszystko i wszystkich.

— Jak?

— Sprawdź dane każdego, o kim wiemy, że jest związany z amerykańskimi i europejskimi programami badawczymi, wszystkich, którzy byli związani... — nagle twarz Tortiewa rozjaśniła się. — Wysłali młodego, sprawnego człowieka dysponującego niezłym mózgiem. Dlaczego nie astronautę? Jeden z naszych kosmonautów na pewno by wiedział, czego szukać i jak analizować informacje, otrzymane od kogoś takiego jak Baranowicz. Zgadza się? Priabin zamyślił się.

— Nie brzmi to prawdopodobnie, nie sądzisz? — mówił, jakby chciał zostać przekonany.

— A czy nie jest? Pomyśl tylko. Szukasz mężczyzny po trzydziestce, wysportowanego, inteligentnego, sprytnego... z początku myślałeś, że to agent. Powinien posiadać umiejętności komandosa i naukowca. Astronauci NASA to najlepiej wytrenowani ludzie na świecie. Dlaczego nie?

Priabin nadal nie był przekonany.

— Hmm... muszę się zastanowić.

— Nie masz za wiele czasu na zastanawianie się, Dmitrij — przypomniał mu Tortiew.

— Wiem. Daj mi pomyśleć. Jak sądzisz, ile jest danych odnoszących się do astronautów, pilotów wojskowych i tym podobnych?

— Setki... może tysiące. Czemu pytasz?

— W tym przypadku, ponieważ nasza firma zbiera wszystko i, jak zapobiegliwa gospodyni, nigdy niczego nie wyrzuca, musimy ustalić jakieś preferencje. Trzeba przejrzeć indeks komputerowy.

— Doskonale — Tortiew wydawał się zadowolony z możliwości działania. — Pomogę ci.

— Dzięki.

— Poza tym... to miejsce zaczyna cuchnąć Żydami... i śmiercią.

— No, dobra. Zadzwońię po samochód.

— Nie warto. O tej porze szybciej będzie piechotą.

Była czwarta czterdzieści, gdy obaj mężczyźni wyszli z gabinetu.

* * *

Gant wniósł krzesło do kabiny prysznica i tak ułożył foliową zasłonkę, by chroniła go od padającej wody. W kabinie było pełno pary.

Nie miał wątpliwości, że Paweł już nie żyje albo siedzi w piwnicach lokalnego oddziału KGB, biciem zmuszany do zdradzenia jego nazwiska i celu misji. Wiedział, że zniesie wiele bólu, nim zacznie mówić, jeśli w ogóle zacznie. Czuł ciężar odpowiedzialności za jego los... i wyrzuty sumienia.

Bardziej jednak niż Paweł, który mógł przecież zginąć szybko i bezboleśnie podczas strzelaniny, niepokoił go Baranowicz i tamci dwaj. Nigdy jeszcze nie spotkał się z tak desperacką, akceptującą wszystko odwagą. Nie potrafił ich zrozumieć.

Rozebrał się i siedział w kabinie w samych spodenkach. Mundur GRU, teraz zwiększający tylko ryzyko, powędrował do tej samej szafki co Wosków. Gant musiał przytrzymać pochylające się do przodu ciało, gdy wciskał w kąt brudny tobołek z tym, co pozostało po kapitanie Czechowic. Starał się nie patrzeć na twarz Woskowa i z ulgą zamknął drzwiczki. Potem odkręcił prysznic. Kłęby pary, choć utrudniały oddychanie, dawały ciepło. Usiadł okrakiem na krześle, oparł brodę o skrzyżowane na oparciu ramiona i zamknął oczy. Szum wody działał usypiająco. Nie mógł zasnąć, nie wolno mu było spać, starał się jednak zredukować działanie myślącej części mózgu do czegoś zbliżonego do snu.

Z początku nie usłyszał dobiegającego z szatni głosu. Drugi okrzyk zaalarmował go i sprawił, że zerwał się na nogi. Odruchowo przytrzymał krzesło, by nie zgrzytnęło o posadzkę.

— Tak? — zawołał.

— Kontrola bezpieczeństwa, towarzyszu pułkowniku. Pilne.

To musiała być sprawa KGB, ostatnia próba Kontarskiego, by wysledzić agenta, który — jak z pewnością podejrzewał — był już w Biljarsku.

— Czego chcecie?

— Mamy sprawdzić każdego.

Gant poczuł, że ogarnia go panika. Dokumenty Woskowa zostały w jego kieszeni. Nie szukał ich, pospiesznie wpychając ciało do szafki. A teraz chcą zobaczyć te dokumenty... jeśli ich nie pokaże, zechcą zobaczyć jego.

Gorączkowo szukał wyjścia z sytuacji. Reakcja nerwowa rozbudziła go zupełnie. Puls uderzał w skroniach i trudno było oddychać. Nieoczekiwane zagrożenie uruchomiło ostatnie rezerwy samokontroli. Przewyciężając panikę pomyślał, że Wosków był pewnie człowiekiem przyzwyczajonym do szacunku i w takiej sytuacji nie zareagowałby uprzejmie.

— Biorę prysznic! — zawołał głośno, z irytacją w głosie. — Kim wy, u diabła, jesteście, żeby mi tu włożyć z takimi głupimi pytaniami?

Własny głos, rozbrzmiewający w zasłoniętej, pełnej pary klatce, wydał mu się słaby, piskliwy i nieprzekonywający. Usłyszał przepaszające chrząknięcie czekającego w szatni człowieka. Wyteżył wzrok i poprzez parę i zasłonę z folii dostrzegł niewyraźny cień na tle jasnego prostokąta drzwi łazienki. Dwa, może trzy kroki dzieliły go od tego cienia.

— Przykro mi, towarzyszu pułkowniku, ale...

— To wasz własny pomysł, prawda? Bo nie pułkownik Kontarski polecił przeszukać szatnię i poddawać mnie przesłuchaniu?

Czuł, że jego głos brzmi pewniej, bardziej arogancko. Potrafił odegrać rolę Woskowa, a w pewien sposób wyrażał swoją własną, zawodową arogancję, własną pogardę.

— Ja... taki mam rozkaz, towarzyszu pułkowniku — usłyszał i wiedział, że tamten człowiek kłamie.

Gant wahał się tak długo, że zdawało mu się, że właściwy moment minął bezpowrotnie, że jest już za późno.

— Won! — warknął. — Bo podam was do raportu!

Czekał. Wiedział, że tamten widzi jego cień na falującej w rozgrzanym powietrzu zasłonie prysznica. Nie wiedział, czy zdecyduje się przejść te kilka kroków, żeby się upewnić. Gant nie miał broni. Jego makarow został w kieszeni szlafroka, wiszącego przy drzwiach łazienki. Kłął siebie za tę nieostrożność, równocześnie obliczając, czy zdąży gołymi rękami zabić tego człowieka, zanim padnie strzał.

Chwila minęła. Raz jeszcze Gant miał wrażenie, że coś ogromnego, cała orbitująca planeta, odpływa i pozostawia go wyczerpanego, zmęczonego, bezsilnego.

— Przepraszam, towarzyszu pułkowniku... naturalnie... — poddał się tamten. — Ale... proszę uważać. Pułkownik kazał nam strzelać bez uprzedzenia... ten człowiek jest niebezpieczny. Szczęśliwego lotu — dodał przepraszająco. Gant czuł, jak krew tętni mu w skroniach niby atak migreny.

Nie słyszał, jak zamykają się drzwi za człowiekiem, który był tylko głosem, cieniem na jasnym tle. Kiedy znikła plama światła, wyszedł zza zasłony i sięgnął do kieszeni szlafroka Woskowa. Chwycił pistolet w obie dłonie i przycisnął do czoła chłodną stal. Potem wyciągnął przed siebie lewą dłoń. Widział, jak drży, słabo z początku, potem coraz mocniej. Lęk odbił się na jego twarzy, jak gdyby patrzył na coś przed sobą, coś nieuniknionego, czemu nie potrafi zapobiec. Ociekając wodą osunął się na sedes. Ręka z pistoletem zwisała bezwładnie między kolanami.

Był przerażony. Wiedział, że znowu zbliża się koszmar, że ostatnie minuty wyczerpały wszelkie rezerwy brawury, opanowania i spokoju. Był jak szmata, jak pusty pojemnik, w który wleją się jego majaki. Nie zdoła ich powstrzymać.

Czuł, jak napinają się mięśnie pod kolanami, w łydkach. Wiedział, że musi się wytrzeć i włożyć skafander Woskowa, póki jeszcze może się ruszać, zanim unieruchomi go towarzyszący zawsze koszmaram paraliż. Chciał wstać, lecz nogi, słabe i miękkie, znalazły się daleko, bardzo daleko od mózgu. Opadł z powrotem na sedes. Dźgnął palcem w udo, jakby chciał je ukarać za непослушество. Potem uderzył lufą pistoletu, ale nie poczuł niczego. Paraliż histeryczny powrócił, przejął władzę nad ciałem...

Nie było ucieczki. Mógł tylko mieć nadzieję, że koszmar i atak skończą się na czas.

W nozdrza uderzył go zapach dymu, a strumień wody z prysznica zdawał się trzaskać jak płonące drzewo. Czuł palące się ciało...

* * *

Było coś groteskowego, drwiącego w uprzejmości, z jaką podano Baranowiczowi, Kreszynowi i Siemiełowskiemu kawę i kanapki. Jedli przy kadłubie samolotu. Gdy technicy, łącznie z ciągle uśmiechniętym, ironicznie służalczym Groszem, wyszli do stołówki w budynku ochrony, młodszy oficer KGB, dowodzący strażą w hangarze, polecił trójce podejrzanych zostać na miejscu. Demonstracyjnie obojętni wartownicy stali dziesięć metrów od nich.

Sącząc słodki, gorący płyn, Baranowicz czuł wdzięczność dla KGB za to, że najwyraźniej nie wiedziała, co z nimi zrobić. Kontarski wybrał pewnie najprostsze wyjście i rozkazał, by przez cały czas byli pod pilną obserwacją. Baranowicz uśmiechnął się do Kreszyna, któremu zadrżały wargi, gdy próbował odpowiedzieć tym samym.

— Wiem, Ilja — powiedział Baranowicz — że wygląda to zupełnie jak pluton egzekucyjny. My trzej plecami do samolotu i strażnicy z bronią gotową do strzału.

Kreszyn przytaknął i nerwowo przełknął ślinę. Nadal bezskutecznie starał się uśmiechnąć.

— Nie bój się — dodał cicho Baranowicz.

— Nie... nie potrafię się opanować, Piotrze Wasiljewiczu — odparł Kreszyn.

Baranowicz pokiwał głową.

— Przestałem się bać już wiele lat temu... ale wtedy zew życia nie był już taki silny — położył dłoń na ramieniu młodego człowieka czując, jak drży pod jego silnym uściskiem. Kreszyn podniósł głowę. Chciał znać prawdę, a jednocześnie pragnął usłyszeć kilka uspokajających kłamstw. Baranowicz ze smutkiem pokręcił głową.

— Więc tak bardzo ją kochasz?

— Tak... — oczy Kreszyna lśniły wilgocią. Obliznął wargi.

— Przykro mi — szepnął Baranowicz. — Będzie ci ciężko. Kreszyn wyprostował się. Baranowicz nie zdejmował mu dłoni z ramienia i czuł, z jakim wysiłkiem próbuje powstrzymać drżenie.

— Jeśli... wy to potraficie, to ja także — oświadczył.

— Dobrze. Wypij kawę. To cię rozgrzeje. Ten strażnik, o tam, myśli, że się boisz. Nie daj mu satysfakcji — i, niezdolny do kontynuowania tej bohaterkiej przemowy, dokończył: — nawet jeśli takie gesty są nonsensem dla człowieka inteligentnego.

— Co robimy? — wtrącił Siemiełowski, jakby chcąc możliwie szybko zakończyć całą akcję, włącznie z własnym odejściem ze świata. — Zostało niewiele czasu. Kreszyn i ja opóźnialiśmy pracę przy bloku ogonowym jak to tylko możliwe, ale już prawie kończymy.

Baranowicz kiwnął głową.

— Rozumiem. Grosz, mój betę noir, mój demon, też zacznie coś podejrzewać, jeśli nie skończymy w ciągu pół godziny, może trochę dłużej.

Łyknął kawy i zagryzł kawałkiem kanapki z szynką.

— Naturalnie, sami zauważyliście, jak nasi przyjaciele zupełnie niedwuznacznie demonstrują nam, że gra skończona? Spojrzał na Siemiełowskiego.

— Oczywiście. Wiedzieliśmy przecież, że próby systemów uzbrojenia to nasz koniec.

— I... godzisz się z tym?

— A wy? — spytał zgryźliwie Siemiełowski.

Baranowicz popatrzył na rozmawiających szeptem strażników, na cztery skierowane ku niemu twarze. Miał ochotę odpowiedzieć przecząco, wyjaśnić, że kiedy człowiek się starzeje, coraz trudniej, nie coraz łatwiej, rezygnować z życia. Tylko młodzi poświęcają je chętnie, w dobrej lub złej sprawie. Że starzy ludzie trzymają się życia, jakiegokolwiek by ono było. Czuł jednak ciężar obowiązku i winy. Dał więc taką odpowiedź, jaka była im teraz potrzebna i jaką chcieli usłyszeć.

— Tak — oświadczył. Siemiełowski pokiwał głową.

— Sami widzicie.

Baranowicz stłumił wyrzuty sumienia. To on doprowadził ich tutaj, do tego punktu, i on powiedzie ich do lochów, do przesłuchań i bólu.

Nie miał litości dla innych tak jak dla siebie. Przestał myśleć o winie. Postanowił, że im przynajmniej zapewni szybką śmierć.

— Uznałem, że pożar najskuteczniej odwróci ich uwagę. Tam... nie, nie oglądajcie się... przy drugim prototypie. Jeden z nas musi się tam znaleźć w chwili, kiedy uznamy, że należy rozpocząć operację. Jak uważacie, kiedy to powinno nastąpić?

— Najpóźniej o wpół do siódmej — burknął Siemielowski swym zwykłym, gniewnym, zdradzającym irytację tonem. — Przypuszczałem, że tak to będzie — dodał.

— To jedyne rozsądne miejsce — wyjaśnił Baranowicz. — Dokładnie przy drugim prototypie. Jak mówiłem, samolot może zostać uszkodzony, co tylko pomoże naszemu amerykańskiemu przyjacielowi... Natomiast z pewnością ten egzemplarz... — poklepał chłodny metal kadłuba. — Ten egzemplarz każą wyprowadzić z hangaru. Jeśli Gant zjawi się w odpowiedniej chwili i wsiądzie do kabiny, nikt go nie spyta o dokumenty i nie będzie chciał oglądać jego twarzy.

Obserwował ich reakcje i dostrzegł w ich oczach nieuchronność śmierci. Siemielowski pokiwał głową. Jego twarz utraciła ostry wyraz.

— Ja, na przykład — zauważył — nie cieszę się specjalnie na myśl o tym, jak pułkownik Kontarski obedrze mnie ze skóry, w złości i żalu po zrujnowanej karierze.

— Rozumiesz, o czym mówię, Ilja? — Baranowicz zwrócił się do Kreszyna.

Młody człowiek milczał przez chwilę.

— Tak, Piotrze Wasiljewiczu, rozumiem — odpowiedział.

— To dobrze. Masz broń? — Kreszyn przytaknął. — Dobrze. To znaczy, że ty, Maksymie Iljiczu, musisz podłożyć ogień. Zresztą — dodał z uśmiechem — wyglądasz najmniej groźnie.

— No, tak. Znakomicie. O... szóstej dziesięć powiem, że muszę iść do toalety. Jeśli wartownik zechce mi towarzyszyć, tym gorzej dla niego — niski, łysiejący mężczyzna wyglądał śmiesznie, wypinając pierś i prostując okrągłe ramiona. Baranowicz wiedział jednak, że Siemielowski potrafi zabić, jeśli zajdzie konieczność. W pewien sposób był najodważniejszy z nich trzech. Gorliwość neofity nie wygasła w nim jeszcze. Był jak krzyżowiec.

— Zabijesz strażnika tylko wtedy, gdy nie będzie innego wyjścia. Nie chcę, żeby cię ranili.

— W każdym razie nie wcześniej, niż podłożę ogień, co? — oczy Siemielowskiego błysnęły. Baranowicz wyczuwał, że niski mężczyzna traktuje całą

sprawę jak wyzwanie i demonstruje brawurę taką jak wtedy — choć Baranowicz o tym nie wiedział — gdy z Gantem w bagażniku przejeżdżał przez bramę.

— Nie, nie wcześniej — odparł szczerze naukowiec, poddając się nastrojowi chwili. — Kiedy wyjdiesz z toalety, znajdziesz niezbędne materiały pod ścianą, za drugim prototypem. Zawsze stoi tam parę beczek paliwa.

— Nie trzeba mi tłumaczyć, jak się rozpala ogień, Piotrze Wasiljewiczu — zjeżył się Siemielowski.

— To prawda. Dopilnuj tylko, żeby był duży i jasny.

— Zrobi się.

— O szóstej dwanaście. Wtedy ty, Ilja, i ja, będziemy musieli zablokować drogę do drugiego prototypu, dopóki płomień nie rozpalą się na tyle, by ściągnąć wszystkich strażników. Wszystkich. Rozumiesz?

— Tak. Czy... my także będziemy częścią blokady? Baranowicz przytaknął. Słyszając głosy wracających techników wychylił się spod kadłuba myśliwca.

— Pora brać się do pracy — spojrzął na zegarek. — Zaczniście odliczać sekundy. Jest teraz pięta dwadzieścia trzy. Zsynchronizujcie zegarki, ale dyskretnie, kiedy nikt nie będzie patrzył.

Spojrzał na swych dwóch towarzyszy. Nagle poczuł, że oczy zachodzą mu mgłą.

— Powodzenia, przyjaciele — powiedział, odwrócił się i zaczął wspinać na drabinę pilota. Kreszyn patrzył przez chwilę na jego plecy, po czym poszedł za Siemielowskim w stronę ogona Firefoxa. Raz tylko rzucił okiem na strażników, meldujących się u oficera.

Skoncentruj na nich swoją nienawiść, nakazał sobie. Musisz ich nienawidzić: tego, co reprezentują, i tego, co robią. Musisz...

* * *

Kontarski spojrzął na zegarek. Było siedem po szóstej. Właśnie odebrał wiadomość z Centrali, że Tu- 1 44, z sekretarzem generalnym, przewodniczącym KGB i dowódcą sił powietrznych Związku Radzieckiego na pokładzie wystartował z Moskwy i powinien przybyć do Biljarska około szóstej trzydzieści. Ta informacja wstrząsnęła pułkownikiem. Zgodnie z planem spodziewał się ich o dziewiątej. Uznał,

że jest to metoda wywarcia na niego nacisku, rodzaj wykalkulowanej obelgi. Zawiadomił wieżę, by była gotowa do przyjęcia samolotu. Nic więcej nie mógł zrobić, jedynie kontynuować to, co już zaczął, robić sobie daremnie w tej chwili wyrzuty, ewentualnie skontaktować się z Priabinem. Może miał jakieś wiadomości na temat obcego agenta, który dotarł do Biljarska i wciąż był na wolności.

Zespół ludzi zasiadł przy stołach rozstawionych w pustej wartowni. Każdy z nich analizował meldunki grup wyznaczonych do przeczesania terenu zakładów. Właśnie zakończono ostatnie poszukiwania. Tak jak poprzednie, nie przyniosły żadnego rezultatu.

Niżej, w mniejszym pomieszczeniu o białych ścianach, z silnymi lampami, przesłuchiowano Dżerkowa i jego żonę. Każde z nich musiało oglądać cierpienia drugiego... i żadne nie powiedziało tego, co chciał usłyszeć. Kontarski nie dopuszczał do siebie myśli, że mogą nie wiedzieć o niczym ważnym. Zbyt wiele już przeżył rozczarowań, zbyt wiele razy trafiał w ślepe uliczki. Dla niego, i dla przesłuchujących, para aresztowanych była po prostu uparta.

Lekarz zastosował narkotyk, który niemal natychmiast zniszczył psychikę mężczyzny. Dżerkow stracił przytomność, a gdy ją odzyskał, był obłąkany. Kobieta, mimo że los męża musiał naruszyć jej odporność, nadal nie chciała zdradzić kryjówki ani tożsamości agenta. Lekarz odmówił ponownego użycia pentatolu i Kontarski wściekał się podejrzewając, że dawki były zbyt małe.

Teraz bębnił palcami po blacie, czekając na połączenie ze swoim biurem w Centrali. Priabina tam nie było. Czekając, aż telefonistka przełączy go na salę komputerów, przyglądał się ludziom pochylonym nad stołami. Większość była w samych koszulach, wszyscy pracowali szybko i w skupieniu. Żaden nie podniósł głowy, żaden nie znalazł odpowiedzi, nie odkrył nowego śladu. Kontarski odczuwał gorycz i gniew człowieka, którego przyszłość rozsypuje się w gruzy. Przez całą noc miał wrażenie, że wystarczy mu tylko sięgnąć ręką, by pochwycić rozwiązanie. A jednak każdy trop, każde źródło informacji, kruszyło mu się pod palcami. Wpadł w pułapkę.

Priabin był lekko zdyszany, gdy wreszcie podszedł do telefonu. Kontarski słyszał go wyraźnie, a dziwny ton głosu mógł oznaczać podniecenie. Poczul ucisk w żołądku — rozwiązanie musiało być blisko.

— Towarzyszu pułkowniku, mamy go! Wiemy, kim jest! — wołał Priabin. — Towarzyszu pułkowniku, słyszycie mnie?

— Szybko, Priabin, mów — kilku ludzi podniosło głowy, słysząc stłumiony, chrapliwy szept Kontarskiego. Wyczuwali, że nastąpiło przesilenie.

— To pilot... Mitchell Gant, Amerykanin.

— Amerykanin? — powtórzył mechanicznie Kontarski.

— Tak. Latał w ich eskadrze Migów. Tej, którą sformowali, żeby trenować pilotów do walki z naszymi maszynami. Tak zwana Grupa Apacz, znana u nas jako Lustrzana Eskadra.

— Mów dalej, Priabin. Dlaczego właśnie on?

— Po prostu zna nasz sprzęt. Świetnie się nada do sabotażu albo analizy informacji. Może chce... przyjrzeć się z bliska prototypowi?

Po obu stronach linii zapanowało milczenie. Prawda, przeraźliwa i oszałamiająca, zaświtała w umysłach obu mężczyzn jednocześnie.

Głos Kontarskiego niby spadający kamień rozbił ciszę.

— Przecież... nie mógł po to przyjechać...?

— Nie, towarzyszu pułkowniku, na pewno nie. Przecież to się nie może udać.

— Dziękuję ci, Dmitrij — głos Kontarskiego drżał. — Dobra robota.

Odłożona niepewną ręką słuchawka stuknęła o widełki. Kontarski przez chwilę patrzył w milczeniu na swoich ludzi, po czym znów sięgnął do telefonu. Wykręcił numer posterunku w hangarze i niecierpliwie stukając palcami czekał na połączenie.

— Czernik? To wy? Aresztujcie Baranowicza i resztę. Natychmiast!

— Mielicie jakieś wiadomości, towarzyszu pułkowniku?

— Tak, do cholery. Miałem! Macie się od nich dowiedzieć, gdzie jest agent. I to już! I niech nikt nie zbliża się do samolotu. Absolutnie nikt. Zrozumieliście?

— Tak jest! — Czernik odłożył słuchawkę. Kontarski rozejrzał się po pokoju, spojrzał na ludzi pochłoniętych bezsensowną, papierkową robotą. Potem sprawdził godzinę. Szósta jedenaście.

— Słuchajcie! — krzyknął. — Niech paru z was... nie, wszyscy niech biegą do hangaru... nie, połowa do hangaru, reszta przeszuka ten budynek. Szybko!

Nastąpiło zamieszanie. Ludzie chwytały płaszcze, sprawdzali broń.

— Kogo szukamy, towarzyszu pułkowniku? — spytał czyjś głos.

— Pilota, do cholery! Pilota! — krzyk Kontarskiego był wysoki, przenikliwy, niemal histeryczny.

* * *

Baranowicz obserwował, jak niska figurka Siemielowskiego wynurza się zza drzwi toalety. Mężczyzna zamknął je za sobą i wolnym krokiem ruszył przez hangar. Z tej odległości zdawało się, że jest całkowicie spokojny. Baranowicz czekał. Jeden z wartowników poszedł za Siemielowskim do toalety i jak dotąd jeszcze się nie pojawił.

Siemielowski skrył się w cieniu PP 2, a strażnika wciąż nie było widać. Musiał go zabić, pewnie kluczem do śrub. Baranowicz uśmiechnął się tryumfująco. Rozluźnił biały fartuch, który nosił na kombinezonie, nie z gorąca, ale żeby lepiej ukryć wsunięty za pasek pistolet. Spojrzał na Kreszyna i skinął głową. Wiedział, że tamten czeka na jego sygnał.

Skończyli pracę kilka minut po szóstej. Grosz podejrzewał, że Baranowicz świadomie opóźnia kontrolę, lecz sądził, że robi to ze strachu. Teraz wrócił do stołówki, razem z większością techników i szefami grup badawczych. Jeden z nich, Pilak, specjalista od elektroniki, jak i Baranowicz, przechodząc obok skłonił głowę z wyrazem bezradności. Baranowicz był wzruszony tym gestem daremnym, lecz szczerym.

Wsunął dłoń do kieszeni fartucha i przesunął wyłącznik maleńkiego nadajnika. Urządzenie wysyłało sygnał uruchamiający brzęczyk przylepiony do ramienia Ganta. Jeden pisk na sekundę powiadomi Amerykanina, że akcja się zaczęła. Gdy Baranowicz przesunie dźwigienkę dalej, brzęczyk wyda ciągły dźwięk — znak, by Gant jak najszybciej znalazł się w hangarze. Rozejrzał się dyskretnie. Od najbliższego strażnika dzieliło go jakieś dziesięć metrów. Strażników zresztą wciąż było sporo: czterech w promieniu dwudziestu metrów od niego. Mimo wczesnej godziny, nie wydawali się znużeni czy nieuważni. Za często ich zmieniano, by któryś zdążył się zmęczyć albo znudzić.

Spojrzał na koniec hangaru i serce skoczyło mu niespokojnie. Zdawało mu się, że dostrzegł płomyk zapalniczki czy zapalki Siemielowskiego. Niemal natychmiast

strzeliła w górę oślepiająca kolumna ognia. Baranowicz nie widział już pochylonej sylwetki kolegi i nie wiedział, czy Siemielowski nie spłonął w nagłym wybuchu.

Odwrócił się wyciągając broń. Zanim jeszcze płomienie sięgnęły pod dach hangaru, usłyszał krzyki z dyżurki. Opierając pistolet o przedramię, strzelił najbliższemu wartownikowi w brzuch i natychmiast ruszył biegiem do Kreszyna, stojącego za samolotem. Jakaś kula brzęknęła o kadłub nad jego głową i natychmiast czyjś głos krzyknął, by przerwać ogień, żeby nie uszkodzić Miga. Baranowicz uśmiechał się do siebie, popychając oszołomionego Kreszyna w stronę ognia. Tam też biegli wszyscy inni.

Histerycznie rozdzwonił się sygnał alarmowy i mimo niezliczonych ćwiczeń przeciwpożarowych, jakie się tutaj odbywały, Baranowicz miał wrażenie, że tłum ludzi biegnie bez ładu w stronę huczących płomieni. Przez moment zdawało mu się, że widzi niewysoką postać w białym fartuchu, płonącą jak pochodnia, i wiedział, że to Siemielowski. Wsunął pistolet do kieszeni i razem z Kreszynem zatrzymali się w grupie gapiów. Czuł na twarzy żar ognia niby podmuch wiatru pustyni. Pstryknął przełącznikiem nadajnika modląc się, by jego ciągły sygnał dotarł do Ganta. Jakiś strażnik z węzem hydrantu odepchnął go na bok. Spojrzał na zegarek. Szósta trzynaście. Obejrzał się przez ramię. Ponad głowami tłumu widział ciało wartownika leżące obok Firefoxa, a także otaczający samolot pierścień agentów ochrony. Musieli odkryć albo odgadnąć, jaki był cel ich akcji, kim jest i co zamierza obcy, który przedarł się do Biljarska.

W jakiś sposób domyślili się, czym w istocie jest ten pożar i Mig ani na chwilę nie został bez ochrony. Baranowicz dostrzegł krępą sylwetkę Czernika, ustawiającego ludzi na pozycjach. Młodszy oficer, odpowiedzialny za bezpieczeństwo hangaru, dowodził akcją gaszenia pożaru. Jakiś głos warknął w głośnikach zagłuszając trzask płomieni. Widzowie zdawali się nie rozumieć zagrożenia. Strumienie ognia niby lawa płynęły posadzką pod drugim samolotem; kłęby dymu przesłaniały widoczność. Nie było już widać najdalej wysuniętych do przodu żołnierzy z hydrantami i gaśnicami.

Głośniki przekazały rozkaz opuszczenia terenu. Przekrzykiwały dzwonki alarmowe i wycie syreny wozu strażackiego, pędzącego na miejsce pożaru ze swego stanowiska w pobliżu hangaru konstrukcyjnego.

Baranowicz zrozumiał, że ma już tylko jedno wyjście. Wóz strażacki wjechał do hangaru, a za nim wbiegła grupa strażników, którzy skończyli służbę i teraz zostali

wezwani na pomoc. Szukali jego i Kreszyna. Nie miał wyboru, musiał się im pokazać, ściągnąć na siebie ogień i — jeśli to możliwe — odciągnąć tych, którzy pilnowali Miga. Przesunął się razem z grupą gapiów, ustępującą z drogi wozowi strażackiemu. Spojrzał na drzwi, przez które musiał wejść Gant. Jak dotąd nie było go widać.

* * *

Pierwszy sygnał brzęczyka był tylko drgnieniem mięśni, nawet nie dźwiękiem dla Ganta, pochłanianego przez ogień swego koszmaru. Siedział złany potem w pozycji pokonanego, zgarbiony i nieruchomy na desce sedesu. Coś pulsowało mu na ramieniu. Czuł to, ale nie potrafił ruszyć ręką, by się podrapać, potrzeć skórę. Koszmar zbliżał się do końca i Gant czekał cierpliwie, aż go uwolni. Nie musiał się ruszać, nie musiał walczyć. Było niedobrze, ale to mijało. Oddzielne widoki migały mu przed oczyma jak zamrożone iskierki, fotografie przeszłości na przewracanych kartach albumu.

Dźwięk — przerywany co sekundę pisk odbiornika — wgryzał się w mózg. Część jego umysłu, ta, która zawsze chłodno analizowała obrazy snu, niezdolna im zapobiec czy powstrzymać, teraz rozpoznała sygnał i z trudem usiłowała zrozumieć jego znaczenie. To miało coś wspólnego z alarmem... ale innym niż tamte, innym niż alarm na lotnisku...

Z nagłą, przerażającą jasnością uświadomił sobie, co to jest. Przed jego oczyma pojawiła się fotografia Firefoxa, jedna z tych, które pokazywano mu w Stanach, potem wspomnienie kabiny symulatora, jaki dla niego zbudowali, na którym się uczył... Wiedział, co się stało. Baranowicz., Zobaczył otoczoną płomieniami mądrą, łagodną twarz.

Drgnienia mięśni i piski wyrównały się. To był odbiornik na jego ramieniu, przyklejony taśmą przez Baranowicza. Instrukcje przebijały się przez senny koszmar niby kamyki wrzucane w mroczne, głębokie wody. Przerywany pisk to alarm. Trzeba czekać na dźwięk ciągły, będący wezwaniem.

Spróbował się ruszyć. Czuł się tak, jakby szedł pod silny prąd. Nie poddawał się, raz jeszcze spróbował wstać... i udało mu się.

Wzrok wyostrzył się i Gant zobaczył łazienkę. Potrząsnął głową, potarł sztywnymi palcami policzki. Czuł się tak, jakby wrócił z martwych — jeszcze gorzej niż

przy powrocie z narkotycznej podróży. O wiele gorzej. Odgłos płynącej wody docierał do jego mózgu jako daleki szum, nie związany z trzaskiem płomieni. Zawsze się obawiał działania w takiej chwili, zanim koszmar dogra się do końca. Teraz nie miał innego wyjścia.

Otworzył drzwi łazienki. Wygięte jak szpony palce niezgrabnie ścisnęły klamkę. Potem zatrzasnął je za sobą. Poczuł ból w udzie, tępy i niewyraźny. Spojrzał w dół. Na mięśniu czerwieniła się wyraźna szrama. Uznał, że sam zadał sobie ten cios, całe wieki temu.

Sztywno przeszedł do szafki, w której — jak pamiętał — wisiał skafander ciśnieniowy Woskowa. Musiał go włożyć...

Przerywany pisk to alarm. Trzeba czekać na dźwięk ciągły, będący wezwaniem. Baranowicz uśmiechał się do niego we wspomnieniu tej chwili w sypialni Kreszyna. Siwowłosy mężczyzna z kubkiem słodkiej kawy w dłoni — pod takim kątem widział jego twarz, kiedy leżał na łóżku.

Zrzucił skafander na podłogę i schylił się niezdarnie daleko, bardzo daleko w dół, by go podnieść. Odlepił brzączyk i umocował go do drzwi szafki. Potem z trudem wsunął nogi do nogawek. Musiał walczyć ze sztywnym, twardym materiałem. Pocił się obficie.

Inny głos przebił się przez mgłę wypełniającą jego umysł: dzwonki alarmu przeciwpożarowego. Reagował powoli, ale wiedział już, w jaki sposób tamci postanowili odciągnąć strażników. Wiedział też, że musi się spieszyć. Dźwięk zaznaczył zakończenie kolejnego etapu, wprowadził nowy rytm. Gant zabrał się za najważniejsze ze wszystkiego sznurowanie skafandra, jedynej ochrony przed potwornymi przeciążeniami, jakie czekają go w samolocie. Praca wymagała skupienia i precyzji, do jakich nie był zdolny. Musiał jednak wykonać ją prawidłowo. Każdy błąd mógł go zabić równie pewnie jak mechaniczna awaria Firefoxa. Nawet pewniej. Starał się skoncentrować.

Nie było to łatwe. Na szczęście znał wszystkie ruchy na pamięć. Wiedział, co robi. Zmusił się do skupienia uwagi; własny chrapliwy oddech rozbrzmiewał w uszach jak grzmot.

Przerywany pisk to alarm. Trzeba czekać na dźwięk ciągły, będący wezwaniem, powtarzał mu Baranowicz.

Wreszcie skończył. Kombinezon był rozgrzany, duszny, lepki od jego gorączkowych wysiłków. Nie miał czasu, by włożyć suchą bieliznę. Wziął z półki hełm, zajrzał do środka, ale nie zauważył żadnych kontaktów ani czujników systemu sterowania myślą. Baranowicz sprawdzał je wczoraj.

Włożył hełm na głowę, opuścił wizjer — i obraz płomieni wybuchł w jego wyobraźni. Koszmar po raz ostatni próbował zawładnąć jego świadomością.

Przerywany pisk to alarm. Trzeba czekać na dźwięk ciągły, będący wezwaniem, szeptał wśród płomieni Baranowicz.

Nagle pojął, że przerywany pisk ucichł. Z przyklejonego do drzwiczek szafki odbiornika dobiegał ciągły, przenikliwy brzęk. Gant wyciągnął rękę i zdjął z półki wewnątrz tranzystorowego radia. Spojrzał na niewielki, czarny przedmiot. Pozbawiony kamuflażu baterii i tranzystorów, był nie większy od pudełka papierosów. Wewnątrz odbiornika wyglądał jak zwykła płytka drukowana.

Dźwięk ciągły to wezwanie.

Sztywno ruszył w stronę drzwi.

* * *

Zdawało się, że jakaś kolektywna świadomość kieruje tłumem, który zniknął, odsunął się od obu Żydów. Zostali sami, naznaczeni. Nie mieli gdzie się schować. Oddział strażników ustawionych w półkole zbliżał się wolno poprzez dym, wypełniający hangar i niby całun płynący w stronę otwartych wrót. Twarz Czernika kryła się za megafonem. Usłyszeli jego wzmocniony, mechaniczny głos.

— Rzućcie broń, bo każę otworzyć ogień! Rzućcie broń! Natychmiast!

Wydawało się, że nie pozostało im nic innego. Następny wóz strażacki z hałasem dołączył do swojego bliźniaka. Oddziały straży pożarnej zalewały samolot i podłogę hangaru strumieniami piany tłumiąc wzniecony przez Siemielowskiego ogień — jego stos pogrzebowy. Wokół nich ludzie cofali się jak przed czymś chorym czy zdeformowanym — ludzie w białych fartuchach i kombinezonach, technicy i naukowcy, którzy pobiegli do pożaru, a teraz odchodzili, niby odpływająca fala. Baranowicz i Kreszyn znaleźli się między półkolem żołnierzy a półkolem strażaków za plecami. Baranowicz czuł, jak spada temperatura, gdy piana dusiła płomienie pod

drugim Migiem. Wokół pierwszego pierścień strażników przerzedził się, choć nie zniknął. Nie wszyscy zeszli z posterunków.

Gdzie był Gant? Baranowicz włączył przecież sygnał, który powinien go tu sprowadzić. Jeśli w ciągu kilku sekund nie pojawi się w drzwiach prowadzących do budynku ochrony i szatni pilotów, żołnierze aresztują ich i wrócą na stanowiska przy myśliwcu. Blask ognia odbijał się w lśniącym kadłubie samolotu. Zbiorniki paliwa w drugim Migu nie wybuchły, na co liczył Baranowicz. Jeśli Rosjanie będą mieli odrobinę szczęścia, może jeszcze polecieć.

Ściana hałasu napierała na niego z tyłu z fizyczną niemal siłą. Z przodu istniał stożek ciszy, z nim i Kreszynem w wierzchołku i zbliżającym się wolno półkolem strażników u podstawy. Było to jedno z najsilniejszych doznań życia: idący powoli żołnierze i dotykalna niemal cisza.

Pistolet wystrzelił u jego boku i ten dźwięk także zdawał się dochodzić z bardzo daleka. Zobaczył padającego strażnika i drugiego, jak odskakuje w bok. To zbyt łatwe, pomyślał, stoją zbyt blisko siebie. Raz widział Niemców, nacierających w ten sposób pod Stalingradem — zbyt blisko siebie. Sam nie pomyślał, żeby strzelić. Jego pistolet leżał bezużytecznie w kieszeni.

— Rzućcie broń, albo każę otworzyć ogień — usłyszał odległy, mechaniczny głos.

Nie dosłyszał komendy, dostrzegł tylko płomienie w wylotach luf i wyczuł raczej niż zobaczył, że obok pada Kreszyn. Potem, z narastającą odrazą wobec nadchodzącej śmierci, czuł, jak pociski przebijają jego ciało, niby mikroskopijne wybuchy rozdzierają fartuch. Był stary. Zatoczył się, nie mogąc utrzymać równowagi i cofnął o kilka kroków. Potem usiadł niezgrabnie jak dziecko po pierwszej, nieudanej lekcji chodzenia. Miał wrażenie, że ktoś wyłączył światła w hangarze — i jak szmaciana lalka przewrócił się na bok. Powieki miał zaciśnięte, by nie widzieć straszliwej chwili śmierci, i kiedy jego twarz uderzała miękko o betonową podłogę hangaru, nie zobaczył niewyraźnej sylwetki Ganta w ciemnozielonym skafandrze ciśnieniowym w drzwiach prowadzących do budynku ochrony. Umarł, nie wierząc, że przybędzie.

Ze swego miejsca Gant widział na ziemi kogoś w białym fartuchu i ostrożnie podchodzących żołnierzy. Dostrzegł jasne włosy Kreszyna, jego ręce rozrzucone na

boki i niedbałą pozę znamionującą gwałtowną śmierć. Firefox stał o trzydzieści jardów od niego.

Na drugim końcu hangaru dogasał pożar. Widział dwa wozy strażackie i zalany pianą kadłub drugiego prototypu, odciągany właśnie od dymiących jeszcze materiałów, które podtrzymywały ogień. Pojął, że obecni w hangarze za moment znowu skoncentrują uwagę na samolocie. Niewiele brakowało, by nie zdążył... a może już się spóźnił... Pretekst do wytoczenia go z hangaru stracił niemal swą aktualność teraz, gdy pożar właściwie ugaszono. Zauważył jednak wybuch płomienia pod ścianą i cofającego się strażaka w azbestowym kombinezonie, usłyszał głuchy huk eksplodującej beczki z paliwem. Drugi prototyp był już bezpieczny, choć obsługa małego ciągnika starała się odciągnąć go jak najdalej. To była jego szansa.

Wciąż czuł sztywność nóg, nieposłusznych jego woli po okresie histerycznego paraliżu koszmaru. Zmusił je jednak do ruchu, do przejścia tych trzydziestu jardów betonu, dzielących go od Firefoxa.

Drabinka, której używał Baranowicz, stała ciągle na miejscu i Gant zaczął wspinać się po szczeblach. Pochylony nad kabiną usłyszał wołanie kogoś, kto stał pod kadłubem.

— Pułkownik Wosków?

Odwrócił głowę i spojrzał w dół, na młodą, rozgorączkowaną, spoconą twarz. Mężczyzna miał na sobie mundur młodszego oficera KGB i trzymał w ręku pistolet.

— Tak?

— Co robicie, towarzyszu pułkowniku?

— A jak myślicie, co robię? Jesteście idiotą? Chcecie, żeby samolot uległ uszkodzeniu, tak jak tamten? Zabieram go stąd.

Przerzucił nogi przez burtę kabiny i zsunął się w fotel pilota. Nie odrywał wzroku od młodego oficera, lecz dłonie automatycznie szukały uprząży spadochronu, zapinały klamry pasów wiążących go z fotelem.

Młody człowiek odstał na kilka kroków, tak by wyraźnie widzieć Ganta. Przez przyciemnioną szybę hełmu i maskę tlenową nie mógł poznać, czy to pułkownik Wosków zajmuje miejsce w kabinie. Nie wiedział, co powinien robić. Obejrzał się szybko. Co prawda ciągnik holował drugiego Miga-31 w tę stronę i najwyraźniej nic mu nie groziło, to jednak na końcu hangaru wciąż widać było płomienie i dym.

Czernik, na podstawie wyraźnych poleceń Kontarskiego, zakazał komukolwiek zbliżać się do samolotu. Ale czy ten zakaz odnosił się także do pilota?

Gant nie zwracał na niego uwagi i najszybciej, jak potrafił, wykonywał przedstartową kontrolę układów. Podłączył zestaw łączności, bez trudu znajdując właściwe gniazdo. Czuł się tak, jakby przez całe życie latał tym samolotem. Symulator, jaki na podstawie przemycanych fotografii i opisów Baranowicza zbudowano w sztabie CIA, w Langley, teraz wykazał swoją wartość. Gant znalazł wtyczkę łączącą hełm z systemami uzbrojenia — pojedynczy bolec, podobny do tego przy radiu. Wcisnął go do gniazdka z boku fotela. To było ostateczne zabezpieczenie — pilot po katapultowaniu się mógł sterować mechanizmem niszczącym, by żaden fragment uzbrojenia ani układu sterowania nie wpadł w ręce przeciwnika.

Szybko, jakby sprawdzając któryś ze wskaźników, rzucił okiem na oficera KGB. Ten wciąż stał nieruchomo, niepewny, jaką decyzję powinien podjąć. Gant otworzył dopływ tlenu, najpierw w głównych zbiornikach, potem w awaryjnych. Uruchomił system przeciążeniowy, a przewód połączył ze skafandrem tuż poniżej lewego kolana. Tędy popłynęło powietrze, niwelujące wpływ sił bezwładności i zmuszające krew do normalnego obiegu przy ostrych zwrotach, nurkowaniach i przyspieszaniu. Sprawdził go ostrożnie, poczuł dopływ powietrza, spojrzał na wskaźniki, potwierdzające właściwą reakcję organizmu. Wszystko działało.

Wiedział, że skraca procedurę startową do granic możliwości, ale nie mógł marnować ani sekundy. Sprawdził wskaźniki: klapy, hamulce, paliwo. Zbiorniki były pełne i powinny być, jako że nie wiedział, gdzie i jak będzie tankował.

Zostało mu jeszcze jedno. Z kieszeni na udzie wyjął wnętrze radia tranzystorowego — układ elektroniczny w płaskiej obudowie skonstruowany w Farnborough specjalnie dla niego. Odsłonił pasek taśmy samoprzylepnej i umieścił całość w rogu tablicy przyrządów. Pomodlił się szybko, by w ciągu minionych trzech dni urządzenie nie zostało uszkodzone. Gdyby tak było, nigdy się o tym nie dowie.

Był gotów. Cała procedura zajęła mu ledwie kilka sekund. Drugi Firefox, holowany przez mały ciągnik, znalazł się o kilka jardów za nim. Pozostała jedna chwila, by przekonać stojącego w dole strażnika. Gant wychylił się, machnął mu ręką, by się odsunął, i krzyknął:

— Urwie wam głowę, jeśli będziecie tam stali!

Przesunął palcem po gardle, wskazując na skrzydło i krawędź wlotu dyszy. Młody człowiek obejrzał się, zrozumiał i instynkt samozachowawczy skłonił go, by się odsunął. Odchodząc, skwapliwie zabrał ze sobą drabinę.

Gant uśmiechnął się i odprężył. Spojrzał jeszcze w stronę drzwi, przez które wszedł do hangaru niecałą minutę temu. Teraz stał tam Kontarski, blady, wyciągając ku niemu rękę. Obok stało kilku innych, blokując przejście. Czysto odruchowo Gant wdusił przycisk i osłona kabiny zasunęła się nad nim. Zaskoczyły elektroniczne zamki. Gant zatrzasnął jeszcze ręczną blokadę, jako dodatkowe zabezpieczenie. Był odizolowany od świata we wnętrzu maszyny. Stał się jej częścią.

Otępienie, apatia, letarg koszmaru — wszystko to zniknęło. Nie czuł również podniecenia. Funkcjonował jak dobrze naoliwiony mechanizm, fragment większego mechanizmu. Euforia miała nadejść później.

Skontrolował wskaźnik ciśnienia w kabinie, potem pochylił się i przesunął dźwignie zapłonu, uruchomił silnik rozrusznika, otworzył dopływ sprężonego powietrza i bez wahania, nawet dla zaznaczenia ważności chwili, wdusił przycisk startera.

W połowie długości kadłuba rozległa się podwójna eksplozja, atakująca uszy niby strzały z dubeltówki. To zadziały rozruszniki nabojoye. Dwa kłęby gęstego dymu wypłynęły z dysz wylotowych. Coraz szybciej obracające się turbiny wydawały głośny, wysoki świst. Gant sprawdził instrumenty żyro. Dostrzegł lampkę wskazującą, że zapomniał uruchomić pompę paliwową dopalacza, włączył ją i światelko zgasło. Otworzył przepustnice i obserwował, jak przesuwają się strzałki obrotomierzy. Ustabilizował turbiny po osiągnięciu dwudziestu siedmiu procent mocy. Spojrzał w bok. Kontarski i dwaj jego ludzie, znieruchmiali po wybuchu rozruszników, teraz biegli ku niemu. W porównaniu jednak z szybkością jego działań i reakcji, przesuwali się powoli, jak pod wodą, zbyt wolno, by go teraz zatrzymać. Dostrzegł uniesiony pistolet i coś brzęknęło o kadłub, nie wyrządzając szkody.

Obserwując kątem oka wskaźnik temperatury dyszy otwierał przepustnice, aż obrotomierz pokazał pięćdziesiąt pięć procent mocy, a gwizd silnika osiągnął właściwy poziom. Zwolnił hamulce.

Zwolniony z uwięzi Firefox skoczył raczej niż potoczył się do przodu, w kierunku wrót hangaru. Do wnętrza sączyło się przez nie pierwsze światło dnia i widać było jaśniejące niebo. Gant dostrzegł ludzi biegnących do wrót, by zatrzasnąć je przed

nim. Oni także poruszali się groteskowo wolno. Było za późno, by go zatrzymać. O wiele za późno. Sprawdził wskaźniki i pompy dopalaczy, i był już poza hangarem, na drodze kołowania. W lusterku widział pędzące figurki, śmiesznie daleko za Firefoxem, toczącym się na pas startowy.

Używając steru kierunku i hamulców wykręcił na pas. Ustawiając samolot w osi, raz jeszcze skontrolował wszystkie systemy.

Odetchnął głęboko, raz tylko, i otworzył przepustnice do końca. Przesunął dźwignie poza zaczep, uruchamiając podgrzewanie potężnych silników. Poczuł ich moc, gdy oparcie fotela pchnęło go w plecy. Wrażenie było niemal erotycznej natury. Myśliwiec nabierał szybkości. Przy stu sześćdziesięciu węzłach prześlizgiwał się nad spoinami betonowych płyt pasa. Przy stu sześćdziesięciu pięciu Gant uruchomił stery wysokości i Firefox oderwał się od ziemi. Zaniki tarcia kół o beton spowodował skok przyspieszenia. Gant schował podwozie.

Firefox zamachał skrzydłami, gdy Gant przesterował lekko, nie przyzwyczajony do precyzji i czułości systemu wspomagania. Wznosił się teraz stromo w powietrze.

W blasku wschodzącego słońca dostrzegł, na prawo od dziobu, błysk światła na metalu. Ściągnął drążek do siebie i w prawo. Poczuł wzrost ciśnienia, gdy przy wejściu w skręt zadziałał system anty-przeciążeniowy. Niewiele brakowało, by przesterowany samolot przewrócił się na plecy. Gant z trudem wyrównał lot. Spojrzał w lewo i w dół, za siebie. Tu-144 z sekretarzem generalnym na pokładzie zawracał właśnie, by wykonać podejście do pasa lotniska w Biljarsku. Spojrzał na wysokościomierz: osiągnął już prawie osiem tysięcy stóp.

Minęło piętnaście sekund od chwili, gdy koła podwozia oderwały się od ziemi. Znajdował się o tysiąc mil od rosyjskiej granicy, jakiegokolwiek rosyjskiej granicy. Poczuł na skórze kropelki potu — to organizm odreagowywał bliską kolizję, jakiej udało się uniknąć. Gant uśmiechnął się do siebie. Dokonał tego. Porwał Firefoxa.

CZĘŚĆ DRUGA

LOT

6.

Przeciwdziałanie

Gdy tylko naddźwiękowy Tu-144 zatrzymał się na pasie lotniska w Biljarsku, Kontarski podjechał do wejścia ruchomym trapem. Sekretarz generalny został już powiadomiony przez pokładową radiostację o porwaniu Miga-31. Pułkownika wprowadzono za przedział pasażerski, do sekcji dowodzenia wojskami, odpowiednika gabinetu wojennego w samolocie prezydenta Stanów Zjednoczonych. Tam stanął przed ludźmi, tworzącymi praktycznie radę wojenną. Pomieszczenie było już pełne tytoniowego dymu.

Kontarski zasalutował sztywno i stanął, patrząc prosto przed siebie. Widział jedynie tył głowy radiooperatora na drugim końcu podłużnej kabiny, lecz wiedział, że siedzący za stołem przyglądają mu się uważnie. Świadomość ich spojrzeń sączyła się przez skórę jak wilgoć i wiedział dokładnie, jakie miejsce zajmuje który z nich. Wiedział, co oznaczają ich spojrzenia, rozumiał najdrobniejsze szczegóły wyrazu każdej twarzy. Na wprost niego, po przeciwnej stronie okrągłego stołu dowodzenia, wyposażonego w sprzęt projekcyjny, który mógł wyświetlić na blacie mapę dowolnej części Związku Radzieckiego, dowolnej części świata, siedział sam sekretarz generalny. Po jego prawej ręce — Kutuzow, marszałek Radzieckich Sił Powietrznych, as wojny światowej i twardogłowy komunista ze stalinowskiej szkoły. Miejsce po lewej zajął Andropow, przewodniczący KGB i najwyższy zwierzchnik Kontarskiego. Ta trójka przeraziła go tak bardzo, że te kilka chwil, które minęły, odkąd wszedł do tego sanktuarium, zdawały się minutami... godzinami... wiecznością.

Sekretarz generalny przemówił. Kontarski, wciąż wyprostowany na baczność, gdyż nikt nie wydał rozkazu „spocznij” ani nie pozwolił mu usiąść, dostrzegł kątem oka, jak sekretarz generalny uspokajająco kładzie dłoń na rękawie Andropowa, jak sufitowa jarzeniówka odbija się w okularach przewodniczącego KGB.

— Pułkowniku Kontarski, zechciejcie nam wyjaśnić, co się stało.

Radziecki przywódca mówił spokojnym, władczym tonem. Nie spieszył się. Panującą w kabinie ciszę zakłócał tylko cichy szum odbiornika. Minęły prawie trzy minuty od ucieczki Ganta i Miga-31, a zdawało się, że niczego jeszcze nie zrobiono.

Teraz, kiedy poniósł klęskę, Kontarski niemal histerycznie pragnął przyspieszyć działania w celu odzyskania albo — jak przypuszczał — zniszczenia porwanego myśliwca.

Przełknął ślinę.

— Amerykanin... — zaczął i zakaszał. Nadal patrzył prosto przed siebie, w wygolony kark radiooperatora. — Amerykański pilot nazwiskiem Gant jest odpowiedzialny za kradzież Miga-31, towarzyszu sekretarzu generalny.

— Wręcz przeciwnie, pułkowniku, to wy jesteście odpowiedzialni — przerwał sekretarz generalny głosem, w którym nie było śladu groźby i ani śladu człowieczeństwa. — Mówcie dalej.

— Przedostał się do zakładów z pomocą grupy żydowskich dysydentów — wszyscy już nie żyją.

— Hm. Zakładani, że wcześniej powiedzieli wszystko, co chcieliście wiedzieć?

Kontarski spojrzał na szeroką, pooraną zmarszczkami twarz, twarz przywódcy. Zawsze uważał go za silnego człowieka. Jego oczy przypominały mu teraz okruchy szarego kamienia.

— My... nie dowiedzieliśmy się niczego — wykrztusił.

Zapadła cisza. Pułkownik zauważył, że radiooperator siedzi sztywno, jak sparaliżowany napięciem. Kiedy znów spojrzał na okrągły stół, dostrzegł silną, żyłą dłoń sekretarza na rękawie ciemnego, prostego garnituru przewodniczącego, jak gdyby powstrzymującą go od wybuchu.

— Więc nie wiecie, w jakim kierunku odleciał Mig-31? — usłyszał.

— Nic nie wiecie? — wtrącił wstrząśnięty Kutuzow. Sekretarz generalny spojrzał ostro na marszałka w regulaminowym ciemnoniebieskim mundurze, lśniącym od dystynkcji i odznaczeń. Stary pilot umilkł.

— Nie — odparł Kontarski głosem cichym i głuchym, jakby wytłumionym przez wykładzinę kabiny.

— No cóż... — mruknął sekretarz generalny po chwili ciężkiej, pełnej napięcia ciszy. W tej właśnie chwili Kontarski pojął, że jego kariera jest zrujnowana. Przestał istnieć dla sekretarza, marszałka i szefa KGB. — Pozostaniecie pod strażą, pułkowniku. — Kontarski poczuł, że drżą mu wargi. Raz jeszcze spojrzał w oczy

partyjnego dostojnika. Miał wrażenie, że patrzy w lustro, nie odbijające jego postaci.
— Możecie odejść.

Kiedy za Kontarskim bezgłośnie zamknęły się drzwi, sekretarz generalny spojrzał na marszałka, lekko skinął głową, po czym zwrócił się do Andropowa.

— Nie ma czasu na dociekanie, kto zawinił. Przyjdzie na to pora. Wydaje się oczywiste, że było to przedsięwzięcie CIA, rozpaczliwa próba zniwelowania miażdżącej przewagi powietrznej, jaką dałby Związkowi Radzieckiemu ten samolot. Znamy tylko nazwisko tego człowieka i dane, jakie zawierają jego oficjalne dokumenty. Żadna z tych informacji na nic się nam nie przyda. Z każdą sekundą Mig-31 oddala się od nas coraz bardziej w stronę... którą, Michaił Iljiczu?

Marszałek lotnictwa obejrzał się na operatora przy niewielkiej konsoli.

— Daj nam mapę kraju dla Wilczego Stada. Szybko! — polecił.

Operator posłusznie i bez wahania wcisnął odpowiednie klawisze. Siedzący przy stole zdjęli z blatu paczki papierosów, cygara i cofnęli ręce. Na powierzchni stołu pojawiła się wielka mapa Związku Radzieckiego, upstrzona maleńkimi, barwnymi punktami — plan potężnego zewnętrznego pasa obrony kraju. Sekretarz generalny pochylił się i stuknął mapę palcem.

— Biljarsk — powiedział. Palec zakreślił krąg wokół miejsca, które wskazał. — A więc, w jakim kierunku uciekł?

— Nie wiemy, towarzyszu sekretarzu — odparł ponuro Kutuzow. Dwa lata temu przeszedł operację raka krtani i od tego czasu mówił cichym, suchym szeptem.

Spojrzał na siedzącego naprzeciw Władimirowa, wysokiego oficera o wąskiej twarzy. Chłód i pewność siebie, jakie dostrzegł na tej twarzy, pomogły mu odzyskać nieco spokoju po ciosie, jakim była kradzież Miga. To, co się stało, pozbawiło go tchu, sparaliżowało niemal. Było uderzeniem silniejszym nawet niż ucieczka Bielenki na Migu-25, cztery lata temu. Wciąż miał przed oczami tę lśniąca iskrę kadłuba, wznoszącą się szybko i oddalającą od Tupolewa. Jedno spojrzenie... nic więcej.

Potem przez radio nadeszła wiadomość, że nieznany samolot wystartował z jedyne go pasa, widocznego pod nimi w blasku poranka. Wtedy zrozumiał, co to za samolot — zanim nadeszło potwierdzenie, zanim koła dotknęły pasa, a wielki liniowiec podskoczył i pomknął po betonie. Ktoś —jakiś Amerykanin — porwał najwspanialszy samolot, jaki kiedykolwiek wyprodukował Związek Radziecki. Ukradł go.

— Co o tym myślisz, Władimirow? — zapytał.

Wysoki oficer z uwagą spojrział na mapę. Generał Med Władimirow, dowódca lotnictwa taktycznego Radzieckich 'Sił Powietrznych, zwanego Wilczym Stadem, był zmartwiony. Zdawał sobie sprawę z wagi problemu — jak znaleźć niemożliwy do znalezienia samolot — lecz nie miał zamiaru okazywać swych wątpliwości. Wahał się przez chwilę, wreszcie podjął decyzję.

— Proponuję, towarzyszu sekretarzu generalny, sukcesywny start alarmowy sił sektorów dwóch obszarów. Musimy podnieść w powietrze tyle samolotów, ile tylko zdołamy, wzdłuż naszych północnych i południowych granic.

— Dlaczego właśnie tam?

— Ponieważ — odparł Władimirow patrząc na mapę — ten szaleniec musi pobrać paliwo, jeśli chce przelecieć tam, gdzie byłby całkowicie bezpieczny. Nie będzie tankował w powietrzu. Wiedzielibyśmy, gdyby jakiś samolot-cysterna czekał na niego w neutralnej lub wrogiej przestrzeni.

— Jaki jest zasięg myśliwca? — wtrącił generał Leonid Borów, siedzący obok Władimirowa. Borów był dowódcą pionu radioelektronicznego Sił Powietrznych Związku Radzieckiego. W razie ataku ze strony Zachodu, on właśnie miał koordynować akcje lotnictwa z działaniami służb radarowych i wojsk rakietowych.

— Zapewne ma pełne zbiorniki — odparł Kutuzow. — To prawie pięć tysięcy kilometrów, zależnie od tego, ile wie ten Amerykanin i jak sobie poradzi z maszyną.

— Może więc dotrzeć tutaj... albo tutaj — Władimirow zakreślił ręką szeroki krąg ponad Morzem Arktycznym, po czym przesunął dłoń nad blatem ku granicy irańskiej i Morzu Śródziemnemu.

— Dlaczego miałby lecieć na północ albo na południe? — spytał niecierpliwie sekretarz generalny. Zdawało się, że nie może się teraz doczekać działania — jakby jego zdrętwiałe kończyny otrzymały zastrzyk świeżej krwi.

— Ponieważ pilot ryzykujący przelot nad strefą obrony Moskwy byłby samobójcą, nawet w niewidocznym dla radarów samolocie.

Na chwilę zapadła cisza. Wszyscy zebrani w niewielkim pomieszczeniu — pięciu ludzi przy okrągłym stole, grupa ochrony, szyfranci, radiooperatorzy i adiutanci — zrozumieli, że padły słowa, których bali się wypowiedzieć: Amerykanin, który ukradł Miga, miał przewagę, wynikającą z wyposażenia myśliwca w system antyradarowy.

— Wszystko mu się udaje — wychrypiał swym charakterystycznym szeptem Kutuzow. — Za dobrze!

— Amerykanin wie o tym? — po raz pierwszy odezwał się Andropow. Wszystkie głowy zwróciły się ku eleganckiemu przewodniczącemu KGB. Straszliwa klęska, do jakiej doprowadził jeden z jego ludzi, zdawała się nie robić na nim wrażenia. Władimirow uśmiechnął się krzywo. Może, myślał, przy wyrażnie prostałinowskich poglądach sekretarza generalnego, przewodniczący uważa siebie za osobę nietykalną. Przyglądał mu się ponad blatem stołu. Andropow najbardziej przypominał skutecznego w działaniu, dobrze sytuowanego biznesmena z Zachodu, a nie przywódcę najpotężniejszej na świecie organizacji policyjno-wywiadowczej.

— Musi wiedzieć — odparł lodowatym tonem Władimirow. — Ochrona zorganizowana przez waszego człowieka, towarzyszu przewodniczący, była pełna dziur, skoro CIA zdołało wprowadzić pilota tak daleko.

Sekretarz generalny trzasnął pięścią w stół i mapa zamigotała od uderzenia.

— Dość wyrzutów! Dość! Trzeba działać, Władimirow, i to szybko. Ile mamy czasu?

Władimirow spojrzał na zegarek. Była szósta dwadzieścia dwie. Mig był w powietrzu od siedmiu minut.

— Musi przelecieć ponad półtora tysiąca kilometrów, zanim przekroczy którąkolwiek granicę, towarzyszu sekretarzu generalny. Będzie leciał raczej z prędkością poddźwiękową, gdyż zechce oszczędzać paliwo i dlatego, że inaczej pozostawiłby naddźwiękowy ślad, zdradzający trasę lotu. Mamy więc ponad godzinę, nawet jeśli polecą prosto...

— Godzinę? — dostojnik zrozumiał, że znalazł się w obcym żywiole, że Władimirow i reszta wojskowych pracuje w skali czasowej, w której każda minuta dawała się rozciągać, była elastyczna i zanim minęła, można było dokonać niemal wszystkiego.

— To wystarczy — stwierdził z pozorną pewnością. — Co proponujecie? Kutuzow?

— To samo, co dowódca Wilczego Stada: sukcesywny start sektorów. Musimy zorganizować poszukiwania tej maszyny, poszukiwania wizualne. Położymy dywan samolotów, sieć, w którą ją schwytemy. Wszystkie eskadry Wilczego Stada i Łowców Niedźwiedzi dokładnie znają procedurę. Musimy tylko wprowadzić ją w odwrotnej

kolejności. Zaczną Łowcy Niedźwiedzi, szukając Amerykanina w pasie pięciuset kilometrów przed naszą granicą. Wilcze Stado można podnieść w tym samym czasie. Będzie patrolować same granice.

— Rozumiem — sekretarz generalny zamyślił się na moment. — Zgadzam się.

W centrum dowodzenia na pokładzie Tupolewa dało się odczuć wyraźne odprężenie. Z tej właśnie kabiny sekretarz generalny — gdyby zaszła taka potrzeba — wydać może rozkaz rozpoczęcia wojny, której nie przeżyje nikt. Była pomniejszoną kopią gabinetu mieszczącego się w sercu Kremla. W tym jednym uśmiechnęło się szczęście do radzieckiego przywódcy i tych członków Sztabu Generalnego, którzy byli tu obecni: mieli do dyspozycji ruchomy centralny ośrodek nerwowy radzieckiego systemu obrony.

Zdenerwowanie opadło, zastąpione napięciem zawodnika w blokach startowych... napięciem, poprzedzającym wybuch aktywności.

— Dziękuję, towarzyszu sekretarzu generalny — Władimirow wstał i pochylił się nad stołem, studiując barwne obszary, przesłaniające topograficzne szczegóły mapy. Wyszukiwał kolorowe punkty oznaczające bazy jego eskadr i powiązane z nimi wyrzutnie rakiet.

— Wprowadzić mapę baz Łowców Niedźwiedzi — rozkazał.

Liczba barwnych punktów powiększyła się; w równych odstępach wypełniały wewnętrzne obszary mapy. Władimirow uśmiechnął się, musnął blat palcami i powiedział:

— Start alarmowy, instrukcje przeszukiwania, sekwencja SSS dla eskadr sektorów od Białego do Czerwonego i od Zielonego do Brązowego. Ta sama sekwencja dla eskadr Łowców Niedźwiedzi, od G do N.

Potarł dłonią podbródek, słuchając pisku maszyn szyfrujących rozkazy i czekając na przekazanie ich oficerowi łączności, młodemu pułkownikowi, siedzącemu wraz z trzyosobowym zespołem przy konsoli łączności.

Kiedy zaczęła się błyskawiczna transmisja rozkazów, Władimirow zwrócił się do sekretarza generalnego.

— Co mają robić, kiedy zobaczą Miga? Dostojnik spojrzał na niego ponuro.

— Chcę porozmawiać z Amerykaninem, który ukradł najnowszą zabawkę naszego lotnictwa. Sprawdźcie częstotliwość. Jeśli nie wyląduje, tak jak mu polecimy, samolot musi zostać zniszczony!

* * *

Inercyjny system nawigacji zainstalowany w Migu-31 na tablicy rozdzielczej przyrządów miał końcówkę wyglądającą jak kieszonkowy kalkulator, z przyciskami oznaczonymi: „Pozycja”, „Kierunek”, „Prędkość” i „Współrzędne”. Można było wprowadzić znane dane nawigacyjne, a komputer pokładowy przeliczał i wyświetlał informacje o odległości do celu i czasie przelotu. Jeśli uruchamiano się program w znanym czasie i pozycji, urządzenie mierzyło zmiany prędkości i kierunku i podawało aktualną pozycję samolotu. Procedura lotu wymagała potwierdzenia tych danych bardziej konwencjonalnymi metodami, jak na przykład obserwacja szczegółów topograficznych terenu.

Gant musiał zdążyć na spotkanie z porannym samolotem pasażerskim z Moskwy, na północny zachód od Wołgogradu. Miało ono potwierdzić, że leci ku południowym granicom Związku Radzieckiego. Zależało mu, by tak właśnie sądzili ludzie kierujący pościgiem.

Przymknął przepustnice, utrzymując prędkość na poziomie sześciuset pięćdziesięciu węzłów. Nie chciał przyspieszać, ponieważ na wysokości 15 000 stóp naddźwiękowy ślad, jaki pozostawiłby za sobą, jak gigantyczna strzała wskazywałby kierunek jego lotu każdemu, kto potrafił patrzeć i słuchać. Do spotkania pozostały jeszcze dwadzieścia trzy minuty.

Dokładnie obejrzał wyposażenie zainstalowane w samolocie. Większą jego część, zwłaszcza systemy łączności i radarowe, znał już z ćwiczeń na symulatorze w Langley. Były podobne do układów skonstruowanych ostatnio w Stanach. To nie dla nich porwał Firefoxa. Jednym z powodów były dwa potężne silniki Tumańskiego, dające ciąg rzędu 50000 funtów każdy. Pozwalało to osiągać niewiarygodną prędkość powyżej 5 macha. Drugim powodem był magiczny system antyradarowy. Martwy już pewnie Baranowicz sugerował, że nie jest to system mechaniczny, a opiera się raczej na obróbce lub składzie poszycia samolotu. Trzecim powodem były sterowane myślą rakiety i działko.

Niebo przed dziobem było czyste i bladobłękitne, wznoszące się z lewej burty słońce odbijało się oślepiająco w szybach kabiny. Przyciemniony wizjer hełmu filtrował blask. Nie było na co patrzeć. Ganta nie interesował rozciągający się w dole bezkresny step. Prawie nie odrywał oczu od tablicy, zwłaszcza ekranu radaru, który ostrzegłby go o zbliżających się samolotach lub pociskach. Jedno z urządzeń, o których mówił mu Baranowicz, pozwalało na ciągły nadzór emisji radarowych z ziemi. „Nos”, jak je nazywał, wyczuwał skierowane w stronę Firefoxa sygnały radarów. Gantowi przyrząd wydał się zbędny ze względu na niewykrywalność myśliwca. Baranowicz wyjaśnił jednak, że gdyby został dostrzeżony, spowoduje to wzmożoną aktywność stacji radiolokacyjnych, wykorzystujących ścigający go samolot jako punkt orientacyjny. Ponadto, obserwując małe ekranik „Nosa”, wiedział, gdzie i jak rozmieszczone są radary naziemnych wyrzutni rakietowych.

Gant wiedział, jak będą przebiegać poszukiwania. Rosjanie musieli założyć, że ruszy albo wprost na północ, albo wprost na południe. Na wschodzie, daleko poza jego zasięgiem, była tylko Chińska Republika Ludowa. Na zachodzie, między nim a najbliższym przyjaznym krajem, leżała potężnie broniona strefa Moskwy. Wiedział, że będą go szukać eskadry Łowców Niedźwiedzi; podejrzewał też, że Rosjanie zechcą wykorzystać system detekcji dźwiękowej, określany w NATO niezbyt poważnym kryptonimem „Wielkie Uszy”. Na słabo zaludnionych obszarach Związku Radzieckiego system wykrywał nisko lecące samoloty, które mogły się wymknąć sieci radiolokacji. Gant nie miał pojęcia, jak gęsto rozmieszczone są instalacje, ani jak dokładnie potrafią namierzyć maszynę lecącą z prędkością powyżej sześciuset mil na godzinę. Nie wiedział też, na jakiej wysokości stają się nieskuteczne.

Był jeszcze jeden problem: zdjęcia satelitarne robione na wysokoczułej taśmie w podczerwieni. Nie wiedział, czy można z niej skorzystać w krótkim czasie jego przelotu. Ale musiał o tym pamiętać. Brał udział w wojnie elektroniki. Był jak astmatyk w ciężkich, skrzypiących butach, który nie zwracając na siebie uwagi próbuje przejść przez pokój pełen ludzi cierpiących na bezsenność.

Gant nie znał sposobu ani miejsca, gdzie pobierze paliwo. Pamiętał tylko serię współrzędnych, jakie miał kolejno wprowadzać do nawigatora inercyjnego.

Odbiornik UHF pozostawił włączony wiedząc, że spróbują połączyć się z nim z Biljarska. Więcej nawet — oczekiwał tego. Gdy tylko się odezwie, każdy, kto w promieniu dwustu mil dysponuje radionamiernikami, potrafi nie tylko odebrać jego

słowa, ale też uzyskać, z pomocą dwóch innych namienników, niemal natychmiastowe dane o jego pozycji. To tylko potwierdzi, że istotnie leci na południe.

Podejrzewał, że trwająca nieprzerwanie cisza spowodowana jest przejęciem dowodzenia przez sekretarza generalnego z centrali na pokładzie Tupolewa. Czekał niecierpliwie. Bardziej z próżności niż z chęci przekonania ścigających o kierunku lotu, pragnął usłyszeć wściekłość i groźby sekretarza generalnego, a przynajmniej marszałka lotnictwa Związku Radzieckiego.

Odbiornik zatrzeszczał krótko. Gant poznał głos, który odezwał się w słuchawkach, znany z wywiadów i powtarzanych w dziennikach oświadczeń — to mówił sekretarz generalny Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego. Mimowolnie spojrział na tablicę, sprawdzając kierunek lotu, szybkość i wskazania instrumentów kontrolnych.

— Mówię do osobnika, który ukradł własność ZSRR — powiedział głos bez śladu emocji, jakby jego właściciel świadomie chciał rozczarować Ganta. — Słyszysz mnie pan, panie Gant? Zakładam, że zrezygnował pan ze stopnia wojskowego w chwili, gdy został pan zwerbowany przez... powiedzmy, inne osoby.

Gant uśmiechnął się; sekretarz generalny był ostrożny. Jak zwykle, od czasu incydentu z U-2. Spokojnie i delikatnie. Nie nadszedł jeszcze właściwy moment, by przyznać, że pracuje dla CIA, ani nawet, że jest Amerykaninem.

— Proszę mówić — odpowiedział. — Słucham.

— Podoba się panu przejażdżka, panie Gant? A pańska nowa zabawka?

— Można by ją poprawić — odparł lakonicznie Gant.

— Rozumiem, że to opinia eksperta.

Gant wyobrażał sobie tego mężczyznę o szerokiej, zdecydowanej twarzy, siedzącego przy nadajniku w Centrum Dowodzenia, gdy wokół wrzała gorączkowa krzątanina, której prawie nie zauważał. Z pewnością ktoś podsunął mu już współrzędne pozycji porwanej maszyny. W tej chwili jednak sprawa rozgrywała się tylko między nimi dwoma, między człowiekiem w samolocie i drugim, dysponującym niemal boską potęgą. Mimo to właśnie Gant trzymał w ręku wszystkie atuty. Nie miał złudzeń. Wiedział, jak gorączkowo prowadzone są poszukiwania. Podciągali go jak rybę, usypiali czujność, póki go nie znajdą.

— Można to tak określić — odpowiedział. — Nie zacznie mi pan grozić?

— Zrobię to, jeśli panu zależy — usłyszał spokojną odpowiedź. — Na razie jednak zwyczajnie proszę, by zwrócił pan rzecz, która nie jest pańską własnością.

— I zapomnimy o całej sprawie, co?

W słuchawkach odezwał się dźwięk podobny do tłumionego śmiechu.

— Nie sędzę, by pan w to uwierzył, panie Gant, prawda? Nie, oczywiście że nie. CIA napchała panu do głowy różnych głupstw o Łubiance i służbach bezpieczeństwa Związku Radzieckiego. Nie. Mogę tylko obiecać, że jeśli zawróci pan natychmiast, pozostanie pan żywy. Obliczyliśmy, że nie później niż po czterdziestu minutach lotu znowu powinniśmy zobaczyć pana nad Biljarskiem. To była ładna próba, jak by pan pewnie powiedział, ale teraz gra jest ostatecznie zakończona.

Gant czekał chwilę, nim znów się odezwał.

— A jaki mam wybór?

— Zostanie pan zniszczony, panie Gant. Po prostu. Nie zdoła pan przekazać Miga-31 w ręce służb wywiadowczych pańskiego kraju. Nie możemy na to pozwolić.

— Rozumiem. Muszę panu coś wyznać: podoba mi się ten samolot. Pasujemy do siebie. Myślę, że zatrzymam go jeszcze przez jakiś czas.

— Jasne. Z pewnością rozumie pan, panie Gant, że nie interesuje mnie życie jednego zbzikowanego pilota o nadszarpniętym zdrowiu. Miałem nadzieję zaoszczędzić miliony rubli włożonych w te badania. Widzę, że pan mi na to nie pozwoli. Trudno. Naturalnie, nie doleci pan do celu, gdziekolwiek się on znajduje. Żegnam, panie Gant.

Gant wyłączył odbiornik i uśmiechnął się do siebie pod ciemną szybą hełmu. Jedyna rzecz, o jaką się martwił, jedyny czynnik tej gry, który mógł zniwelować jego przewagę — drugi Firefox — płonął teraz w hangarze w Biljarsku. Gdyby mieli jego namiar i wysłali tamten samolot... wzruszył ramionami.

Samolot pasażerski z Moskwy do Wołgogradu pojawił się niespodziewanie. Gant dostrzegł nagle błysk słońca na duraluminium — znalazł się ponad liniowcem. Smuga kondensacyjna, o tej porze i w tych warunkach meteorologicznych, była niemal niewidoczna. Miał zamiar przelecieć przed nosem Tupolewa, lecz smuga pojawiła się po lewej stronie. Wyłączył autopilota.

Położył Firefoxa na skrzydło, poczuł, jak skafander ciśnieniowy zaciska się i luzuje wokół nóg i tułowia, potem wyszedł ze skreću. Jasna iskra Tu-134 lśniła wprost

przed nim. Musiał zostawić załodze dość czasu na identyfikację wzrokową. Przelatując przed nimi powinien też zmierzać na południe.

Przechylił samolot na lewe skrzydło i przeszedł w nurkowanie. Stracił liniowiec z oczu. Widział go tylko jako zieloną plamkę tuż obok środka ekranu radaru. Kiedy uznał, że znalazł się za nim i z boku, przyspieszył na tyle, by wyjść na czoło. Wrócił na poprzedni kurs, obserwując plamkę zajmującą poprzednią pozycję w pobliżu centralnej linii ekranu. Hamował Firefoxa niby ręcznego konia. Liniowiec wszedł w zasięg widzialności i pojawił się z prawej strony jako odbłask światła na końcu smugi kondensacyjnej. Otworzył przepustnice i myśliwiec skoczył naprzód po prostej, która pilotom Tupolewa musiała się wydawać kursem kolizyjnym.

Gant ani przez moment nie obawiał się, że źle ocenił odległość czy kierunek. Samolot przewalił się przez skrzydło i zaczął oddalać od nadlatującego Tupolewa, przesłaniającego widok przez prawą szybę. Na pewno go zauważyli i wpadli w panikę, gdy ekrany radarów pozostały puste. Lęk trwale odbije w pamięci załogi pojawiający się nagle smukły kadłub i potężne dysze silników. Gant pochylił Firefoxa w zejściu Macha o tysiąc stóp poniżej liniowca. Na częstotliwości rosyjskich linii lotniczych słuchał słów pilota i uśmiechał się do siebie.

Ziemia biegła mu na spotkanie, gdy nurkował z ponad 15 000 stóp w dół. Podniósł lekko nos maszyny i przerwał samobójcze nurkowanie, wyrównując niecałe dwieście stóp ponad stepową równiną. Wyraźnie odczuwał nieprzyjemny wzrost ciśnienia w skafandrze i ciążenie, wbijające go w fotel. Przez chwilę widział wszystko jak przez czerwoną mgłę, potem wzrok się wyostrzył. Znowu mógł obserwować przyrządy.

Włączył autopilota i zaprogramował kolejne, znane na pamięć współrzędne. Nawigator inercyjny przejął sterowanie, ustawiając Firefoxa na nowym kursie. Widziano go, a obserwacja z pewnością potwierdzi namiar kierunkowy, jakim dysponowali. Będą przekonani, że kieruje się na południe, poza Wołgograd, może nad irańską granicę i dalej, do Izraela lub nad Morze Śródziemne. Wzmogą działania poszukiwawcze na tamtym odcinku radzieckiej granicy.

Chciał teraz sprawdzić przynajmniej niektóre osiągi Firefoxa. Otworzył przepustnice. Patrzył, jak przesuwają się wskazówki obrotomierzy i machometru, który prócz odczytu prędkości względem ziemi był jedynym znakiem, że istotnie leci szybciej niż dźwięk. Kierował się na wschód, w stronę gór Uralu. Miał nadzieję, że ich

wschodnie zbocza ukryją go, nim skręci na północ. Nie mógł w pełni wykorzystać możliwości myśliwca, ale i tak z satysfakcją obserwował zmieniające się na machometrze liczby... 1 macha, 1,1... 1,2... 1,3... 1,4... 1,5...

Tuż pod nim uciekały w tył rozległe równiny stepów. Powróciła euforia, radość i rozkosz pierwszych chwil spędzonych w powietrzu. Leciał najwspanialszym samolotem bojowym, jaki stworzono. Przeżywał poznanie tej maszyny i to, że był jedyną ludzką istotą godną, by go pilotować. Jego egotyzm, zimny, niezmacony i wyrachowany, został wreszcie zaspokojony. Obserwacja wzrokowa na wysokości, na której trwał lot, stawała się coraz mniej prawdopodobna. Na dwustu stopach ślad naddźwiękowy był wąski, a w dole nie było niczego, co wskazywałoby na aktualną lub niedawną obecność ludzi. Musiał tylko unikać sieci detekcji dźwięku, owych „Wielkich Uszu”. Nie miał pojęcia o jej możliwościach ani położeniu. Ale w górach Uralu echa jego przelotu wprowadzą w błąd każde tego typu urządzenie.

Jego nastrój zmienił się w ciągu sekundy. Nagle poczuł się obnażony, stracił poczucie równowagi. Uciekał, szukał kryjówki. Wbrew rozsądkowi przesunął dźwignie przepustnic w przód. Z ulgą patrzył, jak zmieniają się cyfry na machometrze. 1,8 macha... 1,9... 2 macha... 2,1... 2,2...

Wiedział, że marnuje bezcenne paliwo, ale przyspieszał, póki machometr nie wskazał 2,6. Ziemia w dole była tylko szarą plamą. Znalazł się w odizolowanym od świata, bezdźwięcznym kokonie. Poczucie bezpieczeństwa wróciło, gdy włączył działający poprzez autopilota radar obserwacji terenu, zastępujący mu oczy i system reagowania. Nie sądził, by potrzebował tego urządzenia, póki nie dotrze do stóp Uralu, ale przy prędkości ponad dwóch tysięcy mil na godzinę musiał go uruchomić. Nie pilotował już Firefoxa. Ural oddalony był teraz o minuty lotu. Tam dopiero, już bezpieczny, przejmie kontrolę. Z wolna odzyskiwał spokój. Sama prędkość lotu kołała nerwy. Przed sobą widział wyraźnie machometr z liczbą 2,6. Tracił bezcenne paliwo, lecz zauważenie Firefoxa było praktycznie niemożliwe. Nic mu nie groziło. Był bezpieczny. Uciekał i był bezpieczny...

* * *

— Proszę zaalarmować rezerwowe punkty tankowania, dobrze? — poprosił grzecznie Aubrey. Rozmawiał przez szyfrator z generałem Latchfordem z dowództwa

lotnictwa szturmowego w High Wycombe. Właśnie przed chwilą Latchford zreferował mu dane, ostatecznie potwierdzające udany start Ganta z lotniska w Biljarsku. Samolot systemu wczesnego ostrzegania odebrał sygnały, świadczące o sukcesywnym starcie sektorów nadgranicznych eskadr rosyjskiego lotnictwa. To — razem z informacjami nasłuchu radiowego o gorączkowej wymianie szyfrowanych meldunków pomiędzy jednostkami lotniczymi, a także między sekretarzem generalnym i admirałem Floty Północnej oraz radzieckimi okrętami na Morzu Śródziemnym — oznaczało tak wyraźnie, jakby Aubrey sam to widział, że Gant wystartował.

Latchford potwierdził natychmiastowy alarm dla obu rezerwowych punktów tankowania. Oba miały zacząć emitować sygnał o specjalnej częstotliwości, odbierany przez urządzenie, które Gant przewiózł w radiu tranzystorowym.

— „Matka Dwa” i „Matka Trzy” są w stanie gotowości — zapewnił generał. — Sam zajmie się pan „Matką Jeden”. Przynajmniej taką mam nadzieję, ponieważ nie mam pojęcia, gdzie jej szukać.

W słuchawce rozległ się chichot. Latchford musiał wiedzieć o obu punktach rezerwowych, ale nie miał żadnych informacji o tym, z którego Gant miał korzystać. Aubrey wyczuwał u niego napięcie i tłumione podniecenie.

— Oczywiście. Komandor Curtin zajmie się „Matką Jeden” — zapewnił. — Dziękuję panu, generale. Pańskie wiadomości były dla nas, jeśli można tak powiedzieć, niby jasny promień słońca. Wielkie dzięki.

Przez moment słuchał gardłowego śmiechu Latchforda, po czym odłożył słuchawkę.

Buckholz, z łokciami na biurku, przyglądał mu się z uwagą.

— Potwierdzają? Czy cały ten ruch nie jest spowodowany tym, że złapali naszego chłopaka? Aubrey pokręcił głową.

— Nie, mój drogi Buckholz — zapewnił uprzejmie. — Samolot rozpoznania elektronicznego melduje o wzroście aktywności rosyjskiego lotnictwa wzdłuż południowych i północnych granic. Gant jest w powietrzu.

Buckholz odetchnął z ulgą, głośno wypuszczając powietrze z płuc. Spojrzał na drzemiącego obok Andersa i uśmiechnął się ze szczerą satysfakcją dziecka.

— Dzięki Bogu — wyszeptał.

Ciszę przerwał Curtin schodzący z drabinki.

— Nie po to się zgłosiłem do tej roboty, żeby biegać jako goniec — oświadczył z uśmiechem, gdy stanął na podłodze. — Czy szanowny pan życzy sobie, żebym poprosił Waszyngton o zaalarmowanie „Matki Jeden”?

— Tak, mój chłopcze — Aubrey skinął głową. — I załatw to zaraz, dobrze? To znaczy, o ile pogoda się nie zmieniła.

Curtin podszedł do mapy, wziął wskaźnik i stuknął w fotografię z satelity meteorologicznego, przypiętą wysoko na ścianie.

— To najnowsze zdjęcie, z drugiej w nocy waszego czasu. Czyściutko.

— A co z „Matką Jeden”?

— Równy kurs. Płynie wolno na południe przez obszar pękających pól lodowych. Temperatura jest dostatecznie niska. Trzyma się.

— Znakomicie. Proszę dzwonić, kapitanie. „Matka Jeden” wchodzi do gry.

Zanim Curtin zdążył podejść do telefonu, wszystkich zaskoczył stukot teleksu z pokoju szyfrów. Aubrey czekał, aż Shelley oderwie z rolki płachtę papieru.

— Rozmowa przechwycona parę minut temu — poinformował. Na jego zmęczonej twarzy pojawił się niepewny uśmiech. — Nie szyfrowana. Złapał ją operator nasłuchujący na częstotliwości rosyjskich linii pasażerskich.

— I co? — niecierpliwił się Aubrey.

— Zauważyli go na północny zachód od Wołgogradu. Zanim stracili go z oczu, niewiele brakowało, żeby oderwał nos Tupolewa. Pilot wrzeszczał na całe gardło, aż w końcu ktoś kazał mu się zamknąć.

— Dobrze.

Aubrey spojrzał na wydruk, po czym podał papier Buckholzowi, który wstał i usiadł na stole. Buckholz przeczytał uważnie, jakby nie mógł uwierzyć.

— Dobrze. Doskonale — mruknął do siebie, po czym dodał, zwracając się do Aubrey a: — Jak na razie idzie nieźle.

— Zgadza się, mój drogi Buckholz. Mam nadzieję, że Rosjanie podnoszą teraz w powietrze wszystko, co znajduje się na południe od Ganta, z kantyną włącznie.

Potał dłonią podbródek.

— Ciągłe się martwię o „Wielkie Uszy”. Gant musi robić straszny hałas, lecąc na Ural.

— Widzicie, Kutuzow, to nie jest stan wojny — stwierdził sekretarz generalny, rozparty wygodnie w fotelu za okrągłym stołem. Nie zwracał uwagi na mapę europejskiej części Rosji, od polskiej granicy po Ural, od Morza Arktycznego po Czarne. Lśniły na niej kolorowe kwadraty, migotały linie światełek oznaczające bazy lotnicze z myśliwcami w powietrzu, inne światełka wskazywały wyrzutnie rakiet w stanie alarmu bojowego. Naprzeciw niego Kutuzow nie mógł oderwać wzroku od hipnotyzującej projekcji na blacie. Z wysiłkiem podniósł głowę i spojrzał na dostojnika.

— Czy wzięliście pod uwagę możliwość podstępu ze strony Amerykanów, towarzyszu sekretarzu generalny? Chcą odwrócić naszą uwagę od północy tym uciekającym na południe samolotem.

To nie było pytanie. Marszałek Kutuzow najwyraźniej mówił poważnie.

— Nie, Kutuzow — westchnął sekretarz generalny. — To jest operacja CIA, choć niewątpliwie zyskała wsparcie ze strony prezydenta i Pentagonu — uniósł lekko dłonie wskazując, że nie życzy sobie, by mu przerywano. — Ale to zwykłe awanturnictwo. Skomplikowane, to fakt. Dowodzące zdolności przewidywania, owszem. Dobrze zaplanowane i przeprowadzone, zgadza się. Wszystko to prawda. Ale to nie jest wojna! Nie! CIA zorganizowało gdzieś paliwo dla tego szaleńca... nasze komputery z pewnością wskażą najbardziej prawdopodobne punkty. Gdybyśmy jednak zestrzelili Miga-31, a nawet zniszczyli tę ich stację benzynową, Amerykanie będą grać głupiego, jak to się mówi. Niczego nie zrobią. I to wszyscy... — podniósł głos tak, że gwar centrum dowodzenia ucichł nagle i wszystkie oczy zwróciły się ku niemu. — Wszyscy musicie to zrozumieć. Jeżeli zniszczymy lub odzyskamy samolot, nie usłyszymy więcej o tej sprawie.

— Jesteście pewni? — spytał Kutuzow. Widać było wyraźnie, że chce zostać przekonany. Stał na skraju przepaści w chwili, gdy przyszło mu do głowy, że jest świadkiem początkowych ruchów ostatniej gry świata.

— Jestem... pewien. I Amerykanie, i Brytyjczycy chcą zdobyć ten samolot, ponieważ zdają sobie sprawę z jego możliwości. Jedni i drudzy dokonali poważnych cięć w budżetach wojskowych, zwłaszcza w dziedzinie badań i rozwoju. Dlatego, mimo że parę lat temu dostali w prezencie Miga-25, o ile wiemy, wciąż nie mają na deskach projektantów niczego, co choć w przybliżeniu mogłoby dorównać Migowi-31.

Spojrzał groźnie na stojącego obok Andropowa.

— Towarzyszu przewodniczący, organizacja ochrony zakładów była... skandaliczna!

Andropow pokiwał głową. Światło jarzeńówek odbijało się w szklach jego okularów. Władimirow, stojący za Kutuzowem, wyczuwał wściekłość przewodniczącego KGB. Rozumiał także gniew sekretarza generalnego, który skłonił go do wygłoszenia tej lodowatej uwagi.

— Tak... niestety, towarzyszu sekretarzu — spojrzał w stronę obu wojskowych. — Pamiętam, że marszałek Kutuzow i generał Władimirow nalegali na wzmocnienie ochrony już po pierwszych lotach — uśmiechnął się zimno. — Wydaje się, że mieli rację.

— Amerykanie wiedzieli o wiele za dużo — burknął gardłowym szeptem Kutuzow.

Sekretarz generalny uniósł dłoń. Pojmował, że właśnie rozniecił kolejną wojnę między armią i KGB.

— Zostawmy tę sprawę — rzekł spokojnie. — Zostanie gruntownie zbadana. Na podstawie wstępnego śledztwa towarzysza przewodniczącego można uznać, że pułkownik Kontarski zaryzykował... i przegrał.

Andropow wolno pokiwał głową.

Kutuzow i Władimirow milczeli. Kontarski sam chciał rozegrać karty. Próbował wykorzystać stanowisko szefa ochrony dla zwiększenia swych szans na awans i wzmocnienie pozycji. Takie rzeczy już się zdarzały. W 1967 roku oficer KGB, kierujący siatką agentów na Bliskim Wschodzie przetrzymywał informacje o istotnym znaczeniu dla Kremla i kremłowskiego satelity, Egiptu, dotyczące przygotowań Izraela do wojny. Niespodziewanie dla niego odkryto jego grę. Wydział Piąty, czyli „wydział zabójstw”, zlikwidował go wkrótce potem. Kontarski także niedługo przeżyje swoją porażkę.

Ktoś zastukał do drzwi. Ochroniarz sekretarza generalnego otworzył i odebrał od człowieka w białym fartuchu stos papierów. Potem drzwi się zamknęły.

— Dziękuję — mruknął sekretarz generalny. Przez chwilę studiował dokumenty, po czym oddał je Kutuzowowi.

— Co to znaczy? — zapytał.

Stary marszałek wyjął z kieszeni na piersi okulary w pociętych drucianych oprawkach i zajął się lekturą. Stuk aparatów szyfrujących i urządzeń łączności nie zagłuszał szelestu przierzucanych kartek. Kiedy skończył, Kutuzow zdjął okulary i podał papiery Władi-mirowowi.

— To raport uszkodzeń drugiego Miga, towarzyszu sekretarzu — oznajmił odchrząknawszy. — Wydaje się, że dysydenci nie zdołali go unieruchomić.

Władimirow pojął nagle, patrząc ponad stołem na sekretarza generalnego i Andropowa, że siedząc w centrum dowodzenia byli bliscy desperacji. Dwaj ludzie obdarzeni najwyższą władzą, nie znający się na lataniu i samolotach, uznali raport za coś w rodzaju panaceum. Na to liczyli, tego oczekiwali z dziewiczym niemal podnieceniem. Naprawdę wierzyli, że jeśli tylko uda im się podnieść w powietrze drugi prototyp, zdołają zniszczyć uciekającego Amerykanina. Powstrzymał się od uśmiechu.

— Kiedy... jak szybko będzie gotów do lotu? Uzbrojony? — spytał nerwowo sekretarz generalny.

— Może za godzinę, może trochę mniej — wtrącił Władimirow, zaglądając do papierów. — Naturalnie, towarzyszu sekretarzu, był gotów do startu jako rezerwa dla PP 1, ale trzeba oczyścić go z piany, przeprowadzić kontrolę startową i uzbroić.

— Ale musimy wiedzieć, gdzie jest tamten. Dokładnie — wychrypiał charakterystycznym szeptem Kutuzow. Władimirow zrozumiał, że jego zwierzchnik nie wyczuwa politycznych niuansów i nastrojów panujących w kabinie centrum. Sekretarz generalny chciał jedynie, by drugi myśliwiec wystartował. Niechętnie wysłucha kogoś, kto zechce mu przypomnieć o praktycznych problemach takich poszukiwań.

— Wiem o tym, Kutuzow! — uciszył marszałka sekretarz generalny. Rozejrzał się po kabinie, jakby widok pochylonych nad aparaturą ludzi miał przynieść mu natchnienie, dostarczyć odpowiedzi na dręczące go pytania.

Władimirow wyczuwał desperację pod lodowatym spokojem i maską silnej osobowości szefa partii. Dla niego sukcesywny start sektorów był jedyną, choć niewielką szansą. Męczyła go jakaś myśl, coś, co przyszło mu do głowy w pierwszych latach badań, przedstawił to wówczas jako jedną z obiekcji przeciw systemowi antyradarowemu, jaki opracowano i włączono w zakres prac prowadzonych w

Biljarsku. Jego chłodna opinia była wtedy zimnym prysznicem na gorączkowy entuzjazm pozostałych.

Władimirow był człowiekiem opanowanym i rozsądnym — strategiem. Jako szef Wilczego Stada, dowódca eskadr przechwytyjących radzieckiego lotnictwa, w armii realizował w pełni swoje ambicje. Razem z Kutuzowem naciskali, by nie hamować wydatków budżetowych i uruchomić produkcję setek Migów-31, by zastąpić nimi Foxbaty, aktualnie najmocniejszą kartę w radzieckiej talii. Uznał, że najsilniejszym atutem myśliwca jest sterowany myślą system uzbrojenia, a także jego zasięg i niesamowita prędkość. Dzięki niemu radzieckie siły powietrzne znalazłyby się o klasę wyżej od obecnych czy przewidywalnych możliwości RAF-u i US Air Force.

Nie potrafił się skoncentrować w naelektryzowanej, pełnej napięcia atmosferze panującej wokół okrągłego stołu centrum dowodzenia. Cofnął się pod ścianę i nieuważnie słuchał potoku meldunków, rozszyfrowywanych przez zespoły operatorów. Wszystko było nagrywane, gotowe do natychmiastowego odtworzenia, gdyby zaistniała potrzeba sprawdzenia raportów.

To spotkanie na północny zachód od Wołgogradu budziło podejrzenia. Jako dawny as lotnictwa, Władimirow uznał tę wskazówkę za nazbyt oczywistą. Musiał odczuwać szacunek dla tego amerykańskiego pilota, Ganta. Czytając dane o nim, jakich przez radio dostarczyła moskiewska centrala KGB, podziwiał wybór CIA. Gant był asem z Wietnamu — i chyba trochę szaleńcem. Władimirow miał nadzieję, że gdyby role się odwróciły, on także miałby dość intuicji, by wybrać kogoś takiego.

Czuł się tak, jakby znał Ganta, rozumiał jego potrzebę porwania Miga, chęć udowodnienia, że to możliwe. Gant z pewnością chce zakończyć swą misję. Chce zabrać Miga do domu.

Z meldunku pilota wynikało, że Amerykanin został jakoby zaskoczony nagłym pojawieniem się Tupolewa po jego prawej burcie, na kursie kolizyjnym. Władimirow wiedział jednak, że radar Ganta ostrzegł go o liniowcu dostatecznie wcześniej, by mógł uniknąć spotkania. A Gant był świetnym pilotem, może nawet najlepszym, jeśli wierzyć danym KGB. Nawet w nieznanym samolocie nie popełniłby takiego błędu. Władimirow był przekonany, że w Langley istniał symulator, w którym trenował Gant. W myślach przeklinał Kontarskiego, który, w ostrym blasku kłeski, wyglądał na ostatniego głupka. Przez ostatnie lata Amerykanie uzyskali wiele, bardzo wiele informacji.

Przestał myśleć o Gancie. Nie mógł już zmienić tego, co się stało. Nie, było coś o wiele ważniejszego, coś, co mogło zniwelować przewagę Amerykanina, wynikającą z niewykrywalności Miga-31. Co to było, do diabła?

Nieświadomym ruchem pocierał dłonią policzek. Usłyszał głos operatora, powtarzającego otrzymany meldunek. Słowa przemknęły mimo uszu, nie powodując reakcji.

— Ślad dźwiękowy, instalacja w Orsku... — mówił głos obok niego. Władirow nie zauważył, że wokół nagle zapadła cisza, nie widział, że operator odwrócił głowę i spojrzał na niego. Nie, myślał, to nie miało nic wspólnego z głosem. To było... było... I wtedy przypomniał sobie tę myśl, nieuchwytną, a przecież wyraźną. Nagle zdał sobie sprawę, że nikt się nie odzywa; dostrzegł zwróconą ku sobie, wyczekującą twarz radiooperatora.

Mówił wówczas, a był to głos sceptyka w atmosferze militarnej i politycznej euforii, że tego typu niewidzialność nie gwarantuje najbardziej nawet nowoczesnemu samolotowi całkowitego bezpieczeństwa. Detektory podczerwieni, skonstruowane po to, by reagować na źródła ciepła na ziemi i w powietrzu, mogą wykryć niewidzialny dla radarów samolot. Emisja ciepła silnika odrzutowego widoczna była na ekranie detektora podczerwieni jako pomarańczowa kropka. Nie wystarczy wprowadzić dla namierzenia pozycji i naprowadzania na cel, lecz mimo tych ograniczeń częściowo przynajmniej zlikwiduje absolutną przewagę systemu antyradarowego Miga-31. Namiar taki wystarczy do odpalenia w kierunku celu rakiet samonaprowadzających. Potem, używając własnych czujników, odnajdzie źródło ciepła widoczne na ekranach podczerwieni na ziemi. To było to! Władirow spojrzał na uniesioną do twarzy dłoń i dostrzegł, że drży.

Miał odpowiedź. Eskadry Wilczego Stada nie musiały liczyć jedynie na obserwacje wizualne. Każdy myśliwiec mógł uruchomić termiczny system naprowadzania i skierować go szerokim stożkiem do przodu. Każdy obiekt latający z silnikiem odrzutowym, który znajdzie się wewnątrz tego stożka, pokaże się jako jasnopomarańczowa plamka na ekranie detektora podczerwieni, i to niezależnie od warunków atmosferycznych.

Zauważył radiooperatora, siedzącego z dłonią przy twarzy, jak człowiek cierpiący na ból zęba; dostrzegł jego pełen zdumienia uśmiech.

— Tak? — zapytał. — Co mówiliście?

— Towarzyszu generale, ruchomy zespół nasłuchu na zachód od Orska przechwycił ślad dźwiękowy samolotu, lecącego na małej wysokości z prędkością powyżej 2 macha.

— Gdzie jest Orsk? — rzucił niecierpliwie Władimirow, jak gdyby udzieliło mu się podniecenie, widoczne na młodej twarzy operatora. Nie czekając na odpowiedź zwrócił się do człowieka, siedzącego przy konsoli mapy, który nanosił wzorce i detale, jakie wyświetlał na blacie stołu. — Spróbujcie powiększyć ten obszar...

Nagle przypomniał sobie.

— To na południowym końcu Uralu.

Klepnął dłonią w czoło. Nie zauważył ciszy, jaka zapanowała w centrum dowodzenia. Pojął nagle, że jego podejrzenia były słuszne. Gant świadomie pozwolił się zauważyć w locie na południe.

— O co chodzi, towarzyszu generale? — dotarło do niego pytanie sekretarza generalnego. Bez zastanowienia machnął ręką w stronę, skąd dobiegał głos.

— Dajcie mi potwierdzenie raportu. Szybko! — rzucił.

Pospieszenie podszedł do stołu i przyjrzał się wyświetlonej mapie. Nie dostrzegał irytacji sekretarza generalnego. Gorączkowo studiował południowy kraniec górskiego pasma Uralu, potem zrozumiał, że obszar jest zbyt mały.

— Skasujcie to — polecił. — Dajcie cały Ural, tak daleko na północ i na południe, ile tylko się zmieści. Natychmiast.

Niecierpliwie bębnił palcami po stole. Mapa rozplynęła się i uformowała na nowo. Ural niby sina szrama przecinał ekran. Na południu rozciągał się brunatny, matowy obszar Iranu, na północy głęboki błękit Morza Barentsa i Morza Arktycznego. Wciąż ignorując sekretarza generalnego, siedzącego niby rzeźbiona statua, Władimirow przesunął palcem najpierw w dół, w stronę Bliskiego Wschodu i Morza Śródziemnego, potem wolniej, z namysłem, w górę mapy, wzdłuż pasma Uralu. Palec zatrzymał się na Nowej Ziemi, potem powędrował dalej zataczając szeroki łuk na północny zachód, w Morze Arktyczne.

Wreszcie Władimirow podniósł głowę, w samą porę, by usłyszeć meldunek radiooperatora:

— Potwierdzają obserwację, towarzyszu generale. Samolot nie reagował na żądanie identyfikacji. Kierował się na północny wschód, w góry. Stracili kontakt po trzydziestu sekundach, ale zdążyli namierzyć kierunek i prędkość.

Władimirow zrozumiał, że Gant popełnił pierwszą omyłkę, którą uda się może zamienić w decydujący o klęsce błąd. Zignorował wezwanie do identyfikacji i tym samym wzbudził podejrzenia. I leciał zbyt szybko... chciał się ukryć. Paliwa nie wystarczy mu na tyle, ile się pewnie spodziewał. Raz jeszcze pochylił się nad mapą. Gant szukał osłony przed obserwacją i nasłuchem. Chciał się schować wśród wschodnich zboczy Uralu.

A to oznaczało... z rosnącym podnieceniem Władimirow uświadomił sobie, że mogło to oznaczać tylko jedno: tankowanie miało nastąpić na północ od granic Związku Radzieckiego, na Morzu Barentsa albo ponad nim.

Podniósł głowę. Sekretarz generalny nawet nie drgnął.

— A więc? — spytał cichym głosem.

— Jeśli spojrzycie na mapę, towarzyszu sekretarzu — odparł Władimirow czując, że Kutuzow staje za nim — postaram się wyjaśnić, do czego doszedłem.

W krótkich słowach naszkicował przewidywany kurs Ganta. Kiedy skończył, dodał jeszcze:

— Możemy go namierzyć, towarzyszu sekretarzu, mimo niewidzialności dla radarów.

Po chwili Andropow, stojący ze skrzyżowanymi ramionami tuż za szefem partii, zapytał ironicznie:

— Jak?

Władimirow wytłumaczył możliwie prosto, w jaki sposób system termicznego naprowadzania rakiet może zostać użyty jako kierunkowy promień poszukujący. Kutuzow klepnął go w ramię i Władimirow wyczuł, że stary dowódca drży z podniecenia. Wyczuwał także, że przypieczętował właśnie sprawę sukcesji, że to on będzie następnym dowódcą lotnictwa. Ta perspektywa nie wywarła na nim wrażenia. W tej chwili interesowała go jedynie eliminacja Ganta jako potencjalnego zagrożenia.

— Dobrze... znakomicie, generale — pochwalił sekretarz generalny. — Zgadza się, Michaił Iljicz? Kutuzow przytaknął.

— Czy konieczne są jakieś przeróbki? Władimirow pokręcił głową.

— Żadne. Wystarczy zaszyfrowany rozkaz od was, towarzyszu sekretarzu, albo od marszałka Kutuzowa. Sekretarz generalny pokiwał głową.

— Więc co proponujecie, Władimirow?

— Trzeba zaalarmować jednostki Floty Północnej. Niech zaczną szukać okrętu lub łodzi podwodnej... — przerwał. Nie, raczej okrętu, choć nawet to nie jest prawdopodobne. — A może samolotu, czekającego, by w powietrzu zaopatrzyć Miga w paliwo — radziecki przywódca przytaknął. — Musimy też podnieść eskadry Wilczego Stada, stacjonujące w pobliżu północnego wybrzeża. Niech szukają samolotu-matki.

Odwrócił się i spojrzał w oczy Kutuzowa. Starzec pokiwał głową.

— Zaalarmujemy także wszystkie bazy rakietowe wzdłuż Pierwszego Łańcucha Ogniwego. Niech czekają na Ganta. Powinny, razem z jednostkami Wilczego Stada, używać dla poszukiwań termicznych systemów celowania.

Nagle stuknął palcem w mapę, niemal wprost przed sekretarzem generalnym.

— Tutaj — oznajmił. — Właśnie tutaj. Jeśli poleci wzdłuż Uralu aż do jego północnego końca, użyje Zatoki Obskiej albo zatoki na zachodzie półwyspu Jamał jako punktu orientacyjnego do zmiany kursu na spotkanie z samolotem-cysterną. Jak widzicie, w pobliżu są dwie stałe bazy Pierwszego Łańcucha Ogniwego, między nimi ruchoma wyrzutnia i lotniska eskadr Wilczego Stada na półwyspie — uśmiechnął się tryumfalnie. — Organizacja akcji potrwa parę minut. Amerykanin wleci w największą pułapkę, jaką kiedykolwiek zastawiono.

I dodał, nadal się uśmiechając:

— Czy wyrażicie zgodę, towarzyszu sekretarzu, by każdy radziecki samolot, jaki zobaczy Ganta, służył jako cel dla rakiet... jeśli okaże się to konieczne?

Usłyszał, jak Kutuzow wciąga powietrze, lecz nie odrywał wzroku od sekretarza generalnego. W jego zimnych, szarych oczach czytał potwierdzenie swego awansu. Tym razem odczuł wyraźną, choć chwilową tylko przyjemność. Dostojnik skinął głową.

— Naturalnie — oświadczył.

— Znakomicie, towarzyszu sekretarzu. W takim razie Gant jest już martwy.

* * *

Lot przez Ural zabrał Gantowi nieco ponad dwie godziny, ponieważ na trasie od Orska do Workuty, ponad tysiąc sześćset mil wzdłuż wschodnich zboczy Uralu, nie przyspieszał powyżej pięciuset mil na godzinę. Nie przekraczał prędkości dźwięku, by oszczędzać paliwo. Żałował teraz, że zużył je w panicznej ucieczce pod osłonę gór. Przy niewielkiej prędkości nie pozostawiał także za sobą naddźwiękowego śladu ponad bezludnym prawie terenem. Podnóże gór okrywała mgła i obserwacje wzrokowe były praktycznie niemożliwe, czy to z ziemi, czy z powietrza.

Niewiele wiedział na temat instalacji wojskowych na Uralu. Buckholz i Aubrey nic prawie nie potrafili mu powiedzieć. Założyli po prostu, że wschodnie zbocza będą słabiej uzbrojone i mniej czujnie pilnowane.

Kiedy tylko zobaczył Orsk, swój punkt orientacyjny, wczytał do nawigatora inercyjnego nowe współrzędne do lotu na północ i wprowadził maszynę na zadany kurs. Włączył ROT — radar obserwacji terenu — i autopilota. Mknął jak upiór ponad szarym światem przesłaniającej ziemię mgły, bezkształtnej jak krajobraz księżyca albo widoki z jego wspomnień.

Bał się powrotu koszmaru, a przynajmniej fizycznych objawów histerycznego paraliżu czy nawet mdłości. Nic takiego nie nastąpiło. Zdawało się, że przeszedł z cienia do światła, że jak starą skórę zrzucił z siebie osobę, którą był przed startem. Nie tracił czasu na zachwyt swoją nowo zintegrowaną świadomością, spokojem myśli. Nie był zdziwiony. Nawet w Wietnamie, pod sam koniec, potrafił bezbłędnie latać, zostawiając za sobą, niby mundur w szatni, zsuwający się ku przepaści wrak człowieka.

Odbiornik emisji naziemnych stacji radarowych milczał od chwili, gdy zaczął przelot przez góry. Lecąc nad skalistym Uralem czuł się całkowicie odizolowany od świata. Ludzie z NASA opowiadali o takiej izolacji po długich okresach pobytu w Skylabach, albo wracając z lotów próbnych nowych ładowników. Raz spotkał nawet Collinsa, jednego z lunonautów. Mówił o tym samym. Gant odczuwał podobną izolację, gdy oddał samolot autopilotowi. Istniała jedynie kabina, hermetyczna, stabilna i ciepła — a ludzkie mrowie i jego planeta pędziły w dole bezkształtne jak mgła, przez którą leciał. Zresztą, tego wrażenia separacji nie potrafił się pozbyć także na ziemi, nawet przy ostrych pijaństwach z kolegami albo szukając ukojenia u sajgońskich prostytutek. To był powód, dla którego wciąż dążył do samotności w powietrzu. Ziemia oferowała mu jedynie marną kopię tego uczucia.

Minęła dziewiąta. Mgła rozplywała się na pułapie jego lotu, zdzierana z burt kabiny, aż słońce błysnęło w szybach i pojawiło się jasne, błękitne niebo poranka. Wiedział, że przy obecnym kursie i prędkości, za kilka minut przeleci nad Zatoką Bajdaracką, odnogą Morza Karskiego wciętą głęboko w ląd po zachodniej stronie półwyspu Jamał. Kiedy zobaczy kolejny punkt kontrolny, jakim było wejście do zatoki, wprowadzi do układu nawigacji nowy zestaw współrzędnych.

Spojrzał przed siebie. Widoczność nie była najlepsza. Wciąż ani śladu wody, jedynie szary, niewyraźny brak horyzontu. Musiał zejść niżej, jak najniżej, ryzykując, że ktoś z ziemi go zauważy, wciskając się w wąskie gardło Ogniewego Łańcucha, biegnącego wzdłuż północnego wybrzeża. Nie miał jednak wyboru.

Ostatnie wzniesienia Uralu opadały ku morzu. Zbliżyły się znowu, gdy obniżył lot ześlizgując się ku ostatnim obłokom mgły, nie rozproszonym jeszcze przez coraz mocniejsze słońce. Za lewą burtą dostrzegł niewielkie miasto, Workutę. Wiedział wtedy, że leci właściwym kursem i że od zatoki dzieli go tylko kilka minut.

Nagle radar wykrył obecność innego samolotu, na samej krawędzi ekranu, wyżej i daleko z prawej burty. Duża maszyna, pewnie rozpoznawczy Badger, wracający z rutynowego patrolu nad Morzem Karskim i Arktycznym.

Mijały sekundy. Gant zdawał się zadowolony z faktu, że zbliża się do Badgera i że przeleci pod nim. Przy odrobinie szczęścia cały sprzęt elektroniczny na pokładzie rosyjskiej maszyny w tak niewielkiej odległości od macierzystego lotniska będzie już wyłączony. Wtedy właśnie na ekranie pojawiły się trzy pomarańczowe punkty. Wznosiły się i były coraz bliżej. Źródła emisji podczerwieni. Jedna z baz Ogniewego Łańcucha odpaliła salwę rakiet.

Wiedzieli o nim. Zrozumiał, że jego odporność na wykrycie i atak była tylko pozorem. Nagle utracił pewność siebie.

Nie mógł uwierzyć w to, co się stało. Rakiety musiały być sterowane termicznie i podążały śladem gazów wylotowych w stronę najgorętszego punktu nieba. W jakiś sposób stał się dla nich widzialny. I wiedział, jak to się stało. Baza Ogniewego Łańcucha użyła detektorów podczerwieni dla odnalezienia śladu jego silników. Radary nie mogły go wykryć, lecz na ekranach podczerwieni pojawił się jako pomarańczowa plamka. Coś niewidocznego dla radaru, co jednak wyrzucało gorące gazy. To mógł być tylko on. Takie pewnie otrzymali informacje.

Utrata nietykalności oszołomiła Ganta. Patrzył zafascynowany na trzy lśniące, pomarańczowe plamki na ekranie. Rosły wolno, w miarę jak rakiety zbliżały się do Firefoxa.

Znaleźć i zniszczyć

Kontakt: siedem sekund. Chwila oszołomienia minęła. Gant oderwał wzrok od trzech pomarańczowych punktów na ekranie. Ten sam ekran rejestrował jasnozieloną plamkę Badgera, oddalonego ledwie o kilka mil, lecącego trochę niżej po lewej. Monitor, to pojedyncze „oko” systemu detektora, zbudowano tak, by pokazywał podczerwone emisje źródeł ciepła jako punkty pomarańczowe, obrazy radaru zaś jako zielone. Rakiety z tyłu widział w dolnej połowie ekranu, Badgera przed sobą w górnej. Leciał w jego stronę, więc plamka błyszczała na środkowej podziałce ekranu.

Gant zrozumiał nagle, że Badger był jego kluczem do bezpieczeństwa. Istniał sposób wprowadzenia w błąd samonaprowadzających rakiet. Musiał wytworzyć źródło ciepła bardziej intensywne niż jego własne silniki, za którymi podążały pociski. Musiał zniszczyć Badgera, sprawić, by zapłonął jak pochodnia.

Wprowadził Firefoxa na kurs kolizyjny z rosyjskim samolotem. Całym wysiłkiem woli starał się ignorować trzy pomarańczowe punkty zbliżające się do środka ekranu. Kontakt: pięć sekund. Pchnął dźwignię przepustnic. Musiał znaleźć się bliżej Badgera, zanim wystrzeli jedną z własnych rakiet. Skafander zacisnął się wokół ciała, potem rozluźnił, gdy Gant zanurkował. Trzy pomarańczowe punkty przesunęły się po ekranie, potem wróciły na miejsce, gdy pociski skręciły za samolotem. Zielona plamka Badgera urosła. Gant pstryknął bezpiecznikiem systemu uzbrajania po lewej stronie konsoli. Potem przerzucił wyłącznik układów myślowego odpalania i sterowania, zabezpieczający dotychczas przed przypadkowym uruchomieniem systemu. Mógł teraz prowadzić swe rakiety wizualnie, obserwując pociski i cel, lub za pośrednictwem ekranu. To, co widział i co chciał, by zrobiły rakiety, mózg przekształcał w impulsy elektryczne, wychwytywane przez elektrody hełmu i przekazywane do systemu emisji sygnału sterującego. Gdy czujnik odległości do celu wskazał optymalny dla trafienia moment, sterowany myślą układ automatycznie odpalił jedną z zawieszonych pod skrzydłami rakiet. Wypadła z uchwytu, potem przyspieszyła i zeszła z toru jego lotu. Przez chwilę widział kątem oka błysk ognia pracującego silnika.

Kontakt: trzy sekundy. Poczuł przypływ nadziei. Przez sekundę widział przed sobą sylwetkę Badgera, rosnący, szary, podłużny kształt. Położył Firefoxa w prawy skręt, jak najostrzejszy. Dwie sekundy. Pomarańczowy punkt na ekranie zlewał się niemal z zielonym, zakrywał go.

Rakieta trafiła i Badger otworzył się niby ogromny, pomarańczowy kwiat w samym środku ekranu — najgorętszy punkt na niebie. Kontakt: zero sekund. Kwiat rozkwitł jeszcze bardziej jaskrawo, tuż poniżej środka ekranu — Firefox pozostawiał z tyłu ognisty wir. Plama ciepła rozrosła się, gdy tamte rakiety detonowały w piekle zniszczenia.

Gant poczuł, że poci się obficie, że fala ulgi ogarnia go jak atak mdłości. W dole, na ziemi, ekrany podczerwieni, które go namierzyły, teraz tracą trop, zalane światłem wybuchu. Gdy światło zniknie, Firefox znajdzie się poza ich zasięgiem. Miał nadzieję, że obsługa wyciągnie oczywisty wniosek, że to on zginął w wybuchu.

Sprawdził prędkość — trochę poniżej siedmiuset mil na godzinę. Tak blisko brzegu nie mógł wejść w naddźwiękową. Zbyt wiele wyćwiczonych uszu czekało na dźwiękowy ślad jego przelotu.

Teraz, kiedy udało mu się przeżyć, zaczął oceniać zachowanie Firefoxa. Sterowany myślą system uzbrojenia działał, zresztą nigdy w to nie wątpił. Baranowicz go zaprojektował, a choć Gantowi trudno było teraz przypomnieć sobie jego twarz i brzmienie głosu, jak gdyby dzieliła ich otchłań czasu, żywił podświadome, niezachwiane zaufanie wobec dzieła tego rosyjskiego Żyda. Jak dotąd obejrzał jedynie sam wierzchołek góry lodowej. Nie musiał reagować z szybkością myśli, musiał jednak podjąć świadomą decyzję. Kiedy jednak wyraźnie pomyślał o nowoczesnej rakiecie typu Anab na końcu lewego skrzydła, pocisk odpalił. Gant czuł tylko lekkie drgnienie w chwili wyczepienia.

Spojrzał na ROT. Przelatywał właśnie ponad pasem wybrzeża. Mgła, która nie znikwała ze zboczy gór, teraz stała się pewnie mgłą morską — lekką, w każdej chwili mogącą się rozwiać, lecz maskującą. Ale przede wszystkim tłumiała dźwięki i tak rozpraszała huk jego silników, że rosyjskie detektory dźwięku tracą namiar zmylone echami.

Potem zobaczył brzeg, nierówną linię na ekranie radaru. Wąski pas morza był najdalej w głąb lądu sięgającym punktem Zatoki Bajdarackiej. Gant odszukał w pamięci następny zestaw współrzędnych. Firefox przesunął się nad powierzchnię

wody. Gant opuścił nieco nos i opadł niżej, trzymając się wąskiego pasa mgły, szarego i bezkształtnego, oddzielającego go od świata. Odczytał z ekranu kurs i posłusznie wykręcił w stronę dwóch wysp Nowej Ziemi, na północny zachód od aktualnej pozycji.

Gdy wysokościomierz wskazywał już dwieście stóp, Gant spojrzał znowu na radar i przymknął przepustnice. Obroty turbin spadły, co natychmiast zarejestrował prędkościomierz. Wyrównał lot i zwolnił jeszcze bardziej. Póki leciał we mgle, mógł oszczędzać paliwo i jednocześnie zmniejszyć hałas silników. Gdyby ktoś miał go usłyszeć, lepiej, żeby uznał go za zwyczajny samolot patrolowy niż za uciekającego złodzieja. Ustabilizował prędkość na dwustu pięćdziesięciu milach.

Sięgnął do wnętrza trzystorowego radia. Było to specjalne urządzenie skonstruowane wyłącznie dla zadania, które miało teraz wypełnić — odbiornik kierunkowy, pracujący według niewiarygodnie złożonego, wprogramowanego wzorca i szukający nadajnika operującego zgodnie z tym samym wzorcem zmiennych częstotliwości. Sygnał nadawany był na każdej z nich tak krótko, że przypadkowy słuchacz odrzuciłby go jako zwykłe zakłócenie. Gant nie wiedział, w jakim momencie aparat po włączeniu wchodzi w sekwencję zmian, ale urządzenie musiało być skomplikowane, gdyż każda rozmowa, jakkolwiek krótkotrwała i niezrozumiała, była dla Rosjan zaproszeniem do podsłuchu. Gant przesunął wyłącznik na bezużytecznym z pozoru urządzeniu. Nic się nie stało, ale w tej chwili niczego się nie spodziewał.

Wiedział, że aparat szuka sygnału w zadanym paśmie częstotliwości, że zasięg jest ograniczony... ale w chwili, gdy go uruchomił, zaczął się martwić. Dopiero teraz w pełni zdał sobie sprawę z całkowitej zależności od tego urządzenia. Jeśli nie pochwyci sygnału transmitowanego przez tankowiec, jeśli odbiornik nie zestroi się z nadajnikiem tak, by sygnał stał się ciągłym impulsem kierunkowym, będzie zgubiony. Zginie, gdy paliwo skończy mu się gdzieś nad Morzem Arktycznym.

„Aparat słuchowy”, jak nazwał go Aubrey z tym swoim obrzydliwym, sardonicznym uśmiechem, był konieczny, ponieważ nikt — nawet Buckholz dysponujący wszystkimi informacjami Baranowicza — nie mógł zagwarantować, że Rosjanie nie zablokują wszystkich nadajników i odbiorników na pokładzie Firefoxa, gdy ten znajdzie się w powietrzu. Wtedy Gant nigdy nie dotarłby do paliwa. Nawet gdyby potrafili tylko śledzić każdy nadajnik i odbiornik, Gant doprowadziłby ich prosto do „Matki”.

A tego, myślał Gant patrząc, jak rozwiewa się mgła, jak światło przenika nużącą szarość i jednostajność widzialnego świata, tego mu nie powiedzieli. Nie wiedział, gdzie ma spotkać „Matkę”. Na wypadek, gdyby został złapany. To, czego nie wiedział — jakkolwiek wariacka mogła się wydawać ta logika — tego nie mógł nikomu powiedzieć, cokolwiek by z nim robili.

Spojrzał na wskaźniki paliwa. Została niepełna czwarta część zbiorników. Nie miał pojęcia, jaka odległość dzieli go jeszcze od celu. Jeśli, i kiedy, złapie sygnał, będzie wiedział, że do miejsca tankowania zostało najwyżej trzysta mil. Ale zabawka z Farnborough milczała uparcie.

Uruchomił autopilota sprzężonego z ROT. Zaczynał najdłuższą część swej podróży, która wyczerpie go nerwowo jak żadna inna — lot na wiarę w małe magiczne pudełko, nigdy jeszcze nie wypróbowane w działaniu. Królik doświadczalny. Gołąb pocztowy. Oto, co z niego zrobili.

Gant był pilotem ery elektroniki. W ciągu całej swej kariery nauczył się wierzyć instrumentom. Nigdy jednak nie był uzależniony od jednego tylko urządzenia, nie mającego żadnego związku z jego umiejętnościami, niepodatnego na nic, co może zrobić pilot samolotu.

Po ekranie radaru przesuwiała się bezkształtna powierzchnia morza, nieskończona i pusta. Podniósł samolot ponad rzednącą mgłę, ku rozbłyskowi słonecznego światła i przelotnemu wrażeniu błękitu nieba na czterystu stopach. Nic. Zanurkował z powrotem. Wszystkie instrumenty potwierdzały, że Nowa Ziemia jest zbyt daleko, poza zasięgiem wzroku... a mimo to chciał ją zobaczyć na własne oczy, jakby myśl o zależności od wypełnionego elektroniką pudełka skłoniła go do powrotu do wcześniejszej epoki latania.

Raz jeszcze sprawdził paliwo. Punkt tankowania znajduje się pewnie setki mil od rosyjskiego wybrzeża. Musi tak być, ze względu na bezpieczeństwo. Została mniej niż jedna czwarta paliwa w potężnych zbiornikach skrzydłowych i w kadłubie, także pełniącym funkcję zbiornika.

Gant nie miał ochoty na rozwiązywanie równań paliwa i odległości. Raz jeszcze przeklął w duchu swoją paniczną ucieczkę w stronę Uralu. To, co wtedy dało mu poczucie swobody, życia, teraz mogło go zabić.

— O co chodzi, Władimirow? — spytał swobodnym tonem sekretarz generalny. Generał zatrzymał się w pół kroku i odwrócił, by stanąć twarzą w twarz z radzieckim przywódcą.

— Musicie się nauczyć ze spokojem przyjmować sukcesy — sekretarz roześmiał się.

Władimirow uśmiechnął się chłodno.

— Chciałbym mieć pewność, towarzyszu sekretarzu. I wprawdzie obawiam się, że mogę was rozgniewać, to jednak nie mam tej pewności.

— Martwicie się, że straciliśmy Miga-31?

— Nie. Nie dlatego, że go straciliśmy. Po prostu zastanawiam się, czy udało się nam tak łatwo zabić tego Ganta.

— Przecież to był wasz własny plan! I macie wątpliwości? — spytał zza pleców sekretarza Andropow.

— Nigdy nie byłem pewien sukcesu, towarzyszu przewodniczący.

— Uspokójcie się, Władimirow — wtrącił cicho sekretarz generalny. — Czego byście chcieli? Będę wielkoduszny — uśmiechnął się łaskawie.

— Kontynuacji i zintensyfikowania poszukiwań Ganta — odparł śmiało Władimirow.

— Dlaczego?

— Dlatego że... że jeśli on wciąż żyje, to nasze zadowolenie ze zwycięstwa może być właśnie tym, czego mu trzeba. Musimy znaleźć to coś, co na niego czeka: samolot z paliwem albo statek, albo co tam jeszcze.

Sekretarz generalny patrzył na Władimirowa, jakby chciał odgadnąć jego myśli. Po chwili milczenia zwrócił się do Kutuzowa.

— A więc, Michaile Iljiczu? Co wy na to?

Kutuzow odchrząknął, jakby dawno nie używana krtań pokryła się rdzą.

— Zgadzam się na podjęcie wszelkich środków ostrożności, towarzyszu sekretarzu.

— Doskonale — dobry humor dostojnika znikł bez śladu. Zdawał się niezadowolony, że uleciał ów pełen euforii nastrój, jaki panował w centrum od chwili odebrania meldunku z bazy numer 24 Pierwszego Łańcucha Ogniowego. Jego głos

brzmiał szorstko i zimno, i niemal z groźbą. — Czego potrzebujecie, poza potężnymi siłami, jakie już zaangażowaliście...?

Niemal groźnie akcentował słowa.

— Dajcie mi mapę Morza Barentsa z pozycjami naszej marynarki oraz trawlerów i statków wywiadu elektronicznego — zawołał przez ramię Władimirow. Stał przed okrągłym stołem i w zamyśleniu pogładził brodę. Północna linia brzegowa ZSRR zgasła, a wraz z nią iskierki światła oznaczające bazy Wilczego Stada i wyrzutnie Łańcucha Ogniwego. Na jej miejscu pojawiła się projekcja Morza Barentsa.

Władimirow czekał, aż operator wystuka jego żądania na klawiaturze komputera. Wolno, jedno po drugim, niby zapalające się na ciemniejącym niebie gwiazdy, na mapie pojawiły się światełka oznaczające pozycje statków na Morzu Barentsa i w południowej części Morza Arktycznego. Generał przyglądał im się w milczeniu.

— Gdzie wydruk? — spytał po chwili.

Operator podał mu kartkę papieru, na której wypisano nazwę, ostatnią meldowaną pozycję i kurs każdego z widocznych na mapie statków. Władimirow zaczął czytać z uwagą, od czasu do czasu sprawdzając coś z projekcją na blacie stołu.

Na północ od wyspy Kołgujew i na zachód od Nowej Ziemi grupka białych światełek świadczyła o obecności sporej floty trawlerów. Neutralna barwa dowodziła ich pozamilitarnego przeznaczenia — to byli prawdziwi rybacy. W pewnej odległości lśniły dwa niebieskie punkty — „trawlerzy” szpiegowskie. Były to statki wywiadu elektronicznego, wyposażone najnowocześniejszym sprzętem wykrywającym cele powietrzne i pływające. Jak owczarki okręzały flotę rybacką, lecz interesowały się czymś zupełnie innym. Władimirow był pewien, że w tej chwili przeszukują niebo detektorami podczerwieni. Sprawdzają wszystkie ślady zgodnie z instrukcjami otrzymanymi od dowódcy sektora Wilczego Stada, w którego strefie brzegowej się znaleźli. O tej porze roku statki wywiadowcze nie działały jeszcze na Morzu Barentsa, ale admirał Gorszkow, zastępca ministra obrony, lubił, by jego jednostki wchodziły do akcji, gdy tylko stan morza na to pozwala. Ze względu na południowy dryf pól lodowych podczas arktycznej wiosny, miały teraz niewiele do roboty, poza wspomaganie nabrzeżnych radarów.

Wzrok Władimirowa przesunął się ku północy Morza Barentsa, gdzie czerwony punkt oznaczał obecność okrętu marynarki wojennej. Sprawdził na liście. Była to „Ryga”, krążownik rakietowy klasy „Moskwa”, duma Floty Północnej: 18000 ton wyporności, dwie wyrzutnie rakiet woda—powietrze, dwie rakiet woda—woda, mogących służyć także do niszczenia okrętów podwodnych, cztery działa kalibru sześćdziesiąt milimetrów, wyrzutnie bomb głębinowych, cztery wyrzutnie torped i cztery śmigłowce szturmowe typu Ka-25. W tej chwili „Ryga” płynęła na wschód, zgodnie z rozkazem sekretarza generalnego, przekazanym poprzez Gorszkowa w Leningradzie. Za jakąś godzinę znajdzie się w pobliżu Nowej Ziemi.

W innym miejscu mapy Władimirow dostrzegł dwa niszczyciele rakietowe, mniejsze i słabiej uzbrojone repliki krążownika, pozbawione śmigłowców pokładowych. Jeden z nich znajdował się daleko na północ od Nowej Ziemi, w pobliżu Ziemi Franciszka Józefa, na skraju wiecznych pól lodowych, drugi podążał pospiesznie na południowy wschód z okolic Spitsbergenu. Większa część Floty Północnej kotwiczyła w Kronsztadzie, wielkiej bazie marynarki wojennej na wyspie przy ujściu Newy, niedaleko Leningradu. Pora roku była bowiem zbyt wczesna na jakiegokolwiek operacje czy manewry na Morzu Barentsa.

Władimirow dostrzegł jednak z ulgą kilka żółtych punktów, oznaczających radzieckie okręty podwodne. Spojrzał na listę, sprawdził typy i w myślach ocenił ich uzbrojenie i zdolność prowadzenia poszukiwań. Radziecka strategia działań na Morzu Barentsa zakładała, że okręty pozostają w bazach podczas ostrych miesięcy zimy i wczesną wiosną, gdy dryfują pola lodowe. Do patroli używano wtedy jednej tylko broni z arsenału marynarki wojennej: potężnej floty podwodnej, pozostającej w dyspozycji Kremla i dowódcy marynarki. Był to jeden z powodów, dla którego Związek Radziecki od dawna koncentrował się na jej rozbudowie, odnosząc w tej dziedzinie wiele sukcesów. Dlatego też powrócono do budowy tańszych okrętów z konwencjonalnym napędem dieslowskim, zamiast — jak to się działo w Stanach Zjednoczonych — koncentrować się na niesamowicie kosztownych okrętach atomowych.

Władimirow pominął na razie trzy atomowe okręty klasy „V” do działań przeciwpodwodnych oraz dwa inne, uzbrojone w pociski balistyczne, wracające z rutynowego patrolu bojowego u wschodnich wybrzeży Stanów Zjednoczonych. Do niczego nie mogły mu się przydać. Potrzebował takich, które potrafiły odszukać i zestrzelić samolot.

— Jakie meldunki z badania szczątków samolotu? — spytał wreszcie, zmęczony blaskiem światełek mapy. Gant nie mógł przecież uciec... ale także powinien już dawno nie żyć.

— Na razie nic, towarzyszu generale. Zwiad lotniczy donosi, że widać tylko szczątki Tupolewa. Oddziały naziemne nie dotarły jeszcze na miejsce upadku.

— Raport z poszukiwań jednostek, które mogą dostarczyć paliwa — zażądał natychmiast Władimirow.

— Wynik negatywny, Iowa r/y szii generale — odezwał się inny głos. — Żadnych nie zidentyfikowanych okrętów ani samolotów na obszarze będącym, według prognozy komputera, granicą zasięgu Miga.

Władimirow był zdziwiony i poirytowany. Właściwie to właśnie pragnął usłyszeć: żadnych zachodnich samolotów i okrętów na krytycznym obszarze. Chociaż, s/czerze mówiąc, to niemożliwe. On musi gdzieś pobrać paliwo. A najbliższe neutralne lub przyjazne terytorium znajduje się pewnie gdzieś w Skandynawii. Naturalnie, Gant mógł planować kolejną zmianę kursu w kierunku zachodnim, by wzdłuż radzieckiej linii brzegowej dotrzeć do Przylądka Północnego albo fińskiej Laplandii...

Nie wierzył w to, choć podjął już odpowiednie środki bezpieczeństwa. Nie sądził, by CIA albo brytyjska Intelligence Service potrafiły skłonić któryś ze skandynawskich rządów do ryzyka, jakim byłoby lądowanie Miga na ich terenie, zwłaszcza wobec delikatnych stosunków ze Związkiem Radzieckim. Nie, tankowanie musi nastąpić na morzu albo na niewielkiej wysokości. To nie mógł być lotniskowiec. Żadnego zresztą nie było w pobliżu, ani nawet w jakiejś rozsądnej odległości. Poza tym, Mig nie był przygotowany do lądowania na pokładzie. Czy jedna z amerykańskich stacji meteorologicznych położonych na wiecznym, okołobiegunowym lodzie nie mogła się okazać bazą paliwową?

Władimirowowi nie podobał się ten problem szukania punktu paliwowego. Dopóki nie nadeszło ostateczne potwierdzenie, że Gant przekroczył linię brzegową, koncentrował się raczej na zatrzymaniu go w radzieckiej przestrzeni powietrznej. Teraz jednak...

— Gdzie jest? — zastanowił się głośno.

— Co gdzie jest? — spytał sekretarz generalny. Marszczył czoło, jakby miał właśnie podjąć jakąś decyzję.

— Okręt z paliwem... albo samolot. Cokolwiek! — burknął w odpowiedzi Władimirow, nie odrywając spojrzenia od mapy.

— O co chodzi?

Pewna myśl przyszła generałowi do głowy. Nie zwracając uwagi na sekretarza generalnego zawołał przez ramię:

— Jakies ślady na detektorach dźwiękowych albo podczerwieni na zachodzie, w bazach Łańcucha Ogniwego albo u patroli przybrzeżnych?

— Nic, towarzyszu generale — odparł po chwili ciszy czyjś spokojny głos. — Tylko trwający sukcesywny start sektorów.

— Zupełnie nic? — w głosie Władimirowa zabrzmiała rozpacz.

— Nic, towarzyszu generale. Żadnych wyników.

Władimirow tracił orientację. Czuł się tak, jakby patrzył na nie pasujące do siebie kawałki układanki albo na szachownicę, na której ktoś umieścił dodatkowe figury, stawiając go w zaskakującej i przegranej pozycji. Zdał sobie sprawę, że /byt sztywno trzymał się dotąd zasad taktyki. Tymczasem ludzie, którzy zaplanowali porwanie Miga, byli specjalistami od zaskakujących działań, ekspertami wywiadu, jak Andropow. Spojrzał szybko w stronę przewodniczącego, postanowił jednak nie włączać go do akcji. Wiedział, że popełnia pewnie ten sam błąd, co Kontarski, ale wolał sam poprowadzić tę sprawę.

Musiało istnieć rozwiązanie, po prostu on go nie dostrzegał. Im dłużej myślał o problemie tankowania Miga, tym bardziej był przekonany, że stanowi to klucz do całej sprawy.

Jak on chce tego dokonać?

Władimirow spojrzał na mapę, jakby chciał ją zmusić do zdradzenia sekretów. Każdy świetlny punkcik oznaczał radziecki statek, z wyjątkiem brytyjskiej flotylli rybackiej przy samej krawędzi obrazu, na Morzu Grenlandzkim, w pobliżu Wyspy Niedźwiedziej.

Zastanawiał się przez chwilę, uznał jednak, że to za daleko. Gantowi nie wystarczy paliwa, by tam dolecieć... zresztą, jak Brytyjczycy zdołaliby ukryć lotniskowiec we flotylli trawlerów? Śmieszny pomysł.

Nie. Mapa nie kryła odpowiedzi. Niczego nie potrafił z niej wywnioskować.

Uderzył dłonią w stół, a światełka zafalowały, przygasły i rozbłysły na powrót.

— Gdzie on jest? — powiedział na głos. Po chwili odezwał się sekretarz generalny.

— Jesteście przekonani, że on nadal żyje? Władimirow podniósł głowę.

— Tak, towarzyszu sekretarzu. Jestem przekonany.

* * *

Jest tutaj, pomyślał Aubrey, patrząc na samotną pomarańczową kropkę na wielkiej ściennej mapie. „Matka Jeden”. Nie uzbrojony okręt podwodny ukryty pod polem lodowym, dryfującym wolno na południe, jak zwykle wiosną. Przedział torpedowy i dziobowe kabiny załogi pełne były bezcennej ropy, mającej wypełnić żarłoczne a puste zbiorniki samolotu Ganta.

Odkaszlnął. Curtin obejrzał się powoli, i zaraz potem czar, który unieruchomił ich przed mapą, prysnął. Rozwiązał go Shelley, wypychając zastawiony talerzami wózek. Aubrey wyczuł zapach kawy i uświadomił sobie nagle, że jest głodny. Uczucie zazdrości wobec asystenta, który umył się, ogolił i zmienił koszulę, nie zmniejszyło jego zadowolenia z widoku jedzenia na wózku.

— Śniadanie, sir! — zawołał młody człowiek. Uśmiechał się coraz szerzej widząc, jak zdumienie szefa zmienia się w zachwyt. — Tylko jajka na bekonie — dodał przepraszająco w stronę Amerykanów. — W kantynie nie znalazłem nikogo, kto potrafiłby zrobić naleśniki albo gofry.

— Panie Shelley — odpowiedział wesoło Curtin. — Prawdziwe angielskie śniadanie to pierwsza rzecz, jaką zamawiamy my, Amerykanie, gdy tylko zamieszkamy w jednym z waszych hoteli.

Aubrey pomyślał, że idiotycznie zadowolony z siebie Shelley nie potrafi wyczuć ironii Curtina. Zresztą, nie było to istotne.

— Dzięki — powiedział Buckholz, podnosząc pokrywę półmiska. Aubrey wciągnął w płuca zapach smażonego bekonu, wstał szybko i podszedł do wózka.

Przez pewien czas jedli w milczeniu. Potem odezwał się Aubrey, rozsmarowując na cienkiej grzance warstwę masła.

— Proszę powiedzieć, kapitanie Curtin — spytał zadowolony i usatysfakcjonowany — jaki jest aktualny stan pola lodowego, pod którym ukrywa się nasz tankowiec?

Curtin, jedzący po amerykańsku samym widelcem, oparł łokieć o stół.

— Ostatnie raporty dotyczące grubości lodu i jego powierzchni dowodzą, że wszystko jest gotowe do lądowania, sir. Aubrey uśmiechnął się z tej wyszukanej grzeczności.

— Jest pan tego pewien? — zapytał.

— Sir — dla zaakcentowania swych słów Curtin dźgnął widelcem powietrze. — Jak pan zapewne wie, sygnały z „Matki Jeden” dochodzą do nas za pośrednictwem stałej stacji meteorologicznej i są tak maskowane, by każdemu, kto je usłyszy, wydały się zwykłymi raportami meteo czy wynikami badań pokrywy lodowej. Dlatego nie wiemy, co naprawdę myśli Frank Seerbacker w swojej łodzi, a tylko to, co nadaje. Ale łódź jest w dobrym stanie, sir. Powierzchnia nie została naruszona czy zmieniona przez wiatr, a pole nie zaczęło się jeszcze zmniejszać. Trzeba trzech, może czterech dni, by dotarło dalej na południe i zaczęło topnieć.

— A czy jest wystarczająco grube? — nalegał Aubrey. Shelley uśmiechnął się zza uniesionego na widelcu kawałka jajka i bekonu. Rozpoznawał objawy. Gdy Aubrey nie znał się na czymś, tak jak w przypadku polarnych pól lodowych, ich natury i zachowania, powtarzał pytania, oczekując coraz bardziej stanowczych zapewnień tych, którzy uchodzili za ekspertów.

— Tak, sir — Curtin z niewzruszoną uprzejmością pochylił głowę. — Jest także dostatecznie długie i szerokie — dodał uśmiechając się nieznacznie. — Gant, jeśli tylko jest czegoś wart jako pilot, bez trudu posadzi na nim ptaszka.

— Co z pogodą? — nie ustępował Aubrey, unikając wzroku Buckholza.

Amerikanin spojrzał na niego i wyszczerzył zęby.

— Co z tobą, Aubrey? Niestrawność czy co?

— Co z pogodą? — powtórzył Aubrey.

— Obecnie pogoda jest znakomita... sir — oświadczył Curtin. I po chwili milczenia dodał: — Jest wręcz anormalnie dobra, jak na tę porę roku i tę szerokość geograficzną.

— Anormalnie?

— Tak, sir. Może się zmienić... o tak — Curtin pstryknął palcami wolnej ręki.

— A zmieni się? — Aubrey zmrużył oczy, jakby podejrzewał, że robią mu jakiś dowcip. — Zmieni?

— Trudno powiedzieć, sir. Na ostatniej serii zdjęć satelitarnych nie ma nic specjalnego.

— Co mówią raporty z okrętu?

— Jeszcze nic. Pogoda jest znakomita. Co godzinę wystawiają czujniki nad lód. Warunki są doskonałe, sir, po prostu doskonałe.

Curtin zakończył wyraźnym wzruszeniem ramion, dając do zrozumienia, że Aubrey całkowicie wyczerpał jego rezerwy informacji i zdolności dodawania otuchy. Mimo to Aubrey nie był usatysfakcjonowany. Tym razem zwrócił się do Buckholza.

— To wariacki plan, Buckholz. Musisz to przyznać. Amerykanin spojrzał z irytacją znad pustego talerza.

— Nic takiego nie powiem — oświadczył. — Tankowanie to moja sprawa. Ty dostarczyłeś go na miejsce i jeśli czekasz na pochwały, to rzeczywiście — znakomita robota. Ale to ja mam go doholować do domu i lepiej mi zaufaj, Aubrey, bo nie będę zmieniał planów tylko dlatego, że zaczynasz mieć wątpliwości.

— Ależ drogi kolego — Aubrey położył ręce na stole. — Zapewniam cię, że jestem jak najdalszy od takich propozycji. — Uśmiechnął się rozbrajająco. — Po prostu... chciałem być na bieżąco, że tak powiem. Na bieżąco. To wszystko.

— Oczywiście — przyznał udobruchany Buckholz. — To szaleńczy plan, żeby samolot wylądował na dryfującym polu lodowym i tankował z okrętu podwodnego. Nie mogę zaprzeczyć. Ale to się uda, Aubrey. Każdy sonar uzna ich za fragment pola. W odpowiednim momencie wynurzy się, napełni zbiorniki i nasz chłopak odleci. Nie możemy korzystać z maskowania, Aubrey, w przeciwieństwie do ciebie. Na morzu nie zamaskujesz okrętu tak, by wyglądał na ciężarną fokę.

Aubrey zastanawiał się przez chwilę,

— No dobra, Buckholz — powiedział wreszcie. — Uznaję twoją argumentację, przemawiającą za okrętem podwodnym. Byłbym jednak o wiele szczęśliwszy, gdyby tankowanie było już za nami.

— Ja też — Buckholz nalał sobie kawy z ekspresu. — Amen.

Niemal natychmiast, gdy roziała się przybrzeżna mgła i pod samolotem zjawiała się posępna, szara powierzchnia Morza Barentsa, w której nie odbijał się blady

błękit nieba, Gant znalazł się nad trawlerem. Leciał trochę powyżej dwustu mil na godzinę — jak ślimak, w porównaniu z możliwościami Firefoxa. Kierował się w stronę dwóch wysp Nowej Ziemi, następnego punktu orientacyjnego. Niespodziewanie w dole pojawił się trawler. Gdy na wysokości niecałych stu stóp przemknął nad pokładem, przez króciutką chwilę widział zwróconą ku sobie bladą twarz. Jakiś marynarz wylewał wiadro za burtę. Potem statek zniknął, stał się tylko zielonym punktem na ekranie radaru. Gant był wściekły, że wyłączył skierowaną do przodu antenę radarową. Teraz, po fakcie, włączył ją znowu. Po udanej akcji z Badgerem stał się podniecony i nieuważny. Kiedy patrzył na tę twarz, zobaczył coś jeszcze, coś o wiele groźniejszego. Jakby dla potwierdzenia tej obserwacji, czujnik promieniowania radarowego wykazał silną emisję ze źródła leżącego bezpośrednio za nim i w niewielkiej odległości. Miał fatalnego pecha. Trafił na statek wywiadu elektronicznego — szpiegowski „trawler”. Nawet teraz mogą jeszcze śledzić jego kurs na podczerwieni.

Przesunął drążek w przód i nos Firefoxa opadł, a szare, pomarszczone morze zbliżyło się groźnie. Wyrównał na pięćdziesięciu stopach wiedząc, że przy odrobinie szczęścia na tej wysokości znajdzie się poza zasięgiem ich detektorów. Operatorzy czujników termicznych szpiegowskiego statku zobaczą tylko, że znika z ekranów, zanim jeszcze człowiek z pustym wiadrem, pędzący z rozdziawioną gębą na mostek, zamelduje, co widział. Naturalnie, będą znali kierunek jego lotu: Nowa Ziemia. Nawet ślepy potrafiłby przekazać tę informację ludziom, koordynującym poszukiwania.

Gant spojrział na wskaźnik poziomu paliwa i raz jeszcze przeklął atak paniki, który kazał mu pędzić w stronę Uralu po spotkaniu z radzieckim samolotem rejsowym na północny zachód od Wołgo-gradu. Gdyby wtedy...

Nie mógł marnować czasu na żałowanie tego, czego nie dało się już cofnąć. Mógł tylko lecieć wyznaczonym kursem i dokonać ostatniej poprawki, gdy osiągnie Nową Ziemię.

Na Nowej Ziemi były bazy rakietowe, które kiedyś wykorzystywano do prób z bronią jądrową. Teraz służyły za najbardziej na północ wysunięte stanowiska wczesnego ostrzegania dalekiego zasięgu oraz pierwsze ogniwa Łańcucha Ogniowego.

Gant zacisnął palce na dźwigni przepustnic. Sprawdził, że Firefox potrafi osiągnąć 2,6 macha na poziomie morza. Nie wiedział, do jakiej szybkości jest zdolny, ale podejrzewał, że prędkość maksymalna może być zbliżona raczej do 6 macha niż 5 macha, którą sugerowały posiadane informacje. To znaczy powyżej czterech i pół

tysiąca mil na godzinę. I jakieś dwa tysiące dwieście na poziomie zero. Niesamowity myśliwiec.

Otworzył przepustnice. Musiał zużyć cenne, ubywające ciągle paliwo. Z irytacją niemal patrzył, jak machometr sunie w górę, odmierzając coraz wyższe liczby... 1,3... 1,4... 1,5 macha... Firefox, niby pelikan, wypijał własną krew.

Dla obserwatorów bazy raketowej w Matoczkin Szar Firefox był tylko rozmazaną plamą, za którą ciągnęła się fala potwornego huk. Baza położona była na południowo-wschodnim krańcu wąskiego kanału dzielącego dwie długie wyspy Nowej Ziemi. Na ekranach podczerwonych pojawił się nagle jako gorący punkt, zbliżył się, a potem równie nagle zmienił w zanikający ślad, gdy przemknął nad kanałem na wysokości sześćdziesięciu metrów. Gant leciał używając autopilota i radaru obserwacji terenu — gdyby ich nie używał, a w kanale pojawił się jakiś statek, nie potrafiłby go ominąć w ułamku sekundy, dzielącym obserwację od kolizji. Gant jak zahipnotyzowany wpatrywał się we własny ekran, czekając na błysk oznaczający wystrzelenie rakiety. Nie doczekał się.

Kiedy zniknęły mgliste skalne ściany kanału i w dole znowu pojawiło się otwarte morze, Gant poczuł ulgę tak silną, że zadrżał jak po szoku. Zaprogramował nowy zestaw współrzędnych i samolot posłusznie wykręcił na nowy kurs. Gant przeszedł na ręczne sterowanie i natychmiast przymknął przepustnice, by jak najszybciej zahamować potworne zużycie paliwa.

Myśliwiec zwolnił do szybkości poddźwiękowej, jakby po ataku szaleństwa wracał do normalności. Gant zrozumiał, dlaczego nikt do niego nie strzelał. Rakieta, startująca za celem lecącym na tak małej wysokości, mogłaby po prostu wbić się w skalną ścianę na drugim brzegu kanału, zanim jeszcze weszłaby na kurs pościgowy.

Leciał teraz na północny zachód kursem, który długo po wyczerpaniu paliwa doprowadziłby go do polarnych pól lodowych gdzieś pomiędzy Spitsbergenem a Ziemią Franciszka Józefa. Nie miał szans, by dotrzeć tam żywy. Posępne, szare morze przesunęło się pod nim jak dywan, jak twarda powierzchnia. Zwodniczo puste niebo miało odcień bladego błękitu.

Dokuczała mu samotność. „Aparat słuchowy” milczał i Gant zaczynał wątpić, czy w ogóle działa. Nie był już pewien, czy ktoś albo coś czeka tam, przed nim, by napełnić zbiorniki Firefoxa. Ekran był pusty, niebo w górze puste, żadnych statków na morzu. Myśliwiec leciał ponad szarą, falującą pustynią, pożerając ostatnie rezerwy paliwa.

Raport ze szpiegowskiego trawlera potwierdzony informacją z Matoczkin Szara rozgniewał sekretarza generalnego. Zaakceptował wątpliwości i plany działania Władimirowa raczej jako ćwiczenie akademickiej natury. Teraz okazało się, że generał miał rację — Gant nie zginął przy wybuchu Tupolewa.

Może fakt, że sam w to uwierzył, był głównym powodem wściekłości dostojnika, wściekłości skupionej na Władimirowie. Sekretarz generalny piskliwym i przerywanym ze złości głosem wymyślał generałowi za to, że nie zdołał zniszczyć Firefoxa.

Władimirow odezwał się dopiero wtedy, gdy sekretarz uspokoił się i roztrzęsiony i milczący wrócił na swój fotel przed mapą terenów arktycznych wyświetloną na okrągłym stole. Mówił cicho, stłumionym głosem. Wybuch gniewu partyjnego przywódcy mocno go wystraszył. Wiedział, że gra o własną przyszłość, zawodową i osobistą. Gant musiał umrzeć. Tylko tyle i aż tyle.

Działal teraz szybko, bez zamieszania ani konsultacji z sekretarzem generalnym i Kutuzowem. Ten pierwszy chyba umilkł na dobre, drugi zaś — stary lotnik — zdawał się zmieszany i wstrząśnięty atakiem polityka na żołnierza, próbującego dokonać rzeczy prawie niemożliwej.

Władimirow rzucił okiem na mapę. Jeśli prawidłowo określono kurs Ganta po przelocie nad Nową Ziemią, to kierował się on, choć jeszcze o tym nie wiedział, prosto na krążownik rakietowy „Ryga” i dwie towarzyszące mu łodzie przeznaczone do zwalczania okrętów podwodnych. Na tej podstawie, jeśli się nie pomylił, zamierzał oprzeć kolejną pułapkę.

Rozkazał skierować samoloty patrolowe w rejon stałych pól lodowych, gdzie prawdopodobnie Gant zamierzał lądować. Powstrzymanie go wciąż jeszcze było możliwe. Nieświadomie stukał palcem w punkt mapy, gdzie zaznaczona była aktualna pozycja „Rygi”. W tej chwili dwa eskortujące ją okręty klasy „F” z napędem klasycznym płynęły w zanurzeniu. Ze względu na rolę eskorty krążownika, przystosowano je do przenoszenia rakiet głębina wodna—powietrze, wspomagając tym samym straszliwą siłę ognia okrętu.

— Niech „Ryga” nie zmienia pozycji — polecił. — Przekażcie eskorcie rozkaz wynurzenia.

— Tak jest — odezwał się operator.

— Ogłosić alarm dla wszystkich jednostek Floty Północnej. Niech będą gotowi na zmianę przypuszczalnego kursu Ganta. Podajcie im ten kurs.

— Tak jest.

— Jakie są oceny stanu paliwa w samolocie?

— Według prognozy komputerowej nie pozostało mu więcej niż na trzysta kilometrów, towarzyszu generale — odpowiedział natychmiast inny głos.

— Dokładność obliczeń?

— Błąd w granicach trzydziestu procent, nie więcej.

Mogło to oznaczać, że Gantowi wystarczy paliwa tylko na dwieście, a może na czterysta kilometrów. Władimirow potarł dłonią podbródek. Nawet w najlepszym wypadku pozostanie daleko od pól lodowych. Zignorował oczywistą konkluzję, dokładnie tak, jak przewidzieli doradcy Buckholza. Władimirow, od czasów, gdy był pilotem, stał się człowiekiem ostrożnym i pozbawionym wyobraźni. Był śmiały, według standardów radzieckiego sztabu, lecz w rzeczywistości niezdolny do ryzyka i nietypowych działań; nie potrafił pokonać psychicznego oporu. Jeśli Gantowi nie wystarczy paliwa, by dotrzeć do polarnego lądolodu, to musi spaść do morza. Nie mogło być innej możliwości. Sprawdził jeszcze.

— Czy wykryto w tym regionie jakieś nie zidentyfikowane samoloty?

— Nie, towarzyszu generale. Czysto.

— Doskonale.

Władimirow wrócił do mapy. Teraz, kiedy kończy mu się paliwo, Gant nie wzniesie się wyżej. Tak zatem jak wtedy, gdy go zauważono, będzie leciał możliwie nisko nad powierzchnią morza. A to oznaczało, przy odrobinie szczęścia, możliwość wzrokowego kierowania ogniem krążownika, z niewielkiej odległości. W przeciwnym wypadku wszystko zależy od celowników na podczerwień, nie najbardziej skutecznych z zainstalowanych na „Rydze”. Mimo to wystarczą. Muszą wystarczyć...

Czyjś głos przerwał ciąg myśli.

— Wiadomość z wieży. Major Czernik melduje, że drugi prototyp jest gotów do startu.

Władimirow spojrzał tam, skąd dobiegł głos, po czym wrócił do mapy. Zauważył, że sekretarz generalny przygląda mu się uważnie. Zrozumiał, że czegoś od niego oczekuje, ale przez chwilę nie mógł zgadnąć, o co chodzi. Nie było potrzeby użycia drugiego Miga, nie teraz, kiedy Gant był o pięć tysięcy kilometrów stąd i

kończyło mu się paliwo. Nie zdoła zatankować, a zatem drugi myśliwiec stawał się elementem pozbawionym znaczenia.

— Kto jest pilotem? spytał ostro sekretarz generalny.

— Ja... chyba go nie /nam... — pytanie zaskoczyło Włodzirowa.

— Trecow — szepnął Kutuzow. — Major Aleksander Trecow.

— Dziękuję wam. Rozumiem, że nie mamy wiele czasu, ale porozmawiam z nim osobiście przed startem.

Włodzirow pojął nagle, że sekretarz generalny oczekiwał, by nakazał start drugiego prototypu i pościg z maksymalną szybkością za pierwszym. Wiedział, że Trecow potrzebuje niecałej godziny, by śladem Ganta dotrzeć do Nowej Ziemi. Według jego opinii była to tylko strata czasu. Spojrzał na dostojnika.

— Naturalnie, towarzyszu sekretarzu — zapewnił, prawidłowo oceniając jego nastrój. Przywódca z satysfakcją skinął głową. Włodzirow, z poczuciem ulgi, zawołał przez ramię:

— Proszę wezwać majora Trecowa. Niech wieża i wszystkie służby przygotowują się. Start drugiego Miga nastąpi za kilka minut.

Musiał zaalarmować bazy lotnicze. Na zachód od punktu, gdzie Gant przekroczył linie brzegową, drugi Mig musi pobrać paliwo z latającej cysterny. Włodzirow zarządził pogotowie. Zdawał sobie sprawę, że musi odgrywać tę farsę aż do końca. Bardzo niepolitycznie, a nawet gorzej, byłoby teraz wyrazić opinię, że Gant nie osiągnie punktu tankowania, albo przekonanie, że „Ryga” potrafi go zestrzelić. W tej sytuacji mówienie o tym było rzeczą bardzo nierozsądną.

Spojrzał na mapę. Nic więcej nie mógł zrobić. Wszystko teraz zależało od „Rygi” i jej eskorty. Na pewno nie od ruszającego w pościg Trecowa.

* * *

„Aparat słuchowy” wciąż milczał. Strzałka paliwomierza weszła w czerwoną strefę i Gant wiedział, że zużywa właśnie resztki paliwa. Chwilę wcześniej przełączył silniki na zbiorniki rezerwowe. Nie wiedział, jaką mają pojemność, ale był pewien, że zginie, jeśli jego „tankowiec” nie odezwie się w ciągu kilku minut i jeśli sygnał nie będzie transmitowany z niewielkiej odległości.

Morze było puste. Radar nie wykazywał żadnych samolotów. Był już trupem, po prostu rozkładał się wolno, wciąż oddychając. I tyle.

Przyszło mu do głowy, że „tankowiec” Buckholza był samolotem, który próbował się przemknąć przez system wczesnego ostrzegania, został wykryty, rozpoznany i zestrzelony. Paliwo, które wioził dla niego, już nie istniało.

Nie myślał o śmierci, w każdym razie nie jako wysoce prawdopodobnej możliwości: o tonięciu, zamarzaniu, o samolocie znikającym pod falami. Mimo tego, co jeden z ekspertów Buckholza określił jako „nikła chęć życia”, Gant nie chciał umierać. Odkrył, że nie potrzebował życiowych celów, by bać się śmierci. Śmierć była dla niego wciąż tylko słowem, nie czymś rzeczywistym, lecz słowo to, wypisane ognistymi literami, coraz częściej zajmowało jego myśli.

Radar zarejestrował obecność dużej jednostki pływającej. Zanim jeszcze, czysto automatycznie, podjął manewr wymijający, a jego umysł, wolniejszy niż mięśnie, zakwestionował konieczność takiego manewru, ekran pokazał dwa dodatkowe odbicia, po jednym z obu stron statku. Gant zrozumiał, na co patrzy. Nic mniejszego niż krążownik rakietowy nie usprawiedliwiałoby eskorty dwóch okrętów podwodnych. Leciał prosto na nie, kursem zbieżnym.

Wskaźnik odległości do celu podał czas jednej minuty, przy aktualnej prędkości. Gant uśmiechnął się za szybą hełmu. Cel. Krążownik rakietowy. To on, Gant, był celem. Czujniki termiczne okrętu z pewnością już go wykryły, namierzyły odległość, wysokość i kurs, podając dane komputerowi celownicemu. W tej chwili żaden manewr wymijający nie przyniósłby rezultatu.

Jeśli miał zginąć, pomyślał, to chciałby sprawdzić, do czego naprawdę jest zdolny Firefox. Nie podjął świadomej decyzji, by popełnić samobójstwo trzymając się aktualnego kursu. Sam nie potrafił zrozumieć tego, co robi, dlaczego się poświęca. Był pilotem, a przed nim, o minutę lotu, znajdował się cel.

Dokładnie w tej chwili „aparat słuchowy” pisnął przeraźliwie. Gant zamarł w fotelu. Nie potrafił spojrzeć na wyświetlacz urządzenia. Nie chciał wiedzieć, jak mało brakło mu do zwycięstwa, ile czasu dzieliło życie od śmierci. Krążownik rakietowy i okręty podwodne zbliżały się coraz bardziej. Czujnik odległości do celu wskazał trzydzieści sekund. Ze względu na swój niemal zerowy pułap wpadł na nie, zanim zdążył się zorientować. Teraz było już za późno.

Ciągły pisk sygnału z „aparatu słuchowego” w słuchawkach doprowadzał do obłądu, jak wrzask szaleńca, jak oślepiający błysk światła. Gant wpatrywał się przed siebie czekając na kontakt wzrokowy z krążownikiem. Czekając na śmierć.

8.

„Matka Jeden”

To nie trwało dłużej niż ułamek sekundy — ta przerwa pomiędzy strachem a działaniem, maleńki odstęp czasu, zanim trening, który stał się instynktem, wypełnił mroczną głębię porażki, tępą, apatyczną pustkę. Mimo wszystko w tym ułamku sekundy Gant mógł się załamać, gdy jego desperacja rozpadła się jak domek z kart od pisku sygnału kierunkowego, a odczyt poinformował, że od paliwa i życia dzieli go mniej niż sto czterdzieści sześć mil. Nie załamał się jednak. Silny wstrząs systemu nerwowego został zamortyzowany, być może przez jakąś cechę osobowości, którą zapewne Buckholz lub psychologowie odczytali z jego dossier i uznali, że jeszcze jej nie utracił. A może Buckholz założył, że człowiek o pustym wnętrzu nie może się załamać.

Gant poczuł gorączkowy dreszcz. Zimną pasję. Tłumioną, gwałtowną rozkosz. Miał atakować rosyjski krążownik rakietowy. Na tym się skoncentrował.

Szybko i spokojnie przeanalizował sytuację. Odbiornik kierunkowy wskazywał, że źródło sygnału znajdowało się prawie dokładnie za krążownikiem. Wskaźnik paliwa informował, że manewr wymijający jest już niemożliwy. Najkrótsza droga pomiędzy dwoma punktami... a on właśnie szukał najkrótszej drogi. Nie miał wyboru. Musiał zaryzykować. Nawet, jeśli chciał żyć — a ze zdumieniem, jakby odnalazł coś zagubionego przed laty, odkrył, że naprawdę chce żyć — musiał zaatakować krążownik z jego przerażającą siłą ognia. Nie było innego wyjścia, a droga, jaką wybrał, była drogą życia, nie śmierci. Z ponurą satysfakcją zaakceptował ten fakt.

Radar wykazywał, że okręty podwodne ustawiły się w odległości trzech mil po obu stronach krążownika, tworząc jego sonarową i obronną tarczę. Po wynurzeniu oba skierują na niego swoje detektory podczerwieni. Jeśli pozostanie na pułapie zerowym, zobaczą go na linii horyzontu, co utrudni działanie celowników. Jeśli dopisze mu szczęście, będzie musiał się martwić jedynie samym krążownikiem. Okręt eskorty nie odważy się wystrzelić sterowanych termicznie rakiet do celu przelatującego tak blisko ochranianej jednostki i jej potężnych, rozgrzanych turbin napędowych.

Pospiesznie przeanalizował elementy uzbrojenia krążownika i możliwość ich wykorzystania przeciw Firefoxowi. Przy jego prędkości, ręczne kierowanie ogniem nie wchodziło w grę. Wyrzutnie torped służyły wyłącznie przeciw okrętom podwodnym, tak samo jak zestawione parami cztery wyrzutnie bomb głębinowych. Śmigłowce mogły być już w powietrzu, choć może nie zostały jeszcze uzbrojone w rakiety będące w stanie mu zaszkodzić. Musiał jednak pamiętać, że ich systemy prowadzenia ognia były sprzężone z centralnym systemem krążownika. Działa 60 mm, na dziobie przed mostkiem, sterowane są przez ten sam system połączony z radarem i czujnikami podczerwieni. Działa jednak nie miały znaczenia. Leciał szybko i nisko. Jeśli znajdzie się dostatecznie blisko okrętu, zapewne nie zdołają tak obniżyć luf, by w niego wymierzyć.

Gant odzierał krążownik z kolejnych systemów uzbrojenia, aż pozostała tylko jedna: cztery wyrzutnie nowoczesnych pocisków raketowych woda-powietrze typu SA-N-3. Ani rakiety woda-woda, ani rakiety służące do niszczenia okrętów podwodnych nie były groźne. Ale naprowadzane termicznie rakiety SA były uzbrojone i gotowe do odpalenia.

Przypomniawszy sobie o bloku tylnej osłony i modlił się, by funkcjonował prawidłowo. Podwójne wyrzutnie ракет przeciwlotniczych mieściły się przed nadbudówką mostka. Na poszerzonej rufie było miejsce dla czterech śmigłowców typu Kaniów. Aby wystawiać na cel możliwie małą powierzchnię, okręt z pewnością ustawi się dziobem do jego kursu. Chwila nie była odpowiednia, by próbować ataku na sam krążownik. Gant bez żalu porzucił ten pomysł. Był teraz częścią maszyny, którą pilotował: zimną, kalkulującą, analizującą dane dostarczane przez własną pamięć i wspomnienia.

Zastanawiał się, jakie informacje otrzymał kapitan krążownika. Czy powiedziano mu o zespole ogonowym, o uzbrojeniu Firefoxa i jego prędkości? Uznał, że nie. Rosyjska namiętność dla tajemnic, dla utrzymywania najbardziej podzielonej służby bezpieczeństwa na świecie, działała tu jak siła bezwładności, inercja przyzwyczajenia. Oficer marynarki nie mógł wiedzieć więcej, niż było konieczne. Zapewne otrzymał rozkaz, by wszelkimi dostępnymi środkami zniszczyć nie zidentyfikowany samolot.

Wskaźnik podał czas dolotu do celu: dwadzieścia jeden sekund, odległość dwie i dwie dziesiąte mili. Już niedługo, za parę sekund, Gant zobaczy przed sobą niski kształt. Firefox przeciwko... Żałował, że nie zna nazwy okrętu.

Podłużne pole lodowe przemknęło pod brzuchem myśliwca, oślepiając białe na tle szarej powierzchni Morza Barentsa. W ciągu ostatnich kilku minut mijał już takie pola, najbardziej na południe wysunięte zwiastuny wiosennego dryfu lądolodu. Wtedy dostrzegł krążownik, zbliżającą się w przerażającym tempie niską sylwetkę na linii horyzontu. Poczuł ogarniające go napięcie, gdy adrenalina sączyła się do krwiobiegu, a serce biło mocno w oczekiwaniu akcji.

Zastanawiał się, czy krążownik zaczeka, niby śpiąca bestia, by w odpowiednim momencie pochłonąć go swym ogniem, czy też odpali rakiety już teraz, gdy dzieliła ich jeszcze ponad mila. Detektory podczerwieni nie były zbyt precyzyjne — technika nie potrafiła usunąć nieuniknionego rozmycia źródła ciepła na ekranie. Trudno było w ten sposób otrzymać dokładny namiar. Z drugiej strony, układ celowniczy krążownika, używającego samonaprowadzających rakiet, nie musi być precyzyjny.

Gant wiedział, że ludzie na mostku już go widzą — szarego petrela, na pozór zawieszonego nieruchomo tuż nad powierzchnią lodowatej wody. Nie odrywał wzroku od ekranu czekając, aż pokaże się na nim jaskrawopomarańczowy punkcik, gdy nad kadłubem krążownika wykwitnie rozbłysk gazów wylotowych rakiet.

Radar złapał coś, pewnie jeden ze śmigłowców. Układ namiarowy wyliczył wysokość i odległość. Gant postanowił wystrzelić jedną z własnych rakiet. Niech elektroniczna adrenalina informacji zaleje komputer celowniczy krążownika, a trafienie doda jeszcze jeden wymiar szachownicy, po której zmierzał w stronę przeciwnika.

Odpalił. Pocisk odpadł w bok, potem pomknął do przodu i w górę, by szybko zniknąć z oczu. Obserwował na ekranie jego ślad prowadzący wprost do Kamowa. Tamci na pewno namierzili już raketę i próbują gorączkowego manewru. Gant wyszczerzył zęby. Elektroniczna wojna, jedyna, jaką znał, budziła w nim dreszcz rozkoszy, płynący przez wszystkie mięśnie i nerwy. Wojna redukowała się do szachów, złożonej rozgrywki posunięć i kontrataków. A on był w tym najlepszy.

Pokład okrętu błysnął białym płomieniem, jasne punkty pojawiły się na ekranie. Do tej chwili czekali licząc, że spróbuje wyminąć groźbę dwóch okrętów podwodnych, krążownika i śmigłowców. On jednak utrzymywał stały kurs i zmierzał wprost na nich. Teraz centrala kierowania ogniem, jak podejrzewał, zareagowała na jego atak na śmigłowiec, który stanął w ogniu ponad nim. Gant widział tylko kątem oka nagły rozkwit pomarańczowego kwiatu i opadające płatki...

Chcieli go wprowadzić między okręt a jedną z łodzi podwodnych, żeby spróbował manewru wymijającego. On jednak ciągle się zbliżał. Cokolwiek wiedział lub nie wiedział radziecki dowódca, z pewnością powiedziano mu o nikłej rezerwie paliwa Firefoxa. To skłoniło go do działania. Wystrzelił za szybko, reagując instynktownie na akcję Ganta.

Okręt znajdował się ledwie paręset jardów od niego, gdy pociski wystartowały z podwójnej wyrzutni na dziobie. Gant odchylił lot, by minąć krążownik. Na ekranie widział, jak rakiety zmieniają kurs i zbliżają się z przerażającą szybkością. Gdy osiągnęły optymalny dla niego punkt na jego bezgłośny rozkaz, sterowany myślą system uruchomił zespół ogonowy. Za myśliwcem, przyćmiewając słońce, rozbłysła oślepiająco flara. Gant otworzył przepustnice i Firefox skoczył nad wodą jak kamień, muskając niemal grzbiety fal. Dziób krążownika na ułamek sekundy wzniosł się nad kabiną, a potem Gant widział już tylko szarą wodę, kiedy przelatywał o niecałe pięćdziesiąt jardów od pancерnej burty okrętu.

Za nim, uwolnione z zespołu ogonowego źródło ciepła przez cztery sekundy płonęło ogniem gorętszym niż pracujące na wolnych obrotach silniki Firefoxa. Flara ściągnęła na siebie obie sterowane termicznie rakiety i ognista kula na monitorze rozbłysła tak mocno, że mimo przyciemnionej szyby zabolały go oczy. Potem wszystko zgasło. Na ekranie krążownik był już ponad milę za nim. Firefox przyspieszył do naddźwiękowej.

Wskaźnik paliwa pokazywał puste zbiorniki. Machometr zatrzymał się na 1,6 macha, wysokościomierz wskazywał, że prześlizguje się ponad powierzchnią morza na pięćdziesięciu stopach. Miał nadzieję, że wciąż jest niewidoczny dla łodzi podwodnych i ich detektorów podczerwieni, choć z pewnością krążownik podał im namiar i odległość.

Na ekranie pojawiły się dwie plamki pomarańczowego blasku — gazy wylotowe drugiej pary rakiet przeciwlotniczych. Poprzednim razem radziecki kapitan zbyt się pospieszył i sztuczka z zespołem ogonowym zaskoczyła go zupełnie. Teraz zareagował prawidłowo, wystrzeliwując kolejne dwa pociski. I...

Dwa świetlne punkty błysnęły przy lewej krawędzi ekranu, gdy kolejne rakiety wystrzelone z okrętu podwodnego ruszyły jego śladem.

Sprawdził odczyt „aparatu słuchowego”. Nadajnik znajdował się wprost przed nim, dokładnie na kursie, jaki zaprogramował samolotowi, gdy tylko przeleciał nad kanałem Nowej Ziemi. Wciąż jeszcze pozostało mu sto szesnaście mil. Sygnał

kierunkowy dzwonił głośno niby echo trwającej ułamki sekund akcji. Wiedział, że musi zwolnić.

Przymknął przepustnice i cztery jasne punkty na ekranie nagle znalazły się bliżej. Zespół ogonowy działał. Gant wiedział, że ryzykuje, lecz tym razem mógł sam decydować, podczas gdy poprzednio nie miał żadnego wyboru. Teraz mógł próbować prześcignąć rakiety, dopóki nie skończy mu się paliwo.

Ogarnęło go niezwykle uczucie bezradności. Nie miał nawet guzika, który mógłby przycisnąć. Cztery coraz jaśniejsze punkty stały się jego jedynym kontaktem z rzeczywistością. Nie odrywał spojrzenia od ekranu i zdawało mu się, że stoi w miejscu, czeka na śmierć niby bezbronna ofiara. Czuł krople potu zbierające się pod pachami i spływające w dół, dotknięcie chłodu pod kombinezonem. Zaciśnięte na dźwigniach przepustnic palce drżały. Czekał...

Przesunął dźwignie do przodu i Firefox skoczył jak przestraszone zwierzątko, poleciał jak spłoszony ptak. Zespół ogonowy zareagował na rozkaz, a eksplozja nastąpiła niemal natychmiast, potężna i wyraźnie słyszalna. Fala uderzeniowa zakołysała myśliwcem i Gant wyrównał z trudem. Odczuł to jak włączenie dopalaczy. Szybko zamknął przepustnice i prędkość znowu spadła poniżej stu siedemdziesięciu mil na godzinę.

Nie zwracał uwagi na wskaźnik paliwa. Patrzył tylko na „aparat słuchowy”, koncentrował się na dźwięku sygnału. Jeszcze sto mil. W nagłej, seksualnej niemal reakcji na ucieczkę przed skoordynowanym atakiem rakietowym krążownika i okrętu podwodnego nadal nie bardzo rozumiał, jak mogło mu się udać.

Polą lodowe, większe teraz i bliższe siebie, przemykały pod brzuchem lecącego na północ Firefoxa.

* * *

Sekretarz generalny mówił krótko i rzeczowo. Nie tracił czasu na apelowanie do lojalności majora Aleksandra Trecowa jako Rosjanina i członka partii ani do jakichkolwiek wyższych uczuć. Zamiast tego użył innego argumentu, który stał się niemal synonimem jego nazwiska: strachu. Opowiedział Trecowowi, o co toczy się gra, i wyjaśnił, jaką cenę zapłaci za porażkę. Miał lecieć na północ z maksymalną szybkością, wykorzystując w pełni niesamowitą moc Miga-31, na wybrzeżu spotkać się z samolotem-cysterną, a potem ruszyć w stronę „Rygi”, z której jak dotąd nie nadszedł

żaden meldunek. Tam miała na niego czekać kolejna cysterna, na wypadek gdyby potrzebował paliwa. Oba samoloty były już na trasie.

Trecow był wyraźnie zdenerwowany i przestraszony ciężarem, który złożono na jego barkach. Jak na starszego oblatywacza radzieckiego lotnictwa był dość młody, tuż po trzydziestce, a wyglądał na jeszcze młodszego. Władimirow współczuł mu, gdy ten giął się pod miazdzącą siłą osobowości sekretarza generalnego, nie licząc już milczącej obecności Andropowa. Władimirow musiał przyznać, że Trecow był świetnym pilotem. Czy jednak będzie dość dobry, by zniszczyć Amerykanina w tym nieprawdopodobnym przypadku, gdyby udało się go znaleźć? Generał żałował młodego pilota. Czekala go ciężka próba. Formalnie był drugim oblatywaczem zespołu w Biljarsku i wylatał mniej godzin niż jego zwierzchnik, Wosków. Ale Wosków nie żył, zamordowany przez Ganta. KGB znalazła ciało wciśnięte do metalowej szafki. Komicznie wypadło na podłogę jak mumia z sarkofagu.

Kiedy ponury Trecow wyszedł zaciskając usta, sekretarzowi generalnemu poprawił się humor. Pokaz władzy i zabarwione lękiem posłuszeństwo pilota wzmocniło w nim przekonanie o braku szans Ganta, Amerykanina, który się ośmielił... Sekretarz generalny poczuł, że znowu wzbiera w nim gniew i opanował się z wysiłkiem. Drugi Mig-31, oczyszczony z piany gaśniczej, uzbrojony po zęby w rakiety i pociski działka, stał na końcu głównego pasa czekając na zgodę wieży na start. Za chwilę miał przemknąć w pobliżu sztabowego Tupolewa. Radziecki przywódca zajął miejsce przy oknie, by spokojnie obserwować start.

Dla Władimirowa sytuacja nie była ani prosta, ani łatwa. Jako dowódca Wilczego Stada z irytacją słuchał przemowy dostojnika do milczącego przez cały czas Trecowa. Sekretarz generalny jakby umyślnie ignorował upływające minuty i zbliżający się moment spotkania Ganta z krążownikiem rakietowym i jego eskortą. Był pewnie przyzwyczajony do innych rozmów odbywających się w innym otoczeniu. Lecz Władimirow wiedział, że krążownik musi zatrzymać Ganta, że to ich ostatnia szansa. Ostatnia, ponieważ wciąż nie rozumiał, jak Gant uzupełni paliwo, a wiedział, że musi to zrobić. Odrzucał kolejne teorie, starając się nie patrzeć na zegar i posuwającą się po tarczy czerwoną wskazówkę sekundnika.

Lotniskowiec... podwodny lotniskowiec... lądolód... samolot... zrzut przejęty przez okręt podwodny...

Wszystkie te pomysły były bezsensowne. Niemal niemożliwe, by obcy okręt podwodny mógł się ukryć na Morzu Barentsa. W dodatku nie istniały żadne dowody

na to, że Amerykanie zbudowali podwodny lotniskowiec — jedynie nie oparte na faktach domysły. Zresztą Mig nie był przystosowany do lądowania na pokładzie. Nie, to musiał być samolot... I nie było go. Nie umiał się z tym pogodzić, ale nie mógł odrzucić faktów. W krytycznym rejonie nie było żadnych obcych samolotów. Nie było też możliwości, by zdążyły tam dotrzeć na czas.

Pomyślał, że może Gant zechce zatopić myśliwiec w nadziei, że później przejmie go okręt podwodny. Po zanurzeniu samolot można by holować do ustalonego przez CIA punktu. Pomysł wydał mu się fantastyczny, ale w zasadzie możliwy do realizacji. Naturalnie, morska woda uszkodzi mechanizmy, ale i tak Amerykanie dowiedzą się wystarczająco dużo, by zniwelować radziecką przewagę, jaką gwarantował Mig-31.

Jednak w okolicy nie było żadnej łodzi podwodnej ani żadnego okrętu, który potrafiłby w ciągu kilku godzin dotrzeć do Ganta.

A zatem w grę musi wchodzić lądolód. Gant liczy pewnie, że zużywając resztkę paliwa wzniesie się możliwie stromo i wysoko, że przeleci jak szybowiec pozostałą odległość. Desperacki pomysł, lecz nie bardziej, niż wyzwanie rzucone KGB tylko po to, by wydostać się z Moskwy i dotrzeć do Biljarska. A Gant zrobił to na rozkaz swoich zwierzchników. Czemu więc teraz miałby się wahać? W teorii samolot typu Miga mógł zyskać dwie mile lotu na każdych trzystu-czterystu metrach różnicy poziomów. Jeśli tamtemu pozostało dość paliwa, może wzniesie się dostatecznie wysoko, by doszybować do krawędzi stałego pola lodowego.

Już miał polecić, by zaprogramowano komputerowi analizę takiej możliwości, gdy usłyszał głos szyfranta. Cyfrowy kod transmitowanej z „Rygi” wiadomości został właśnie odczytany i operator trzymał w ręku kartę wydruku.

— Towarzyszu generale! — zawołał. — Wiadomość z „Rygi”... — Zdawało się, że nie chce mówić dalej, czując skupioną na sobie uwagę wszystkich obecnych.

— Jaka? — rzucił Władimirow.

— Kontakt z nie zidentyfikowanym samolotem. Odpalono rakiety samonaprowadzające: z krążownika dwie salwy po dwa pociski, z okrętu podwodnego jedną salwę...

— I co?

— Wygląda na to, że samolot użył pewnego rodzaju pułapki termicznej. — Operator przerwał na chwilę, zanim podjął: — Twierdzą, towarzyszu generale, że cel nie został zniszczony. Zanim rakiety wybuchły, samolot był już poza radarowym

horyzontem i dlatego kapitan wolałby nie potwierdzać trafienia. Szyfrant spojrział na Władimirowa.

— Kapitan prosi o dane na temat typu i możliwości samolotu, który próbował zniszczyć, towarzyszu generale.

Władimirow obejrzał się gwałtownie i spojrział w szare, nieprzeniknione oczy sekretarza generalnego. Słowa wyrzutu i wzgardy zamarły mu na wargach. Milczał. Twarz człowieka naprzeciwko była nieubłagana i słuszny gniew dowódcy Wilczego Stada roz płynął się i skrył głęboko w zakamarkach umysłu. Nie potrafił odrzucić swej kariery, nie w ten sposób, stawiając zarzuty sekretarzowi generalnemu.

— Tajemnica musi zostać utrzymana — warknął do szyfranta. — Podziękuj mu za akcję, którą... próbował wykonać, i niech czeka na dalsze instrukcje.

— Tak jest.

Klawisze aparatu kodowego zastukały niemal natychmiast. Ukryta parodia maksymy sekretarza generalnego dotyczącej bezpieczeństwa to wszystko, na co Władimirow mógł sobie pozwolić. Uświadomił to sobie i poczuł wstyd. Zaraz jednak o nim zapomniał.

— Co teraz zrobicie, Władimirow? — zapytał sekretarz generalny. Zacisnął usta. a jego oczy pozostały bez wyrazu. W tej twarzy, w tej właśnie chwili Władimirow odczytał prawdę o władzy Związku Radzieckiego, dostrzegł serce wszelkich grup i koterii Kremla. Ponieważ sekretarz generalny mógł zrzucić winę za porażkę na innych, sama porażka przestawała się liczyć. Jeśli Władimirow zostanie oskarżony i zdegradowany za utratę Miga-31, zakończy to całą sprawę. Stojący przed nim człowiek nie dbał o realia, a jedynie o osobiste rozgrywki służące utrzymaniu władzy.

Władimirow poczuł raczej obrzydzenie niż lęk. Zdolność do najwyższych poświęceń była jedną z cnót kasty wojskowych, do której jego rodzina należała od pokoleń. Nie dbał o własną karierę i sukces. Nie mógł jednak pozwolić, by Amerykanie przejęli Miga-31.

— Wszystkie jednostki zostaną skierowane w obszar, na którym operuje „Ryga”, towarzyszu sekretarzu generalny — odpowiedział spokojnie. Starał się, by w głosie nie zabrzmiały gniew i gorycz, jakie odczuwał.

— I co oni robią? — spytał pogardliwie Andropow.

Kutuzow pośpieszył mu na pomoc. Może on także odczuwał wstręt do tego, czego był świadkiem w centrum dowodzenia. A może wyczuł napięcie Władimirowa i chciał ocalić jego karierę. Brawura, z jaką stary marszałek odezwał się do

przewodniczącego Komitetu Bezpieczeństwa Państwowego, wzbudziła podziw Władimirowa.

— Oni, jak to ujęliście, towarzyszu przewodniczący, spróbują odzyskać Miga-31, którego wasi ludzie z Moskwy i Biljarska pozwolili ukraść jednemu człowiekowi... jednemu samotnemu Amerykaninowi. — Szept dobiegający z niesprawnej krtani był wyraźnie słyszalny w całej kabinie i wszyscy zapamiętali ton głosu. Przewodniczący KGB zaczerwienił się, na pergaminowej skórze policzków wykwitły rumieńce. Uśmiech, cyniczny i obojętny, znikł nagle z jego ust.

Władimirow spojrzał na sekretarza generalnego. Radziecki przywódca wydawał się zmieszany, jak gdyby nagle uświadomił sobie bolesną rzeczywistość.

— Michaił Iljicz — powiedział, jakby chciał załagodzić konflikt, nie przyznając nikomu racji. — Wiem, że zrobicie wszystko, co tylko możliwe. Ale... jakie macie propozycje? Dysponujecie przecież całą Flotą Północną i większą częścią północnej grupy Wilczego Stada?

Jego głos był cichy, niemal łagodny — uspokajał.

Kutuzow spojrzał na Władimirowa i skinął głową, jakby potwierdzając tajne porozumienie.

— Przede wszystkim, towarzyszu sekretarzu — odezwał się Władimirow — należy nakazać start Miga.

Dostojnik odwrócił się do okna, jakby priorytet nadany przez dowódcę Wilczego Stada jego własnej idei przypomniawszy mu o obowiązkach.

— Naturalnie — powiedział. — Przekażcie rozkaz do wieży. Radiooperator nadał polecenie.

— Co potem? — spytał sekretarz generalny, nie odrywając wzroku od widocznego za szybą pasa startowego.

Władimirow spojrzał na mapę, na której pojedyncze punkty lśniły wśród pustki Morza Barentsa.

— „Ryga” razem z eskortą ma zmienić kurs i z maksymalną szybkością ruszyć śladem Miga.

Przez stuk urządzenia kodującego Władimirow usłyszał mruknięcie sekretarza generalnego:

— Zgoda.

Zdawało się, że przywódca na powrót panuje nad sytuacją. Władirow już wiele razy obserwował to kujące działanie jakiegokolwiek akcji na sprawujących władzę w jego kraju.

Szary materiał garnituru ciasno opinał szerokie ramiona sekretarza generalnego. Prosty człowiek, pomyślał Władirow, mógłby czerpać otuchę z tej sztywnej postawy, z przemożnego wrażenia siły.

— Natychmiastowy start eskadr przechwytujących grupy polarnej — rozkazał. Dostrzegł, jak lwia głowa pochyla się z aprobatą, zauważył pełen satysfakcji ruch ramion. Teraz okręty, pomyślał. — Niszczyciele rakietowe „Odliczny” i „Sławny” kierują się z maksymalną prędkością do przewidywanego punktu lądowania Miga na stałym polu lodowym.

— Tak jest.

— Trzy okręty podwodne klasy „V” mają ruszać natychmiast do tego samego punktu.

— Tak jest.

Władirow przerwał. Poprzez powłoki kadłuba Tupolewa dosłyszał cichy jęk turbin. Mig otrzymał pozwolenie z wieży i szykował się do startu. Generał nie podszedł do okna, gdy coraz głośniejszy huk oznajmił, że myśliwiec ruszył wzdłuż pasa. Obserwował głowę i ramiona sekretarza generalnego. Coś przemknęło za szybą, po czym rozległ się ryk odrzutowca stromym torem odrywającego się od ziemi. Sekretarz generalny pozostał jeszcze chwilę przy oknie, po czym odwrócił się i Władirow dostrzegł uśmiech zadowolenia na jego twarzy.

* * *

Do źródła sygnału kierunkowego pozostały jeszcze dziewięćdziesiąt dwie mile. Paliwomierz pokazywał, że zbiorniki paliwa były puste. Gant leciał praktycznie na świeżym powietrzu i zdawał sobie z tego sprawę. Nadszedł właściwy moment — a może już minął — by przejść w strome wznoszenie, a potem zacząć długi ześlizg w stronę punktu kontaktowego.

Im dłużej o tym myślał, tym bardziej był przekonany, że to jego jedyna szansa. Musiał wejść na możliwie wysoki pułap, a potem modlić się, by pozostało dosyć paliwa na trudne manewry zgrywania prędkości z latającą cysterną i przechwycenia węża paliwowego. Rozważał też możliwość, że paliwo znajduje się na jakimś statku.

To nie mógł być lotniskowiec — marynarka Stanów Zjednoczonych nie ryzykowałaby wprowadzenia na Morze Barentsa wielkiego i łatwego do zniszczenia okrętu. W przeciwieństwie do Władirowa, Gant wiedział, że USA nie wyprodukowały podwodnych lotniskowców.

Będzie więc tankował w powietrzu. Wiedział, że poprzednik Firefoxa, Mig-25 Foxbat, ustanowił absolutny rekord wysokości — stu dziewiętnastu tysięcy stóp — i że Firefox powinien dysponować jeszcze większymi możliwościami. W aktualnych warunkach atmosferycznych, przy niemal dwóch i pół mili na każde tysiąc stóp wysokości, mógł bez trudu dotrzeć do cysterny, pod warunkiem, że potrafi podnieść samolot na jakieś czterdzieści tysięcy stóp.

Było to jednak wielkie ryzyko. W chwili kontaktu musiał dysponować sporą rezerwą wysokości i dostateczną ilością paliwa na końcowe manewry.

Zbiorniki Firefoxa były prawie puste — musiały być, powtarzał sobie bez przerwy. Nie wiedział, jak zachowają się silniki. Pytany o to Baranowicz nie potrafił udzielić wyjaśnień.

Turbiny wciąż pracowały równo w ślimaczym tempie, w jakim przesuwał się ponad szarym, pokrytym odłamkami kry morzem. Automatyczne zbiorniki rezerwowe z pewnością włączyły się już w system zasilania. Nie miał pojęcia, o ile zwiększą zasięg, choć podejrzewał, że nie dość, by dotrzeć do punktu kontaktu.

Przesunął dźwignie przepustnic i pociągnął drążek do siebie. Nos Firefoxa wzniósł się w górę. Gant obserwował wskazania wysokościomierza, zwiększające się z początku powoli, potem coraz szybciej, w miarę zwiększania ciągu dwóch potężnych silników. Miał wrażenie, że wstrzymywał oddech przez całe półtorej minuty wznoszenia. Błękitne wiosenne niebo nabierało coraz ciemniejszej barwy.

Wyrównał na sześćdziesięciu dwóch tysiącach stóp i zwolnił obroty turbin, tak by jedynie podtrzymywały działanie generatora. Gdy nastąpi kontakt, powinien mieć jeszcze jakieś dwadzieścia siedem tysięcy stóp. To wystarczy.

Spojrzał na ekran. Czysty.

Mógł liczyć tylko na jedno: że do końca pozostanie tak czysty jak w tej chwili.

Źródło sygnału było wprost przed nim. Odczyt wskazywał osiemdziesiąt osiem mil do celu. Nie wiedział, ile ma jeszcze paliwa, i ta niepewność nie dawała mu spokoju. Obawiał się, że strome wznoszenie naruszyło margines bezpieczeństwa. Z pewnością osuszyło zbiorniki awaryjne.

Przed sobą, bardzo daleko, dostrzegł ciężką szarość tworzącej się chmury. Ekran był pusty. Firefox szybował cicho przez puste niebo, między ciemnoniebieską owiewką górnych warstw atmosfery nad głową a maleńką milczącą szarzyzną północnych krańców Morza Barentsa w dole. Przed sobą, bardzo daleko, jeszcze dalej niż chmura, widział krawędź bieli — pole lodowe.

* * *

Komandor Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych Frank Delano Seerbacker leżał na swojej koi w ciasnej kabinie na pokładzie USS „Pequod”, atomowego okrętu podwodnego klasy „Sturgeon”, od pięciu dni dryfującego pod polem lodowym na południe. Okręt Seerbackera przepłynął pod lądolodem w pobliżu zachodnich wybrzeży Grenlandii i po czternastu dniach pod wodą wśliznął się na Morze Barentsa.

Podróż składała się z trzech wyraźnie różnych etapów: najpierw szybki przeskok z ukrytej bazy okrętów podwodnych na wybrzeżu Connecticut, potem klaustrofobiczne przejście pod lodem Arktyki, wreszcie powolne dryfowanie przy wyłączonych silnikach, ze średnią prędkością trzech i jednej dziesiątej mili dziennie, pod polem lodowym.

„Pequod” był nie uzbrojony, co napełniało Seerbackera głęboką goryczą. Przedział torpedowy i dziobowe kabiny załogi wypełniała wysokooktanowa nafta, paliwo dla supermyśliwca, który CIA próbowała porwać dla starych, dobrych Stanów Zjednoczonych Ameryki.

Seerbacker zmarszczył brwi z wyrazem głębokiej pogardy. Doszedł do wniosku, że nie lubi CIA, zwłaszcza kiedy ta prymitywna organizacja każe mu siedzieć pod tym cholernym lodem i czekać, kiedy wyląduje na nim supersamolot.

Poruszył się na koi; podniósł kolana wyłącznie po to, by zmienić trochę pozycję. Założył ręce pod głowę i patrzył w sufit. On i jego ludzie mieli dość tego monotonnego rejsu, mieli po uszy podążania w ślimaczym tempie niezmiennym, południowym kursem lodowego pola.

Nie mieli nawet tej drobnej odmiany, myślał ponuro Seerbacker, jaką było szukanie odpowiedniej kry. Pole — tak zwane lotnisko, pomyślał ze wzgardą — zostało wybrane po przestudiowaniu setek zdjęć satelitarnych, których dane potwierdził potem rozpoznawczy Lockheed Orion, dokonując zarówno fotografii, jak obserwacji

wzrokowych. Sprawdzone dane statystyczne z badań oceanograficznych pozwoliły ekspertom z Langley na pewną prognozę zdolności lodu do utrzymania ciężaru Firefoxa. Seerbackerowi powiedziano tylko, gdzie ma go znaleźć. Przeklinając wszechwładzę maszyn wykonał rozkaz. W końcu, powiedział sobie, co jeszcze mógł zrobić? Tylko kłąć na zwierzchników i ich zwariowane pomysły, które wpakowały go w to bagno i zapaskudziły mu okręt tą cholerną naftą.

Ktoś zastukał delikatnie do drzwi.

— Czego? — burknął, zirytowany raczej niż wdzięczny za wyrwanie z ponurych myśli. Marynarz wszedł do kajuty i podał mu plik kartek. To pierwszy oficer, pełniący funkcje oficera meteorologicznego, przysyłał informacje. Właściwie ich oczekiwał, ale kiedy nadeszły, przyjął je z tym większą niechęcią. Temperatura nad lodem opadała o wiele za szybko. Nad całym obszarem kondensowała się mgła, która ukryje przed Gantem położenie i rozmiary pola.

Seerbacker pokręcił głową. Takie już miał cholerne szczęście. Odprawił marynarza. Nie potrzebował dalszych informacji. Gdyby było jeszcze coś ważnego, Pierwszy przekazałby mu to razem z danymi meteo. Nie miał ochoty iść do centrali, jeszcze nie teraz. Raz jeszcze zaklął na myśl o bezustannym trymowaniu zbiorników, bezsensownych kontrolach nafty wypełniającej wyrzutnie torpedowe i przedziały dziobowe, i sprawdzaniu pogody, temperatury lodu, stanu powierzchni... to nie była robota dla człowieka z dwudziestoma latami służby, z najlepszą załogą we flocie.

Raz jeszcze przemyślał wiadomość o spadku temperatury. Opadała szybko, a to mogło oznaczać — i prawdopodobnie oznaczało — zmianę warunków atmosferycznych, dotąd niezwykle łagodnych i stałych jak na tę porę roku i szerokość geograficzną. Ta zmiana może się skończyć marznącą mgłą zlokalizowaną na niewielkim obszarze rzędu kilku mil kwadratowych. Seerbacker nie musiał się znać na samolotach i lotnikach, żeby wiedzieć, że w marznącej mgle Gant w żaden sposób nie zdoła wylądować na lodzie. Na pokładzie nie mieli sprzętu, który mógłby mu pomóc w nawigacji, umożliwił automatyczne lądowanie... nic, z wyjątkiem nadajnika, który powie mu tylko, gdzie są. Tymczasem, jak się właśnie dowiedział, nad polem tworzyła się chmura. Lądowanie może się nie udać, nawet jeśli...

Wątpliwości sprawiły, że pomyślał o procedurze alarmowej. W krańcowym przypadku miał za wszelką cenę unikać schwytania. Waszyngton nie mógł przyznać, że jednostka U.S. Navy brała udział w akcji porwania Firefoxa... Seerbacker miał zniszczyć „Pequoda”, gdyby Rosjanie chcieli go przejąć.

Nie chciał pamiętać rozkazów w zalakowanej kopercie, którą otworzył dopiero na morzu. Gdyby Gantowi nie udało się lądowanie, albo gdyby się-rozbił lub wpadł do morza w pobliżu „Pequoda”, miał dołożyć wszelkich starań, by uratować pilota, a jeszcze większych, by przechwycić samolot i doholować go pod lodem do domu. Wolał nie myśleć, jakie zamieszanie wzbudzi to wśród załogi, jakie spowoduje komplikacje w nawigacji. Rzecz była teoretycznie wykonalna, miał jednak nadzieję, że nie okaże się konieczna, że Gant jest naprawdę dobry i posadzi Firefoxa jak piórko.

Problem w tym, że Gant się spóźniał. Seerbacker znał możliwości i zasięg Firefoxa, a przybliżony czas przybycia samolotu nad pole lodowe już minął, i to dobre kilka minut temu. A dla tego myśliciela minuty były bardzo długimi odcinkami czasu, wystarczająco długimi, by zawrzeć w sobie śmierć. Nie mógł wiedzieć nawet tego, czy Gant ukradł ten samolot, dopóki się nie pojawi — albo i nie — na ekranie podczerwieni. Ponad lód wystawał pomalowany na białą pojedynczy maszt, na którym znajdował się nadajnik sygnału kierunkowego dla „aparatu słuchowego” Ganta, złożonego, szybkozmiennego sygnału, będącego jedynym ogniwem łączności z pilotem.

Seerbacker kłął na brytyjskiego konstruktora za to, że nie wprowadził układu pozwalającego Gantowi na identyfikację — ale sygnał biegł tylko w jednym kierunku. „Pequod” nadawał, Firefox odbierał — przynajmniej dopóki samolot nie znajdzie się tak blisko, by transponder aparatu wyemitował falę identyfikacyjną. A w tej odległości będzie już mógł go zobaczyć. Jak to powiedział Pierwszy... gdyby General Dynamics montowało takie urządzenia jako wyposażenie standardowe okrętów klasy „Sturgeon”, to podawałyby coca-colę, nie mówiąc już o praniu i nadawaniu muzyki. Seerbacker uśmiechnął się z rozmarzeniem.

Kiedy Gant pojawi się nad polem lodowym, częstotliwość odbieranego sygnału zmieni się, i usłyszysz odpowiednik natychmiastowego echa jak w sonarze. Wtedy jego zdumiony umysł pojmie, że trzeba lądować na lodzie, i to w chmurze, pomyślał ponuro Seerbacker, może nawet w marznącej mgle. Oznaczało to zeskrobywanie pilota z lodu, zatapianie szczątków samolotu i holowanie ich tysiące mil, aż do Connecticut. Wolał o tym nie myśleć.

Gant był spóźniony. O minuty, ale spóźniony. Wywalił już całe paliwo, myślał ponuro Seerbacker. Na pewno. Chciał zająć do centrali i już prawie zsunął z koi swe długie nogi, ale zrezygnował. Po pięciu dniach nie mógł wywieszać żółtej flagi tylko

dlatego, że facet spóźniał się o parę minut. W całym rejonie praktycznie zamarła aktywność lotnictwa — i ten brak aktywności dotyczył również Ganta.

Znikąd pocieszenia, stwierdził. Znikąd...

* * *

Nieoczekiwanie to właśnie Buckholz, potężny, pewny siebie i małomówny Buckholz, załamał się pierwszy. Aubrey wyczuwał napięcie, narastające w miarę upływu godzin poranka, gdy Shelley sprzątnął po śniadaniu i wszyscy dopili kawę. Nagle nie było nic do roboty. Napięcie stało się niemal dotykalne, jak ładunek elektrostatyczny stawiało sztorcem włosy na karku. Absolutną ciszę zakłócał tylko skrzyp drabinki, gdy Curtin wchodził lub schodził, przypinając do ściany zdjęcie satelitarne lub dodając nowe kolorowe szpilki na mapie Morza Barentsa.

Buckholz nie zwracał uwagi na mapę. Od ponad pół godziny ani razu nie spojrzał w jej stronę. Robił wrażenie, jakby wsłuchiwał się w wewnętrzny głos, patrzył oczyma wyobraźni i nie potrzebował potwierdzenia fotografii i szpilek.

Aubrey wiedział, dlaczego jest spięty, milczący i ponury. Czuł się podobnie, gdyż także zdawał sobie sprawę, w jakim stanie są zbiorniki paliwa Firefoxa. Ostatni meldunek z „Pequoda”, od „Matki Jeden” i Seerbackera, był typowym raportem meteorologicznym i nie zawierał zakodowanej informacji o namierzeniu Ganta. Zawierał za to złe wieści na temat pogody w rejonie pola lodowego. Aubrey nie chciał, by jego elegancka, precyzyjnie zaplanowana i metodycznie realizowana operacja skończyła się poniżającym twardym lądowaniem na lodzie i hańbą Firefoxa, zniszczonego i skorodowanego od morskiej wody, holowanego za rufą „Pequoda”.

Jednak paliwo martwiło go bardziej niż pogoda. Buckholz, pomyślał Aubrey, uznał pewnie, że Gant poniósł klęskę. Spojrzał na zegar, potem znowu na Amerykanina. Wiedział, że niezręcznie jest mówić mu teraz to, o czym najwyraźniej zapomniał, mimo to jednak odezwał się ostrożnie:

— Czy nie pora wprowadzić w rejon łódź przynętę?

— A po co, do diabła? — warknął Buckholz po chwili milczenia. Patrzył gniewnie, jak gdyby Aubrey przerwał jakiś smętny i straszny rytuał.

Aubrey rozłożył ręce.

— Pora na to. Spójrz na zegar.

— Po co marnować?

— Co?

— Tę przynętę... przynętę na co? Człowieku! — zdawało się, że Buckholz wstanie z krzesła, jakby chciał przestraszyć niskiego, pulchnego Aubreya.

— Nie mamy pewności, że zginął...

— A niby co oznaczały te kodowane transmisje między „Rygą” a Biljarskiem? Dorwali go, Aubrey, dorwali i odstrzelili mu tyłek! Aubrey z wysiłkiem zachował uśmiechnięty wyraz twarzy.

— Nie wiem — stwierdził. — Może znaczyły, że jednak go nie dorwali.

Zapadła cisza. Buckholz opadł z powrotem na krzesło. Anders, stojący z tyłu z plastikowym kubkiem w dłoni, spojrzał w dół, na wystrzyżoną głowę szefa, potem pytająco na Aubreya. Anglik skinął głową, a jego wargi ułożyły się w słowo: „przynęta”. Anders podszedł do telefonu, wykręcił numer i zaczął mówić. Na dźwięk jego głosu Buckholz obejrzał się obojętnie, potem zmierzył wzrokiem Aubreya i pokręcił głową.

Po chwili znowu wpatrywał się nie widzącym spojrzeniem w rozłożone przed nim dokumenty. Anders zakończył rozmowę. Dzwonił do sali operacyjnej Ministerstwa Obrony, skąd wysłany zostanie sygnał do łodzi podwodnej, czekającej w tej chwili gdzieś na zachód od Spitsbergenu, i do samolotu przynęty, oczekującego na start z Grenlandii, a może już w powietrzu, na wschód od wyspy.

Aubrey podziękował Andersowi kwinięciem głowy, po czym spojrzał na mapę. Rosyjskie radary lądowe i morskie w ciągu kilku minut wykryły samolot przynętę, zmierzający w stronę Przylądka Północnego, podczas gdy łódź podwodna ściągnie na siebie flotę, pozwalając „Pequodowi” wynurzyć się i bezpiecznie napełnić zbiorniki Firefoxa.

Nagle, jak chłodny ucisk w okolicy żołądka, jak wrażenie palenia w piersi, jak atak niestrawności czy szmery serca, poczuł zwątpienie. Czy „Pequod” będzie musiał się wynurzać? Buckholz wyraźnie w to nie wierzył. Aubrey pocierał swe gładkie różowe policzki i czekał.

* * *

Na dwudziestu dwóch tysiącach stóp Firefox wszedł w szczyt chmury, do której zbliżał się nieuchronnie. Szybujący samolot bezwładnie jak kamień wsunął się w szarą ciszę. Gant nie potrafił ocenić odległości do podstawy chmury — mogła sięgać do

samej powierzchni morza. Od celu dzieliły go cztery minuty. Opadał w stałym tempie trzech i pół tysiąca stóp na minutę przy prędkości stu osiemdziesięciu węzłów, trzech mil na minutę. Kiedy dotrze do celu, znajdzie się na ośmiu tysiącach stóp. To musi wystarczyć. Ekran wciąż był pusty. Jedynie ROT pokazywał monotonne linie pół lodowych dryfujących w dole, poniżej chmury. W rejonie celu nie było niczego, co choćby w przybliżeniu przypominało statek. Żadnego samolotu. Jedynie nieustanny, równy sygnał nadawany z nieznanego źródła, wzywający go na spotkanie.

W chmurze Gant poczuł chłód. Sygnał był jedynym, co łączyło go z rzeczywistością, był jednak tylko dźwiękiem. Nie potrafił uwierzyć w jego fizyczne źródło. Gant zawsze był pilotem elektroniki, zawsze polegał na instrumentach. Opowieści dawnych lotników, historie o bombowcach nad Niemcami w ostatnich dniach ostatniej wojny, równie dobrze mogły pochodzić ze starożytnej Grecji — były jak mit. Dlatego nie wpadł w panikę, nie czuł lęku. Sygnał musiał mieć źródło, jakkolwiek odległe i nierealne. Nie był iluzją. Gant mu wierzył.

Mimo to odczuwał chłód, lodowate, arktyczne zimno, słone jak morze.

* * *

Seerbacker zsunął nogi z koi, gdy tylko Pierwszy — który w podnieceniu przyszedł osobiście — wsunął głowę przez drzwi i zawołał niemal bez tchu:

— Kontakt z samolotem, sir! Leci w naszą stronę.

— Odległość? — rzucił Seerbacker wkładając czapkę i przeciskając się obok młodego oficera, który podążył za dowódcą w stronę mostka.

— Poniżej czterech mil, sir. Wysokość dwanaście tysięcy. Jest na kursie. I nie ma śladu na radarze... tylko bardzo słaby w podczerwieni. Albo leci na minimalnych obrotach, albo w ogóle bez silników.

— Więc to on — rzucił Seerbacker nie oglądając się. — Jaka jest temperatura powierzchni lodu?

— Ciągłe spada, sir. Zostało jeszcze parę stopni do punktu kondensacji.

Seerbacker zatrzymał się nagle i odwrócił do Pierwszego.

— Parę stopni? — powtórzył.

— Tak jest, sir.

— Wiatr?

— Zmienny, pięć do dziesięciu węzłów.

— Niewystarczające zaburzenia — mruknął tajemniczo, a młody oficer, komandor podporucznik Dick Fleischer, kiwnął głową, rozumiejąc, o co chodzi dowódcy. — Ale co z jego zawirowaniami przy podchodzeniu do lądowania? Co się wtedy stanie?

— Nie powinno... — zaczął zastępcę.

— Przy pechu tej starej wanny, Dick, jak myślisz, co się stanie? Wysunie koła, pociągnie drążek... i fiut! Światła gasną!

Próbował się uśmiechnąć, ale bez przekonania. I on, i Fleischer wiedzieli, że mimo żartobliwego tonu treść jego słów była śmiertelnie poważna. Spadek temperatury o dwa stopnie oznaczał, że powietrze nad powierzchnią lodu osiągnie punkt kondensacji, kiedy zacznie się tworzyć marznąca mgła. Turbulencja wywołana przez lądującego Firefoxa mogła spowodować taki spadek temperatury.

Seerbacker, jakby pobudzony przez własną wyobraźnię, ruszył szybko korytarzem.

— Gdzie on jest? — zapytał, gdy tylko wcisnął swą chudą, kościstą postać do centrali okrętu.

— Trzy mile, trochę powyżej jedenastu tysięcy stóp, sir! — odpowiedział operator detektorów.

— Wciąż ten sam kurs?

— Tak.

— Widzi pole?

— Tak, sir. Podstawa chmury na czterech tysiącach metrów.

— Zrobimy mu niespodziankę, panowie — Seerbacker uśmiechnął się pośpiesznie. — Przedmuchać balasty, ale szybko!

* * *

Jedyną rzeczą, którą widział w dole Gant, było pole lodowe. Wyszedł z chmury na trzynastu tysiącach stóp, trzy minuty od celu — i oto było. Duże, jakieś dwie mile z północy na południe i prawie tyle samo w poprzek. Leżało dokładnie na jego kursie. Ekran radaru nie wykazywał żadnego statku. A mimo to cel był niecałe sześć mil od niego. Pole lodowe znajdowało się we właściwej odległości. Tylko dlatego w ogóle zwrócił na nie uwagę.

Wiedział, że to musi być pole. Dawno już zaczął podejrzewać, że nikt nie planował osiągnięcia granic lądolodu ani spotkania z samolotem-cysterną. Byłoby to zbyt ryzykowne, zbyt niebezpieczne. W grę musiało wchodzić pole lodowe — i lądowanie. Przed sobą nie widział niczego. Przez moment bliski był wybuchu paniki. Wielka kra, podobna do brudnobiałej lilii wodnej na szarej powierzchni morza. Otaczały ją inne, w większości mniejsze. Ani śladu życia! Lęk zacisnął mu krtań, umysł przestał funkcjonować, analizować informacje... i wtedy to nastąpiło. Sygnał zmienił się, aparat zaczął emitować przerywane piski, po dwa na sekundę. Zauważył podobieństwo do kontaktu sonaru, natychmiastowego echa. Mijały sekundy, a sygnał stawał się coraz bardziej nagły, głośniejszy. Zbliżał się do celu. Sprawdził stan morza, raz jeszcze ocenił prędkość wiatru — tak, nie więcej niż pięć, dziesięć węzłów. Zanim jeszcze odpowiedział sobie na wszystkie pytania, zanim minął szok wywołany zmianą sygnału, Gant rozpoczął procedurę wymaganą przy lądowaniu na polu lodowym. Ostatnie kryształki lodu, lśniące jak gwiazdy na szybie kabiny, zniknęły pod stróżkami odmrażacza. Raz jeszcze spojrzął z uwagą na lodową płaszczyznę, lecz tylko mimowolnie wypatrywał śladów życia. Szukał przede wszystkim płaskich miejsc, oceniał długości możliwych pasów, badał szybkość wiatru...

To, co się stało, było jak fizyczny cios, jak nagłe zanurzenie w lodowatej wodzie. Pod nim, na zachodniej krawędzi pola, po lewej stronie i dalej przed nim, lód wybrzuszył się, zafalował i pękł. W otworze pojawił się wzmocniony kiosk atomowego okrętu podwodnego. Gant dostrzegł w dole jego kadłub. Lód pękał i zsuwał się z niego na boki.

Z kiosku wzniosł się jaskrawopomarańczowy balon, potem smuga pomarańczowego dymu płynąca pionowo w górę, nim wiatr odchylił ją na zawietrzną okrętu. Od chwili, gdy zobaczył kiosk, Gant wiedział, że patrzy na okręt amerykański.

Odruchowo sprawdził radar. Pusto. Zwolnił obroty czując, jak myśliwiec opuszcza nos. Uruchomił hamulce aerodynamiczne i ustabilizował prędkość na dwustu sześćdziesięciu milach. Jego umysł niemal obojętnie zarejestrował fakt, że sonarowy sygnał zmienił się w ciągły — natychmiastowe echo. Był nad celem, okrętem podwodnym pełnym paliwa. Za niecałą godzinę napełni zbiorniki i będzie gotów do startu. Odchylił samolot w lewo, by ustawić się w kierunku, jaki nakazywała wygięta wiatrem smuga dymu z kiosku.

Kierunek wiatru zmuszał go do lądowania w północno-południowej osi pola, co dawało prawie dwie mile pokrytego śniegiem lodu na hamowanie. Wiedział, że śnieg,

jeśli nie był zupełnie zmrożony, zadziałała jak niezwykle skuteczny system hamulcowy. Uśmiechnął się. Wciąż odczuwał ulgę, jaką przyniosło odnalezienie okrętu. Miał lądować jak na lotniskowcu, a tego nauczył się w Wietnamie.

Wysunął i zablokował podwozie, co potwierdziły lampki kontrolne. Zwolnił do dwustu dwudziestu mil i wyrównał położenie skrzydeł. Pole leżało przed nim, a tkwiące w nim ciemne cygaro okrętu podwodnego przypominało nie do końca wyklutą z jaja jaszczurkę. Smuga pomarańczowego dymu była równoległa do jego kursu.

Przesunął drążek i odczytał wysokość — tysiąc stóp. Zmniejszył prędkość do stu osiemdziesięciu i ustabilizował na tym poziomie. Opadał w tempie trzystu pięćdziesięciu stóp na minutę. Szare fale zdawały się podnosić ku niemu żarłocznie. Przymknął przepustnice i prędkość spadła do dwustu dziewięćdziesięciu. Blask lodu niemal go oślepił; powierzchnia nadal wyglądała dobrze.

Zamknął przepustnice do końca, a Firefox osunął się ciężko w powietrzu i zaczął opadać. Mocniej chwycił drążek, gotów do wyrównania lotu. Przy otwartych klapach samolot jakby zawisł nieruchomo, potem szarpnął gwałtownie, gdy opony wgryzły się w śnieg, przednie koło uderzyło o podłoże. Na chwilę zniknęła widoczność, gdy chmura śniegu wzbila się wokół nosa. Trwało to może sekundę, nim odmrażacz zdołał oczyścić przednią szybę.

Gant zastanawiał się właśnie, czy z powodu śniegu w dyszach wlotowych zgasną silniki, gdy nagle przestał widzieć cokolwiek. Pędził przed siebie po lodowo-śnieżnej płaszczyźnie otulony gęstymi kłębami szarej mgły.

9.

Presja

Gant zrozumiał, co się stało: przekroczył punkt kondensacji i wzdłuż drogi lądowania niemal natychmiast wytworzyła się gęsta, falująca warstwa mgły. Wiedza ta jednak nie zmniejszała niepokoju ani nie hamowała nagłego dopływu adrenaliny do krwi. Silniki nie zgasły, śnieg wyrzucany przez przednie koło zsuwał się po szybach kabiny — tyle, że niczego nie widział. Był bezradny, bo mimo że śnieg leżący na powierzchni lodu hamował pęd równie skutecznie jak wsteczny ciąg silników, to jednak samolot ślizgał się po powierzchni, wzdłuż północno-południowej osi pola, ku zimnym, szarym wodom Morza Barentsa. Jeśli pole okaże się za małe, jeśli pomylił się w wyliczeniach, jeśli...

Firefox zwolnił jeszcze bardziej. Posuwał się teraz nierówno, podrzucany na wyrwach i garbach lodu. Mgła przerzedzała się i w miarę, jak malały zaburzenia wywołane ruchem samolotu, tworzyła jasny, szary obłok. Obejrzał się przez ramię — po raz pierwszy od godziny zmienił pozycję w fotelu. Nie widział pomarańczowego balonu ani smugi dymu wskazujących, w którym kierunku powinien szukać okrętu. Wykręcił o sto osiemdziesiąt stopni w lewo i ruszył z powrotem po śladach swego przejazdu. Pełził wolno wypatrując we mgle ludzi, świateł czy sygnałów wskazujących drogę. Niepokój i podniecenie mijały. Wylądował.

Miał wrażenie, że po lewej stronie widzi zgarbioną, bezkształtną sylwetkę, jednak nie był pewien. Mgła stała się chyba jeszcze bardziej gęsta. Postać nie niosła żadnego światła. Gant dotknął przycisku i podniósł osłonę kabiny. Lodowaty chłód Arktyki wdarł się w ogrzane powietrze kabiny i jak nóż rozciął osłonę kombinezonu przeciążeniowego, jakby ten uszyty był z cieniutkiej bawełny. W ciągu sekundy Gant przemarł do kości, a zęby szczękały mu głośno za przydymioną szybą lotniczego hełmu. Dłonie zadrżały, jakby rejestrując trzęsienie ziemi. Zdjął hełm i poczuł na krótko ostrzyżonej głowie dotknięcie zimnego ognia. Nie zważając na stuk zębów wyciągnął szyję nasłuchując i wyteżając wzrok w kierunku, gdzie dostrzegł we mgle tamtą postać.

Dwa razy zdawało mu się, że z lewej strony słyszy jakieś głosy, że posuwa się równolegle do szukających go ludzi. Nie był pewien. Głosy, niby świergot nieznanych

ptaków, rozpraszały się w gęstej mgle. Potem zrozumiał, że ci ludzie zmierzają do punktu, gdzie powinien się zatrzymać. Nie spodziewali się, że wykona zwrot i ruszy po własnych śladach z powrotem.

Wtedy dostrzegł mętny blask i niewyraźną postać z lampą w ręku. Usłyszał, że ktoś wykrzykuje jego nazwisko, głośno, ale jakby z daleka, nierzeczywiście. Milczał, a człowiek zawołał znowu. Gant, z jakiejś niepojętej dla siebie przyczyny — mimo zimna, mimo uczucia samotności po nie mającym końca locie z Biljarska, a przedtem z Londynu — nie miał ochoty odpowiadać. Głos należał do Amerykanina. Wtedy, mimo wrażenia separacji, odcięcia od świata, od nierealnego obrazu tej ostrożnie zbliżającej się postaci, Gant uśmiechnął się. Ten niewyraźny cień z nowojorskim akcentem był tak zwyczajny, jakby nie miał nic wspólnego z nim, z Firefoxem i ze wszystkim, czego dokonał.

Wzruszył ramionami, by odpędzić to wrażenie. Wiatr wzmógł się do jakichś dwunastu węzłów i dmuchał mu prosto w twarz, zwracając jego myśli ku rzeczywistości, zimnu, niewygodzie. Uniósł dłoń do ust i zawołał:

— Tutaj! Samolot jest tutaj!

— To pan, Gant? — odpowiedział głos.

Wchodząc w zakręt Gant zrozumiał, że ma wzrok o wiele bardziej wyostrzony niż ten człowiek na lodzie. Bardzo wolno obrócił we mgle Firefoxa, a tamten wyprostował się i rozejrzał.

— Jezu, muszę sobie sprawić okulary — mruknął.

Gant nie musiał używać hamulców; śnieg zatrzymał samolot po kilku metrach. Potężne turbiny wydawały z siebie tylko cichy pomruk. Człowiek — teraz widział, że był chudy i wysoki, a pogrubiła go kurtka z kapturem, którą miał na sobie — mówił do radiotelefonu:

— Dobra jest, chłopaki. Znalazłem go. Wszyscy do mnie, biegiem!

Potem podszedł bliżej i dłonią w grubej rękawicy uderzył w kadłub. Gant wychylił się z kabiny i spojrzał na wąską, ascetyczną twarz. Dostrzegł złote liście na marynarskiej czapce pod futrzanym kapturem. Uśmiechnął się głupawo — nie wiedział, co powiedzieć. Uczucie ulgi było tak silne, że poczuł mdłości i zadrzął, raczej z emocji niż z zimna.

— Cześć, chłopie — odezwał się Seerbacker.

— Cześć — wykrztusił Gant. Dostrzegł we mgle innych ludzi i niewyraźne kule światła.

— Kapitanie, mamy się ustawiać? — zawołał ktoś. Seerbacker, jakby odrywając się od studiowania rysów twarzy Ganta, odwrócił głowę i krzyknął przez ramię:

— Tak! Zabieramy tego ptaszka do mamusi! Kona z pragnienia! Po czym dodał ciszej:

— Wygląda pan dość zwyczajnie... ale chyba jest pan kimś nadzwyczajnym, co?

— W tej chwili to pan jest nadzwyczajny, kapitanie. Seerbacker skinął głową i podniósł radiotelefon.

— Mówi kapitan. Zgłaszajcie się po kolei.

Słuchał uważnie głosów swoich ludzi, jak przy odliczaniu. Wreszcie zapadła cisza.

— Połowa mojej załogi stoi teraz na tym cholernym lodzie w dwóch ślicznych, prostych liniach, aż do okrętu. Da pan radę przejechać środkiem?

— Jak po autostradzie.

Seerbacker wyciągnął rękę, odsunął sprężynowe pokrywy szczebli i stanął na stopniu.

— Podwiezie mnie pan?

— Na tej trasie nie lubią pasażerów na gapę.

— Zaryzykuję — kapitan wyszczerzył zęby. — Dobra, ruszajmy.

Gant zwolnił hamulce i Firefox potoczył się przed siebie. Widział pierwszą parę ludzi i jasny blask ich lamp, potem następną dwójkę niby latarnie w zasnutym mgłą tunelu. Ustawił nos w sam środek tego tunelu i ledwie widoczne światła zaczęły przepływać po obu stronach.

— Ruszcie się, chłopaki — usłyszał głos Seerbackera. — Ten ptaszek nie gryzie! To nasz, na rany Boga!

Światła zakołysały się, zbliżyły do siebie, zajaśniały mocniej.

— Dziękuję — rzucił niewidocznemu w dole kapitanowi.

— Nie ma sprawy. Są tu po to, żeby pomagać. Nawet jeśli się im to nie podoba. — W głosie marynarza zabrzmiała niechęć. Gant wyczuł ją, skrytą pod krótkotrwałym zadowoleniem z jego przybycia — niechęć ludzi tkwiących w samym środku wrogiego morza, dzień po dniu dryfujących pod lodem.

— Przepraszam — wyrwało mu się.

— Co? — nie zrozumiał Seerbacker, po czym dodał: — A, tak. Takie rozkazy. Nie ma się czym przejmować.

Z przodu zamajaczył podłużny kształt z wieżą kiosku.

— Tam jest — odezwał się całkiem niepotrzebnie Seerbacker, a Gant wyczuł w jego głosie dumę dowódcy ze swojego okrętu.

— Tak, widzę.

— Proszę tu zaparkować — powiedział Seerbacker. — Szanowny pan będzie jadł w wozie, czy raczej wejdzie do środka?

Gant ustawił Firefoxa równolegle do grubego cygara okrętu podwodnego, w połowie zagrzebanego pod lodem, podobnego do jakiegoś gada wykrawającego się z białej skorupy. Wyłączył silniki i samolot zamarł. W absolutnej ciszy poczuł, jak budzi się w nim sympatia dla maszyny. Nie była już przedmiotem, który ukradł, ładunkiem przewożonym dla CIA — była czymś, co wyniosło go z samego serca Rosji, pomogło uciec, walczyć z krążownikiem rakietowym, walczyć...

— Witamy w „Barze Joego” — Seerbacker przerwał mu rozmyślania nad tym niezwykłym, zimnym i mechanicznym uczuciem do maszyny. — Kabaret nie jest najlepszy, ale hamburgery to rozkosz dla zmęczonego wędrowca. Prosimy na dół, panie Gant. Prosimy i witamy na pokładzie.

Gant rozpiął pasy i wstał. Bolały go mięśnie i stawy. Wiatr zdawał się dmuchać prosto w twarz lodowatym tchnieniem bieguna, przenikającym materiał kombinezonu, wbijającym w ciało igły zimna. Zatrząsł się.

— Dzięki — powiedział. — Dzięki.

Wyszedł z kabiny i już bez wahania zsunął się na lód.

* * *

— Wywołać ich! — polecił Władimirow. — Raporty ze wszystkich polarnych eskadr patrolowych.

Meldunki spłynęły po czterech minutach, ale sekretarz generalny wyraźnie nie uważał tego czasu za stracony. Władimirow nienawidził tej politycznej gry, w którą został włączony. Tchórzostwo kazało mu milczeć, a milczenie było znakiem zgody. Kiedy ostatni z patroli zdał raport z obserwacji w wyznaczonym rejonie, stało się jasne, że Amerykanie nie próbowali umieścić na lodzie zbiorników paliwa ani wytyczyć pasa startowego. Pewność Władimirowa została zachwiana, ale nie runęła. Gdzieś w jego mózgu tkwiła odpowiedź — wiedział o tym!

Chłodny wzrok sekretarza generalnego i błysk światła w zwróconych ku niemu okularach Andropowa kazały mu ukryć swe przemyślenia.

— Przesuńcie wszystkie jednostki w rejon Przylądka Północnego — polecił radziecki przywódca. — Wszystko, co macie. Władirow skinął głową.

— Podnieść eskadry Wilczego Stada w sektorach od Przylądka Północnego do Archangielska — rzucił. — Sukcesywny start sektorów wszystkich jednostek.

Nie spojrzał nawet na mapę. Miał w pamięci rozmieszczenie wszystkich jednostek pływających oraz eskadr lotniczych.

— „Otliczny” i „Sławny” mają zmienić kurs i jak najprędzej ruszać w kierunku Przylądka Północnego.

— Tak jest.

— Wszystkie okręty podwodne na Morzu Barentsa ruszają z maksymalną prędkością w stronę przylądka.

— Tak jest.

— Przekazać „Rydze” i jej eskorcie rozkaz zmiany kursu. Niech natychmiast wyśle w powietrze śmigłowce i płynię do przylądka.

— Tak jest.

Wiedział, że te działania są bezużyteczne. Były jak krzyk tchórza, gdy ten, którego się lękał, znalazł się poza zasięgiem głosu; jak udawana wściekłość pokonanego. Mimo to nie potrafił pohamować tej gorączkowej, bezsensownej aktywności. Upajał się potęgą, jaką dysponował.

Jak dziecko, widziane dawno temu, które budowało zamek z piasku na plaży w Odessie, starał się nie pamiętać o morzu prawdy, którego fale zbliżały się coraz bardziej. Całą swą energię wkładał w konstrukcję słabej, kruchej budowli. Nakazał starty wszystkiego, czym dysponował, zmienił kursy wszystkich okrętów na Morzu Barentsa.

Mapa na blacie ukazywała zachodnią część akwenu. Operator uwzględnił ruchy jednostek wykonujących kolejne rozkazy generała. Władirow zauważył, że się poci. Usiadł, podniósł głowę i napotkał zadowolone spojrzenie sekretarza generalnego.

— No i jak, Władirow, nie było to takie złe, prawda? — roześmiał się. Za nim, niby echo, wykrzywił wargi Andropow. Władirow potrząsnął głową i uśmiechnął się głupawo jak dziecko odbierające pochwałę. — Podobalo się wam, co? Władza... teraz rozumiecie — pochylił się nad nim. Władirow mógł tylko przytaknąć.

Głos operatora wybawił go z nieprzyjemnej sytuacji.

— Trecow melduje, że Mig-31 przekroczył linię brzegową w punkcie o długości 50 stopni, niedaleko Indygi.

Te słowa zapadły niby kamień w spokojną powierzchnię stawu. Wszyscy przy stole uświadomili sobie na powrót straszliwy potencjał i moc tego, co im ukradziono. Minęło niecałe dwadzieścia pięć minut od startu Trecowa. Brzeg znajdował się około dwóch tysięcy kilometrów na północ od Biljarska, a Mig-31 dotarł tam, przeleciał i mknął dalej na spotkanie z samolotem-cysterną.

Władimirow dostrzegł u sekretarza generalnego moment wahania.

— Czy mam nakazać zmianę jego kursu, towarzyszu sekretarzu? — zapytał zmęczonym głosem.

Dostojnik pokręcił głową. Nadal się uśmiechał.

— Na razie nie. Niech najpierw weźmie paliwo. Kiedy będziemy mieli kontakt, skierujemy go jak strzałę prosto w Amerykanina. Jak strzałę. Co, Władimirow?

Sekretarz generalny roześmiał się, lecz generałowi nie przyniósł ulgi ani ten śmiech, ani pewność siebie, jaką wyrażał.

* * *

Dwadzieścia minut po lądowaniu Gant wrócił na lód, żeby sprawdzić, jak przebiega tankowanie. Mimo gryzącego zimna i ostrego wiatru, rozrywającego kłęby mgły i zdmuchującego z ust parujący oddech, stał obok Firefoxa, jakby nie chciał oddać go całkowicie pod opiekę marynarzy Seerbackera. Szron pokrył już brzegi pożyczonej kurtki, która prawie wcale go nie grzała. Stał przygarbiony, z rękami w kieszeniach, i wpatrywał się w szary, bezkształtny lodowy świat i niewyraźne sylwetki pracujących ludzi. Dwa węże, każdy średnicy czterech cali, łączyły samolot z okrętem. Marynarze zwijali się jak w ukropie. Z dziobowego luku opuszczono na linach pompę, którą przetoczono po lodzie pod skrzydło. Po otwarciu drugiego, mniejszego luku, Gant poczuł ostry, gorzko-słodki zapach nafty. Wąż zniknął w otworze prowadzącym do dziobowych pomieszczeń załogi.

Wiedział, że napełnianie zbiorników potrwa jeszcze ze dwadzieścia minut. W porównaniu z pompami instalowanymi w bazach lotniczych pierwszej linii, zdolnymi do przetaczania ponad trzech tysięcy galonów w ciągu minuty wprost do pustych zbiorników samolotów bojowych, tutejsza maszyna była powolnym, przedpotopowym urządzeniem.

Nastąpiło pewne opóźnienie. Gdy Gant w kajucie Seerbackera kończył talerz chili, okazało się, że kabel elektryczny nie sięga od burty do Firefoxa. Kabel był

konieczny jako uziemienie, by zapobiec niebezpieczeństwu przypadkowego zapłonu rozlanego przy tankowaniu paliwa przez iskrę z naelektryzowanego kadłuba. Marynarze dołączyli dodatkowy przewód i umieścili wielki zacisk na gołeni przedniego koła. Dopiero wtedy zaczęło się tankowanie.

Kiedy dwóch cywilów na pokładzie „Pequoda” — inżynier i elektronik — zajęło się samolotem, Gant zgodził się wrócić do kajuty kapitana. Siedział tam w milczeniu. Raz tylko, spojrzawszy na zegarek, mruknął:

— Dziesięć minut.

Minutę później ktoś zastukał do drzwi.

— Tak?

Do wnętrza wsunęła się głowa Fleischera, pierwszego oficera.

— Prognoza pogody, sir.

Gant nagle wrócił do życia. Spojrzał na Fleischera tak, że młody człowiek poczuł się nieswojo.

— Co się dzieje? — zapytał.

— Wiatr się wzmaga, sir. W porywach do piętnastu węzłów. — Zastępca demonstracyjnie zwracał się do Seerbackera. — Mgła chyba się podnosi.

Komandor skinął głową. Gant odetchnął — piętnaście węzłów nie powinno utrudnić startu.

— Jak idzie robota?

— Prawie skończona, sir. Peck uważa, że zajmie jeszcze sześć, może siedem minut.

Seerbacker przytaknął. Peck, główny mechanik „Pequoda”, nie mógł się mylić. Na pewno będzie zmuszał swych ludzi do najwyższego wysiłku, mimo opinii, jaką miał na temat Ganta i bezpieczeństwa okrętu.

Fleischer wycofał się, a Gant zaczął wstawać z krzesła. W tym właśnie momencie poczuł silny wstrząs i pokład zakołysał się pod stopami. Dostrzegł jeszcze, jak Seerbacker wylatuje ze swej koi, po czym sam z ogromną siłą uderzył ramieniem w grodzie. Światła przygasły, by zaraz rozpalić się na nowo. Gant czuł, że rękę ma zupełnie bezwładną, a kapitan leży mu na piersi. Usłyszał stuk w korytarzu, pewnie Fleischer padał na podłogę. Poruszył się z wysiłkiem. Zobaczył zwróconą ku sobie zdumioną, przestraszoną twarz Seerbackera.

— Co, u licha...? — zaczął niepewnie kapitan.

— Co to było? — spytał Gant.

Seerbacker wstał chwiejnie. Krew płynęła mu z kącika ust — ugryzł się w język. Otarł wargi i przez chwilę wpatrywał się w poczerwieniałe palce. Tupot nóg w korytarzu poderwał go do działania. Szarpnął drzwi.

— Co się dzieje, do diabła? — zawołał.

Rozcierając ramię Gant uniósł się z podłogi. Ręka odzyskiwała czucie i uznał, że niczego sobie nie zwichnął ani nie złamał.

— Nie wiemy, sir.

— Nie wiecie? Więc co tu robicie? Sprawdzić natychmiast!

— Tak jest, sir!

— Co z Firefoxem? — odezwał się Gant.

— Do diabła z nim! — wybuchnął Seerbacker. — Co z moją łajbą?

Gant wyszedł za nim z kabiny. Fleischer opierał się o grodz, a z długiego rozcięcia na czole sączyła się krew. Seerbacker nie zwrócił na niego uwagi i niezupełnie jeszcze przytomny pobiegł na mostek. Gant podszedł na moment, by obejrzeć ranę, poklepał młodego oficera po ramieniu i poszedł dalej.

Centrala okrętu pełna była poprzewracanych mebli i ludzi podnoszących się z podłogi. Gant ruszył do drabinki prowadzącej wyżej, na mostek.

— Raport o uszkodzeniach. Szybko! — warknął kapitan.

Mróz kasał Ganta przez kurtkę, a wiatr tamował oddech. Ze szczytu kiosku, przy lepszej już widoczności, dokładnie widział Firefoxa, który na pozór nie ucierpiał. Ludzie rozbiegli się, dwóch leżało wciąż na lodzie, najwidoczniej ranni, inni pochyłali się nad nimi, jeszcze inni podnosili się z lodu.

— Co się stało? — krzyknął Gant do jednego z nich, stojącego tuż przy burcie.

Marynarz spojrzał w górę i zauważył stojącego obok Ganta dowódcę.

— Nie wiemy, sir. Usłyszeliśmy trzask, jakby krzyk, a zaraz potem wciskałem już głę w lód. Wyglądało, jakby rybka nas trafiła.

— To nie była torpeda. Gdzie Peck?

— Poszedł w tamtą stronę, sir — marynarz wskazał północ.

Gant wyteżył wzrok, ale pasma mgły wciąż unosiły się nad lodem i widoczność w najlepszym razie nie przekraczała stu jardów. Patrzył w kierunku, gdzie znikł Peck, a złe przecucie zaczynało znowu uciskać żołądek. Mijały minuty. Zdawało się, że wiatr jest coraz silniejszy. Chwilami dmuchał mu prosto w twarz, wyciskając łzy. Zaczynał się bać.

Z mgły wnurzyła się postać Pecka. Gant, jakby pobudzony nagłą myślą, że mechanik jest zwiastunem złych wieści, puścił się biegiem w jego stronę.

— I co? — spytał bez tchu. — Co się stało?

— Wypiętrzenie — odparł krótko Peck.

— Co? — Gant nie mógł uwierzyć. — Duże?

— Trzy, może cztery stopy. Ciągnie się przez całe pole, o ile mogłem to ocenić.

— Gdzie, człowieku? Gdzie? Pokaż! — ciągnął Pecka za rękaw. Potężny mężczyzna zawrócił i poszedł za nim. Błada, napięta twarz pilota budziła niepokój, a zwłaszcza to, jak niecierpliwie wybiegał naprzód i oglądał się. Przypominał psa, który ponagla swego właściciela. Seerbacker szedł wolno za nimi.

Wypiętrzenie miało prawie cztery stopy wysokości i wylaniało się z lodu jak niski mur, ciągnący się w obie strony tak daleko, jak sięgał wzrok.

— Powiedział pan, że tak jest aż do brzegu?

— Zgadza się. Przeszedłem spory kawałek w jedną i drugą stronę. Moim zdaniem sięga od brzegu do brzegu.

Przez chwilę wydawało się, że Gant nie uwierzy mechanikowi. Wiedział jednak, że Peck rozumiał znaczenie tego lodowego grzbietu i nie bez powodu sprawdził jego zasięg.

— Jak... jak to się stało? — zapytał niepewnie.

— Jest tylko jedno wyjaśnienie — odparł marynarz. — Wiatr naprowadził któreś z tych mniejszych pól prosto na nas. Jak w karam-bolu na autostradzie. W rezultacie mamy wypiętrzenie.

Gant stanął przed Peckiem i zacisnął palce na rękawach jego futra.

— Rozumie pan, co to znaczy? — zapytał. — Nie mogę się stąd ruszyć. Nie mogę wystartować.

* * *

Rezultatem rozmyślań, zarzutów i coraz silniejszego poczucia pewności, że to on ma rację, a sekretarz generalny się myli, była jedynie — co Włodzirow uświadomił sobie z goryczą — chwila wahania, niepewne spojrzenie w stronę najpotężniejszego człowieka Związku Radzieckiego. Kiedy krępy mężczyzna skinął głową, potwierdzając wydany rozkaz, Włodzirow odwrócił się do konsoli.

— Trecow, tu Władirow — nie używał kodu, jednak nie chciał określać samolotu, z którym rozmawiał, inaczej niż przez nazwisko pilota. To także gwarantowało pewną anonimowość.

W tym czasie Trecow, drugi oblatywacz Miga-31, znajdował się na wysokości piętnastu tysięcy metrów z sondą dziobową w podajniku samolotu-cysterny, z którym spotkał się kilka minut wcześniej. Głośnik zatrzeszczał.

— Trecow, słucham — dobiegł słaby głos.

— Władirow do Trecowa. Natychmiast po zakończeniu tankowania weźmiesz kurs na Przylądek Północny.

— Przylądek Północny? Proszę o powtórzenie wiadomości. Władirow poczuł gniew. Oczywiście, że pilot dziwił się zmianie planów.

— Powiedziałem: Przylądek Północny. Nawiązać kontakt radiowy z następującymi jednostkami: krążownik rakietowy „Ryga”, stacja naziemna Wilczego Stada w Murmańsku. Jak zrozumiałeś?

— Tu Trecow — nadbiegła odpowiedź. — Zrozumiałem. Kurs na Przylądek Północny, nawiązać kontakt z „Rygą” i kontrolą naziemną w Murmańsku.

— Dobrze. Czekać na dalsze polecenia. Koniec.

Władirow wyłączył nadajnik i odwrócił się. Nie miało znaczenia, że Amerykanie przechwycą transmisję przekazywaną otwartym tekstem. Dowiedzą się tylko, że w rejon poszukiwań skierowano kolejny samolot. Generał spojrzał w stronę sekretarza generalnego, ale dostojnik pogrążony był w prowadzonej szeptem rozmowie z Andropowem. Obejrzał się na Kutuzowa. Stary marszałek lekko skinął głową. Władirow był mu wdzięczny za ten gest sympatii i zrozumienia.

Wątpliwości powróciły z nową siłą. Gdyby tylko mógł zyskać pewność... Wiedział już, jak dokonano operacji, czego powinny szukać jednostki patrolowe. Bał się jednak zaryzykować resztki swego autorytetu i przyszłą karierę, stawiając je na tak szalony pomysł. Przelknął ślinę. Znał odpowiedź — i wiedział, że sekretarz generalny nie zechce go wysłuchać.

Gardził sobą. Odrzucał Miga-31, podawał go Amerykanom jak na tacy. A mimo to nie mógł temu przeciwdziałać — nikt mu nie uwierzy.

* * *

Zbadali powierzchnię lodu. Zgodnie z przypuszczeniem Pecka wypiętrzenie biegło od wschodniej do zachodniej krawędzi. Znajdowało się mniej więcej w połowie długości pola, w połowie pasa startowego dla Firefoxa. Gant w żaden sposób nie zdołałby wznieść się w powietrze na tym skrawku powierzchni, jaki mu pozostał.

— Uda się, sir — Peck pochylił się w stronę Seerbackera. Fleischer milczał; jego szkolenie nie przewidywało rozwiązywania takich problemów. Drugi mechanik Haynes wspomagał swojego szefa szacując czas i liczbę ludzi potrzebnych do wykonania pracy. Razem z Gantem było ich pięciu. Stali sztywno, spowici mgłą, wciąż unoszącą się nad lodem. Wiatr był porywisty, lecz słabł, jakby odpoczywając po wykonaniu zadania.

— Do diabła, Jack! Czy mamy dość siekier i łopat na pokładzie? — burknął Seerbacker. Spojrzał z ukosa na Ganta, który wpatrywał się w skupieniu w lodową powierzchnię, nie zwracając uwagi na toczącą się rozmowę. Kapitan poczuł irytację, lecz starał się tego nie okazywać.

— Sir, mamy wszystko, czego trzeba: łomy, ciężkie świdy, siekiery... wszystko — Peck sprawiał wrażenie, jakby wątpliwości dowódcy uważał za osobistą obrazę. — Może dałoby się założyć parę niewielkich ładunków? — dodał.

— To szaleństwo, Jack!

— Wcale nie, sir. Jeśli umieścić je prawidłowo i jeśli nie będą za duże, to nie uszkodzą lodu.

Seerbacker zastanawiał się przez chwilę.

— Jaki rozstaw kół ma pański ptaszek, panie Gant? — spytał w końcu.

— Dwadzieścia dwie stopy.

— Jest pan pewien?

Gant skinął głową, nie odrywając spojrzenia od lodowego garbu. Mechanicznie kopał go nogą. Trochę śniegu uniosło się w górę i osiadło na czubku buta, lecz nie naruszył powierzchni lodu.

— A ile pan potrzebuje? Ile tego muru mamy rozwalić? — zapytał Peck.

Gant podniósł głowę, słysząc wyzwanie brzmiące w głosie potężnego mężczyzny. Uśmiechnął się ponuro i zastanowił.

— Trzydzieści stóp — oświadczył. Na chwilę zapadła cisza.

— Nie pieprz pan, panie Gant — odezwał się wreszcie Seerbacker. — Nie chcę marnować czasu tylko po to, żeby rozwalił pan maszynę, bo chciał pan coś udowodnić głównemu mechanikowi.

Mierzył wzrokiem obu ludzi. On także wyczuł wyzwanie i reakcję. Chwilowy atak paniki Ganta, okazanej w obecności Pecka, stał się zaczątkiem tego konfliktu.

— Trzydzieści stóp — powtórzył pilot. — Więcej mi nie trzeba.

— I dostanie pan te cholerne trzydzieści stóp! — warknął Seerbacker. — Teraz proszę wskazać odpowiednie miejsce, a Peck i jego ludzie wezmą się do roboty.

Gant ruszył wzdłuż grzbietu, a czterej marynarze poszli za nim wolno, jakby pokonując niechęć. Seerbacker czuł wyrzuty sumienia. Potraktował pilota w taki sposób, że tamten powiedział coś, czego z pewnością żałuje. Mimo to na twarzy Ganta nie dostrzegł cienia wątpliwości, śladu lęku, że margines jednego metra po obu stronach głównego podwozia, przy obecnej widoczności, to jakby podrzynanie sobie gardła tępym nożem.

Niech go szlag trafi! pomyślał Seerbacker. Zalażł mi za skórę!

Gant zatrzymał się, poczekał na nich i oświadczył:

— Tutaj.

Z całej siły wbił czubek buta w wypiętrzenie na wysokości brzucha i wyszczerbił je lekko. Peck sięgnął do kieszeni kurtki, wyjął aerozol i spryskał lód, który osiadł lekko pod wpływem spirytusowej mgiełki. Gant odmierzył osiem metrów i zaczął czekać, aż mechanik zrobi znak. Pokiwał głową. Seerbacker ocenił, że stoją przy samym środku wypiętrzenia, w pobliżu środka pola. Gant wybrał na swój pas najdłuższą, północno-południową oś.

— Ile czasu trzeba na oczyszczenie tego odcinka? — zapytał komandor.

— Godzinę, sir. Włącznie z przedmuchiwaniem. Gant chciał zaprotestować, że to za długo, ale zrezygnował. Nic nie mógł poradzić.

— Godzinę?

Peck przytaknął. Seerbacker pomyślał chwilę, po czym wyjął z kieszeni radiotelefon i wcisnął klawisz.

— Waterson, przerzuć mnie na system łączności ogólnej. Przerwał.

— Uwaga, załoga! — powiedział po chwili. — Mówi kapitan. Likwidacja wypiętrzenia zajmie godzinę, a to oznacza, że przez ten czas musimy zostać na powierzchni. Wymagam najwyższej czujności. Kontrola przestrzeni ma być dokładna. Jeśli ktokolwiek z was coś przegapi, zabije nas wszystkich. Mam nadzieję, że rozumiecie. Skutki będą gorsze niż zapaskudzona opinia w aktach. I cisza na okręcie. Tutaj będziemy robić aż za dużo hałasu, więc siedźcie spokojnie. Wy przy samolocie — ma być odlodzony i gotów do startu, gdy tylko dostaniecie rozkaz. Peck dowodzi

grupą pracującą na lodzie. Zaraz sam wam powie, kto się zgłasza na ochotnika i jaki sprzęt będzie potrzebny. Jeszcze moment... Doktorze?

— Tak, kapitanie — napłynęła po chwili odpowiedź.

— Mamy rannych?

— Harper ma wstrząs mózgu. Walnął tym swoim twardym łbem o pokład. Smith stracił parę zębów na lodzie, a Rileyowi zakładam właśnie cztery szwy na potylicy. Reszta to drobiazgi.

— Dzięki, doktorze. Powiedz Rileyowi, że może teraz mózg zacznie mu pracować. A buźka Smitha na pewno będzie wyglądać lepiej. Dobra, chłopaki, teraz Peck. Słuchajcie uważnie.

Wyłączył i schował radiotelefon. Peck zaczął wywoływać nazwiska największych osiłków, jacy trafili na „Pequoda”.

Seerbacker podszedł do Ganta i przyjrzał mu się uważnie.

— Jest pan pewien? — zapytał. Pilot skinął głową.

— Proszę się nie martwić. Peck wcale mnie nie zdenerwował. Potrafię przejechać przez trzydziestostopową wyrwę.

— Przy takiej widoczności?

— Przy gorszej.

— Do diabła, człowieku... zresztą, jak chcesz, ale to będzie twój pogrzeb.

— Dzięki, Seerbacker — powiedział po chwili Gant. — Za tę godzinę.

Seerbacker poczuł się nieswojo. Wiedział, że Gant nie sili się na złośliwość, choć pewnie przychodzi mu to z trudem.

— Nie ma sprawy. Chociaż... nie zrobiłbym tego dla byle kogo — dodał z uśmiechem.

— Ja... pójde obejrzeć samolot.

— Jasne.

Gant oddalił się. Obok „Pequoda” dostrzegł przez szarą zasłonę mgły biegnące gorączkowo postacie, spowite białą parą oddechów. Peck był dla nich nadzorcą, pomyślał bez złośliwości. Poganiaczem. Kiedy powiedział: skakać, skakali. Wiedział, co robi. Gant nie powinien się wtrącać.

Zresztą sam to wymyślił, od samego początku. Najpierw zrąbanie części lodowego muru, potem proces wygładzania. To pierwsze chciał osiągnąć brutalną siłą i siekierami, drugie — przedmuchując wyrwę przegrzaną parą, napędzającą turbiny okrętu, doprowadzoną węzami ciśnieniowymi.

Na poszyciu Firefoxa nie było ani drobiny lodu. Obok, jak wyciągnięte z szopy na narzędzia jakiegoś olbrzyma, stało trzymetrowe urządzenie przypominające spryskiwacz ogrodowy. Przez wąż łączący je z kioskiem „Pequoda” elektryczny silnik pompował spirytusowy płyn odmrażający — „gorzałę”, jak nazywali go marynarze. Przy spryskiwaczu pracowało czterech ludzi. Dwóch popychało go, dwóch innych zraszało skrzydła i kadłub myśliwca drobniutką mgiełką, wydmuchiwaną pod ciśnieniem z dwóch węży, które trzymali pod pachami. Wszyscy czterej działali z mechaniczną, bezmyślną na pozór precyzją. Gant dostrzegł lekkie wgłębienia po kołach spryskiwacza, bez chwili przerwy przetaczanego wokół samolotu.

Przez długą chwilę patrzył na Firefoxa, jakby czerpał siły z widoku maszyny. Aż do teraz nie znalazł ani minuty, by w spokoju ocenić kształt, konstrukcję, funkcjonalną i groźną sylwetkę samolotu. Z pierwszego spotkania pamiętał tylko zamęt blasku i hałasu, ogień na końcu hangaru i postać Baranowicza w białym fartuchu skuloną na betonie... Teraz patrzył w milczeniu na wąski kadłub, szerokie wloty powietrza do potężnych silników, większych niż wszystko, co Tumański uważał za możliwe do wbudowania w samolot myśliwsko-szturmowy. Oglądał niewiarygodnie krótkie skrzydła z podwieszonymi nowoczesnymi pociskami Anab. Dostrzegł ślady osmalenia tam, gdzie odpalił dwa z nich — jeden, by zestrzelić rozpoznawczego Badgera, drugi, by sprowokować dowódcę krążownika do przedwczesnej akcji. Podeszedł bliżej. Oba pociski były na miejscach. Znów dysponował wszystkimi czterema.

Właściwie nie był zaskoczony. Podczas podobnej akcji przechwycono kiedyś syryjskiego Miga-25. Zapewne to jego rakiety dostarczył tu Seerbacker. Buckholz pamiętał o wszystkim.

Tankowanie zakończono, gdy on, Seerbacker i Peck zastanawiali się nad pokonaniem lodowej zapory. Wciągnięto węże, odczepiono zacisk uziemienia z goleni przedniego koła. Załoga pracowała teraz pewnie przy wyrąbywaniu pasa.

Gant odwrócił się niechętnie i odszedł, z początku wolno, potem — kiedy Firefox stał się tylko niewyraźnym, szarym kształtem we mgle — wydłużył krok.

Niemal pół godziny zabrało mu dojście do południowej krawędzi pola i przejście na północ, wzdłuż linii przyszłego pasa startowego. Zderzenie lodowych pól, prócz wypiętrzenia, nie spowodowało powstania innych przeszkód. Wracał właśnie od północnej krawędzi lodu, gdy radiotelefon, który dostał od Fleischera, zapiszczał głośno.

— Słucham?

— Gant? — Seerbacker był zdyszany. — Słuchaj pan. Sonarzyści mają trzy echa na południe od nas, na torze pańskiego dolotu.

Gant zastanowił się.

— Tak... to pewnie ten krążownik rakietowy i jego eskorta — dwa okręty podwodne.

— Rany boskie... umie pan sprawiać kłopoty, Gant. Naprawdę pan to potrafi.

— Kiedy tu będą?

— Za czterdzieści, może czterdzieści pięć minut.

— Więc mamy dość czasu.

— Niech pana diabli porwą! Dość czasu, żeby się pan stąd wyniósł, ale co z moją łajbą? Co z tą dzielną załogą, która w tej chwili tyra jak może, żeby przygotować panu pas startowy?

— Ja... przepraszam pana, Seerbacker. Nie pomyślałem...

— Zresztą to potrwa dłużej — kapitan mówił tak, jakby właśnie odniósł zwycięstwo. — Wydaje się, że Peck był przesadnie optymistyczny w swoich ocenach. Żeby pana stąd usunąć, potrzebujemy prawie tyle czasu, ile oni, żeby tu dotrzeć.

Gant milczał.

— Jest pan tam jeszcze? — odezwał się wreszcie Seerbacker.

— Tak. Jest pan pewien, że płyną w naszą stronę?

— Może tak, może nie. Do tej pory nie płynęli.

— Nie?

— Pruli na zachód, w poprzek toru naszego pola. Ale, Gant, jeśli my ich widzimy, oni też nas widzą. To pewne jak to, że w piekle jest gorąco.

Pojedynek

Władiamirow stanął przed sekretarzem generalnym. Poczucie obowiązku nie wystarczało, by stłumić ogarniające go napięcie. Nie chciał niszczyć swojej kariery. Marzył o stanowisku i randze Kutuzowa, gdy stary marszałek odejdzie już na zieloną trawkę. Mimo to stanął wobec dylematu. Nawet jeśli zapomni o swych wątpliwościach, bez dyskusji wypełniając polecenia, to i tak on, Władiamirow, zostanie obciążony winą za udaną ucieczkę Ganta. Ten właśnie argument przekonał go, by żądać podjęcia odpowiednich działań w związku z kontaktem sonarowym, o którym kilka minut temu zameldowała „Ryga”.

— Towarzyszu sekretarzu generalny — zaczął, najwyższym wysiłkiem woli utrzymując spokojny, równy ton głosu. — Moim zdaniem ten kontakt, choć zakłócany obecnością pól lodowych, wart jest bliższego zbadania.

Jego słowa zapadły w martwą ciszę. Władiamirow wiedział, że wszyscy, od Andropowa po najmłodszego radiooperatora, dostrzegli polaryzację stanowisk wokół sekretarza generalnego i dowódcy Wilczego Stada. Wszyscy byli widzami w tej rozgrywce. Generałowi wydało się, że podziwiają wykonany wreszcie ruch — dla niego już ostatni.

— Waszym zdaniem... — powtórzył cicho dostojnik, jakby miał pretensje, że Władiamirow ośmielił się odezwać. Generał przytaknął.

— Ja... — zaczął — jestem pewien, że wiem, jak zaplanowali tankowanie Miga na morzu — specjalnie użył niewiele mówiącego sformułowania. Musiał podbierać dostojnika jak oporną, niebezpieczną rybę, jak rekina. Nie miał jednak wyboru. Jeśli jego teoria okaże się słuszna, a mimo to poniesie porażkę, wypowiedzenie na głos swych myśli okaże się zawodowym samobójstwem. Sam przecież bardzo powoli przekonywał się do szalonej idei, starał się o niej zapomnieć, nie myśleć o perspektywach własnej kariery, którą narażała na szwank. Teraz jednak był jak opętany i nie potrafił się powstrzymać od rozmowy z sekretarzem generalnym. Przekleństwo, myślał i niemal zgrzytał zębami, wyobrażając sobie skutki nieuniknionego konfliktu z radzieckim przywódcą. Ale to była jedyna szansa, by nie dopuścić do przejścia Miga przez Amerykanów. Nienawiść do Ganta paliła go w gardle.

— Tak. Wykorzystali... wykorzystują jako pas startowy duże pole lodowe, a paliwo zostało dostarczone przez okręt podwodny. To jest ten kontakt, o którym meldowała „Ryga”.

Wyrażony w krótkich, pospiesznych słowach cały pomysł wydawał się śmieszny i nieprzekonywujący. Mimo to Włodzirow oczyma wyobraźni dokładnie widział całą scenę: postacie w futrach, węże paliwowe, samolot na lodzie... Amerykanie mogli wybierać spośród tysięcy pól!

— Samolot wylądował?!

Włodzirow wiedział, że przegrał. Ton głosu, suchy i zimny, świadczył wyraźnie o tym, że nie przekonał tego człowieka. Rozejrzał się. Ludzie odwracali twarze, patrzyli w bok lub w dół, unikali jego wzroku. Nawet Kutuzow odwrócił się jak przypadkowy świadek drogowego wypadku.

— Tak — wiedział, że jego głos brzmi piskliwie. Niech to diabli, nie potrafi nawet zapanować nad własnym głosem! W jaki sposób ten mężczyzna po drugiej stronie stołu mógł tak bardzo go przerazić?

Barwne światełka na mapie przesuwają się w kierunku Przylądka Północnego. Wszyscy dali się nabrać na przynęty Aubreya — bo Włodzirow wiedział, że samolot i łódź podwodna to tylko przynęty przeznaczone wyłącznie do tego, by ich oszukać. Wszystkie radzieckie jednostki powietrzne i morskie pędziły teraz w ich kierunku, na zachód.

Siedzący naprzeciw człowiek dysponował siłą, która mogła zrujnować Włodzirowa, odsunąć go, zmiażdżyć lub uwięzić. Mógł powiedzieć, że Włodzirow jest szaleńcem. A Włodzirow nie chciał skończyć w szpitalu psychiatrycznym jak generał Grigorienko.

Spróbował jeszcze raz.

— Kontakt sonarowy znajduje się na kursie zarejestrowanym przez „Rygę” i jej eskortę tuż przed utratą kontaktu.

Umilkł. Obserwował, jakby sam był jedynie widzem, jak potężny, krępy mężczyzna w szarym garniturze wpatruje się w mapę. „Ryga” z eskortą stawiała się szybko coraz bardziej samotna w miarę, jak radzieckie jednostki przemieszczały się dalej na zachód. Potem sekretarz generalny podniósł głowę. Zdumiony generał dostrzegł w jego oczach — w tej jednej chwili, zanim skryły się pod powiekami — wyraźny, paraliżujący strach. Nie wiedział, co to oznacza, dopóki sekretarz generalny nie odezwał się:

— Nie mamy czasu na wzywanie śmigłowców, by przeszukały teren. Zamiast tego, drogi generale, ponieważ jesteście, jak się zdaje, obsesyjnie zainteresowani polami lodowymi i podwodnymi tankowcami... — przerwał, a siedzący obok Andropow uśmiechnął się słabo. Zareagował tak, jak powinien, choć jego poważne spojrzenie zza okularów w złotych oprawkach dowodziło, że pojmuje motywy przywódcy. — Żeby was uspokoić, mój drogi Władimirow, skierujemy jeden z okrętów eskorty, by zbadał ten wysoce wątpliwy kontakt sonarowy pochwycony przez krążownik.

Uśmiechnął się łaskawie. Błysk zrozumienia, jaki dostrzegł w spojrzeniu przewodniczącego, pomagał odzyskać spokój.

— Ale jeśli to... — zaczął Władimirow. Sekretarz generalny uniósł dłoń.

— Tylko jeden. Ile czasu to zajmie?

— Najwyżej czterdzieści minut.

— Zatem... jeśli będzie o czym meldować, jeśli kontakt okaże się interesujący, zawrócimy Trecowa znad Przylądka Północnego. Z maksymalną szybkością.

Rozmowa była skończona. Władimirow poczuł, jak spływa z niego napięcie, czuł się fizycznie słaby i wyczerpany. Coś jednak osiągnął. Mimo to nie potrafił się cieszyć ze zwycięstwa. Odczuwał jedynie pogardę dla samego siebie.

Pospieszenie, jakby chciał ukryć to uczucie z pewnością widoczne na twarzy, odwrócił się w stronę szyfranta, by przekazać dowódcy „Rygi” nowe rozkazy.

* * *

Gant do bólu wpatrywał się w zielony ekran sonaru i omiatający go bezustannie promień kierunkowy. Równy ruch tego promienia, pozostający za nim ślad bieli i trzy wyraźne, jasne punkty zaczynały go irytować. Zrozumiał, co się działo, gdy przez kilka pełnych napięcia minut obserwował w centrali marynarza ze słuchawkami na uszach i sam słuchał wzmocnionych impulsów echa. Jedno ze światełek, okręt podwodny eskorty, odłączyło się od grupy i ruszyło kursem prowadzącym wprost do „Pequoda”. Pozostałe dwa punkty sunęły dalej na zachód.

Jak dotąd przeciwnik pojawił się tylko na ekranie sonaru dalekiego zasięgu, badającego obszar o promieniu trzydziestu mil wokół okrętu. Trzy jasne plamki były widoczne w górnej części ekranu, a sonar działał kierunkowo w chwili, gdy nastąpił

kontakt. Teraz płynąca ku nim jednostka znajdowała się nieco ponad dwadzieścia mil od „Pequoda”.

W kabinie trwała cisza, zakłócana jedynie szybkimi oddechami pracujących ludzi i powtarzającym się co chwila piskiem echa kontaktu.

— Kiedy do nas dotrze? — spytał wreszcie stojący za Gantem Seerbacker.

— Trudno powiedzieć, sir — odparł operator, nie odrywając wzroku od ekranu.

— Wie pan, jak działa ten sonar. Czynniki zniekształceń sięga czasem dwudziestu procent.

— Niech to diabli!

— Jak szybko mogą płynąć?

— Skąd mam wiedzieć, do cholery? — wybuchnął Seerbacker. Twarz mu pobladła ze złości i lęku. — Nie wiem nawet, co to za typ. Dopóki nie złapie ich sonar bliskiego zasięgu, nie możemy dostać trójwymiarowego obrazu i komputer nie potrafi dokonać identyfikacji.

— Echo w Czerwonym Trzy-Dziewięć i zbliża się — zawołał operator, ignorując krzyki Seerbackera.

— Co pan zrobi? — spytał Gant.

Seerbacker popatrzył na niego ponuro.

— Mam dla pana zapieczętowaną kopertę. Zapewne trasę lotu. To po pierwsze. Po drugie, muszę wyciągnąć z szafy nasze przebranie i trochę je odkurzyć.

Gant spojrzał zdziwiony.

— Echo nadal w Czerwonym Trzy-Dziewięć i zbliża się. Seerbacker popatrzył na operatora, jakby chciał, żeby zaraz padł trupem, a przynajmniej oniemiał.

— Dajcie mikrofon — zażądał.

Fleischer wsunął mu go w rękę i wcisnął guzik wywołania ogólnego. Sygnał poinformował załogę, że będzie mówił dowódca. Seerbacker kiwnął głową.

— Tu kapitan — powiedział do mikrofonu. — Za chwilę rozpoczynamy akcję „Nieszkodliwy”. Mamy jakieś trzydzieści minut, może trochę mniej, ale raczej nie więcej. Wytrząsnąć ołów z tyłków i ruszać się — tak szybko, jak jeszcze nigdy w życiu.

Ta przemowa wyraźnie go uspokoiła. Już bez gniewu obejrzał się na Ganta i z uśmiechem wskazał prowadzące na korytarz wodoszczelne drzwi. Gant ruszył za nim.

— Co to jest „Nieszkodliwy”? — zapytał. Ich kroki stukały metalicznie na płytach pokładu.

Seerbacker milczał. Gdy znaleźli się w kajucie i zamknął drzwi, podszedł do sejfu, pokręcił tarczą i pociągnął za uchwyt. Po chwili podał Gantowi kopertę w celofanowym opakowaniu. Pilot skinął głową, gdy Seerbacker dwoma palcami przytrzymał ukrytą pod celofanem przezroczystą kapsułkę z kwasem — „układ autodestrukcji” dla zapieczętowanych rozkazów.

W kopercie była pojedyncza kartka papieru. Gant rozłożył ją i przeczytał dokładnie.

— Co to jest „Nieszkodliwy”? — powtórzył. Seerbacker uśmiechnął się.

— Taki nasz żarcik. Ale może nam uratować życie. Za chwilę pójdziemy na górę. Sam pan zobaczy.

Gant pokiwał głową, tak jakby odpowiedź na to pytanie nie interesowała go specjalnie. Instrukcje były proste. Na kartce znajdowała się lista współrzędnych i czasów. Tor lotu prowadził od Przylądka Północnego, nad jeziorami Finlandii, w stronę Sztokholmu. Tam gdzie Zatoka Botnicka łączy się z Bałtykiem, polecono mu poczekać na wieczorny samolot British Airways ze Sztokholmu do Londynu. Domyślał się powodów. Jeśli polecą za nim, trochę poniżej, to nie tylko załoga go nie zobaczy, ale na każdym ekranie podczerwieni pojawi się tylko pojedyncze źródło ciepła wielkiego liniowca, który przeleci nad Morzem Północnym zgodnie z planem i wyznaczonym korytarzem. Nie da się wykryć Firefoxa inaczej niż poprzez obserwacje wzrokowe, a to raczej mało prawdopodobne. Żaden statek szpiegowski, nawet uprzedzony o jego przelocie, nie potrafi go znaleźć. Kiedy pojawi się w określonym punkcie nad brzegiem Anglii, ma wywołać bazę RAF w Scampton, na ogólnie dostępnej częstotliwości, podając się za samolot pasażerski, przechodzący kontrolę przed uzyskaniem świadectwa zdadności do lotów. Nawet jeśli Rosjanie wcześniej go namierzają, to i tak zgubią nad wschodnim brzegiem Szwecji, gdy termiczny ślad rozplynie się w obrazie rejsowego samolotu British Airways.

Raz jeszcze przeczytał i zapamiętał dokładnie współrzędne. Potem włożył kartkę do koperty, a tę do celofanowego woreczka. Seerbacker ustawił już na stole dużą metalową popielniczkę. Gant umieścił w niej pakiet i przycisnął mocno. Niemal natychmiast uniosły się gryzące opary kwasu i koperta zaczęła się rozpuszczać. Po chwili zostało z niej tylko kilka czarnych, tłustych plam.

— Dobrze — pokiwał głową. — Spieszmy się, kapitanie. Chciałbym zobaczyć, co słychać z moim pasem startowym.

Zdumionemu Seerbackerowi zdawało się, że w oczach Ganta zapaliły się iskierki.

— I chciałbym zobaczyć „Nieszkodliwego” — dodał.

* * *

Naturalnie Aubrey nie miał pewności, a przynajmniej nie w tej chwili, jeszcze nie teraz. Mimo to nie potrafił ugasić niewielkiego płomyka nadziei, który grzał mu żołądek jak dobra brandy — przecucia zwycięstwa. Szyfrowane rozmowy Rosjan, sukces misji maskującej w rejonie Przylądka Północnego i sygnał od Seerbackera z „Pequoda”, że Firefox wylądował pomyślnie i pobrał paliwo — wszystko to pobudzało z trudem tłumione poczucie satysfakcji.

Shelley także z trudem powstrzymywał się od uśmiechu. Porażeni niezdecydowaniem Amerykanie, których nastrój opadał jak wykres wątpliwości Buckholza, teraz znowu znaleźli się na krzywej wznoszącej. Curtin stał na drabince i nanosił na mapę pozycje rosyjskich samolotów i okrętów przesuwających się coraz dalej i dalej w rejon przynęty. Aubrey spojrzał na mapę. Interesowała go tylko pozycja pola lodowego i kolorowej szpilki przedstawiającej Firefoxa.

Gdyby Seerbacker zaryzykował następną transmisję, by powiadomić o kontakcie sonarowym ze zbliżającym się rosyjskim okrętem podwodnym, albo gdyby sam Aubrey przewidział intuicję Władimirowa i częściowy tylko sukces operacji w Biljarsku, jego nastrój byłby nie tak radosny, a zachwyt nad sobą nieco mniejszy. Wciąż jednak zaślepiała go błyskotliwość własnego planu, a Seerbacker nie zawiadomił o obecności podejrzliwej jednostki. Sukces operacji stał się właściwie sprawą oczywistą — Gant ma tylko wypełniać instrukcje, a wszystko dobrze się skończy.

Aubrey utrzymywał, że jest człowiekiem, który nigdy, ale to nigdy, nie chwali dnia przed zachodem słońca. Teraz to robił. Wielkość własnych dokonań, od samego pomysłu, poprzez etap planowania aż do realizacji, oszałamiała go, a jego próżność rozkwitała niby kwiat w słońcu.

— Hm, panowie — odchrząknął. — Zdaję sobie sprawę, że może jest to nieco przedwcześnie... — uśmiechnął się skromnie wiedząc, że wszyscy podzielają jego dumę. — Mimo wszystko... czy nie sądzicie, że możemy sobie pozwolić na odrobinę... pewną ilość przygotowanego na tę okazję alkoholu?

Buckholz wyszczerzył zęby.

— Bardzo ogłędnie to wyraziłeś, Aubrey... ale owszem, uważam, że można by otworzyć butelkę.

— To dobrze.

Aubrey podszedł do małego barku, stojącego przez cały czas w kącie pokoju. Rozwiał się gdzieś stęchły zapach dymu z papierosów i dawno nie zmienianych ubrań. Z twarzy znikł wyraz napięcia. Teraz wyrażały jedynie zmęczenie, dające satysfakcję z dobrze wykonanej pracy, z ukończenia dzieła.

Otworzył butelkę słodowej whisky i nalał pięć solidnych porcji bladozłotej cieczy. Potem podał drinki na małej srebrnej tacy, którą na wszelki wypadek przyniósł z własnego mieszkania.

Podniósł szklanekę, uśmiechnął się łaskawie i powiedział:

— Panowie... za Firefoxa. I, naturalnie, za Ganta.

— Za Ganta i Firefoxa — zawołali niezbyt zgranym chórem. Aubrey przyglądał się z pewnym niesmakiem, jak Buckholz jednym haustem wypija cenny płyn. Doprawdy, pomyślał, ten facet nie ma za grosz dobrego smaku. Ale to zupełnie.

Sącząc wolno własnego drinka nabierał coraz większej pewności, że zwycięstwo jest tylko kwestią czasu. Rzucił okiem w stronę telefonu. Najdalej za kilka minut trzeba będzie wezwać samochód, żeby dostarczył ich do bazy RAF w Scampton. Nie chcieli przecież, by Gant zjawił się tam jako pierwszy.

Uśmiechnął się na tę myśl.

* * *

Peck stał przed Gantem i Seerbackerem. Przewyższał wzrostem ich obu. Krople potu zamarzły na futrze jego kaptura, a szron pokrywał wąsy grubą warstwą. Twarz miał bladą z wysiłku.

— I co? — spytał Seerbacker, nie zdejmując ręki z drabinki umocowanej do kiosku „Pequoda”.

— Zrobione, sir — odparł mechanik. Spojrzał na Ganta i dodał twardym tonem: — Oczyszcziliśmy ten pański cholerny pas, Gant.

— Peck! — krzyknął ostrzegawczo Seerbacker. Przez chwilę Gant miał wrażenie, że barczysty główny mechanik ma zamiar go uderzyć. Zgarbił się lekko.

— Przepraszam, Peck — powiedział.

Marynarz zmieszał się. Spojrzał Gantowi w twarz, jakby podejrzewał, że pilot z niego żartuje. Po chwili skinął głową.

— To ja przepraszam... majorze.

Gant otworzył szeroko oczy. Po raz pierwszy tutaj ktoś użył jego dawnego stopnia. Peck chciał w ten sposób wyrazić swój szacunek.

— Po prostu... to ta sytuacja, sir. Pracowaliśmy przy tym piekielnym wypiętrzeniu, moi ludzie i ja, i... cały czas myśleliśmy, że powinniśmy raczej wynosić się stąd, zamiast harować jak woły...

Urwał niepewnie i ponuro spuścił wzrok.

— Nie ma sprawy — zapewnił Gant. — I... dziękuję. A teraz, proszę wyjaśnić, do jakiego etapu pan doszedł. Peck natychmiast stał się rzeczowy i formalny.

— Wyrąbaliśmy w lodzie trzydziestostopową wyrwę. Teraz przeciągamy węże z turbiny na bezpośrednim zasilaniu. Potrzeba sporo rur, majorze. To zajmie trochę czasu.

Gant przytaknął.

— Biercie się do roboty. Im szybciej skończycie, tym szybciej możecie odpłynąć. Kiedy wyrównacie tę wyrwę — niech będzie jak najgładsza, bo nie chciałbym wjechać na jakiś garb przy stu pięćdziesięciu milach — przedmuchajcie parą łód na całej długości pasa. Zaczniście możliwie blisko północnej krawędzi pola i idźcie w stronę Firefoxa. O ile wystarczy czasu.

Peck spojrzał zdziwiony.

— Po co, majorze?

— Żeby oczyścić powierzchnię ze śniegu. Nie chcę, żeby hamował rozbieg.

— Do roboty, Peck — wtrącił Seerbacker. — Muszę jeszcze sprawdzić procedurę maskującą, a zaraz potem przyjdę popatrzeć, jak się staracie.

Mechanik uśmiechnął się szeroko i ruszył wzdłuż kadłuba „Pequoda” w stronę dziobu, do luku nad przedziałem turbin, gdzie dwóch ludzi opuszczało do wnętrza okrętu zwoje węża.

— Chce pan zobaczyć „Nieszkodliwego”? — spytał Seerbacker. — Chodźmy.

„Nieszkodliwy” był operacją szybką, prostą i genialną. Gant musiał to przyznać. Gorączkowa biegania tych członków załogi, którzy nie byli zajęci likwidacją lodowej bariery, z początku sprawiała wrażenie bezcelowej i nie podlegającej żadnej generalnej strategii. Dopiero po chwili zrozumiał, co się dzieje.

Okręt podwodny zmieniał się w bazę arktycznej stacji meteorologicznej. Seerbacker wydał przez radiotelefon rozkaz, by przepłukano morską wodą wyrzutnie torped i dziobowe przedziały załogi, usuwając w ten sposób ślady paliwa. Potem pewnie spreparują ślady uszkodzenia kadłuba, by wyjaśnić śladową obecność resztek wody w obu przedziałach. Na lodzie marynarze szybko zestawili z gotowych elementów niewielki domek i ustawili w środku proste, drewniane meble. Gant zajrzał przez okno. Mapy i wykresy pokryły świeżo wzniesione ściany, kolumny cyfr, wywierając należyte wrażenie, zapełniały otwarte notatniki i rozrzucone karty. Wzniesiono dwa maszty, jeden dwudziesto-, drugi prawie trzydziestostopowy. Ten wyższy był anteną radiową, na niższym wirował wiatromierz, a pod nim chorągiewka wskazywała kierunek wiatru.

Pod niższym masztem stanęła biała skrzynka z instrumentami meteorologicznymi, a maskowanie uzupełniły liczne otwory wywiercone w lodzie — czasem na wylot aż do wody — w które wsunięto termometry.

Gdy Gant obserwował, jak ludzie Pecka rozwijają odcinki węża i łączą je razem, w niebo poszybował jaskrawopomarańczowy balon sonda. Nad powierzchnią lodu unosiły się ciągle strzępy mgły, ale podstawa chmur zaczynała się dopiero na trzynastu tysiącach stóp. Drugi balon wznosił się sto stóp nad „Pequodem”, umocowany nylonową linką. Oba miały tłumaczyć wcześniejsze wypuszczenie balonu sygnałowego, będącego znakiem do lądowania.

Cała operacja zamiany kry w amerykańską stację meteorologiczną, badającą ruchy i właściwości dużego, dryfującego na południe pola lodowego, zajęła niewiele więcej niż piętnaście minut. Jediną słabością tego planu był fakt, że „Pequod” działał na północnym Morzu Barentsa zamiast na wschód od Grenlandii.

— Nic nam nie udowodnią — stwierdził Seerbacker, podchodząc do Ganta stojącego przy drabinie prowadzącej na mostek. — Pod warunkiem, że już dawno pana nie będzie, kiedy rosyjski okręt się tu wpakuje.

Gant spojrział w zamyśleniu na powierzchnię lodu.

— Co z gazami wylotowymi? — zapytał. — Będą prowadzić obserwacje tej kry na podczerwieni. Na pewno coś podejrzewają.

— Do diabła, Gant! Nic mnie nie obchodzi pański ślad cieplny. Zabierz pan tego ptaszka, a ja będę się martwił o resztę.

Gant uśmiechnął się z tej udawanej złości. Seerbacker był przerażony; wiedział, że stąpa po linie wiszącej nad przepaścią.

— Jasne — oświadczył. — Wystartuję, jak tylko będę mógł.

— To dobrze.

Seerbacker wyjął z kieszeni radiotelefon, przysunął go do ust i wcisnął klawisz.

— Tu kapitan. Jesteś tam, Fleischer?

— Tak, sir — przez radio głos Fleischera brzmiał, jakby dochodził z innego świata i był dla Ganta symbolem całej tej nierealnej sytuacji: maleńkie pole lodowe, posępne wody Morza Barentsa i zbliżający się rosyjski okręt podwodny.

— Jakie wieści o naszym gościu?

— Mamy prognozę komputerową, sir — odparł Pierwszy po chwili milczenia. — Z możliwym błędem sonaru do siedmiu procent...

— Dobra. Powiedz już to najgorsze.

— Przewidywany czas kontaktu z okrętem wynosi siedemnaście minut.

— Jezu!

— Kurs i prędkość pozostają bez zmian, sir. Płynie prosto na nas. Seerbacker skrzywił się, ale zaraz z uśmiechem spojrzał na Ganta.

— Słyszał pan? — Gant przytaknął. — Dobra, Fleischer... zostawiam ten aparat na odbiorze. Masz meldować co minutę. Jasne?

— Tak, sir.

— Kiedy złapiesz ich na sonarze bliskiego zasięgu, podawaj dokładną prędkość i odległość co trzydzieści sekund.

— Tak jest.

Seerbacker zaczepił klamrę radiotelefonu o kieszeń na piersi, skinął na Ganta i ruszył w kierunku wskazywanym przez dwa węże ginące we mgle. Gant szedł za nim. Wypiętrzenie było jeszcze niewidoczne, syk pary ledwie słyszalny. Znowu ogarnęło go uczucie nierzeczywistości sytuacji. Przygarbiona postać Seerbackera zdawała się maleńka, nierealna, niezdolna podźwignąć ciężaru jego ucieczki. Twardy lód pod nogami i widoczna we mgle sylwetka Firefoxa nie dodawały odwagi. Rosyjski okręt podwodny zmierzał w stronę pola i „Pequoda”. Pozostało jeszcze jakieś szesnaście minut.

Każdą dyszę trzymało dwóch ludzi, kierując strugę przegrzanej pary na poszarpaną wyrwę w lodowym grzbiecie. Powinna mieć osiem metrów. Gant mierzył ją wzrokiem — zdawała się wąska, o wiele za wąska. Para kłębiła się nad lodem, wirowała na nierównych, poszarpanych krawędziach szczeliny, wyrównywała je. Po kilku minutach wyrwa miała już gładkie brzegi i gładkie, lśniące podłoże.

Peck obejrzał się i dostrzegł Ganta i kapitana, ale nie zwracał na nich uwagi. Gdy tylko uznał łód za wystarczająco -gładki, krzyknął głośno:

— Dobra, chłopaki! Teraz przedmuchać pas!

— Po co, szefie?

— Bo ja tak mówię! Ubawisz się przy tym, Clemens!

Oba węże popęły przez mgłę, jakby niechętnie podążając za ludźmi. Wolno, o wiele za wolno przesuwały się obok stóp Ganta. Spojrzał na zegarek w tej samej chwili, gdy z radiotelefonu odezwał się głos Fleischera.

— Rosjanie na sonarze bliskiego zasięgu, sir.

Seerbacker pochylił głowę jak ptak poprawiający zwichrzone pióra.

— Powiedz mi to najgorsze.

— Identyfikacja komputerowa: okręt rosyjski, przeznaczony do działań przeciwpodwodnych, odległość cztery i sześć dziesiątych mili, czas kontaktu dziewięć minut...

— Ile? — wrzasnął Seerbacker.

— Przykro mi, sir. Błąd wskazań sonaru musiał być większy, niż przewidywaliliśmy.

— Teraz mi to mówisz!

Kapitan umilkł na moment.

— Wyłącz się — polecił. — Peck!

— Słucham, sir.

— Słyszałeś?

— Tak, sir. Nie damy rady oczyścić pasa na całej długości pola. Seerbacker spojrzał na Ganta.

— Co pan na to?

— Ja... sto jardów po tamtej stronie pola — Gant wskazał poza szczelinę, na północ. — Tyle wystarczy. I niech oczyszczą pas po tej stronie — machnął ręką w kierunku Firefoxa.

Seerbacker powtórzył jego instrukcje. Peck powątpiewał, czy zdążą na czas, ale obiecał spróbować. Gant wyteżył wzrok. Dostrzegł zgarbione, krępe sylwetki mężczyzn ciągnących za sobą odporne węże. Potem usłyszał huk wylatującej z zaworów pary, wygładzającej pas startowy, czyszczącej go z sypkiego, zmrożonego śniegu. Jeśli miał osiągnąć prędkość startową, musieli to zrobić. A on musiał czekać, aż skończą.

Seerbacker odezwał się znowu.

— Podaj stan gotowości „Nieszkodliwego”... i to będzie ostatni raz, kiedy ktokolwiek mówi o czymś innym niż pogoda. Zrozumiano?

Pochylony do przodu słuchał uważnie. Kiedy głos w radiotelefonie zakończył raport, kiwnął głową z wyraźną satysfakcją. Potem spojrzał na Ganta.

— Jesteśmy kryci, jeśli tylko uda się panu wystartować.

— Kontakt: siedem minut. — W głosie Fleischera brzmiało coś, co niebezpiecznie przypominało panikę.

— Kiedy zacznie rozmawiać, graj na czas zgodnie ze scenariuszem — Seerbacker starał się uspokoić zastępcę. — Dobrze, Dick?

— Tak jest, sir.

Gant obserwował płynące nad lodem kłęby pary. Wiry białego pyłu unosiły się w powietrze. Wężę zbliżały się, ludzie ciągnęli je z trudem, wspomagani przez innych wezwanych tu przez Pecka. Wokół szalała sztuczna zawierucha. Wreszcie samego Ganta otoczyły chmury białego dymu.

— Kontakt sześć minut... nadal brak łączności radiowej, sir — dobiegł przez radiotelefon głos Fleischera. Gant dostrzegł chudą postać kapitana na tle chmur śniegu, gdy raz jeszcze wężę przesunęły się obok sunąc w stronę samolotu. Rękawicą otarł z twarzy białe drobiny.

Seerbacker milczał. Stał plecami do Ganta i przyglądał się, jak ludzie Pecka czyszczą pas. Jego zdaniem poruszali się za wolno. Wreszcie, nie mogąc dłużej wytrzymać napięcia i ciszy, odwrócił się do Ganta.

— Zdążą?

Gant przytaknął.

— Minuta rezerwy.

— Wystartuje pan w tym czasie?

— Będę tak daleko, że w życiu by pan nie uwierzył — uśmiechnął się ponuro Gant.

— Lepiej, żeby się panu udało.

* * *

— Towarzyszu sekretarzu, kontakt potwierdzony. — Władimirow uderzył pięścią w stół i światła mapy zamigotały i rozmyły się na chwilę.

Siedzący przed nim mężczyzna zdawał się nieporuszony, może nawet z pogardą traktujący ponaglenia generała. Władirow pojmował, że gra o najwyższą stawkę, lecz chwila nie była odpowiednia, by myśleć o własnej karierze i politycznych niuansach. Wiedział, że to amerykański okręt podwodny i wiedział, po co przy płynął. Panująca cisza doprowadzała go do pasji. Był blady, a krople potu wystąpiły mu na czoło. Wyczuwał, że ze wszystkich obecnych jedynie Ku tuzów go popiera. On jednak także milczał.

— Uspokójcie się, Władirow — burknął sekretarz.

— Uspokoić... uspokoić się? — krzyknął piskliwie Władirow. Wiedział, że traci wszystko. Nie mógł jednak stać spokojnie, choć od dawna ćwiczył tę umiejętność, starając się stłumić wahanie pomiędzy egoizmem a poczuciem obowiązku. Nie mógł zjeść obiadu, bo strach ścisnął mu żołądek. Może właśnie ten strach i świadomość własnego tchórzostwa pchnęła go do działania.

— Tak! Uspokójcie się!

— Jak mogę być spokojny, kiedy wasza głupota... tak, „głupota”, oddaje samolot Amerykanom? Czytaliście raporty, wiecie, jakim człowiekiem jest ten Gant. Potrafi wylądować na polu lodowym, a potem wystartować z niego. Wysłuchajcie mnie, zanim będzie za późno!

Znieruchomiał jak zając w świetle reflektorów, Władirow obserwował emocje zmieniające się na twarzy sekretarza generalnego. Początkowa wściekłość została błyskawicznie opanowana, zastąpiona przez zwykłą pogardliwą obojętność. Dostrzegł także sadystyczną rozkosz, a w końcu to, czego szukał: zwątpienie.

Władirow atakował dalej. Wiedział, że chociaż jego kariera legła w gruzach, sekretarz generalny nie odważy się nadal go ignorować. Radziecki przywódca nie potrafił wytrzymać spojrzenia generała. Odwrócił się do Andropowa, lecz wzrok tamtego był nieodgadniony.

— Musicie działać, towarzyszu sekretarzu generalny. Już za późno na politykę.

Zdawało się, że dostojnik skoczy na dowódcę Wilczego Stada. Po chwili jednak przywołał na twarz uśmiech.

— No cóż, Władirow — powiedział spokojnie. — Dobrze. Jeśli znaczy to dla was tak wiele... — głos mu stwardniał. — Jeśli jesteście gotowi... popsuć wszystko waszym zachowaniem... mogę tylko ustąpić — łaskawie machnął ręką. — Czego żądacie?

— Natychmiastowego odwołania drugiego Miga z lotu do Przylądka Północnego.

Władirow czuł, że głos więźnie mu w krtani. Wyczerpał całą swoją energię. Teraz pozostał mu jedynie lęk, wspomnienie utraconych zaszczytów, odrzuconej władzy. Odnosił gorzkie zwycięstwo.

Sekretarz generalny skinął głową. Resztką potężnych sił, niepotrzebnie skierowanych do przylądka, nie miała już znaczenia. Nie teraz. Jedynie drugi Mig-31 mógł jeszcze zmienić wynik rozgrywki. Jakby pragnąc rekompensaty za poświęcenie własnej kariery, Władirow chciał, by Gant zginął. Żeby Trecow go zestrzelił.

Przechodząc do konsoli łączności spojrzał przelotnie na Kutuzowa. Przez moment miał wrażenie, że w przekrwionych oczach marszałka dostrzega szacunek, może nawet podziw. Potem jednak wydało mu się, że starzec pozostaje obojętny, nie ma pojęcia, co się właściwie dzieje. Nie potrafił ocenić, co było prawdą. Poczuł się bardzo samotny.

Wydał rozkazy. Może ostatnie jako dowódca Wilczego Stada, pomyślał ponuro. Mówił spokojnym, równym głosem, świadom licznych oczu wpatrujących się w jego plecy. W centrali panowała pełna napięcia cisza.

Trecow potwierdził odbiór i drugi Mig wszedł na kurs wiodący do lodowego pola. Leciał z maksymalną szybkością ponad sześciu i pół tysiąca kilometrów na godzinę. Władirow liczył już tylko na jedno: że Trecow zabije Ganta.

* * *

— Odezwali się, sir. Żądają identyfikacji — zatrzeszczał głos Fleischera w radiotelefonie przypiętym do górnej kieszeni kurtki Seerbackera.

— Pewnie, że żądają. Znasz procedurę, wszystko jest wypisane. Działaj.

— Rosjanin chce rozmawiać z panem, sir.

— Powiedz, że zaraz będę. Jestem zajęty przy jakimś cholernym eksperymencie na drugim końcu pola! Już wracam.

— Sir, czas kontaktu trzy minuty czternaście sekund.

Rozmowa toczyła się jakby poza świadomością Ganta, dobiegała z coraz większej odległości. Od Seerbackera, który stał obok i razem z nim obserwował powolne zbliżanie się ludzi z węzami, dzieliły go w rzeczywistości całe mile. Gant

wiedział, niemal co do sekundy, ile czasu im pozostało, a ile go potrzebują. Mieli dokładnie jedną minutę rezerwy.

Seerbacker wyraźnie się denerwował. Głos Fleischera podział na niego jak szarpnięcie nitką na marionetkę. Nie potrafił uwierzyć — zwłaszcza teraz, kiedy rosyjski okręt zbliżał się do „Pequoda” — że prymitywna chata, fałszywe wykresy i maszty mogą go ocalić. Gant za to był jak pasażer, którego pociąg miał właśnie ruszyć i teraz zbierał spokojnie bagaż własnych myśli. Nie był już tym, za kogo uważał go Seerbacker: człowiekiem bez przeszłości, w drodze do niezbyt świetlanej przyszłości. Po prostu przejeżdżał tędy i postacie w krajobrazie mgły i lodu nie miały z nim prawie nic wspólnego.

— Do diabła, nie zdążą! — warknął Seerbacker, nie mogąc wytrzymać napięcia.

— Zdążą — odparł chłodno Gant cichym głosem. Marynarz spojrzał na niego zdumiony.

— Ależ pan jesteś spokojny...

— Ktoś powiedział mi kiedyś, że właściwie nie żyję — uśmiechnął się Gant. — W Wietnamie nazywali mnie latającym trupem.

— Co pan na to?

— Nic. — Gant wzruszył ramionami. — Większość ludzi, którzy używali tego przezwiska, nie żyła, zanim nas wycofali... rakiety, artyleria przeciwlotnicza, myśliwce...

— Tak — westchnął Seerbacker. — Cholerna wojna. Podszedł do nich Peck, spocony, zmęczony i wściekły. Do oczyszczenia pozostało jeszcze sto jardów pasa.

— Nie damy rady — oznajmił pochylając się nad Gantem. — Jeśli nie zabierze pan stąd ptaszka, zanim przypłyną czerwoni, wszyscy trafimy na Łubiankę.

— Ma pan minutę rezerwy — odparł Gant. Peck patrzył na niego na przemian otwierając i zamykając usta. W jego oczach odbijało się zdumienie, z wolna zastępowane przekonaniem.

— Jeśli pan tak twierdzi — mruknął, odwrócił się i pobiegł do swoich ludzi, przekleństwami ponaglać ich do pracy.

— Zrobił pan na nim spore wrażenie — uśmiechnął się Seerbacker. — Mam nadzieję, że nie będzie pan musiał powtarzać tego na Rosjanach.

— Kontakt za dwie minuty trzydzieści sekund — odezwał się Fleischer. — On stale o pana pyta, sir. Trzeba go przekonać. Nie sędzę, żebym się specjalnie popisał.

— Nie przejmuj się, Dick. Odwlekaj sprawę. Będzie się wynurzał? Czy zadawał jakieś nieprzyjemne pytania?

— Nie, sir. Jest chyba normalnie podejrzliwy. Raczej nie szuka niczego specjalnego.

Drobny śnieg dmuchnął Gantowi w twarz. Spojrzał zdziwiony na pochmurne niebo, ukryte za ostatnimi strzępami mgły, lecz zaraz zrozumiał, że to przednia straż wywołanej przez Pecka zamieci. Ludzie z węzami trzymali się rozkładu. Uśmiechnął się do siebie i ściągnął kurtkę. Grupa robocza znalazła się o czterdzieści jardów od Firefoxa. Czwórka odladzających dotarła do Ganta. Stanęli na chwilę i spojrzeli pytająco. Skinął im głową, co przyjęli z wyraźną ulgą. Natychmiast potoczyli wielki spryskiwacz w stronę „Pequoda”, by wciągnąć go na pokład i ukryć, zanim zjawią się Rosjanie.

Gant czekał niecierpliwie jak gość spieszący się do wyjścia, aż Seerbacker zakończy rozmowę ze swoim Pierwszym.

Komandor wydawał się zdziwiony widokiem Ganta w samym skafandrze ciśnieniowym.

— Ja, tego... — uśmiechnął się niepewnie. — Oczywiście...

— Na razie, kapitanie. I dzięki.

— Zjeżdżaj stąd, ty próżniaku! — warknął z udaną irytacją Seerbacker.

Gant skinął głową i wsunął czubek buta w najniższy szczebel wbudowanej w kadłub drabinki pilota. Wszedł na górę i zsunął się do kabiny. Wcisnął na głowę hełm, podłączył tlen, kabel kierowania uzbrojeniem i układ łączności. Musiał teraz przekołować na południowy kraniec pola, gdzie leżał jeszcze śnieg, który będzie hamował rozbieg, ale nie miał wyboru. Zacznie możliwie daleko od wyrwy w lodowym wypiętrzeniu. Szybko zakończył kontrolę przedstartową. Nie odrywając wzroku od wskaźników stanu kłap, hamulców i paliwa, mechanicznym ruchem podłączył kombinezon do systemu antyprzeciążeniowego. Zbiorniki, co zauważył z zadowoleniem, były pełne. Minęły całe wieki od chwili, gdy w jego świecie było tak dużo paliwa. Wcisnął przycisk, osłona kabiny zsunęła się na miejsce, zaskoczyły automatyczne zamki. Zatrzasnął blokadę ręczną. Radiotelefon, który dostał od Seerbackera, spoczywał teraz w kieszeni skafandra. Jakby z wielkiej odległości dobiegł z głośnika meldunek Fleischera:

— Kontakt za minutę i trzydzieści sekund.

— Słyszał pan, Gant? — włączył się Seerbacker. I nie czekając na odpowiedź dodał: — Powodzenia, chłopie. Musimy teraz szybko schować te mocno podejrzone węże Pecka, więc zabieraj się stąd.

Gant włączył zapłon, uruchomił silnik rozrusznika, przekręcił zawór wysokiego ciśnienia i wdusił przycisk. Z ulgą usłyszał podwójny wybuch rozruszników nabojoych, a potem coraz głośniejszy szum jak w hangarze w Biljarsku. Otworzył dopływ paliwa i wolno otwierał przepustnice, dopóki licznik obrotów nie pokazał dwudziestu siedmiu procent. Znieruchomiał na chwilę, po czym pchnął dźwignie dalej aż do pięćdziesięciu pięciu procent. Zwolnił hamulce.

Firefox nawet nie drgnął.

Gant zamknął przepustnice i zablokował hamulce. Wiedział, co się stało i jak można temu zaradzić, ale fakt, że nie potrafił tego przewidzieć, sprawił, że krople potu wystąpiły mu na czoło. Odsunął osłonę, podniósł szybę hełmu i krzyknął do radiotelefonu:

— Seerbacker! Podciągnijcie tu te węże! Szybko!

— Do cholery, Gant, czy nie możesz odlecieć...

— Spieszcie się! Koła wmarzły w lód!

— Utknąłeś? Z takimi silnikami?

Mimo że Seerbacker spierał się z nim, Gant widział już Pecka i innych, ciągnących do samolotu węże z parą.

— Jeśli spróbuję się wyrwać, wyląduję na brzuchu.

Wyjrzał przez burtę. Seerbacker stał w dole i uśmiechał się złośliwie. Wokół kłębiła się mgła i śnieg wylatywał aż do kabiny, gdy ludzie Pecka ostrożnie kierowali strumienie przegrzanej pary na zagłębione w lodzie koła. Gant nie musiał ich uprzedzać, że jeśli pary będzie za dużo, albo pod zbyt dużym ciśnieniem, opony dosłownie się roztopią.

Mechanik wiedział o tym. Wynurzył się spod kadłuba i spojrzał w górę.

— W porządku, majorze — oznajmił do mikrofonu. — A teraz, na miłość boską, niech się pan stąd wynosi.

Gant wysunął kciuk do góry, zamknął owiewkę, sprawdził wskaźniki i otworzył przepustnice, aż obrotomierz jeszcze raz wykazał pięćdziesiąt pięć procent. Zwolnił hamulce i samolot skoczył do przodu, wytaczając się z otworów, jakie wytopiły w lodzie koła i strugi pary. Peck, Seerbacker i pozostali wycofywali się szybko, ciągnąc za sobą grube, giętke węże. Z „Pequoda” wysypywali się już ludzie w cywilnych

kurtkach. Zgodnie z planem Seerbackera mieli udawać naukowców i techników i pracować na lodzie, kiedy przybędą Rosjanie. Gant skręcił i skierował samolot na koniec pola, dokładnie w osi pasa. Utrzymywał idealnie prosty kurs. Po nawrocie będzie potrzebował własnych śladów.

Przed sobą widział szare morze i ani śladu rosyjskiego okrętu podwodnego. Zapewne dowódca postanowił nie wynurzać się do chwili, gdy znajdzie się tuż obok „Pequoda”. Chciał 'zaskoczyć Amerykanów. Gant był mu wdzięczny w imieniu Seerbackera i jego załogi. Nikt nie zobaczy odlatującego Firefoxa.

Wykręcił ostro, ustawił się na odbitych w śniegu śladach kół i otworzył przepustnice. Niemal natychmiast poczuł opór nawierzchni — przy normalnym ciągu startowym samolot nie przyspieszał dostatecznie szybko. Nie mógł zwiększyć mocy silników — obniżyłby się nos myśliwca i zmienił opływ strug powietrza na powierzchniach skrzydeł, a w efekcie jeszcze bardziej spadłaby prędkość.

Miał wrażenie, że wlecze się w ślimaczym tempie, dopóki nie dotarł do miejsca, gdzie przedtem parkował, i nie wjechał na gładką, wypolerowaną powierzchnię lodowego pasa, oczyszczoną przez Pecka i jego ludzi. Dopiero teraz dostrzegł wypiętrzenie — niewielki garb przed dziobem. Przy słabej widoczności nie dostrzegł jeszcze wyrąbanej w nim trzydziestostopowej szczeliny. Drgnęło uwolnione ze śniegu podwozie i Gant poczuł, jak samolot rusza przed siebie niby zerwany z uwięzi. Mógł już otworzyć przepustnice, zwiększyć obroty i nabrać szybkości. Jedyłą jej oznaką była uciekająca w tył poszarpana, nierówna krawędź pasa. Musiał jechać dokładnie jego środkiem, gdyż na lodzie nie mógł kierować ani używać hamulców. Ster działał efektywnie dopiero przy osiemdziesięciu pięciu milach, a miał teraz nie więcej niż pięćdziesiąt.

Z włączonego nadal radiotelefonu usłyszał wyraźny, choć cichy głos Seerbackera:

— Powodzenia, chłopie. Niestety, nie możemy pogadać. Mamy gości.

Pocił się, choć odczuwał chłód. Sekunda, którą zabrało osiągnięcie szybkości, kiedy znowu mógł używać steru, zdawała się wiekiem. Wreszcie przekroczył dziewięćdziesiąt mil i gładko ustawił Firefoxa w środkowej osi pasa. Przesunął dźwignie i strzałka 'obrotomierza skoczyła na tarczy. Szczelina w lodzie pędziła mu naprzeciw. Teraz, gdy wśród rozmytej bieli pola pojawił się punkt, na którym mógł zogniskować spojrzenie, nagle zdał sobie sprawę z własnej prędkości widocznej już

nie tylko we wskazaniach instrumentów. W chłodnym powietrzu wystarczy krótszy rozbieg, powtarzał sobie. Nie wierzył w to nawet przez ułamek sekundy.

Szczelina znalazła się przed nim — potężne silniki pochłoneły dzielący od niej dystans. Minał ją przy stu pięćdziesięciu milach. Sto siedemdziesiąt było prędkością startową. Włączył przegrzew turbin i przyciągnął drążek. Nie ośmieliłby się zaryć znowu w miękką powierzchnię śniegu tam, gdzie Peck nie zdążył go przedmuchać.

Widział ten śnieg, mógłby przysiąc, że go widzi, dostrzega punkt, gdzie skończył się lodowy pas startowy. To było niemożliwe. Punkt przemknął pod brzuchem myśliwca i Gant wiedział, że podwozie oderwało się od podłoża. Mimo to nie odczuwał wznoszenia.

* * *

W lusterku wstecznym Gant widział chmurę śniegu wzniesioną podmuchem odrzutu. Firefox osiadł jakby wznosząc nos, potem — niby wyrwany z lepkiego błota — zostawił pole lodowe za sobą. Gant wychylił w górę klapy i schował podwozie. Strzałka prędkościomierza przesuwiała się do przodu w miarę, jak otwierał przepustnice. Oparcie fotela pchnęło go w plecy i poczuł, jak skafander opina ciało, by skompensować nagły wzrost przyspieszenia. Sprawdził dopływ paliwa, stwierdził, że wszystkie wskazówki stoją na zielonych polach i wprowadził myśliwiec w pionowe wznoszenie.

W ciągu kilku sekund dotarł do podstawy chmury. Kiedy się zanurzał, machometr przekroczył liczbę 1... a potem 1,1... 1,2... 1,3... 1,4...

Firefox wyskoczył z chmury na dwadzieścia dwa tysiące w oślepiający blask słońca i bezchmurny, bezkresny błękit.

Wystartował w kierunku północnym. Teraz wprowadził nowe dane: współrzędne punktu, gdzie miał przekroczyć brzeg Finlandii. Wciąż się wznosząc odchylił samolot i ustawił go na kursie dwieście dziesięć stopni. Maksymalna wysokość, jaką mógł osiągnąć Firefox, przekraczała podobno sto dwadzieścia tysięcy stóp. Gant zamierzał wykorzystać te możliwości. Wprawdzie nie uda mu się chyba uniknąć wykrycia przez detektory podczerwieni, nawet na takim pułapie. Mimo to, przy szybkości do jakiej był zdolny, wszelki pościg tracił sens. Zanim osiągnie brzeg, zejdzie w dół, do poziomemu morza, by możliwie szybko przeskoczyć nad Finlandią do Zatoki Botnickiej i Sztokholmu.

Żaden samolot, żaden pocisk nie mógł mu zagrozić przy tej szybkości i wysokości. Przekraczając pięćdziesiąt tysięcy stóp uśmiechnął się do siebie. Teraz, pomyślał, sprawdzi, do czego jest zdolny Firefox. Teraz naprawdę poprowadzi tę wspaniałą maszynę...

Odczuwał gwałtowną, chłodną rozkosz. Nic nie dawało się z nią porównać — był tego pewien.

Kiedyś w Sajgonie włamał się nocą do gabinetu psychiatry wojskowego i przeczytał swoje akta. Emocjonalny kaleka — tak go nazwali, choć może w innych słowach. Okaleczony na całe życie wspomnieniami dzieciństwa. Ten dureń oparł diagnozę na bajeczkach o Clarkville, jakimi go karmił. Z tych bzdur wyciągnął wnioski o stanie psychicznym człowieka, który odbył ponad pięćdziesiąt lotów bojowych, który był najlepszy... jakiś konował od czubków, z tłustym tyłkiem, o setki mil od najbliższego partyzanta albo wyrzutni rakiet.

Opanował się z trudem. Nie ma się o co wściekać, powtarzał sobie. To bez sensu. Buckholz to rozumiał, wiedział, kiedy wybierał właśnie jego. Firefox przekroczył sześćdziesiąt tysięcy stóp.

Nie myślał o Upieńskim, o Baranowiczu, Kreszynie, Siemielowskim i innych. Od chwili, gdy wystartował z Biljarska, zniknęli z jego pamięci, stali się czymś mniej istotnym niż wiszące na ścianach wyblakłe, brunatne fotografie zmarłych krewnych.

* * *

Trecow zobaczył go, gdy przekraczał pułap osiemnastu tysięcy metrów. Widoczna przez szczelinę w chmurach smuga kondensacyjna odbijała się wyraźnie na tle szarego morza. Wiedział, że to Gant. Na jego ekranie pojawił się obraz termiczny, nie było za to echa radaru. To musiał być wykradziony Mig-31.

Umysł Trecowa pracował z precyzją chirurgicznego skalpela. Wiedział, co musi zrobić. Czytał akta Ganta, wiedział o jego doświadczeniu bojowym. Jego własne było skromniejsze. Ograniczało się do lotów na starym Migu-21 i potyczek z izraelskimi Phantomami na Bliskim Wschodzie, gdy jako bardzo młody pilot został oddelegowany do Egipskich Sił Powietrznych. Był jednym z niewielu wybrańców wspomagających tamtejszych nie najlepszych lotników szkolonych przez radzieckich instruktorów. Gant był lepszy od niego...

Na papierze.

Gant pilotował Miga-31 od pięciu godzin, nawet mniej. Trecow — ponad dwieście godzin. Gant chciał zakończyć swą misję. Trecow — pomścić Woskowa. Dochodził jeszcze strach, jak zwykle. Musiał zabić Ganta. Nie miał wyboru.

Powinien wejść w stożek za ogonem Miga, by rakiety miały większą szansę podążania za źródłem ciepła potężnych silników. Detektor podczerwieni Ganta namierzy go, gdy będzie już za późno na przeciwdziałanie. Wiedział, obserwując wznoszącego się stale Miga, że Amerykanin nie ma pojęcia o jego obecności, że przecinając jego kurs i wchodząc na tor na prawym skrzydle, w martwym polu czujnika, ukrył swoje przybycie. Musi teraz przesunąć się szybko do tyłu i wtedy...

Mig leciał teraz ponad nim, powyżej jego pułapu przelotowego dwadzieścia dwa tysiące metrów. Wciąż się wznosił. Trecow zmienił kurs, nie tracąc z oczu smugi kondensacyjnej potwierdzającej dane z ekranu. Wprowadził PP 2 na ogon Amerykanina, tak by pomarańczowa plamka znalazła się na centralnej podziałce ekranu. Sterowany myślą system zwolnił dwie rakiety Anab. Trecow obserwował, jak przesuwają się po ekranie za jasnym punktem samolotu Amerykanina.

* * *

Sygnal systemu ostrzegawczego zapiszczał przeraźliwie w słuchawkach. Gant dostrzegł dwa sunące ku niemu pociski. Niemożliwe, ale prawdziwe... Umysł wahał się, nie przyjmował faktu do wiadomości, szukał źródła, które wystrzeliło rakiety, lecz ciało reagowało już, sięgając do dawnych wzorów i sprawdzonych metod.

Gant znał jedną, która pozwalała uciec przed samonaprowadzającymi pociskami — tylko jedną. Używali jej izraelscy piloci podczas Sześciodniowej Wojny i Amerykanie w Wietnamie. Gdyby dostatecznie szybko potrafił zmienić kierunek lotu, wtedy źródło ciepła, jakim były jego silniki, zniknęłoby z pola widzenia czujników rakiet i pociski nie potrafiłyby już uchwycić i utrzymać kontaktu.

Zamknął przepustnice, szarpnął drążek do siebie wchodząc w pionowe wznoszenie i próbując zmienić kurs pod ostrym kątem do poprzedniego. To powinno usunąć go z czujników rakiet. Równocześnie wychylił Firefoxa w prawo i opuścił nos podążając krzywą, która wprowadziła go pod tor lotu pocisków. Przeciężenie zwęziło jego pole widzenia. Licznik wykazał ponad 8 G. Pogorszenie wzroku będzie znaczyło, że zaraz straci przytomność. Przy 10 G straci ją na pewno i myśliwiec wyjdzie spod

kontroli. Widział teraz tylko groźną strzałkę miernika przeciążeń i czuł, jak skafander zaciska się wokół jego nóg i tułowia.

Jasne punkty pocisków zmieniły gwałtownie swoją pozycję na ekranie, minęły go podążając dawnym kursem poza punkt czasu i przestrzeni, kiedy powinno nastąpić trafienie. Straciły trop i teraz polecą dalej, aż wyczerpią paliwo i spadną do morza.

Zwolnił drążek i nagle odzyskał wzrok, jakby ktoś w ciemnym pokoju otworzył okiennice. Prędkość lotu spadała, a Gant stwierdził, że poci się obficie. Niewiele brakowało, by dał się zaskoczyć jak jakiś szczeniak bez doświadczenia. Ekran był pusty. Nie wiedział, że Trecow wciąż znajduje się za nim, w martwym polu detektorów podczerwieni. Poczul narastającą panikę. Był jak ślepiec zamknięty w jednym pokoju z psychopatą. Podejrzewał, kto jest jego przeciwnikiem, choć nie chciał się z tym pogodzić.

Pilot tamtego samolotu — to musiał być myśliwiec — najwyraźniej leciał za nim, z pewnością wściekły, że nie udało mu się go zaskoczyć.

W lusterku wstecznym pochwycił odbłask słonecznego światła na metalu. I wciąż żadnego echa na radarze. Teraz wiedział już na pewno: Baranowicz i Siemielowski nie zdołali unieruchomić drugiego Firefoxa. Rosjanie naprawili uszkodzenia i posłali go w pogoń.

Poczul chłód. Strugi potu spływały mu po piersi, czuł pod skafandrem lepiącą się do skóry koszulkę. Tamten samolot był taki sam jak jego, był jak odbicie w lustrze. A pilot miał o wiele więcej doświadczenia.

Umysł pracował, ogarnięty niczym nie hamowaną gorączką wyobraźni, a ciało Ganta reagowało czysto instynktownie. Wyliczył, że jeśli samolot będzie kontynuował skręt, Rosjanin go dopadnie. Oczy pochwyciły błysk w lusterku, dłoń pchnęła dźwignię przepustnic i ciało z ulgą przyjęło skok mocy turbin i/uderzenie oparcia fotela o plecy.

Zatrzymał wznoszenie i wprowadził Firefoxa w jeszcze, ostrzejszy lewy zakręt. Rosjanin trzymał się z tyłu, wszedł z lewego skrzydła i zbliżył się. Gant zmniejszył promień skrętu, po czym wyrównał tak nagle, że siła bezwładności pchnęła chronioną hełmem głowę na szybę kabiny. Dłoń przesunęła dźwignię i fotel wychylił się do „pozycji bojowej”, układając ciało niemal poziomo.

Widoczny w lusterku Rosjanin podążał za nim i Gant mógł najwyżej walczyć, by nie znalazł się w pozycji optymalnej do wystrzelenia pocisków. Mógł nawet próbować zbliżenia, by otworzyć ogień z działka i w ten sposób okaleczyć swoją ofiarę.

Przeciwnik był dobry, przyznawał rozpalony gorączką umysł. Nie potrafił się uwolnić od myśli o przeszłości i przyszłości, od obrazów chwil minionych i tych, co miały nadejść. Gant został zaskoczony i cokolwiek zrobi, nie uwolni się od łowcy siedzącego mu na ogonie i wolno zmniejszającego dystans.

Oczy zarejestrowały pojawienie się na ekranie pomarańczowej plamki drugiego Firefoxa. Ta informacja była już nieaktualna. Gant wiedział, jaki samolot go ściga.

Spróbował innej strategii, gdyż Rosjanin wchodził na pozycję ze słońcem za plecami. Wychylił samolot w lewo i kontynuował nawrót beczką. Równocześnie dostrzegł poszarpane obłoczki u skrzydła tamtego: serię z działka. Pomarańczowe kule dryfowały ze zwodniczą powolnością, przyspieszając jakby pod wodą, by go wyprzedzić. Trecow strzelił, ponieważ także odczuwał napięcie i chciał możliwie szybko zakończyć walkę. Potęga własnego samolotu sprowokowała go do przedwczesnego działania.

Widząc go w połowie beczki i rozumiejąc, że pociski chybiły, Rosjanin oczekiwał, że Gant skręci w słońce. Ten jednak dokręcił pętlę o następne dziewięćdziesiąt stopni, wyrównał i ściągnął drążek. Firefox zadygotał, a Gant poczuł skurcz mięśni brzucha. Pole widzenia zwęziło się w długi tunel. Wrzasnął głośno, by zredukować efekty narastającego oszalałającego przeciążenia. Licznik pokazał ponad 9 G.

Wychodząc ze skrzyżowania zobaczył rosyjski myśliwiec przed sobą. Wrogi samolot wyłonił się zza ściany ciemności i umysł jęknął z ulgi, gdy dostrzegł możliwość wejścia na pozycję ogniową. Znalazł się w stożku ogonowym Rosjanina, w odległości sześciuset jardów. Pomyślał i dwie rakiety Anab oderwały się od skrzydeł. Samolot zadrżał znowu, wyrównał lot, a Gant patrzył, jak pociski podążają za celem. Wymierzył poprzez układ celowniczy — przezroczystą płytkę umieszczoną przed przednią szybą. Nie miał nad nimi kontroli, podobnie jak Rosjanin. System sterowania myślą połączony był z radarem, nie z podczerwienią.

Bez radarowego echa Trecow nie mógł kierować raz wystrzelonymi rakietami, a Gant rozumiał teraz, przeżywając porażkę, że on także nie potrafi tego zrobić. Widział, jak rosyjski pilot powtarza jego własny manewr: zamyka przepustnice i wchodzi w prawy skręt i wznoszenie. Anaby przeleciały, szukając źródła ciepła, jakie Rosjanin zabrał im sprzed nosa.

Gant pojął, że umysł oddziałuje na ciało, zaraża je. Jak w ostatnich dniach w Wietnamie, zanim trafił do szpitala. Wspomnienie o dawnej klęsce i aktualnym

błędzie na chwilę odebrało mu zdolność myślenia. Teraz i wtedy latał fatalnie — nerwowo, naruszając rezerwy psychicznej energii. Znowu się bał. Mógł zginąć — może już się utrwaliła matryca okoliczności, czyniąca jego śmierć nieuniknioną. Może już za późno, by rozpocząć akcję, która go ocali.

Ciało, działające o ułamek sekundy wolniej niż w swej najlepszej formie, szarpnęło samolot w prawo. Raz jeszcze przeciążenie oszołomiło je, i umysł także. Mrok przesłonił widzenie. Gant leciał za Rosjaninem. Był zbyt szybki, zbyt rozgorączkowany. Wcisnął myśl jak przycisk spustowy i zwolnił rakiety.

Było za późno, by się uspokajać. Nie miał już wyboru. Był elektronicznym szachistą odrywającym dłoń od figury, którą chciał przesunąć. Nie miał odwrotu, nie mógł niczego powtórzyć. Musiał działać, chociaż system nerwowy nie wytrzymywał strumienia emocji, adrenalina płynęła w żyłach, a pamięć podsuwała obrazy płomieni.

Zwolnił drążek i szare Morze Arktyczne zatoczyło łuk nad jego głową. Gorączkowo przeszukiwał przestrzeń, gdyż znowu zgubił przeciwnika. Morze zsunęło się za ramię i pochwycił wzrokiem odbłask w lusterku. Znalazł przeciwnika, który powtórzył jego manewr z beczką, a teraz siedział mu na ogonie i zbliżał się szybko, gotów do ataku, pewien, że Gant nie ma czasu i miejsca na unik. Mała rybka i wygłodniały drapieżnik. Ciało rozpoznało w Rosjaninie świetnego pilota; umysł bełkotał, że Gant jest już trupem.

Pchnął orczyk w lewo i szarpnął drążkiem, ściągając Firefoxa w skręt. Dostrzegł jednocześnie jaskrawopomarańczową rakietę odrywającą się od tamtego myśliwca. Pociągnął drążek na siebie czując, jak przeciążenie wgniata go w fotel, zaciska skafander, ściąga skórę z twarzy, wbija brodę w pierś...

Umysł cofnął się przed bólem, pozostawiając ciało na pastwę czystych reakcji. Samolot szarpnął reagując na ruch drążka i zadygotał na całej długości.

Nos Firefoxa wprowadzony w płaski korkociąg wznosił się i opadał o ponad piętnaście stopni powyżej i poniżej linii horyzontu. Gant patrzył z ulgą, jak pozbawiony celu Anab przemknął górą. Potem zauważył przerażony, że strzałka wskaźnika przeciążeń przesuwana się przez 8,5 w stronę 9 G. Strzałka prędkościomierza spadała szybko, zbliżając się do stu pięćdziesięciu.

Słyszał stuki w słuchawkach, gdy automatyczny zapłon pracował szaleńczo, próbując podtrzymać pracę turbin. Zakłócony wirowaniem opływ strug powietrza gasił silniki niby ciecz i rozrusznik startował co pół sekundy. Spojrzał na obrotomierz.

Wskazywał sześćdziesiąt procent, a wskazówki drżały. Zanim pojął, co się dzieje, spadł o osiem tysięcy stóp. Strzałki wysokościomierza kręciły się jak szalone.

Stracił z oczu rosyjski myśliwiec, lecz, Trecow obserwował go i wprowadził samolot w nurkowanie. Amerykanin był teraz łatwym celem.

Gant zastosował standardowy sposób, by spłaszyc korkociąg pchnął drążek do przodu. Nic się nie stało. Firefox nie reagował. Rosjanin, z pewnością podążający za nim w dół, przestał się liczyć, jakby w ogóle nie istniał. Teraz Gant walczył z samym samolotem spadającym nie kontrolowanym torem w stronę morza. Szarpał drążkiem w przód i w tył, ściągnął dźwignie przepustnic, by opuścić nos i uzyskać lepszy opływ powietrza na skrzydłach, zwiększyć prędkość i przejąć kontrolę.

Przez jakieś dwie sekundy nic się nie działo, z wyjątkiem ciągłego stuku autozapłonu i wirowania strzałek wysokościomierza. Znalazł się na trzydziestu tysiącach stóp i wciąż spadał jak ołowiany liść. Rozpaczliwym gestem wyciągnął rękę i szarpnął dźwignię wysuwania podwozia, by gwałtownie zwiększyć opór stawiany przez samolot — coś, co ciało przypomniało sobie z dawnej rozmowy o jakimś niezwykłym fakcie. Ogon podniósł się ostro w górę, nos opadł i korkociąg stał się bardziej stromy. Gant skontrolował sterem i otworzył przepustnice. Znalazł się na dwudziestu tysiącach stóp, wysokościomierz wciąż wirował, ale odzyskał kontrolę nad samolotem. Nacisnął lekko drążek i schował podwozie. Nadal ściągając drążek zwiększył ciąg silników. Samolot wyrównał lot. Ciało odetchnęło swobodnie po raz pierwszy od wejścia w korkociąg.

Wtedy przeżył szok: na ekranie płonął jasny punkt samolotu wroga. Musiał lecieć za nim i gdy on usiłował wyprowadzić Firefoxa, tamten zajął dogodną pozycję. Zbliżał się z prędkością powyżej 1,6 macha. Wiedział, że może zwyciężyć, że potrafi podejść do Ganta tak blisko, by zakończyć walkę. Nie będzie marginesu błędu, żadnej szczeliny, przez którą umiejętności albo szczęście pomogłyby ofierze się prześliznąć.

Gant widział go w lusterku. Umysł bełkotał, załamany bliskością swej śmierci. Pomarańczowe kule wyskakiwały z małych obłoczków na krawędzi skrzydła tamtego, ściagały go z przerażającą szybkością i mijały. Szarpnął samolot w bok, jakby chciał uniknąć szarzy wścieklej bestii. W lusterku widział, że Rosjanin podąża za nim i manewrując wewnątrz ciepłego stożka, szuka optymalnej pozycji. Pozostała mu tylko jedna rakietka.

Poczuł ulgę, choć wiedział, że jest jałowa i bezsensowna. Fakt, że umknął trafienia z działka, nie miał znaczenia — kilka sekund życia więcej.

Ciało walczyło z oszalałym umysłem, próbowało odzyskać panowanie. Dłoń Ganta otworzyła przepustnice i ściągnęła drążek do siebie i w prawo. Umysł krzyczał o cokolwiek, co można by wystrzelić w Rosjanina, coś, co zagroziłoby wrogowi lecącemu z tyłu.

Pragnienie umysłu było silniejsze od determinacji ciała: pragnienie--rozkaz, jakiego ciało w ogóle nie brało pod uwagę. Umysł wykrzyczał polecenie dla systemu sterowania myślą i ostatnia z pułapek termicznych bloku tylnej osłony została odpalona. Oślepiające światło zapłonęło w lusterku, gdy źródło ciepła w formie ognistej kuli oddzieliło się od samolotu i zawisło w powietrzu. Potem lusterko wybuchło blaskiem silniejszym jeszcze niż blask pułapki. Ciało, oszołomione własną pozorną beczynnością, wyczuło wstrząs fali uderzeniowej.

Gant wprowadził Firefoxa w ostry skręt. Kiedy wyrównał, wewnątrz zataczanego kręgu nie było niczego prócz kłębu czarnego gęstego dymu rozświetlanego od wewnątrz jaskrawym płomieniem. Lśniące odłamki metalu opadały w dół jak liście wirujące w słonecznym blasku.

Gant zrozumiał, co zaszło. Gdy umysł dławił się radością i raz jeszcze przeżywał ocalenie i zwycięstwo, pojmował także, że ognista kula wyrzucona z ogona Firefoxa została wessana przez jeden z szerokich wlotów powietrza rosyjskiego myśliwca, który natychmiast eksplodował.

Gantowi było niedobrze. Krztusił się i przelykał ślinę, by wymiociny nie wypełniły helmu i nie udusiły go. Umysł opanował ciało i poczuł, że drży ono gwałtownie.

Pospiesznie, póki jeszcze był zdolny do działania, uruchomił autopilota i niepewnie, wytężając pamięć, wprowadził współrzędne nowego kursu. Firefox zawrócił, wyrównał i ruszył w stronę Finlandii, a Gant leżał w fotelu słaby, oszołomiony i drżący.

Wiedział, że w końcu przyjdzie do siebie. Wtedy przejmie sterowanie. Ale nie teraz, jeszcze nie...

Mig-31, określany w NATO jako Firefox, jedyny, bezcenny egzemplarz swego typu, mknął na wysokości osiemdziesięciu tysięcy stóp, z prędkością 3,7 macha, ku dalekim brzegom Finlandii.